

NORWESKA
MISTRZYNI
KRYMINAŁU

ANNE HOLT



W JASKINI LWA

Prószyński i S-ka

ANNE HOLT
BERIT REISS-ANDERSEN

W JASKINI LWA

Przełożyła Iwona Zimnicka

Naszym przyjaciołom - Doktorowi Szczęście, Owczarzowi i Arnoldowi,
Rycerzowi Okrągłego Słowa

W paszczy lwa na nic się zda bycie zoologiem.

Gunnar Reiss-Andersen

18.47

Kancelaria Premiera

Kobieta w pokoju przed gabinetem pani premier, próbując walczyć z ogarniającym ją niepokojem, na zmianę wpatrywała się w podwójne drzwi i we własny telefon. Ubrana była w niebieski kostium - krótki skromny zakiet o klasycznym kroju ze spódnicą do kolan - i nieco zbyt kolorową apaszkę. Mimo że zbliżał się koniec długiego dnia pracy, włosy miała idealnie ułożone, ale jej elegancka, choć lekko niemodna fryzura trochę ją postarzała. Mogło się jednak wydawać, że kobieta właśnie tego pragnie, jakby fryzura, której czas minął na początku lat osiemdziesiątych - nastroszona u góry, wystrzępiona po bokach - miała jej przydać dostojności, gdyż na wiek w tym względzie - czterdzieści kilka lat - nie mogła liczyć. Zająć jej nie brakowało, ale wbrew własnym przyzwyczajeniom nie robiła nic. Od dłuższej chwili tylko siedziała. Narastające w niej przekonanie, że dzieje się coś bardzo złego, zdradzały jedynie palce - długie, wypiełgnowane, z ciemnoczerwonymi paznokciami i dwoma złotymi pierścionkami na każdej ręce. Regularnie sięgały do skroni, jakby chciały poprawić kilka niesfornych kosmyków, a potem głucho stukwały w podkładkę do pisania, co brzmiało jak seria wystrzałów oddana z pistoletu z tłumikiem. Nagle kobieta wstała i podeszła do okna wychodzącego na zachód.

Na zewnątrz panował półmrok. Kwiecień zapowiadał się prawie tak humorzasty, jak dawno temu opisywał to Bjornstjerne Bjornson.

Szesnaście pięter niżej widziała zmarzniętych ludzi maszerujących przez Akersgata. Kilka osób gniewnie dreptało w kółko, czekając na autobus, który mógł w ogóle nie nadjechać. W gabinecie minister kultury w sąsiednim budynku R5 wciąż się świeciło. Nawet z tej odległości kobieta w niebieskim kostiumie widziała, jak sekretarka przechodzi do szefowej z plikiem papierów. Pani minister roześmiała się do starszej podwładnej i odgarnęła do tyłu jasne włosy. Była za młoda na stanowisko ministra kultury. Była też za niska - wieczorowa suknia nie leżała dobrze na kobiecie o wzroście niespełna metr sześćdziesiąt. Na domiar wszystkiego zapaliła papierosa, a popielniczkę postawiła na stosie dokumentów.

Nie powinna palić w gabinecie, pomyślała kobieta w niebieskim kostiumie. Przecież tam wiszą prawdziwe skarby kultury. Dym na pewno szkodzi obrazom. Ani trochę im nie służy.

Z wdzięcznością uchwyciła się irytacji, bo na chwilę uciszyła niepokój, który powoli zaczynał przechodzić w obcy i trudny do zniesienia lęk. Minęły już dwie godziny od chwili, gdy premier Birgitte Volter bardzo zdecydowanie, wręcz ze złością oświadczyła, żeby jej nie przeszkadzać, choćby nie wiem co. Właśnie tak się wyraziła. „Choćby nie wiem co”.

Poprzednia premier, Gro Harlem Brundtland, nigdy by tak nie powiedziała. Mogłaby ewentualnie dodać „bez względu na wszystko”, ale prawdopodobnie poprzestałaby tylko na stwierdzeniu, że chce mieć spokój. I miałyby go, nawet gdyby wszystkie siedemnaście pięter budynku rządowego stanęło w płomieniach. Ale Gro odeszła ze stanowiska 25 października ubiegłego roku i nastały nowe czasy, nowe zwyczaje, nowy język, a Wenche Andersen musiała zachować swoje odczucia dla siebie. Wypełniać dalej obowiązki jak zawsze, skutecznie

i dyskretnie.

Nieco ponad godzinę temu gabinet pani premier opuścił sędzia Sądu Najwyższego Benjamin Grinde, ubrany w antracytowy włoski garnitur. Stojąc w podwójnych drzwiach, skinął jeszcze głową pani premier, i zamknął je za sobą. Z lekkim uśmiechem rzucił Wenche Andersen komplement na temat jej nowego kostiumu, po czym z bordową skórzaną teczką pod pachą zniknął na schodach prowadzących do windy na piętnastym piętrze. Sekretarka odruchowo wstała, żeby zanieść Birgitte Volter filiżankę kawy, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie zdecydowany zakaz zakłócania spokoju.

Zaczynało jednak robić się naprawdę późno.

Sekretarze stanu i doradcy polityczni już wyszli, podobnie jak pozostały personel. Wenche Andersen siedziała sama w piątkowy wieczór na szesnastym piętrze wieżowca w dzielnicy rządowej i nie wiedziała, co ma robić. Z gabinetu pani premier nie dochodził żaden odgłos. Ale może nic w tym dziwnego. Drzwi przecież były podwójne.

19.02

Odins gate 3

Zdecydowanie coś było nie tak z zawartością kryształowego kieliszka o prostym kształcie tulipana, który trzymał przed sobą, aby zobaczyć, jak światło załamuje się w czerwonym winie. Starał się nie spieszyć, słuchał trunku, próbował się rozluźnić i delektować nim tak, jak ciężkie bordeaux zazwyczaj na to zasługiwało. Rocznik 1983 miał być przyjazny i zapraszający, tymczasem to w fazie ataku okazało się zbyt cierpkie. Zdumiony wykrzywił usta z obrzydzenia, czując, że smak w zakończeniu w najmniejszym stopniu nie odpowiada cenie butelki. Gwałtownie odstawił kieliszek i sięgnął po pilota do telewizora. Zaczęły się już wieczorne wiadomości. Nic go nie zainteresowało. Obrazy przelatywały mu przed oczami, a do niego docierało jedynie to, że prezenter jest wyjątkowo niegustownie ubrany. Żółtej marynarki żaden mężczyzna nie powinien wkładać.

Musiał to zrobić. Nie było innego wyjścia. Teraz, kiedy miał to już za sobą, nie czuł nic. A przecież spodziewał się jakiegoś rozluźnienia po tych wszystkich latach, możliwości złapania głębszego oddechu. Tak bardzo chciał poczuć ulgę, a tymczasem ogarnęło go dziwne poczucie samotności. Otaczające go meble stały się nagle jakby obce. Stary dębowy kredens, na który wspinał się jako dziecko, a który teraz królował w jego salonie w całej swej okazałości - z rzeźbieniami przedstawiającymi winne grona i z ekskluzywną kolekcją japońskich miniaturowych figurek netsuke, widoczną za szlifowanym szkłem drzwiczek - wydał mu się teraz ponury i groźny.

Na stole między nim a telewizorem leżał pewien przedmiot. Nie

rozumiał, dlaczego go tu położył. Nie pojmował, dlaczego w ogóle przyniósł go ze sobą.

Wzdrygnął się i jednym ruchem palca usunął prezentera wiadomości. Jutro jego urodziny. Kończył pięćdziesiąt lat, ale poczuł się o wiele starszy, kiedy sztywno wstał z sofy chesterfield, żeby pójść do kuchni. Pasztet mógł przyrządzić już dzisiaj. Powinien go przyrządzić już dzisiaj. Najsmaczniejszy był po odstaniu dwudziestu czterech godzin w lodówce.

Przez krótką chwilę zastanawiał się nad otwarciem innej butelki niż to nieudane bordeaux. Zrezygnował jednak i poprzestał na koniaku, którego sporą porcję nalał sobie do czystego kieliszka. Kuchennego.

W kuchni też nie mógł znaleźć ulgi.

19.45

Kancelaria Premiera

Fryzura przestała już być tak idealna. Sztywny tleniony lok opadł na oczy, a nad górną wargą perlił się pot. Wenche Andersen nerwowo sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej wyprasowaną chusteczkę. Przyłożyła ją najpierw do ust, a potem do czoła.

Postanowiła, że teraz już wejdzie do środka. Przecież mogło się coś stać. Telefon Birgitte Volter odłączyła sama, trzeba więc będzie do niej zapukać. A jeśli pani premier się rozchorowała? W ostatnich dniach wydawała się zdenerwowana. Wprawdzie Wenche Andersen miała poważne zastrzeżenia co do nieco zbyt luźnego, a przez to dość niezwykłego stylu Birgitte Volter, to jednak musiała przyznać, że pani premier jest osobą bardzo życzliwą. Tylko w ostatnim tygodniu wydawała się wręcz odpychająca, poirytowana i łatwo wpadała w złość. Czyżby była chora? Musi tam teraz wejść. Musi.

Ale zamiast zakłócać spokój pani premier, jeszcze raz poszła do toalety. Stanąwszy przed lustrem, nie spieszyła się, ale nie mogła znaleźć niczego, co dałoby się poprawić. Długo, bardzo długo myślała ręce, a potem z szafki pod umywalką wyjęła niedużą tubkę kremu do rąk. Krem był zupełnie zbędny, ręce się od niego lepiły, ale ich posmarowanie zajmowało czas. Starannie wmasowała go w palce, zaczęła, aż wchłonie się w skórę. Odruchowo znów spojrzała na zegarek i ciężko westchnęła. Minęły zaledwie cztery i pół minuty. Maleńkie złote wskazówki niemal stały w miejscu. Z lękiem wróciła na swoje krzesło. Nawet odgłos zamykających się za nią drzwi do toalety wydał jej się straszny.

Musi tam wreszcie wejść. Uniosła się lekko z krzesła, zawahała i z powrotem usiadła. Polecenie było jasne jak kryształ. Birgitte Volter nie życzyła sobie, żeby jej przeszkadzano. „Choćby nie wiem co”. Ale pani premier nie powiedziała też, że Wenche Andersen może iść do domu, a rzeczą niesłychaną byłoby opuszczenie biura przed otrzymaniem wyraźnego sygnału. Wejdzie tam teraz. Musi.

Z ręką na klamce przyłożyła ucho do drzwi. Żadnego dźwięku. Lekko puknęła palcem w drewno. Wciąż nic. Otworzyła zewnętrzne drzwi i powtórzyła czynności. Z nich również nic nie wyniknęło. Nie rozległo się „Proszę wejść” czy „Proszę nie przeszkadzać”. Nie rozległo się nic, a Wenche Andersen pocila się już nie tylko nad górną wargą. Bardzo ostrożnie i niepewnie, zostawiając sobie możliwość błyskawicznego cofnięcia się, gdyby się okazało, że pani premier tkwi w głębokim skupieniu nad jakąś niezwykle ważną sprawą, Wenche Andersen uchyliła drzwi. Przez dziesięciocentymetrową szparę zobaczyła jednak tylko bok kanapy i fragment okrągłego stolika.

Nagle ogarnęło ją zdecydowanie, którego brakowało jej od kilku godzin. I otworzyła drzwi na oścież.

- Przepraszam - powiedziała głośno. - Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale...

Nie było sensu mówić nic więcej.

Premier Birgitte Volter siedziała na swoim krześle, ale górna połowa jej ciała leżała na biurku. Przypominała studentkę w luksusowej czytelni późnym wieczorem w okresie sesji egzaminacyjnej. Jakby chciała przez chwilę się zdrzemnąć, odrobinę odpocząć. Wenche Andersen dzieliło od niej sześć i pół metra, lecz i tak już widziała. Krew, której spora kałuża zakrzepła na projekcie współpracy w ramach Schengen, była bardzo widoczna. Tak widoczna,

że Wenche Andersen nawet nie podeszła do swojej martwej szefowej, aby sprawdzić, czy może jej w jakiś sposób pomóc, przynieść szklanek wody albo podać chusteczkę do sprzątnięcia tego bałaganu. Zamiast tego ostrożnie, choć tym razem bardzo zdecydowanie, zamknęła drzwi do gabinetu, obeszła własne biurko i sięgnęła po telefon bezpośrednio łączący z Centralą Operacyjną Komendy Okręgowej Policji w Oslo. Już po jednym dzwonku na drugim końcu zgłosił się mężczyzna.

- Proszę natychmiast przyjechać - poleciła Wenche Andersen, a głos prawie jej nie drżał. - Pani premier nie żyje. Została zastrzelona. Zamordowano Birgitte Volter! Musicie przyjechać.

Odłożyła słuchawkę, sięgnęła po inny telefon i połączyła się z centralą ochrony.

- Dzwonię z Kancelarii Premiera - poinformowała już spokojniej. - Zamknijcie budynek. Nikogo nie wypuszczać, nikogo nie wpuszczać. Tylko policję. Pamiętajcie o garażu.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączyła się i wybrała inny czterocyfrowy numer.

- Piętnaste piętro - powiedział mężczyzna, który podniósł słuchawkę w klatce z kuloodpornego szkła, stanowiącej służbę do największej świętości - biur szefa rządu Królestwa Norwegii.

- Dzwonię z Kancelarii Premiera - powtórzyła jeszcze raz. - Pani premier nie żyje. Wdrożyć plan kryzysowy.

I tak Wenche Andersen wypełniała dalej swoje obowiązki, tak jak zawsze wykonywała swoją pracę. Systematycznie i bezbłędnie. Nadzwyczajność tego piątkowego wieczoru zdradzały jedynie dwie fioletowe plamy, które stopniowo rosły na jej policzkach i które już wkrótce pokryły całą jej twarz.

19.50

Redakcja „Kveldsavisen”

Kiedy rodzice Liten Lettvik nadawali swojej jasnowłosej córeczce imiona Lise Anette, które jej o rok starsza siostra oczywiście musiała połączyć w Liten, czyli po prostu „Mała”, zapewne nie przypuszczali, że pięćdziesiąt cztery lata później córka będzie ważyć dziewięćdziesiąt dwa kilogramy i wypalać mniej więcej dwadzieścia cygaretek dziennie. Ani też że będzie codzienne pić whisky w ilościach graniczących z tym, z czym jest sobie w stanie poradzić zmęczona wątroba. Cała jej postać z siwymi sztywnymi włosami okalającymi twarz noszącą wyraźne ślady blisko trzydziestu lat spędzonych na Akersgata, gdzie mieściły się redakcje najważniejszych gazet, oraz fakt, że wciąż kurczowo trzymała się obowiązującego w latach siedemdziesiątych prawa do chodzenia bez biustonosza, zapraszały do drwin. Ale z Liten Lettvik nikt sobie nie żartował. Przynajmniej nie w jej obecności.

- Co, do jasnej cholery, robi sędzia Sądu Najwyższego u pani premier w późne piątkowe popołudnie? - mruknęła do siebie, poprawiając piersi, które uciekały pod pachy, ale wreszcie znalazły podparcie na miękko wyściełanych biodrach.

- Co mówiłaś?

Chłopiec przed nią był jej pieskiem. Chudy jak szczapa, wysoki na metr dziewięćdziesiąt, z twarzą wciąż pokrytą pryszczami. Liten Lettvik gardziła takimi jak on, Knut Fagerborg, sześciomiesięcznymi stażystami w „Kveldsavisen”. Najbardziej niebezpiecznymi dziennikarzami na świecie.

Liten Lettvik o tym wiedziała. Sama kiedyś była kimś takim i

choć od tego czasu upłynęły wieki, a w norweskiej prasie panowały wtedy zupełnie inne stosunki, rozpoznawała w nim siebie. Ale Knut był przydatny. Jak wszyscy inni bezgranicznie ją podziwiał. Wierzył, że Li ten zatroszczy się o przedłużenie mu stażu. I całkowicie się mylił. Na razie jednak dawało się go wykorzystywać.

- Dziwne - mruknęła jeszcze raz, bardziej do siebie, niż odpowiadając Knutowi. - Dziś po południu dzwoniłam do Sądu Najwyższego i szukałam Grindego. Cholernie trudno wyciągnąć coś na temat pracy tej jego komisji. Ale jakaś młoda siksa w sekretariacie wyszczebiotała, że poszedł do pani premier. Po co, do jasnej cholery?

Uniosła ręce nad głowę i wolno się przeciągnęła. Knut rozpoznał zapach perfum „Poison”. Całkiem niedawno po jednej nocy spędzonej z dziewczyną o takim samym guście trafił na pogotowie, gdzie musieli mu podać antyhistaminy.

- Czego chcesz? - spytała nagle, jakby właśnie odkryła jego obecność.

- Nie, nic ważnego, ale chyba coś się dzieje. Radio policyjne najpierw zwariowało, a teraz panuje kompletna cisza. Nigdy czegoś podobnego nie przeżyłem.

Dwudziestoletni Knut Fagerborg nie zdążył jeszcze co prawda zbyt wiele przeżyć, ale Liten się z nim zgadzała. To rzeczywiście dziwne.

- Słyszałeś coś z ulicy? - spytała.

- Nie, ale...

- Ludzie! - Do redakcji wszedł, szurając nogami, czterdziestokilkuletni mężczyzna w szarej tweedowej marynarce. - Coś się dzieje w więzowcu rządowym. Zamieszanie, mnóstwo samochodów, ogradzają teren taśmami. Czy premier spodziewa się jakiejś gwiazdy z zagranicy?

- Wieczorem? W piątek wieczorem?

Liten Lettvik poczuła ból w lewym kolanie. A to kolano rozbolało ją na dwie godziny przed wywróceniem się platformy morskiej Alexander Kielland. Kłuło jak opętane na dzień przed zabójstwem szwedzkiego premiera Olofa Palmego. Nie mówiąc już o tym, że po wybuchu wojny w Zatoce ledwie doczłapała się na pogotowie, trochę zdziwiona, że ból pojawił się tak późno, dopóki tej samej nocy nie dowiedziała się, że umarł król Olav.

- Leć tam, sprawdź!

Knut poleciał.

- A przy okazji, czy ktoś zna kogoś, komu się urodziło dziecko w sześćdziesiątym piątym?

Liten Lettvik potarła kolano, a nie było to proste. Zasapała się, wciskając brzuch w biurko.

- Ja się urodziłam w sześćdziesiątym piątym! - zawołała atrakcyjna kobieta w kostiumie w kolorze bzu, która weszła z dwiema teczkami z archiwum.

- Ty mi się do niczego nie przydasz - stwierdziła Liten Lettvik. - Przecież żyjesz.

Kancelaria Premiera

Billy T. odczuwał coś, co uznawał za tęsknotę. Chwilami ścisnęło go w dołku, a kilka razy musiał głęboko wciągnąć powietrze, żeby rozjaśniło mu się w głowie.

Gabinet norweskiej pani premier byłby niezwykle gustownie urządzone pomieszczeniem, gdyby nie to, że sama pani premier leżała martwa z głową na rozłożonych papierach, stanowiąc dosłownie krwawą obrazę dla architekta wnętrz, który z taką starannością dobrał duże, wygięte w łuk biurko. Falujące linie i kształty powtarzały się w gabinecie w wielu miejscach. Między innymi w półce z książkami, która była co prawda bardzo dekoracyjna, ale z powodu braku linii prostych wydawała się kompletnie niepraktyczna. Pokój był prostokątny. W jednym jego końcu stał stół konferencyjny, w drugim - biurko z dwoma krzesłami dla gości. Nie znajdowało się tu nic, co dałoby się określić mianem luksusowego. Obraz na ścianie za biurkiem był duży, lecz niezbyt ładny, poza tym artysty Billy T. nie potrafił tak szybko rozpoznać. Kiedy się rozejrzał, od razu nasunęła mu się myśl, że widywał o wiele bardziej ekskluzywne gabinety. To było na wskroś socjaldemokratyczne biuro. Racjonalny gabinet premiera, na którego widok rodacy zapewne kiwali głowami z uznaniem, natomiast przywódcy obcych państw prawdopodobnie stwierdzali, że jest zaskakująco mało reprezentacyjny. W obu końcach znajdowały się drzwi. Przez jedne Billy T. przed chwilą wszedł, drugie prowadziły do pokoju wypoczynkowego z prysznicem i toaletą.

Lekarz był blady, na szarej marynarce miał ślady krwi. Męczył się

ze ściągnięciem lateksowych rękawiczek, a w jego głosie Billy T. wychwycił podniosły ton.

- Przypuszczam, że pani premier nie żyje od dwóch, trzech godzin. Ale to na razie tylko wstępne ustalenia, bardzo wstępne. Zakładam, że temperatura w tym pokoju była stała, przynajmniej do naszego przyjścia.

Rękawiczki w końcu ustąpiły. Pożegnały się z palcami z lekkim cmoknięciem i zostały wepchnięte do kieszeni tweedowej marynarki. Lekarz się wyprostował.

- To był strzał w głowę.

- Przecież widzę - mruknął Billy T.

Szef wydziału posłał mu ostrzegawcze spojrzenie. Billy T. zrozumiał. Odwrócił się do trzech funkcjonariuszy badających miejsce zdarzenia, którzy już zabrali się do czynienia swojej powinności. Jak wiele razy wcześniej fotografowali, mierzyli, nakładali pędzelkami proszek do pobierania odcisków palców, poruszając się po tym dużym gabinecie z gracją, która zdumiałaby każdego, kto nigdy wcześniej tego nie widział. Udawali, że są do tego przyzwyczajeni, że to rutynowe ćwiczenia. Ale tym razem działali w atmosferze bliskiej sakralnej. Kompletny brak zwykłego wisielczego humoru, raczej nastrój przygnębienia i napięcia, podkreślany jeszcze rosnącą temperaturą. Śmierć premier rządu nie pozwalała na żadne ułatwienie sobie pracy.

Jak zawsze, gdy miał kontakt ze zwłokami, Billy T. pomyślał, że nic tak nie obnaża jak śmierć. Widok kobiety, która jeszcze trzy godziny temu rządziła krajem, a której nigdy nie spotkał bezpośrednio, za to oglądał ją codziennie w telewizji i w gazetach, słuchał jej w radiu, widok Birgitte Volter, uosobienia postaci publicznej, teraz martwej i

leżącej na własnym biurku, był gorszy i bardziej żenujący, niż gdyby zobaczył ją nago. Billy T. odwrócił się i podszedł do okna.

Z lewej strony daleko w dole znajdowało się Ministerstwo Finansów. Budynek zdawał się kurczyć z ołowianej złości na niedawno zakończoną i niewiarygodnie kosztowną renowację stojącego tuż obok Sądu Najwyższego. Jeszcze dalej na południowy zachód Billy T. widział dach parlamentu, Stortingu, który z chudym i wiotkim masztem wieńczącym kopułę prezentował się z przedostatniego piętra budynku rządowego bardzo skromnie. Niezbyt wyrównane proporcje między władzą wykonawczą, sądowniczą i ustawodawczą. A wszystko to przeplecione Akersgata, gazetową ulicą, pomyślał Billy T. i odwrócił się z powrotem do wnętrza pokoju.

- Broń?

Pytanie skierował do młodego funkcjonariusza, który na chwilę podszedł do drzwi. Napił się wody z plastikowego kubka, po czym z największą ostrożnością oddał go czekającej w sekretariacie policjantce w mundurze i pokręcił głową.

- Nie.

- Nie?

- Na razie nie. Nie ma broni. - Wytarł usta rękawem. - Ale na pewno ją znajdziemy - ciągnął. - Musimy tylko lepiej poszukać. Toalety, przedpokoje, korytarze. Do diabła, ten budynek to mastodont.

- Mastodont pełen ludzi, nawet w piątek wieczorem - powiedział szef wydziału nie bez zdziwienia. - Zaczynają się zbierać w kantine na dole. Na razie jest już co najmniej siedemdziesiąt osób.

Billy T. zaklął cicho.

- W tym budynku musi być co najmniej czterysta pieprzonych

pokoju. Wolno mi wspomnieć o posiłkach? - Ostatnie pytanie zadał ze sztucznym uśmiechem i potarł ogoloną na łyso czaszkę.

- Pewnie - odparł szef. - Oczywiście musimy znaleźć tę broń.

- No to tyle oczywistości - powiedział Billy T. tak cicho, żeby nikt nie mógł go usłyszeć.

Chciał stąd wyjść. Wiedział, że tutaj do niczego się nie przyda. Wiedział też, że nadchodzące dni i tygodnie, a może nawet miesiące będą prawdziwym piekłem. Stan wyjątkowy potrwa długo. Można zapomnieć o dniach wolnych, a już na pewno o wakacjach. Nie będzie czasu dla synków. Dla czwórki dzieci, które miały prawo spędzać z nim przynajmniej weekendy. Ale teraz, tutaj, w tym prostokątnym gabinecie ze wspaniałym widokiem na rozświetlone wieczorem Oslo, z martwą kobietą leżącą na biurku był nieprzydatny.

Znów ogarnęło go poczucie samotności. Był przekonany, że to właśnie to. Samotność i tęsknota. Za nią, za jego partnerką w pracy i jedyną powierniczką. Powinna tu teraz być. Razem byli niezniszczalni. Kiedy był sam, miał wrażenie, że jego dwa metry wzrostu i odwrócony krzyż w uchu niczemu nie służą. Po raz ostatni oderwał wzrok od kałuży krwi, w której leżała zmasakrowana głowa kobiety, i dotknął piersi. Hanne Wilhelmsen była w Stanach i miała wrócić dopiero na Boże Narodzenie.

- Cholera, Billy T. - szepnął policjant, który wcześniej pił wodę. - Cholernie źle się czuję. Nigdy mi się to nie zdarzyło. Mam na myśli miejsce zdarzenia. Od czasów, kiedy byłem posterunkowym.

Billy T. nie odpowiedział. Przez chwilę tylko patrzył na kolegę, w końcu posłał mu grymas, który przy pewnej porcji dobrej woli dało się wziąć za uśmiech.

Sam czuł się podle.

20.30

Redakcja „Kveldsavisen”

- To musi być jakaś wielka sprawa - wysapał Knut Fagerborg, zrzucając dzinsową kurtkę na misiu. - Pełno ludzi, pełno samochodów, wszędzie taśmy policyjne. I tak cicho! Do diabła, wszyscy są cholernie poważni!

Osunął się na biurowe krzesło, które było dla niego za niskie. Nogi rozpełzły mu się na wszystkie strony i przypominał teraz pająka.

Lewe kolano Liten Lettvik bolało coraz bardziej. Wstała, delikatnie stawiając nogę, i z największą ostrożnością zwiększyła obciążenie.

- Chcę to sama zobaczyć - oznajmiła, wyjmując z kieszeni pudełko cygaretek.

Patrząc, jak Knut Fagerborg dosłownie drepcze w miejscu, nie mogąc się już doczekać, kiedy wreszcie będzie mógł pobiec przed nią i pokonać metry dzielące redakcję od budynku rządowego, niesłychanie powoli zapaliła cygaretkę.

- Chyba masz rację - powiedziała i uśmiechnęła się. - Zdecydowanie musi chodzić o jakąś wielką sprawę.

Utykając, wyszła z redakcji.

Królewskie gospodarstwo Skaugum w gminie Asker

Czarny rządowy samochód zahamował miękko przed wejściem do dworu będącego rezydencją pary królewskiej. Wysoki szczupły mężczyzna w ciemnym garniturze otworzył prawe tylne drzwiczki, jeszcze zanim auto całkiem się zatrzymało, i wysiadł. Mocniej owinął się płaszczem i sadząc długie kroki, ruszył do drzwi wejściowych. W połowie drogi leciutko się zachwiał, ale tylko przez moment. Szybko podparł się drugą nogą i odzyskał równowagę.

Otworzył mu mężczyzna w uniformie i natychmiast wprowadził go do wyglądającego na bibliotekę pokoju. Ściszone głosem poprosił, by minister spraw zagranicznych zaczekał, i w zdziwieniu uniósł brwi, gdy ten machnięciem ręki zbył jego wyciągniętą dłoń, która chciała zabrać płaszcz i wynieść go tam, gdzie jego miejsce. Patykowaty szef dyplomacji usiadł na barokowym niewygodnym krześle, czując, że się na nim nie mieści. Jeszcze mocniej owinął się płaszczem, chociaż wcale nie było mu zimno.

Król stanął w drzwiach. Był w zwykłym ubraniu - szarych spodniach i koszuli rozpiętej pod szyją. Ale twarz miał zatroskaną jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Spod ciężkich powiek, spod których widoczne było tylko pół tęczęwki, wyzierał niepokój. Nie uśmiechał się. Minister poderwał się gwałtownie, wyciągając rękę.

- Niestety, przynoszę bardzo złe wiadomości, Wasza Królewska Mość - powiedział cicho i kaszlnął, zasłaniając usta zwiniętą w pięść lewą ręką.

Królowa zjawiała się w ślad za mężem. Weszła na dwa metry w głąb pokoju. W ręku trzymała szklanekę z napojem, w którym pływały kostki lodu. Zadzwoniły po domowemu, niczym zaproszenie do wspólnego spędzenia miłego wieczoru. Monarchini była w dzinsach dla pań dojrzałych i kolorowym swetrze w czarne i czerwone krowy. Zwykle oficjalny wyraz jej twarzy tym razem nie zdołał ukryć zaciekawienia powodami tej niespodziewanej wizyty.

Minister poczuł się jeszcze gorzej. Para królewska najwyraźniej korzystała z nieczęstej okazji do spędzenia spokojnego wieczoru w domowym zaciszu. No ale nie tylko oni mieli zepsuty wieczór.

Uklonił się królowej, po czym znów spojrzał królowi prosto w oczy i oznajmił:

- Premier Volter nie żyje, Wasza Królewska Mość. Została zastrzelona dziś wieczorem.

Ich królewskie mości wymieniły spojrzenia. Monarcha powolnym ruchem potarł nasadę nosa. Na długą chwilę zapadła cisza.

- Powinien pan chyba usiąść - stwierdził w końcu, wskazując krzesło, z którego wysoki ciemnowłosy mężczyzna przed chwilą wstał.

- Proszę usiąść i powiedzieć nam coś więcej. Mogę wziąć od pana płaszcz?

Minister spraw zagranicznych spojrzał po sobie z miną wskazującą, że nie miał świadomości, iż wciąż jest w płaszczu. Niezgrabnie się rozebrał, ale uznał, że nie wypada podawać okrycia królowi, przewiesił je więc przez oparcie krzesła. Królowa, mijając go w drodze do krzesła stojącego kilka metrów dalej, lekko musnęła palcami jego ramię. Był to gest pocieszenia ze strony kobiety, która zauważyła, że za bardzo grubymi szklami szefa dyplomacji widać łzy.

- Zrobić panu drinka? - spytała cicho, ale minister lekko pokręcił

głową i jeszcze raz spróbował chrząknąć, tym razem długo i z wysiłkiem.

- Raczej nie, dziękuję. To będzie długa noc.

20.50

Ole Brumms vei 212

- Moje szczere kondolencje - powiedział biskup Oslo, usiłując pochwycić wzrok stojącego przed nim mężczyzny.

Nie udało się. Roy Hansen był partnerem Birgitte Volter przez trzydzieści cztery lata, a mężem przez trzydzieści trzy. Oboje mieli po osiemnaście lat, kiedy się pobierali, i mimo pewnych zawirowań wspólnie stawili czoło wszelkim kłopotom. Trzymali się razem nawet w czasach, gdy wszyscy wokół nich dowodzili, że małżeństwo na całe życie w zadyszonym środowisku wielkiego miasta jest po prostu niemożliwe. Birgitte nie tylko stanowiła ważną część jego życia. Pod wieloma względami po prostu była jego życiem, co uważał za naturalną konsekwencję wspólnie podjętej decyzji o postawieniu na jej karierę. Teraz siedział na kanapie i wpatrywał się w jakiś punkt, który nie istniał.

Sekretarz Partii Pracy stała przy drzwiach na taras i sprawiała wrażenie osoby, która w obecności biskupa czuje się bardzo niezręcznie. Protestowała też gorąco przeciwko temu, by jej towarzyszył. „Przecież to ja ich znam” - oświadczyła.

„A Birgitte nie była nawet członkiem Kościoła!” Ale procedury zostały ustalone i należało ich przestrzegać, zwłaszcza teraz, kiedy wszystko było chore, pokręcone, bo przecież nikt nigdy nie przypuszczał, że może dojść do czegoś takiego. Z instrukcji postępowania w sytuacjach kryzysowych starto kurz i nagle stały się czymś nowym, zupełnie innym niż broszura schowana głęboko w szufladzie na wypadek, gdyby zdarzyło się coś, co i tak się nigdy nie

zdarzy.

- Wolałbym, żebyście sobie poszli - szepnął mężczyzna na kanapie.

Na twarzy biskupa odmalowało się niedowierzanie, ale tylko przez moment. Zaraz się opanował i odzyskał swoje biskupie dostojęństwo.

- To bardzo trudna chwila - ciągnął w dialekcie ze wschodnich rejonów kraju. - Głęboko szanuję pańskie życzenie. Rozumiem, że chce pan zostać sam. Może życzy sobie pan, aby przyszedł ktoś inny? Może ktoś z rodziny?

Roy Hansen wciąż wpatrywał się w coś, czego nikt inny nie mógł zobaczyć. Nie wydawał żadnego dźwięku. Oddychał równo i lekko, ale z bladoniebieskich oczu płynął strumień łez. Maleńki potok, którego prób wycierania już dawno zaniechał.

- Ona może zostać - powiedział, nie patrząc na sekretarz partii.

- Wobec tego odchodzę - oświadczył biskup, lecz wciąż nie wstawał. - Będę się modlić za pana i za pańską rodzinę. Bardzo proszę, aby pan się nie wahał i dzwonił, jeśli tylko ja albo ktokolwiek inny będzie mógł coś dla pana zrobić.

Wciąż siedział. Sekretarz partii miała ochotę otworzyć drzwi, aby przyspieszyć jego wyjście, ale coś w całej tej sytuacji kazało jej tkwić nieruchomo. Mijały minuty, w których słychać było jedynie cykanie zegara w drewnianej obudowie. Nagle wybił dziewięć uderzeń. Ciężko, z wysiłkiem i wahaniem, jakby nie chciał, aby ten wieczór toczył się dalej.

- No tak - westchnął biskup. - Wobec tego idę.

Kiedy wreszcie sobie poszedł, sekretarz partii zamknęła za nim drzwi i wróciła do salonu. Roy Hansen spojrział na nią pierwszy raz. Było to rozpaczliwe spojrzenie, które zaraz zniknęło w grymasie, gdy wreszcie zaczął płakać naprawdę. Sekretarz partii usiadła przy nim, a

on pozwolił, by położyła sobie jego głowę na kolanach.

- Ktoś musi porozmawiać z Perem - zaszlochał. - Ja nie mam siły.

21.03

Odins gate 3

Wątróbka była najwyższej jakości. Uniósł ją i leciutko dotknął mięsa językiem. W kwestii wątróbki cielej ufał jedynie rzeźnikowi na Torshov i chociaż jego sklep znajdował się na uboczu, warto było nadłożyć drogę.

Trufle kupił we Francji trzy dni wcześniej. Zwykle zadowalał się konserwowymi, ale kiedy nadarzała się okazja - a nadarzała się stosunkowo często - kupował świeże, bo z ich smakiem nic nie mogło się równać.

Bim-bam.

Musi coś zrobić z tym dzwonkiem. Wzdrygał się za każdym razem, kiedy odzywał się ten nieharmonijny, atonalny dźwięk. Zerknął na zegarek. Nikogo się nie spodziewał. Był piątek. Przyjęcie dopiero jutro.

Kierując się do drzwi, nagie zatrzymał się i na moment przystanął. Zdecydowanym krokiem podszedł do niskiego stolika z ciężkiego dębu i sięgnął po leżący na nim przedmiot. Nie zastanawiając się dłużej, otworzył zdobione winnymi gronami drzwiczki kredensu i schował ową rzecz za stosem bielizny, pod obrusem, który jego praprababka utkała własnoręcznie w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku, po czym zamknął drzwiczki i otarł ręce o flanelowe spodnie. Dopiero potem poszedł sprawdzić, kto przyszedł.

- Benjamin Grinde?

Pytanie zadała kobieta. Miała około czterdziestu lat i trzy belki na pagonach. Wyglądała na osobę, która dobrze czuje się w mundurze.

Świetnie zresztą na niej leżał i łaskawie obchodził się z obfitym biustem, którego można się było domyślać pod zapiętą pod szyję kurtką. Wyraźnie jednak sprawa, z jaką tu przyszła, nie była dla niej źródłem przyjemności. Nie patrzyła mu w oczy, tylko wpatrywała się w jakiś punkt na wysokości około dziesięciu centymetrów ponad jego głową. Obok niej stał mężczyzna, nieco młodszy, w okularach, z gęstą zadbaną brodą.

- Tak, to ja - odparł Benjamin Grinde i odsunął się na bok, szerzej otwierając drzwi, jakby w geście zaproszenia dla policjantów.

Spojrzeli po sobie i zdecydowali się iść za sędzią Sądu Najwyższego, który skierował się do salonu.

- Zakładam, że wyjaśnicie mi, o co chodzi - powiedział, wskazując im kanapę. Sam usiadł w głębokim fotelu.

Funkcjonariusze dalej stali, mężczyzna za oparciem kanapy. Zaczął się bawić szwem skórzanego obicia i dalej nie podnosił oczu.

- Chcielibyśmy, żeby pojechał pan z nami na komendę - chrząknęła kobieta, wyraźnie coraz bardziej zdenerwowana. - My... to znaczy nasi prawnicy życzą sobie, aby przyszedł pan... na rozmowę, można powiedzieć.

- Na rozmowę?

- Na przesłuchanie - wyjaśnił mężczyzna z brodą, który wreszcie podniósł głowę, i dodał: - Chcemy pana przesłuchać.

- Przesłuchać? Mnie? W jakiej sprawie?

- Dowie się pan na miejscu. To znaczy w komendzie.

Sędzia Sądu Najwyższego Benjamin Grinde popatrzył najpierw na policjantkę, potem na policjanta, a w końcu zaczął się śmiać. Cichym przyjemnym śmiechem. Wyglądało na to, że cała ta sytuacja naprawdę niepomernie go bawi.

- Jak przypuszczam, domyślacie się, że znam zasady - mówił rozbawiony. - Ściśle rzecz ujmując, w ogóle nie muszę z wami iść. Oczywiście jestem do usług, ale muszę wiedzieć, o co chodzi.

Wstał i jakby po to, by podkreślić pewność siebie, wyszedł do kuchni. Zaraz jednak wrócił stamtąd z kieliszkiem koniaku. Podniósł go eleganckim ruchem, jak gdyby już zaczął świętować urodziny.

- Zakładam, że nie pijecie na służbie - uśmiechnął się i znów spokojnie usiadł w fotelu, wcześniej sięgnąwszy jeszcze po leżącą obok na podłodze gazetę.

Policjantka kichnęła.

- Na zdrowie - powiedział Benjamin Grinde, przekładając stronicę „Dagens Naringsliv”. Różowy papier gazety w dziwny sposób pasował do umeblowania.

- Myślę, że powinien pan iść z nami - oświadczyła kobieta teraz już bardziej zdecydowanie. - Mamy nakaz zatrzymania na wypadek, gdyby...

- Nakaz zatrzymania? Za co, jeśli wolno mi spytać?

Gazeta z powrotem wylądowała na podłodze, a Grinde lekko wychylił się na fotelu.

- Szczerze mówiąc - policjantka obeszła kanapę, żeby na niej usiąść - czy nie byłoby lepiej, gdyby pan po prostu z nami poszedł? Sam pan mówił, że zna zasady, więc wie pan, że z zatrzymania nie wyniknie nic dobrego. Na przykład kłopoty z prasą. O wiele lepiej będzie, jeśli pan po prostu z nami pójdzie.

- Pokażcie mi to postanowienie - polecił zimnym, twardym i nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Młodszy policjant zaczął się szarpać z zamkiem błyskawicznym i w końcu z wewnętrznej kieszeni wyciągnął niebieski druczek. Zawahał

się, patrząc na starszą koleżankę, jakby od niej chciał się dowiedzieć, co ma robić. Kobieta lekko skinęła głową i Benjamin Grinde dostał kartkę. Rozłożył ją na kolanie i kilkakrotnie przeciągnął po niej dłonią, żeby ją rozprostować.

Wpisali nawet wszystkie jego tytuły: „Doktor prawa, lekarz medycyny, sędzia Sądu Najwyższego Benjamin Grinde. Podejrzany o popełnienie przestępstwa określonego w § 233 w powiązaniu z § 232 Kodeksu karnego, czyli o to, że...”. Kiedy przeczytał opis czynu w podstawie prawnej, nie tylko pobladł. Jego lekko opalona skóra dosłownie poszarzała i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki twarz pokryła się wilgocią.

- Ona nie żyje? - szepnął, nie adresując tych słów do nikogo. - Birgitte nie żyje?

Policjanci spojrzeli po sobie i wiedzieli, że oboje myślą dokładnie to samo: Albo ten człowiek nie miał pojęcia o tym, co się stało, albo do swojego już i tak imponującego tytułu powinien jeszcze dodać „aktor teatru królewskiego”.

- Tak. Premier Volter nie żyje - odpowiedziała kobieta i przez chwilę bała się, że Benjamin Grinde zaraz zemdleje.

Kolor jego twarzy wyglądał przerażająco i gdyby nie to, że sędzia sprawiał wrażenie człowieka w bezwstydnie dobrej formie, lękałaby się o jego serce.

- Jak umarła?

Benjamin Grinde wstał, ale teraz sprawiał wrażenie, jakby się skurczył. Przygarbił się, ramiona mu opadły. Gwałtownym ruchem odstawił na stół kieliszek z koniakiem. Złocisty alkohol zakołysał się i zamigotał w świetle żyrandola nad stołem.

- Nie możemy powiedzieć, dobrze pan o tym wie. - W głosie

policjantki pojawiła się teraz jakaś miękkość, która z kolei zirytowała jej kolegę, bo przerwał funkcjonariuszce i spytał ostro:

- Teraz już pan pójdzie z nami?

Benjamin Grinde z wielką starannością złożył niebieską kartkę i bez wahania schował ją do własnej kieszeni.

- Oczywiście - mruknął. - Żaden nakaz zatrzymania nie jest potrzebny.

Pod starą zaciną kamienicą na Frogner stało pięć oznakowanych radiowozów. Kiedy Grinde wsiadał na tył jednego z nich, zobaczył dwóch policjantów wchodzących na jego klatkę schodową. Pewnie będą pilnować mieszkania, pomyślał. Może czekają na nakaz przeszukania. Zapiął pas.

Dopiero wtedy zauważył, jak bardzo drżą mu dłonie.

21.30

Kirkeveien 129

Telefon dzwonił bez przerwy. W końcu wyrwała go z gniazdka. Był piątkowy wieczór, a ona chciała mieć wolne. Naprawdę wolne. Przecież codziennie poruszała się wahadłowo między swoim gabinetem a parlamentem. Nie muszą jej psuć zasłużonego piątkowego wieczoru.

Dzieci wyszły. Obie dziewczynki już dorastały i prawie ich nie widywała. Ale akurat w tej chwili wcale się tym nie martwiła. Była zmęczona, poza tym czuła, że się podziękowała. Z pełną świadomością schowała pager w głębi szafy z ubraniami, chociaż właściwie powinna być dostępna o każdej porze. Pół godziny temu usłyszała, że coś przysłano faksem, który stał w sypialni, ale nie miała siły sprawdzać, o co chodzi. Zamiast tego zmieszała sobie campari z odrobiną toniku i mnóstwem kostek lodu. Położyła nogi na stole z zamiarem znalezienia jakiegoś filmu kryminalnego na którymś z kanałów, których nigdy nie miała czasu lepiej poznać. Norweska telewizja NRK będzie najbezpieczniejsza.

Pojawiła się czołówka wiadomości. O wpół do dziesiątej? To chyba wieczorne. Ale na te z kolei trochę za wcześnie. Wstała po gazetę.

Dopiero wtedy zauważyła pasek z napisem „Wydanie specjalne”. Przystanąła ze szklanką campari w ręku. Prezenter z rzadkimi jasnymi włosami i zmęczonymi oczami sprawiał wrażenie zapłakanego i długo chrząkał, zanim wreszcie zaczął mówić:

- Nie żyje premier Birgitte Volter. Miała niespełna pięćdziesiąt jeden lat. Została zastrzelona dziś po południu albo wczesnym

wieczorem w swoim gabinecie w wieżowcu w dzielnicy rządowej.

Szklanka z campari upadła na podłogę. Kobieta po odgłosie zorientowała się, że szkło się nie zbiło, ale jasny puszysty dywan pewnie już nigdy nie będzie wyglądał jak przed chwilą. Mimo to nawet na niego nie zerknęła, tylko powoli osunęła się na kanapę.

- Nie żyje? - szepnęła. - Birgitte? Nie żyje... Zastrzelona???

- Łączymy się z budynkiem rządowym.

Młody zdyszany mężczyzna, który w za dużej kurtce przeciwdeszczowej sprawiał wrażenie bardzo drobnego, patrzył w niespokojną kamerę szeroko otwartymi oczami.

- Stoję przed budynkiem rządowym. Właśnie otrzymaliśmy potwierdzenie, że Birgitte Volter faktycznie...

Najwyraźniej miał problemy z dobraniem odpowiednich słów. W przeciwieństwie do kolegi w studiu nie zdążył się nawet przebrać w ciemny garnitur. Jąkał się i pokasywał.

- ...odeszła. Z tego, co udało nam się ustalić, strzelono jej w głowę. Mamy informację, że zgon musiał nastąpić natychmiast.

Nie umiał nic więcej powiedzieć, chociaż kilkakrotnie przełknął ślinę, a operator najwyraźniej nie wiedział, czy ma się dalej na nim koncentrować, więc obraz krążył. Z reportera mocno oświetlonego lampą fotograficzną przesuwiał się na gorączkową aktywność w tle. Widać było policjantów powstrzymujących gapiów i dziennikarzy za czerwono-białymi taśmami.

Birgitte nie żyła. Głosy z telewizora zaczęły się oddalać, a kobieta poczuła, że robi jej się słabo. Spuściła głowę między kolana i wyciągnęła rękę po rozsypany na dywanie lód. Kostka była oblepiona włoskami, ale kiedy przyłożyła ją do czoła, trochę oprzytomniała.

Dziennikarz w studiu usiłował bohatersko ratować młodszego i

znacznie mniej doświadczonego kolegę, który stał pod budynkiem rządowym:

- Wiesz, czy kogoś już aresztowano?

- Nie, nic na to nie wskazuje.

- A co z bronią? Czy wiadomo już, jakiej broni użyto?

- Nie. Dowiedzieliśmy się jedynie, że Birgitte Volter nie żyje i że została zastrzelona.

- A co się w tej chwili dzieje wokół budynku rządowego?

I tak to trwało. W nieskończoność, zdaniem minister zdrowia Ruth-Dorthe Nordgarden, do której niewiele już docierało. Po jakimś czasie obraz przeniósł się spod wieżowca rządowego pod parlament, gdzie cała grupa przygnębionych przywódców na oczach kamery wpadała zdyszana do studia.

Telefon! Czym prędzej go włączyła. Minęło zaledwie kilka sekund, zanim znów zadzwonił. Kiedy odłożyła słuchawkę, w głowie miała tylko jedną myśl: Czy teraz stracę stanowisko?

Potem przeszła do sypialni, wyjęła pager z szafy z ubraniem i zajęła się szukaniem odpowiedniego stroju. Czerń. To musi być coś czarnego. Ale była teraz po zimowemu blada i w czerni raczej nie będzie jej do twarzy. Wiedziała, że jest piękna, i była tego świadoma na tyle, by nie wkładać czarnej sukienki w kwietniu. Musi wystarczyć brąz. Coś ciemnego.

Pierwszy wstrząs minął i zastąpiła go narastająca irytacja.

To doprawdy bardzo nieszczęśliwy moment na śmierć. Naprawdę bardzo, ale to bardzo jej to nie pasowało.

Brązowa welurowa suknia musi wystarczyć.

Sobota, 5 kwietnia 1997

00.50

Odins gate 3

Co prawda szefa działu zezłościło jej wyjście, ale jego nastawienie nigdy nie miało dla niej znaczenia. I tak nie zamierzała nikogo informować, co robi. To jej materiał. Jej sprawa. Jeśli to w ogóle jakakolwiek sprawa.

- Something in the way he moves, tells me na-na-na-na-na- -na-na
- zanuciła z zadowoleniem.

W mieszkaniu Benjamina Grindego nie paliło się światło. Co oczywiście mogło oznaczać, że śpi. Ale chyba nikt w całym Królestwie Norwegii teraz nie spał. Był piątek i wiadomość o zabójstwie premier Birgitte Volter spadła na mieszkańców kraju jak bomba atomowa. I NRK, i TV2 emitowały co godzinę wydania specjalne wiadomości, chociaż w zasadzie i niewiele było do przekazania. Z ekranu płynęła głównie wata i ogólnikowe komentarze, a także wspomnienia, po których wyraźnie było widać, że Birgitte Volter objęła stanowisko zaledwie pół roku temu, dlatego stosowny materiał nie został jeszcze przygotowany w redakcjach. Do rana z pewnością się poprawią.

Ciemne okna mogły również oznaczać, że sędziego Sądu Najwyższego nie ma w domu - może poszedł na jakąś imprezę, a raczej na przyjęcie, jak się mówiło w tych dzielnicach miasta - albo coś zupełnie innego.

Rozejrzała się na boki i przeszła przez ulicę. Samochody stały zaparkowane wzdłuż chodnika jeden przy drugim. Nie zmieściła się

między volvo a bmw, których zderzaki prawie się całowały. Ciężko dysząc, musiała w końcu poszukać jakiejś większej szczeliny.

Coś się popsuło w zamku drzwi wejściowych do kamienicy przy Odins gate 3. A raczej popsuły się same drzwi, ciężkie, z masywnego drewna. Nie domykały się, jakby się spaczyły. Doskonale! Nie musi korzystać z domofonu.

Ostrożnie je pchnęła i weszła na klatkę schodową.

W niespodziewanie dużym holu czuć było zapach tynku i środków czystości. Przy poręczy koło zejścia do piwnicy stał przypięty rower. Klatka była zadbane i ładna, miała żółte ściany z zieloną listwą ozdobną, a oryginalne kolorowe szybki w oknach na każdym półpiętrze były w doskonałym stanie.

Zatrzymała się w połowie drugiej kondygnacji. Głosy. Ściszone, zajęte rozmową. Lekki śmiech.

Zaskakująco szybko cofnęła się pod ścianę, błogosławiąc los, że akurat tego wieczoru zaopatrzył ją w bezszelestne buty ecco. Ruszyła dalej pod górę, ale starała się trzymać jak najbliżej ściany.

Na schodach, tuż przy mieszkaniu Benjamina Grindego siedzieli dwaj mężczyźni. Dwaj umundurowani policjanci. Miała rację.

Równie ostrożnie, jak się wspinała, zeszła na parter. Znalazłszy się na ulicy, z kieszeni obszernego płaszcza wyjęła telefon komórkowy. Wstukała jeden z cenniejszych numerów w swoim spisie - do komisarza policji Konrada Storskoga, na wskroś niesympatycznego trzydziestopięcioletniego karierowicza. Nikt inny oprócz niej nie wiedział, że w wieku dwudziestu dwóch lat rozbił auto rodziców, mając we krwi promile, których wartości nikt nigdy nie zmierzył, ale musiała się zbliżyć do trójki. Akurat wtedy jechała za nim samochodem. Była noc, ciemno, żywej duszy. Skontaktowała się z

rodzicami, którym jakoś udało się zatuszować całą historię, i w kartotece nowo mianowanego posterunkowego nie pojawiło się nawet zadrapanie. Liten Lettvik zanotowała całe to zdarzenie w pamięci do późniejszego wykorzystania i jeszcze nigdy nie pożałowała, że wtedy, trzynaście lat temu, nie dopełniła obywatelskiego obowiązku.

- Słucham, Storskog! - rozległ się ostry głos na drugim końcu linii.

- Cześć, Konrad, stary orle! - zaśmiała się Liten Lettvik. - Sporo dziś roboty?

Zapadła kompletna cisza.

- Halo, halo! Słyszysz mnie?

Nic nie trzeszczało, wiedziała więc, że tam jest.

- Oj, Konrad, Konrad! - powiedziała wyniośle. - Nie utrudniaj wszystkiego.

- Czego chcesz?

- Tylko odpowiedzi na maluteńkie pytanie.

- Jakie? Jestem piekielnie zajęty.

- Czy sędzia Sądu Najwyższego Benjamin Grinde jest teraz u was?

Teraz, to znaczy w tym momencie.

Znowu cisza.

- Nie mam pojęcia - powiedział nagle po długiej pauzie.

- Bzdura! Oczywiście, że masz. Powiedz mi tylko tak albo nie, Konrad. Tylko tak albo nie.

- Dlaczego miałby tu być?

- Jeśli nie ma go u was, to mówimy o wyjątkowym niedopatrzeniu.

- Uśmiechnęła się do siebie, ciągnąc: - Musiał być jedną z ostatnich osób, które widziały ją żywą. Mam na myśli Volter. Był u niej w gabinecie późnym popołudniem. To oczywiste, że musicie z nim porozmawiać. Nie możesz odpowiedzieć po prostu tak albo nie,

Konrad? Zaraz będziesz mógł wrócić do tej swojej piekielnie ważnej roboty.

Jeszcze raz zrobiło się cicho.

- Ta rozmowa nigdy się nie odbyła - oświadczył wreszcie twardo i rozłączył się.

Liten Lettvik dostała to, czego chciała.

- Something in the way he moves... - nuciła zadowolona, idąc w stronę Frognerveien, żeby złapać taksówkę.

Zaczynało się jej spieszyć.

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

Nawet Billy T., który rzadko zwracał uwagę na takie rzeczy, musiał przyznać, że Benjamin Grinde jest wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Miał sylwetkę atlety, ale nie przesadnie umięśnioną, umiarkowanie szerokie barki i wąskie biodra. Ubrany był wyjątkowo gustownie. Nawet skarpetki, które ukazały się, gdy skrzyżował nogi, pasowały do krawata, lekko tylko rozluźnionego. Ciemny wieniec włosów był ostrzyżony bardzo krótko, przez co niemal łyse czubek głowy sprawiał wrażenie czegoś zamierzonego, wręcz upragnionego. Sygnalizował silną potencję i duże ilości testosteronu. Oczy piwne, ładnie wykrojone usta. Zęby zaskakująco białe i młodzieńcze, zważywszy, że miał już pięćdziesiąt lat.

- Jutro urodziny? - spytał Billy T., przerzucając papiery.

Student szkoły policyjnej zapisał już dane personalne w czasie, gdy Billy T. poszedł załatwić pewną prywatną sprawę. Bardzo prywatną. Wysłał dwustronicowy napisany odręcznie faks do Hanne Wilhelmsen, a potem wziął prysznic. I jedno, i drugie mu pomogło.

- Tak - odparł Benjamin Grinde, patrząc na zegarek. - A właściwie już dzisiaj, jeśli chodzi o ścisłość. - Uśmiechnął się blado.

- Pięćdziesięciolecie i w ogóle... - powiedział Billy T. - Żeby nie popsuć jubileuszu, postaramy się załatwić wszystko szybko i będzie z głowy.

Benjamin Grinde pierwszy raz wyglądał na zaskoczonego. Do tej pory jego twarz wyrażała pustkę, zmęczenie i niemal całkowitą apatię.

- Z głowy? Zwracam uwagę, że zaledwie kilka godzin temu

pokazano mi nakaz zatrzymania, a pan teraz mówi, że chce mieć to szybko z głowy?

Billy T. odwrócił się od maszyny do pisania i spojrział na siedzącego przed nim sędziego. Dłonie ułożył płasko na stole i przekrzywił głowę.

- Niech pan posłucha - westchnął. - Nie jestem głupi. A pan już zdecydowanie nie jest głupi. Obaj wiemy, że osoba, która odebrała życie Birgitte Volter, raczej nie uśmiecha się grzecznie do jej sekretarki i nie wraca spokojnie do domu, do własnej kuchni, żeby przyrządzić... - pogrzebał w papierach - ...pasztet. Tym się pan zajmował?

- Tak... - Sędzia nie krył zdziwienia. Przecież żaden z policjantów nie zaglądał do kuchni.

- Wydaje się pan sprawcą w tak oczywisty sposób, że to nie może być pan. - Billy T. zaśmiał się lekko i potarł ucho, aż zatańczył odwrócony krzyż. - Czytuję powieści kryminalne, a w nich zabójca nigdy nie jest oczywisty. Nigdy. Poza tym sprawcy nigdy nie wracają po morderstwie do domu. Szczerze mówiąc, panie Grinde, ten nakaz zatrzymania był jakąś przeklętą brednią. Słusznie pan zrobił, chowając go do kieszeni. Niech pan go wyrzuci, spali. To klasyczny efekt działania w panice tych pieprzonych prawników, pardon my French...

Odwrócił się znów do maszyny, wystukał trzy czy cztery zdania i włożył świeżą kartkę. Znów spojrział na Benjamina Grindego, jakby się zawahał, po czym umieścił na brzegu biurka bardzo długie nogi w kowbojkach o rozmiarze czterdzieści siedem.

- Dlaczego pan tam był?

- W gabinecie u Birgitte?

- U Birgitte? Pan ją znał? To znaczy osobiście?

Nogi uderzyły o podłogę i Billy T. nachylił się nad biurkiem.

- Birgitte Volter i ja znaleźliśmy się od dzieciństwa. - Benjamin Grinde patrzył wprost na policjanta. - Jest ode mnie o rok starsza. W młodości ma to pewne znaczenie, tworzy dystans, ale środowisko na Nesodden było niewielkie. Znaleźliśmy się wtedy.

- Wtedy. A jak jest teraz? Jesteście przyjaciółmi?

Benjamin Grinde zmienił pozycję - założył lewą nogę na prawą.

- Nie. Żadną miarą tak bym tego nie określił. Przez lata utrzymywaliśmy jedynie sporadyczny kontakt. W pewnym sensie naturalny, bo nasi rodzice nadal byli sąsiadami przez wiele lat po tym, jak my wyprowadziliśmy się z domu. Ale przyjaciółmi nie jesteśmy. To znaczy nie byliśmy.

- Ale mówi pan o niej po imieniu?

Grinde uśmiechnął się lekko.

- Kiedy się razem spędziło dzieciństwo i młodość, to zwracanie się do siebie na pan i pani wydaje się dość sztuczne, nawet jeśli straciło się kontakt. Pan tak nie uważa?

- Chyba tak.

- No, właśnie. Przypuszczam, że chce pan poznać powody mojej wizyty. Zresztą może je pan z pewnością potwierdzić w jej terminarzu spotkań albo u sekretarki. Chciałem prosić o zwiększenie środków dla komisji, którą kieruję. Dla komisji rządowej.

- Oczywiście. Dla komisji Grindego. - Billy T. z powrotem położył nogi na stole.

Benjamin Grinde patrzył na czubki jego buciorów i zastanawiał się, czy to zachowanie ma być demonstracją siły policjanta, któremu udało się dopaść jednego z najważniejszych sędziów w kraju.

Billy T. się uśmiechnął. Oczywiście miał wyraziste, niemal równie

błękitne jak u psa husky. Sędzia Sądu Najwyższego spuścił wzrok.

- Proszę nie traktować tych nóg na biurku jako oznak braku szacunku - powiedział Billy T., kiwając podkutymi czubkami. - Po prostu z takimi długimi nogami strasznie trudno sobie poradzić. Niech pan sam zobaczy. Nie mieszczą się pod tym biurkiem. - Zademonstrował i zaraz znów położył je na górze. - Ale skoro zamierzał pan rozmawiać o... zwiększeniu środków...

Grinde ledwie dostrzegalnie kiwnął głową.

- ...to dlaczego nie podjął pan tego tematu z minister zdrowia? Czy to nie byłoby bardziej naturalne?

Sędzia znów uniósł wzrok.

- Pewnie tak. Wiedziałem jednak, że Birgitte szczególnie interesowała się tą sprawą, a poza tym... to była okazja, żeby się z nią spotkać. Prawdę mówiąc, nie rozmawialiśmy od wielu, wielu lat. Chciałem jej pogratulować. Nowego stanowiska, to mam na myśli.

- Dlaczego potrzebuje pan więcej pieniędzy?

- Pieniądzy?

- Tak. Dlaczego chciał pan rozmawiać z premier Volter o zwiększeniu funduszy pańskiego komitetu?

- Komisji.

- Wszystko jedno. Dlaczego?

- Prace zapowiadają się na bardziej rozległe, niż przypuszczaliśmy, kiedy komisję powoływano. Uznaliśmy, że należy przeprowadzić dogłębne wywiady z pięciusetosobową grupą rodziców, którzy w roku 1965 stracili dzieci w wieku niemowlęcym. To dużo pracy. Musimy też... Trzeba przeprowadzić pewne badania za granicą.

Rozejrzał się, zatrzymał wzrok na oknie, w którego szybę uderzało pulsujące niebieskie światło radiowozu z podwórza. Światło nagle

zgasło.

- Jak długo pan tam był?

Sędzia długo wpatrywał się w zegarek, jakby to on mógł znać odpowiedź.

- Trudno powiedzieć. Przypuszczam, że około pół godziny. W każdym razie przyszedłem za kwadrans piąta. A zresztą byłem w gabinecie dokładnie trzy kwadranse. Wpół do szóstej wyszedłem. Wiem, bo zastanawiałem się, czy zdążę na konkretny tramwaj, czy raczej powinienem wziąć taksówkę. Trzy kwadranse.

- Aha. - Billy T. nagle się podniósł. Wyglądał jak wieża obok znacznie niższego sędziego. - Kawy? Herbaty? Coli? Pali pan?

- Chętnie napiję się kawy. Nie palę.

Komisarz podszedł do drzwi i otworzył je. Ściszym głosem powiedział coś do osoby, która musiała znajdować się tuż za nimi. Zamknął drzwi i usiadł. Tym razem na parapecie. Sędzia poczuł narastającą irytację.

Chociaż z trudem, ale mógł zaakceptować ogoloną na łyso głowę i dzinsy, które swoje lepsze dni miały już dawno za sobą.

Ostatecznie mógł przełknąć nawet podkute kowbojki, bo policjant miał tak wielkie stopy, że pewnie trudno mu znaleźć odpowiednie obuwie. Ale odwrócony krzyż był już czystą prowokacją, szczególnie w dzisiejszych czasach, gdy prawicowi ekstremiści i sataniści popełniali poważne przestępstwa niemal przez całą dobę. Poza tym powinien chyba umieć usiedzieć na miejscu podczas przesłuchania.

- Przepraszam, jeśli według pana wyglądam jak jakiś cholerny neonazista - powiedział Billy T.

Czyżby ten człowiek umiał czytać w myślach?

- Mam za sobą długą przeszłość w Patrolu Zamętu - dodał

policjant. - Jeszcze się nie odzwyczaiłem od tego, że muszę wyglądać jak łobuz. Zresztą taki strój z reguły bywa skuteczny. Chłopaki chętnie się kumplują. Mam na myśli kryminalistów. Niech pan nie przywiązuje do tego wagi.

Ktoś zapukał do drzwi i weszła młoda kobieta w czerwonej podniszczonej sukience ze sztruksu i sportowych butach. Bez słowa postawiła przed nimi kawę.

- Jesteś aniołem - uśmiechnął się Billy T. - Bardzo dziękujemy.

Kawa była gorąca i bardzo mocna. Nie dało się jej pić bez siorbania. Wosk pokrywający tekturowy kubek za bardzo się rozgrzał i pojemnik zmiażdżył tak, że trudno go było utrzymać.

- Czy podczas tego spotkania wydarzyło się coś szczególnego? - spytał Billy T.

Sędzia jakby się wahał. Rozlał trochę kawy na spodnie i gniewnymi ruchami zaczął pocierać plamę na udzie.

- Nie - odparł, nie patrząc na policjanta. - Nie powiedziałbym tak.

- Sekretarka twierdzi, że w ostatnich dniach premier wydawała się wyprowadzona z równowagi. Czy pan coś takiego zauważył?

- Nie znałem już tak dobrze Birgitte Volter. Jej zachowanie wydawało mi się normalne. Nie, raczej nic mnie nie zdziwiło.

Benjamin Grinde żył z poszukiwania sprawiedliwości i prawdy, ale żył też dla sprawiedliwości i prawdy. Kłamstwo było mu wyjątkowo obce, dlatego coś się w nim nieprzyjemnie zacisnęło i poczuł mdłości. Ostrożnie odstawił kubek z kawą na sam brzeg biurka i spojrzał policjantowi w oczy.

- Nic w jej zachowaniu nie kazało mi się zastanawiać, czy dzieje się coś złego - oświadczył mocnym głosem.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że spojrzenie policjanta

zdawało się przenikać go na wskroś, docierać wprost do kłamstwa, które zwinęło się niczym jadowity wąż gdzieś za mostkiem.

- Nic nie Wydawało się nienormalne - powtórzył i jeszcze raz wyjrzał przez okno.

Niebieskie światło znów się pojawiło. W równym rytmie uderzało w ciemną matową szybę.

02.23 czasu norweskiego

Berkeley, Kalifornia

Kochany Billy T. !

To niewiarygodne. Właśnie robiłam obiad, kiedy przyszedł Twój faks. Po prostu nie mogę w to uwierzyć! Od razu zadzwoniłam do Cecilie. Chyba jeszcze nigdy nie wróciła tak szybko z uniwersytetu do domu. To zabójstwo jest szeroko omawiane również tutaj, siedzimy przyklejone do telewizora. Ale oni nic nowego nie mówią, cały czas powtarzają to samo. Tęsknię za domem bardziej niż kiedykolwiek!

Uważaj, żebyście się nie zafiksowali na jakiejś teorii jak Szwedzi, którzy zaplątywali się kompletnie w jeden „oczywisty” ślad za drugim. Nad jakimi teoriami na razie pracujecie? Terroryzm? Prawicowi ekstremiści? Z tego, co zrozumiałam, w tych środowiskach ostatnio daje się zauważyć pewną aktywność. Ale pamiętajcie o tym, co najbardziej oczywiste: szaleńcy, rodzina, porzuceni kochankowie (o czym Ty wiesz najwięcej...). Jak się zorganizowaliście? Mam tysiąc pytań, na które Ty na pewno nie masz możliwości odpowiedzieć, ale - PROSZĘ - odezwij się! A ja na pewno napiszę do Ciebie więcej.

Na razie tyle w ramach pierwszej reakcji. Wysyłam z nadzieją, że przeczytasz, zanim pójdziesz spać. Chociaż pewnie na nadmiar wolnego czasu nie będziesz teraz narzekać. Wyślę to na Twój domowy faks, bo chłopaki mogą się rozżłościć, że

jakaś policjantka na wygnaniu miesza się do spraw, chociaż nic jej do tego.

Cecilie przesyła pozdrowienia. Jak zwykle najbardziej się martwi o Ciebie! Ja myślę raczej o Norwegii. Mojej Norwegii. To jakieś szaleństwo. Pisz do mnie!

Twoja Hanne

02.49

Redakcja „Kveldsavisen”

- Nie ma mowy, Liten! Po prostu nie możemy tego zrobić!

Szef działu stał pochylony nad biurkiem i oglądał projekt pierwszej strony. Radykalnie się różniła od pierwszego wydania specjalnego, które trafiło do kiosków już przed północą. Przed nim leżała pierwsza kolumna z wielkim zdjęciem Benjamina Grindego, któremu towarzyszył dramatyczny ogromny tytuł „SĘDZIA SĄDU NAJWYŻSZEGO ZATRZYMANY” i podtytuł „Ostatni, który widział premier Volter żywą”.

- Po prostu nie mamy na to potwierdzenia - stwierdził redaktor, uszczypnął się w nos i poprawił okulary. - To nam nie ujdzie na sucho. Poda nas do sądu. Zażąda milionów.

Liten Lettvik nie miała żadnych problemów z odegraniem absolutnej dezaprobaty. Stała na szeroko rozstawionych nogach, raz po raz unosiła i opuszczała ramiona, kręcąc przy tym głową i przewracając oczami.

- Przestań!!!

Wrzask był tak głośny, że na chwilę umilkł szum, który w redakcji w zasadzie nigdy nie ustawał. Kiedy zorientowano się, kto jest źródłem krzyku, wszyscy wrócili do swoich zajęć. Teatralne zachowania Liten Lettvik nie były tu rzadkością - również wtedy, gdy wydawały się całkiem nie na miejscu.

- Mam potwierdzenie z dwóch źródeł - syknęła. - Z dwóch źródeł!!!

- Chodź ze mną! - powiedział redaktor, po czym podniósł i opuścił ręce w geście, który w zamierzeniu miał chyba uspokoić Liten Lettvik,

lecz ona odczytała go jako upokarzający. W imponującym gabinecie szefa oboje usiedli.

- Co to za źródła? - spytał, patrząc na nią.

- Nie powiem.

- W porządku. No to nie będzie pierwszej kolumny.

Sięgnął po telefon i wzrokiem pokazał na drzwi, dając jej znak, że ma wyjść. Liten Lettvik przez chwilę jakby się zawahała, ale w końcu wyszła na korytarz i pospieszyła do własnego pokoiku. Panował w nim błogi chaos. Wszędzie leżały książki, gazety, dokumenty, papier śniadaniowy i ogryzki jabłek. Liten pogrzebała na zarzuconym papierami biurku i, o dziwo, wyciągnęła teczkę, której szukała. Leżała ukryta między pudełkiem po pizzy z dwoma wyschniętymi kawałkami pepperoni a egzemplarzem „Arbeiderbladet”.

- Do sprzedawania gazet powinni zatrudnić samego diabła - mruknęła, wyjmując cygaretkę.

Teczka Benjamin Grindego była stosunkowo gruba. Pracowała nad nią od kilku tygodni, więc znalazło się tu wszystko, co napisano na temat jego komisji, włącznie z pierwszym wywiadem z Frodem Fredriksenem, adwokatem, który rozpętał całą sprawę. Sięgnęła po wycinek z „Aftenposten”.

- Nic, co ludzkie, nie jest mi obce!

Adwokat Fredriksen obchodzi dwudziestopięciolecie pracy uniewinnieniem w sprawie Brevika.

Tekst: Tone Ovrebo

Zdjęcia: Anders Kurén

Frode Fredriksen lubi się pokazać. Jego kancelaria świadczy o tym, że adwokat ma to wszystko, za co jego gorzej sytuowani klienci gotowi byliby zabić, i to dosłownie. Jedną jej ścianę pokrywa gigantyczny obraz Fransa Widerberga, z którego czerwonopomarańczowa poświata spływa na biurko z wypolerowanego mahoni. Na biurku ze srebrnej ramki uśmiecha się rodzina, dwoje już dorosłych, odnoszących sukcesy dzieci - obu płci - i żona, którą łatwo można by wziąć za modelkę, choć wcale nią nie jest. Frode Fredriksen jest mianowicie mężem znanej psycholog, chętnie włączającej się w debatę społeczną Beate Frivoll. Wczoraj klient adwokata Fredriksena Karsten Brevik został uniewinniony od zarzutu potrójnego zabójstwa, co było wielkim ciosem dla prokuratury. Dziś Frode Fredriksen obchodzi dwudziestopięćcie pracy jako adwokat.

- Jakie to uczucie opływać w dostatek i poświęcać życie przegranym?

- Przede wszystkim to bardzo ciekawe. Poza tym nie nazwałbym moich klientów przegranymi. Nie lubię tego słowa. Żaden człowiek nie jest przegrany, niektórzy po prostu mają mniej szczęścia niż inni. Mniej wygrali na loterii życia. Poza tym ta praca daje mi wiele, nawet bardzo wiele. Nie ma dnia, żebym się czegoś nie nauczył. Od dwudziestu pięciu lat poznaję ludzi, którzy znaleźli się w najtrudniejszych życiowych sytuacjach. Nic, co ludzkie, nie jest mi już obce.

- Czy praca z gwałcicielami i zabójcami nie stanowi dużego obciążenia?

- Nie, tak bym nie powiedział. Praca z takimi klientami wiąże się z konkretnymi wyzwaniem: uzyskać uniewinnienie albo złagodzenie kary. O wiele trudniej jest, kiedy wyrządzono krzywdę, ale nie ma kogo o nią obwinić. Obecnie na przykład pomagam rodzicom, którzy trzydzieści lat temu stracili maleńkie dziecko. Zdarzyło się to w 1965 roku, tym samym, w którym mojej żonie i mnie urodziło się nasze pierwsze dziecko. Zgon tego niemowlęcia wydaje się kompletnie bezsensowny i niepotrzebny. Od tylu lat nie pozwala tej rodzinie spać spokojnie. W imieniu rodziców ubiegam się teraz o zadośćuczynienie od państwa. Takie sprawy są trudne. Bardzo

trudne!

Wywiad był znacznie dłuższy, ale Liten Lettvik nie mogła znaleźć następnej strony. To zresztą nie miało znaczenia. Data wpisana niestarannym charakterem pisma w lewym górnym rogu mówiła, że artykuł opublikowano 21 września 1996 roku. Wywiad wywołał lawinę zgłoszeń do modnego adwokata zza mahoniowego biurka. W godnym podziwu krótkim czasie od jego udzielenia Fredriksen wystąpił do sądu w imieniu stu dziewiętnastu rodzin, pozywając parlament o zadośćuczynienie. Wszyscy rodzice uważali, że śmierć ich dzieci nastąpiła nieoczekiwanie i była kompletnie bezsensowna. Wspólny dla wszystkich tych spraw był brak jakichkolwiek oznak niewłaściwego traktowania niemowlaków. W większości świadectw zgonu wpisano „nagle zatrzymanie akcji serca”. Krzyk, jaki się podniósł, nie ustawał. Partie opozycyjne w Stortingu, które zresztą wydawały się kompletnie sparaliżowane w walce z premier Gro Harlem Brundtland, chociaż ona zamierzała się już wycofać, o czym nikt wtedy jeszcze nie wiedział, zmusiły rząd do powołania 10 listopada 1996 roku komisji do zbadania tej sprawy. Stało się to absolutnie nieodzowne, ponieważ wciśnięcie kilku klawiszy w Centralnym Urzędzie Statystycznym wykazało, że w ciągu tego jednego roku 1965 zmarło znacznie więcej dzieci niż w latach poprzednich i następnych. Benjamin Grinde ze swoją pozycją superprawnika, ozdobioną niczym wisienką na torcie dyplomem z medycyny, idealnie nadawał się na przewodniczącego komisji. Opozycja parlamentarna wciąż czuła w ustach smak sukcesu po tym, jak inny sędzia Sądu Najwyższego pół roku wcześniej przedstawił raport komisji do zbadania służb specjalnych. Ponieważ tytuł pracy doktorskiej Benjamin Grindego brzmiał „Milczenie i

przemilczenie. Ochrona prawa pacjentów podczas badań medycznych”, jego wybór stał się oczywisty. Dodatkowo przemawiała za nim jego niezawisłość łącząca się z zajmowanym stanowiskiem.

Liten Lettvik była zmęczona. W zasadzie nie bardzo mogła pojąć, dlaczego kilka godzin po zabójstwie pani premier siedzi nad starymi wycinkami z gazet na temat sprawy, o której nikt już nie mówił i która nie wiadomo jak się miała skończyć. Może dlatego, że za dużo przy niej pracowała. W ostatnich tygodniach nic nie napisała i jedynie dzięki jej pozycji zdecydowanej seniorki wśród dziennikarzy uchodziło jej to na sucho. Sprawa śmierci niemowląt bardzo ją interesowała. Możliwe, że nawet zaślepiała. Ale nie było na nią teraz czasu. Powinna skoncentrować się na zabójstwie.

Benjamin Grinde. To Benjamin Grinde ją interesował. Już na samą myśl o tym człowieku w kolanie zaczynała ją kłuć. Nie dało się ignorować tego zbiegu okoliczności. Tygodniami grzebała w dokumentach, próbując ustalić, czym zajmuje się jego komisja, ale nie uzyskała żadnych informacji oprócz najogólniejszych i jak najbardziej oczywistych. A tu nagle Grinde urasta do rangi osoby, która być może ostatnia widziała panią premier żywą.

- Do diabła, bierz się do roboty, Liten!

To był redaktor. Jak zwykle z obrzydzeniem obrzucił wzrokiem jej mały pokoik i zaraz się odwrócił, powtarzając:

- Bierz się do roboty! Chyba jest się czego trzymać.

07.00

Sala Rady Ministrów

Wszyscy poczuli to samo nieprzyjemne wrażenie, gdy mijali wejście do gabinetu premier Volter piętro niżej. Wprawdzie nie było tu już policji - lub przynajmniej nie rzucała się w oczy - a jedyną odbiegającą od normy rzeczą, jaką dawało się zauważyć, były zamknięte drzwi, które zwykle pozostawały otwarte, ale wszyscy wiedzieli, że właśnie tam, za ścianą, na którą starali się nie patrzeć, zaledwie dwanaście godzin wcześniej zastrzelono Birgitte Volter. Członkowie rządu byli niezwykle milczący. Słysząc było tylko ściszony śpiewny głos minister handlu z charakterystycznym „r”.

- To naprawdę straszne. Nie mam słów.

Siedziała przy gigantycznym owalnym stole z cieniutkimi nowoczesnymi mikrofonami. Ponieważ jeden z nich bezczelnie wskazywał wprost na nią, zakryła go ręką, nachylając się do ucha ministra obrony, ale nie pomogło. Oboje zgodnie z wiekiem i ministerialnym stażem zajmowali miejsca u szczytu stołu i jej głos niósł się na całą salę.

Minister spraw zagranicznych pojawił się ostatni. Pozostali już zdążyli usiąść. Był niezwykle blady. Minister kultury gotowa była przysiąc, że w ciągu nocy posiwiwały mu włosy. Na próżno usiłowała dodać mu otuchy uśmiechem. Nie patrzył na nikogo. Na chwilę zatrzymał się przy miejscu pani premier, ale prędko podjął decyzję: odsunął duże, obciążone skórą krzesło, a sam zajął to z lewej strony - przeznaczone dla ministra spraw zagranicznych.

- Dobrze, że wszyscy mogli się stawić - powiedział, zmrużonymi

oczami patrząc na kolegów z rządu.

Minister rolnictwa jako jedyny miał na sobie zwykłe ubranie. Był w domku letniskowym na rybach, skąd przywiózł go samochód rządowy, i nie zdążył wstąpić do wynajmowanego mieszkania po bardziej odpowiedni strój. Bawił się teraz pudełkiem snusu, ale nie miał odwagi przygotować sobie porcji, chociaż ssał go głód nikotyny. Nie chciał, by posądzono go o brak szacunku. W końcu schował pudełko do kieszonki na piersi.

- To tragiczny dzień dla nas wszystkich - chrząknął minister spraw zagranicznych. - Jeśli chodzi o samą sprawę... mam na myśli śledztwo... to właściwie wiem bardzo niewiele. Nie znaleziono broni. Nikogo nie aresztowano. Oczywiście policja prowadzi intensywne działania. We współpracy z służbą bezpieczeństwa. Nie muszę wam wyjaśniać, dlaczego się w to zaangażowali.

Sięgnął po szklanę z wodą mineralną i opróżnił ją do dna. Nikt nie skorzystał z szansy na zadanie pytania, chociaż mnóstwo ich zawisło w powietrzu między dźwiękoszczelnymi ścianami. Słysząc było jedynie pociąganie nosem minister do spraw ropy naftowej i energii.

- Przede wszystkim zależy mi na tym, żeby poinformować was, co się teraz będzie działo. Konkretnie i zgodnie z konstytucją. Mam formalne spotkanie z królem o dziewiątej, a w ciągu dnia odbędzie się nadzwyczajne posiedzenie Rady Państwa. Dowiedcie się o której.

Wciąż trzymał pustą szklanę. Wpatrywał się w nią, jakby miał nadzieję, że sama się napelni. W końcu odstawił ją niechętnie i zwrócił się do radcy ministra siedzącej po drugiej stronie pustego krzesła pani premier:

- Mogłaby pani przedstawić krótkie wprowadzenie?

Radcą ministra w Kancelarii Premiera była starsza kobieta, która uparcie walczyła z faktem, że za dwa miesiące miała skończyć siedemdziesiąt lat. Kilkakrotnie w ciągu nocy przyłapywała się na paskudnie egocentrycznej myśli: istnieje możliwość, że to, co zaszło, w najlepszym razie odsunie emeryturę co najmniej o rok.

- Otto Bahr Halvorsen - zaczęła, wkładając na wąską kanciastą twarz okulary dalekowidza - zmarł dwudziestego trzeciego maja 1923 roku. Oprócz Pedera Ludvika Kolstada tylko on zmarł, sprawując urząd premiera. Mamy więc w pewnym sensie wzór, do którego możemy się odnieść. Nie widzę powodów, abyśmy mieli tę sprawę potraktować inaczej.

Sprawa... Minister finansów Tryggve Storstein poczuł silną irytację graniczącą z wściekłością. To nie była żadna sprawa. Tu chodziło o ten straszny fakt, że Birgitte Volter nie żyła.

Tryggve Storstein był w zasadzie dość przystojnym mężczyzną. Miał regularne rysy, utrudniające życie karykaturzystom, krótkie ciemne włosy, które nie wykazywały oznak rzednięcia, chociaż dobiegał pięćdziesiątki, i lekko skośne oczy, przez co czasami wydawał się smutny, nawet kiedy się uśmiechał. Nos prosty, północnoeuropejski, a usta podczas mówienia nabierały zmysłowości. Ale Tryggve Storstein robił, co mógł, by przytłumić swój korzystny wygląd. Być może sprawiło to dorastanie w Storsteinnes, w regionie Troms na północy, a może fakt, że niemal urodził się w partii. W każdym razie wykazywał dziwną tendencję, którą złośliwi prawicowcy przypisywali każdemu dawnemu członkowi młodzieżówki Partii Pracy: wydawał się lekko zaniedbany. Ubranie nieźle leżało na jego wysportowanej sylwetce, ale nigdy nie było do końca trafione. Nigdy naprawdę eleganckie. Ciemne garnitury były zbyt ciemne, a

całą resztę kupował w sieciowym Dressmannie. Teraz miał na sobie brązową „tweedową” marynarkę z syntetyku, czarne spodnie i brązowe buty. Był wzburzony i bawił się długopisem, który włączał i wyłączał. Klik, klik. Klik, klik.

- Otto Halvorsen zmarł po krótkiej chorobie - ciągnęła radca ministra, spojrzeniem karcąc Storsteina za to pstrykanie. - był więc czas, żeby się odrobinę przygotować. Ta sytuacja przypuszczalnie pomogła, kiedy Peder Kolstad zmarł nagle na wylew w marcu 1932 roku. Przyjęto tę samą procedurę. Krótko mówiąc: minister spraw zagranicznych przejmuje tymczasowo funkcję premiera do chwili dymisji rządu. Do tego czasu obecnemu rządowi powierza się wyłącznie dalsze pełnienie obowiązków. - Na moment ściągnęła usta. Wyglądała teraz jak mysz w okularach. - Co oznacza zajmowanie się tylko bieżącymi pilnymi sprawami. Przygotowałam notatkę...

Dała znak kobiecie, która właśnie weszła do sali, stanęła przy stoliku kawowym tuż przy drzwiach i wydawała się niezmiernie zakłopotana. Na sygnał zwierzchniczki szybko zbliżyła się do stołu i każdemu z ministrów podała trzy spięte zszywaczem kartki. Radca ministra ciągnęła:

- ...która ustala, co można uznać za sprawy bieżące. Najogólniej mówiąc, nie mogą one w jakikolwiek sposób wiązać następnego rządu. Na przykład - oderwała oczy od kartki, szukając wzroku ministra sprawiedliwości, ale on patrzył w sufit, na halogenowe lampki, które w tej chwili wydawały mu się planetami w jakimś obcym wszechświecie - nie można mianować sędziów. No cóż. Wszystko jest w tych papierach. W razie pytań jesteśmy do dyspozycji przez całą dobę.

Radca ministra poklepała leżące przed nią kartki i z wymuszonym uśmiechem popatrzyła na ministra spraw zagranicznych.

- Dziękuję - mruknął i zaniósł się kaszlem.

Brało go przeziębienie. Miał wrażenie, że wokół głowy coraz mocniej zaciska mu się lepki, wilgotny pas.

- Rozmawiałem z przewodniczącą Stortingu. Na dwunastą zaplanowano nadzwyczajne posiedzenie parlamentu. Liczę, że w ciągu tygodnia powstanie nowy rząd. Ale czekamy do pogrzebu.

Zapadła cisza. Kompletna. Minister rolnictwa mimowolnie sięgnął do kieszonki na piersi, ale wciąż nie tykał pudełka ze snusem. Szefowa resortu handlu pogładziła się po włosach. Wyjątkowo nie miała idealnej fryzury - na lewe ucho spadało jej kilka luźnych pasemek. W końcu ciszę przerwał Tryggve Storstein:

- Jutro po południu odbędzie się nadzwyczajne posiedzenie prezydium. Na razie to ja obejmuję funkcję przewodniczącego partii. Zostaniecie niezwłocznie poinformowani o tym, co się będzie działo w naszych szeregach w najbliższych dniach.

Minister zdrowia Ruth-Dorthe Nordgarden podniosła głowę, odgarnęła jasne włosy za ucho i zerknęła na ministra finansów. Podobnie jak Tryggve Storstein była wiceprzewodniczącą partii. Otrzymali te funkcje w ramach nagrody pocieszenia po dramatycznym rozliczeniu przed pięcioma laty, kiedy Gro Harlem Brundtland nagle i z przyczyn osobistych przestała szefować ich ugrupowaniu. Birgitte Volter wygrała, choć wybór między nimi nie był jeszcze przesądzony na godzinę przed głosowaniem. O wszystkim zdecydowały związki zawodowe. Birgitte Volter wywodziła się z tego ruchu i pielęgnowała stare przyjaźnie.

Oboje zostali wiceprzewodniczącymi. Najważniejsza różnica między nimi polegała na tym, że Tryggve Storstein przed pięcioma laty przyjął porażkę ze spokojem, a poza tym cieszył się powszechnym

szacunkiem, chociaż większość miała mu to i owo do zarzucenia, Ruth-Dorthe Nordgarden zaś miała zaprzysiężonych bezkrytycznych przyjaciół i na wskroś przepelnionych nienawiścią wrogów. Dopóki liczba tych pierwszych była odpowiednia, dawała sobie radę. Tryggve Storstein nie należał do tej grupy. Ich nieufność była wzajemna.

- Z jednej rzeczy musimy sobie zdawać sprawę - dodał Tryggve Storstein, bawiąc się leżącymi przed nim papierami. - A mianowicie z tego, że w obecnej sytuacji parlamentarnej, przy takiej chęci przejęcia władzy, jaką partie centrowe wykazywały w ciągu ostatniego półrocza... nie jest wcale pewne, czy Partia Pracy za tydzień będzie partią rządzącą. Koledzy z Partii Centrum mają teraz szansę, jeśli zechcą ją wykorzystać.

Nikt nie zdążył jeszcze o tym pomyśleć. Popatrzyli na siebie.

- Za cholerę nie! - mruknęła minister do spraw dzieci i rodziny. Mimo młodego wieku miała już długi staż w parlamencie. - Nie skorzystają teraz z tej szansy. Głowę dam, że zaczekają do jesieni. - Gwałtownym ruchem zasłoniła usta.

Nie był to odpowiedni dzień na dawanie głowy za cokolwiek.

08.00

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

- Cholernie dużo tu kucharek - mruknął Billy T. - I robi się z tego tylko bałagan.

Siedząca obok niego kobieta lekko kiwnęła głową.

W dużej sali konferencyjnej na czwartym piętrze budynku policji musiało być co najmniej pięćdziesiąt osób. Funkcjonariuszy ze służby bezpieczeństwa łatwo było odróżnić. Siedzieli osobno z takimi minami, jakby skrywali jakąś nadzwyczajną tajemnicę. Poza tym większość z nich była wypoczęta w przeciwieństwie do policjantów z komendy, którzy byli na nogach już niemal dobę. Po wielkiej sali roznosił się leciutki zapaszek niemytych ciał.

- POT^[1], POT, POT - ciągnął Billy T. - To od razu oznacza bałagan. Chłopaki zaraz zaczną snuć najgorsze czarne scenariusze: terroryzm, wszelkie diabelstwo, zagrożenie z Bliskiego Wschodu. A tymczasem najpewniej mamy do czynienia ze zwykłym szaleńcem. Niech to diabli, Tone-Marit! Nie możemy mieć norweskiej wersji zabójstwa Palmego! Jeśli się z tym nie uporamy w ciągu dwóch tygodni, pociąg odjedzie, możesz się założyć!

- Zmęczony jesteś, Billy T. - stwierdziła Tone-Marit. - To oczywiste, że POT musi się w to zaangażować. To oni się znają na ocenie zagrożenia.

- Rzeczywiście, zmęczony jestem jak cholera. Ale na ocenie zagrożenia tak świetnie się nie znają, skoro premier nie żyje. A więc...
- Zaśmiał się, na próżno usiłując znaleźć miejsce dla nóg między rzędami krzeseł; w końcu musiał poprosić siedzącego przed nim

mężczyznę, żeby się nieco przesunął. - .. .Więc pojawia się dylemat rodem z Paragrafu 22. Albo oni mają rację, że to zabójstwo miało podłoże polityczne lub terrorystyczne - a to oznacza, że źle wykonali swoją robotę - albo rację mam ja, że to dzieło szaleńca. A wtedy POT nie ma tu czego szukać, bo na takich sprawach znamy się my, nie oni.

- Uspokój się - powiedziała Tone-Marit cicho. - Ciągłe nie możesz się pogodzić z tym, że mieli wątpliwości przy twojej weryfikacji.

- Tylko dlatego że lubię kobiety - prychnął Billy T.

- Sypiasz z każdą, która się zgłosi - poprawiła go Tone-Marit. - I jeszcze z kilkoma. Ale to nie miało żadnego związku z twoimi podbojami, dobrze o tym wiesz. Chodziło o twoją przynależność do Partii Komunistycznej. Poza tym nie masz żadnych podstaw, by twierdzić, że zrobił to szaleniec. Właściwie nie mamy podstaw, aby wyciągać jakiegokolwiek wnioski. Żadnych. I tyle powinieneś wiedzieć.

- Nigdy nie byłem członkiem Partii Komunistycznej. Nigdy. Byłem radykalistą, a to zupełnie co innego. Jestem radykalistą, do cholery! A to przecież wcale nie oznacza, że nie można mieć do mnie zaufania!

Szef służby bezpieczeństwa i komendant okręgowy policji zajęli miejsca z przodu sali. Siedzieli jak dwaj nauczyciele przed klasą, z którą nie umieli sobie poradzić. Komendant, który zaledwie trzy miesiące wcześniej awansował ze stanowiska naczelnika Biura Kryminalnego, miał na twarzy bruzdy i niebieskawy cień zarostu; stale go drapał. Na kołnierzyku mundurowej koszuli widoczna była smuga brudu, a krawat wisiał krzywo. Natomiast szef służby bezpieczeństwa nie nosił munduru i wyglądał nienagannie w beżowym letnim garniturze, śnieżnobiałej koszuli i jasnobrązowym jednobarwnym krawacie. Patrzył w sufit.

- Sztab ulokowano w jednym z pomieszczeń koordynacyjnych

Centrali Operacyjnej - zaczął komendant bez żadnych bliższych prezentacji i wstępów. - Zostaniemy tam przynajmniej przez najbliższe dni. Czas pokaże, czy się przeniesiemy.

Czas pokaże. Wszyscy zdawali sobie sprawę, co oznacza takie stwierdzenie.

- Cholera jasna, nic nie mamy - szepnął Billy T.

- Na razie mamy bardzo mało - potwierdził głośno komendant i wstał. Podeszedł do rzutnika i położył arkusz folii na szklanej płytce. - Do tej pory przesłuchaliśmy dwadzieścia osiem osób, które można w czasie i przestrzeni powiązać z miejscem zdarzenia. Personel Kancelarii Premiera, politycy, urzędnicy, pracownicy biurowi. I ochrona. Zarówno z piętnastego piętra, jak i z pierwszego. I dwóch... gości. Osoby, które wczoraj odwiedziły panią premier.

Komendant wskazał czerwoną ramkę na folii wypełnioną nazwiskami. Ręka mu drżała. Długopis, którym pokazywał, na ścianie wyglądał jak gigantyczny wskaźnik. Trącał folię i w końcu ją przekrzywił. Komendant przez chwilę biedził się z ułożeniem jej prosto, ale sprawiała wrażenie przyklejonej, więc w końcu dał spokój.

- Na razie nie mamy żadnych konkretnych teorii. Powtarzam, że nie mamy żadnych teorii zawężających działanie. Najważniejsze jest, abyśmy działali na szeroką skalę. W tej pracy służba bezpieczeństwa odegra bardzo istotną rolę. Sposób, w jaki dokonano zabójstwa - wyłączył urządzenie i użył obu rąk, by zdjąć oporny arkusz folii, a następnie na szklanej płytce ułożył kolejny i znów włączył projektor - wskazuje na wysoki stopień profesjonalizmu.

Kolejny rysunek pokazywał plan piętnastego i szesnastego piętra w budynku rządowym.

- Tu się mieści gabinet premiera. Jak widzimy, można do niego

dotrzeć na dwa sposoby. Albo przez sekretariat i tędy - stuknął długopisem w zaznaczone drzwi - albo przez salę konferencyjną i pokój odpoczynkowy Wspólna dla obu tych dróg jest konieczność minięcia tych drzwi - długopis znów zastukał o szkło - a one znajdują się w zasięgu wzroku sekretarki siedzącej za tym biurkiem.

Komendant westchnął tak ciężko, że usłyszeli to Billy T. i sierżant Tone-Marit Steen, siedzący na samym końcu sali. Później zapadła długa cisza.

- Poza tym - podjął nagle komendant, ale głos załamał mu się w pół słowa, więc głośno odkaszlnął - ...poza tym, żeby dostać się na trzy najwyższe piętra, bezpośrednio do sekcji, w której mieści się gabinet premiera, trzeba minąć ten punkt. - Tym razem w funkcji wskazówki użył grubego palca, który zasłonił całe wejście na piętnaste piętro. - To jest śluza bezpieczeństwa. O każdej porze siedzi tu strażnik. Co prawda istnieje oczywiście wyjście awaryjne - palec znów się poruszył - tu, w tym miejscu, ale absolutnie nic nie wskazuje, by z niego korzystano. Drzwi są zaplombowane, a pieczęcie nie zostały złamane.

- Przydałby nam się tu John Dickson Carre - szepnął Billy T. do ucha Tone-Marit.

Komendant ciągnął:

- Od dłuższego czasu trwa remont całego budynku. I wewnątrz, i na zewnątrz. W związku z tym na zewnątrz ustawiono rusztowania. Oczywiście sprawdziliśmy, czy ktoś mógł się przedostać tamtędy, ale również tam niczego nie znaleźli-my. Niczego! Okna są całe, parapety nietknięte. Rzecz jasna sprawdzamy wszystko, włącznie z kanałami wentylacyjnymi, ale na razie i to wygląda na ślepy tor.

Szef służby bezpieczeństwa z założonymi rękami wpatrywał się w coś, co leżało przed nim na stole.

- Broni jeszcze nie znaleziono. Ogólnie mogę powiedzieć, że użyto stosunkowo małego kalibru, prawdopodobnie rewolweru. Dokładniejszą odpowiedź dostaniemy w ciągu dnia. Dzisiaj ma też być gotowy wstępny protokół z sekcji. Na razie wydaje się, że zabójstwa dokonano między godziną osiemną zero zero a osiemną czterdzieści pięć. No i... - zmrużył oczy, patrząc na zebranych - to, co teraz powiem, powinno być absolutnie zbędne, ale powiem to mimo wszystko. Jeszcze nigdy trzymanie języka za zębami nie było równie ważne jak teraz. Jakikolwiek przeciek do prasy czy gdzie indziej będzie poddany gruntownemu śledztwu. Naprawdę gruntownemu. Nie akceptuję żadnych, powtarzam, żadnych przecieków w tej sprawie, zrozumiano?

Po sali rozniósł się pomruk potwierdzenia.

- Teraz szef służby bezpieczeństwa przedstawi krótkie podsumowanie.

Mężczyzna w beżowym garniturze wstał i obszedł stół, przy którym siedział. Pełnym gracji ruchem przysiadł na nim i znów skrzyżował ręce na piersi.

- Nie wykluczamy żadnej możliwości, tak jak już wspomniał komendant. Wiemy, że grupy prawicowych ekstremistów wykazują ostatnio pewną aktywność, wiemy też, że niektóre z tych grup operują tak zwanymi listami śmierci. To dla nas nic nowego. Te listy istnieją już od dłuższego czasu, a Birgitte Volter trafiła na nie na długo przed objęciem stanowiska premiera.

Wstał i mówiąc, zaczął krążyć w jedną i w drugą stronę. Głos miał głęboki, przyjemny, słowa płynęły nieprzerwanym strumieniem.

- Nie możemy też wykluczyć, że to zabójstwo ma związek z ostatnimi wydarzeniami na Bliskim Wschodzie. Porozumienie z Oslo

wisi na włosku, a wiadomo, że Norwegia gorączkowo działa za kulisami, by nie dopuścić do załamania całego procesu pokojowego.

- No to chłopaki z POT znów sobie popracują ze starymi kumplami z Mossadu - mruknął Billy T. pod nosem.

Tone-Marit udała, że tego nie słyszy, i wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć mężczyznę z przodu sali.

- Poza tym mamy dwie inne teorie, którym się bliżej przyglądamy. Nie ma potrzeby, żebym się teraz w nie zagłębiał.

Szef służby bezpieczeństwa zatrzymał się i lekko skinął głową komendantowi policji na znak, że zebranie dobiegło końca.

Komendant poprawił brudny kołnierzyk. Wyglądał tak, jakby miał wielką ochotę iść do domu.

- Wciąż wierzysz w tę teorię o samotnym szaleńcu? - spytała Tone-Marit, gdy opuścili salę konferencyjną. - Jeśli tak, musiałby być geniuszem!

Billy T. popatrzył na nią przez kilka sekund, a potem bardzo lekko pokręcił głową.

- Teraz już naprawdę muszę się przespać.

09.07

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

Odgadnięcie wieku kobiety w czarnym kostiumie i czerwonej apasze, popijającej wodę mineralną ze szklanki małutkimi łyżkami, było niemożliwe. Sierżant Tone-Marit Steen czuła prawdziwy podziw. Kobieta wyglądała na wypoczętą i świeżą, mimo że przesłuchiowano ją jeszcze o czwartej rano. Oczy miała wprawdzie odrobinę przekrwione, ale makijaż idealny, a przy drobnych gestach, które stale wykonywała, po pokoju roznosił się przyjemny leciutki zapach perfum. Tone-Marit przycisnęła ręce do boków z nadzieją, że za bardzo nie cuchnie.

- Naprawdę mi przykro, że znów musimy panią trudzić - powiedziała szczerze - ale mam nadzieję, że rozumie pani iż w zaistniałej sytuacji uważamy panią za wyjątkowo ważnego świadka.

Wenche Andersen, sekretarka z Kancelarii Premiera, leciutko kiwnęła głową.

- Nic nie szkodzi, i tak nie mogę spać. Wiem, że to konieczność. Proszę pytać.

- Żeby nie powtarzać wszystkiego, o czym rozmawialiśmy w nocy, podsumujmy tylko krótko to, co do tej pory pani powiedziała. Proszę mi przerwać, jeśli okaże się, że coś źle zrozumiałam.

Wenche Andersen kiwnęła głową i położyła dłonie na kolanach.

- Birgitte Volter poprosiła, żeby jej nie przeszkadzać, czy tak?

Kobieta kiwnęła głową.

- I pani nie wie dlaczego. Miała odbyć umówione spotkanie z sędzią Sądu Najwyższego Grindem. Nikt inny nie wchodził do gabinetu po tym, jak ostatni raz widziała pani premier

Volter żywą. Ale tu powiedziała pani... - Tone-Marit przerzuciła kartki, aż w końcu znalazła to, czego szukała - ...że premier ostatnio była niespokojna. Podenerwowana. Co pani przez to rozumie?

Kobieta w czerni spojrzała na Tone-Marit, najwyraźniej szukając słów.

- Właściwie trudno to określić. Ja jej jeszcze tak dobrze nie znałam. Była... zamknięta w sobie? Poirytowana? Chyba trochę tak. W pewnym sensie trochę ostra. Bardziej niż zawsze. Nie potrafię dokładniej tego opisać.

- A czy może pani podać jakieś przykłady? Powiedzieć, co ją irytowało?

Na twarzy Wenche Andersen pojawiło się coś, co mogło przypominać uśmiech.

- Posłaniec zwykle przynosi gazety rano, piętnaście po ósmej. W czwartek nastąpiło jakieś opóźnienie i dotarły dopiero o wpół do dziesiątej. Pani premier była tak zirytowana ich brakiem, że... że nawet zaklęła! - Na policzkach Wenche Andersen wykwitły dwie fioletowe plamy. -1 to bardzo brzydko. Pobiełam jej kupić „Dagbladet” i „Kveldsavisen”. - Westchnęła. - To były tego typu drobiazgi. Takie, na które osoba na stanowisku premiera zwykle nie marnuje sił.

Tone-Marit uniosła półlitrową butelkę wody mineralnej Farris i pytająco popatrzyła na Wenche Andersen.

- Tak, poproszę - powiedziała tamta, podsuwając plastikowy kubek.

Policjantka wpatrywała się w nią przez chwilę. Akurat na tyle długą, by milczenie stało się kłopotliwe.

- Jaka ona właściwie była? - spytała nagle. - Jakim była

człowiekiem?

- Birgitte Volter? Jaka była Birgitte Volter?

Liliowe plamy się powiększały.

- No cóż... Jaka była? Bardzo obowiązkowa. Bardzo pracowita. Pod tym względem niemal jak Gro. - Wenche Andersen uśmiechała się teraz szeroko, ukazując rząd ładnych, zadbanych zębów. W trzonowcach błysnęło złoto. - Pracowała od rana do wieczora. Łatwa w kontaktach. Zawsze wydawała jasne komunikaty. Bardzo jasne. Kiedy coś się trochę obsunęło... Przy takim planie dnia, jaki ma premier, stale wyskakują jakieś nieprzewidziane rzeczy, ale ona zawsze umiała sobie z tym poradzić. No i była bardzo... - znów szukała słowa, wodząc wzrokiem po pokoju, jak gdyby gdzieś się tu ukryło i odmawiało wyjścia - ...ciepła! - wykrzyknęła w końcu. - Rzeczywiście tak bym to określiła. Pamiętała nawet o moich urodzinach. Przyniosła mi róże. Prawie zawsze znalazła czas na krótką pogawędkę o wszystkim i o niczym.

- No dobrze, a gdyby pani chciała powiedzieć o niej coś negatywnego - przerwała jej policjantka - to co by to było?

- No cóż, negatywnego... - Wenche Andersen zaczęła się bawić klapą zakietu i spuściła wzrok. - Potrafiła być trochę nieco zbyt... bezpośrednia? Nie pozwoliła mi zwracać się do siebie „pani premier”, nalegała, żebym mówiła do niej Birgitte. To było niezwykle i moim zdaniem niezbyt stosowne. Poza tym czasami okazywała się bałaganiarą, ale tylko w odniesieniu do drobiazgów. Stale zapominała swojej karty wstępu i temu podobnych rzeczy. I mimo całej tej otwartości i bezpośredniości miała w sobie coś... Jak to nazwać? Jakąś rezerwę? Ojej, chyba wszystko płaczę - powiedziała cicho, niemal szeptem, z rezygnacją kręcąc głową.

- Coś jeszcze?

- Nie, właściwie nie. Nic, co by miało znaczenie.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Jestem zajęta! - zawołała Tone-Marit i czyjeś kroki oddaliły się korytarzem.

- Proszę pozwolić, że to ja będę decydowała, co ma znaczenie, a co nie.

Kobieta popatrzyła jej prosto w oczy i zupełnie niepotrzebnie przeciągnęła ręką po włosach.

- Nie, naprawdę już nic. Nie mam już nic do powiedzenia. Oprócz jednej rzeczy, która przyszła mi do głowy dziś w nocy, a właściwie rano. Wszystko jedno. Ale to w zasadzie nie ma żadnego związku z tym, co się stało.

Tone-Marit nachyliła się i sięgnęła po długopis, którym od razu zaczęła się bawić.

- Dziś w nocy poproszono mnie o dokładne obejrzenie gabinetu pani premier, żeby sprawdzić, czy niczego nie brakuje, jak się wyraził tamten policjant. To było już po usunię... po zabraniu ciała. Ale ja ją przecież wcześniej widziałam. I wtedy, kiedy ją znalazłam, i później, gdy wciąż tam siedziała czy raczej leżała na biurku... Widziałam ją dwa razy i... - Zapatrzyła się w długopis stukający o blat w denerwującym rytmie.

Ręka Tone-Marit gwałtownie znieruchomiała.

- Przepraszam. - Policjantka się wyprostowała. - Proszę mówić dalej.

- A więc widziałam ją dwa razy. I nie chcę się przechwalać, ani trochę, ale uważam się za osobę dość... spostrzegawczą. - Fioletowe plamy miały już ciemnoczerwone obwódki. - Zwracam uwagę na

rozmaite drobiazgi. To niezbędne w mojej pracy. I zauważyłam, że pani premier nie miała swojego szala.

- Szala?

- Tak, dużego wełnianego szala z frędzlami. Czarnego w czerwony wzór. Nosila go, przerzucony przez jedno ramię. O tak! - Wenche Andersen rozwiązała swoją maleńką apaszkę, złożyła ją w trójkąt i ułożyła na ramieniu. - Oczywiście niezupełnie tak, bo to przecież był szal. Znacznie większy niż ta chusteczka. Ale pani na pewno rozumie. Nie mam całkowitej pewności, ale sądzę, że był umocowany jakąś ukrytą agrafką, bo nigdy nie spadał. Pani premier lubiła ten szal i często go nosiła.

- No i co z tym szalem?

- Nie było go tam.

- Nie było?

- Nie miała go na sobie, nie leżał też nigdzie w pokoju, kiedy go oglądałam. Zwyczajnie zniknął.

W oczach policjantki coś zapłonęło i znów nachyliła się w stronę siedzącej po drugiej stronie biurka Wenche Andersen, która mimowolnie cofnęła się na krześle.

- Jest pani pewna, że miała go tego dnia? Najzupełniej pewna?

- Na sto procent. Zauważyłam, że leży trochę krzywo, jakby go układała, nie patrząc w lustro. Na sto procent. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Być może - powiedziała Tone-Marit cicho. - A może nie. Potrafi go pani bardziej szczegółowo opisać?

- Hm. Tak jak mówiłam, był czarny z czerwonym wzorem, powiedziałabym, że prowansalskim. Duży, mniej więcej taki... - Wenche Andersen rozsunała dłonie na odległość około metra - ...i z

pewnością wełniany. Jestem przekonana, że to była czysta wełna. No ale zniknął.

Tone-Marit odwróciła się do komputera stojącego przy oknie. Bez słowa zaczęła pisać i poświęciła na to dziesięć minut.

Wenche Andersen wypła jeszcze trochę wody i dyskretnie spojrziała na zegarek. Czowała ogarniające ją zmęczenie. Przy wtórze monotonnego stukania palców policjantki w klawiaturę powieki zaczęły jej opadać.

- A odgłosu wystrzału pani nie słyszała?

Sekretarka drgnęła przestraszona. Musiała na moment się zdrzemnąć.

- Nie, nie słyszałam.

- Wobec tego kończymy na dzisiaj. Może pani wziąć taksówkę do domu na nasz rachunek. Dziękuję, że zechciała pani przyjść jeszcze raz. Niestety, nie mogę obiecać, że to nasze ostatnie spotkanie.

Podają sobie ręce, ale Wenche Andersen w drzwiach jeszcze się zawahała.

- Myśli pani, że go złapiecie? Tego mordercę?

Oczy, które do tej pory były tylko lekko zaczerwienione, teraz wypełniły się łzami.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Na razie trudno coś powiedzieć. Ale z całą pewnością zrobimy, co w naszej mocy - oświadczyła Tone-Marit i po chwili dodała: - Jeśli to może być jakąś pociechą.

Ale sekretarka pani premier już wyszła, delikatnie zamykając drzwi za sobą.

12.00

Sala plenarna Stortingu

Półkolistą, przypominającą amfiteatr główną salą norweskiego parlamentu nigdy nie była taka pełna. Wszystkie fotele w liczbie stu sześćdziesięciu pięciu były zajęte, i to od ponad kwadransa. Inaczej też niż zwykle nikt ze sobą nie rozmawiał.

Ministrowie siedzieli w najniższym rzędzie. Puste było tylko miejsce premiera, na którym położono bukiet z dwunastu czerwonych róż. Leżał niestabilnie i w każdej chwili mógł spaść na podłogę, ale nikt nie czuł się powołany do tego, by go poprawić.

W łoży dyplomatycznej tłoczyli się wysocy urzędnicy i przedstawiciele innych krajów, wszyscy w ciemnych ubraniach i z bladymi twarzami, z wyjątkiem ambasadora Republiki Południowej Afryki, który miał czarną twarz i nosił barwny ludowy strój. Z łoży prasowej dochodził jedyny dźwięk, który oprócz pochrząkiwania i pokasływania było słyhać na sali: szum pracującej kamery. Galeria wokół rotundy była przepełniona, a dwaj strażnicy mieli mnóstwo roboty z zatrzymaniem za drzwiami ostatnio przybyłych. Przewodnicząca parlamentu weszła z lewej strony. Kroczyła, dosłownie kroczyła przez salę wyprostowana, z zapuchniętymi oczami. Była jedną z niewielu prawdziwych przyjaciółek Birgitte Volter i wyłącznie wyćwiczone dostojeństwo nie pozwalało jej się załamać. Kręcone włosy smutno tańczyły wokół jej głowy, jak gdyby one również cierpiały z powodu utraty bliskiej przyjaciółki.

Trzy razy lekko uderzyła młotkiem w stół. Potem chrząknęła i długo stała, nic nie mówiąc, a napięcie w sali jeszcze wzrosło. W końcu

przelknęła ślinę tak głośno i tak blisko mikrofonu, że słycać to było wszędzie.

- Otwieram posiedzenie Stortingu - odezwała się wreszcie i zaczęła odczytywać listę zastępców parlamentarzystów, która wyjątkowo była bardzo krótka.

Dobrze się stało, bo formalności tego dnia wydawały się nie na miejscu.

- Premier Birgitte Volter nie żyje - powiedziała w końcu. - Zginęła w bardzo brutalnych okolicznościach.

Minister finansów Tryggve Storstein nie słuchał mowy pożegnalnej. Siedział pogrążony we własnych myślach. Całe otoczenie zlewało mu się w jedno: złożone dekoracje na suficie, ciemnoczerwony dywan, głos przewodniczącej parlamentu - jakby jego krzesło nakrył szklany dzwon. Poczul się zupełnie sam.

Wiedział, że zostanie szefem partii. Ruth-Dorthe nie miała szans. Była na to zbyt kontrowersyjna. Ale czy będzie również premierem? Nie potrafił nawet powiedzieć, czy tego chce. Oczywiście, że się nad tym zastanawiał. Wcześniej. Przed ostatecznym rozliczeniem w 1992 roku, gdy po odejściu Gro Harlem Brundtland rozegrała się walka psów, w której zwyciężyła Birgitte Volter. Ale teraz? Czy teraz chciał nim zostać?

Szybko pokręcił głową. Takich pytań człowiek nie powinien sobie zadawać. Trzeba robić to, czego wymaga sytuacja. Czego wymaga partia. Opuścił kąciki ust na ten wyświechtany frazes i przymknął oczy. Przez krótki, całkiem przyjemny moment wyobraził sobie przejście rządów przez opozycję, ale szybko się uporał z tą bluźnierczą myślą. Muszą podjąć próbę utrzymania władzy. Inaczej zapanuje chaos. To będzie klęska. A on miał dosyć klęsk.

- Na koniec składałam wniosek o pochowanie premier Birgitte Volter na koszt państwa - powiedziała przewodnicząca parlamentu.

Tryggve Storstein się wyprostował.

- Przyjęty jednogłośnie. - Przewodnicząca uderzyła młotkiem i szybkim rozpaczliwym ruchem potarła policzek. - Minister spraw zagranicznych prosi o głos.

Szczupły, wysoki mężczyzna wydawał się jeszcze chudszy i bardziej zmęczony niż rano. Przy mównicy przez chwilę wyglądał na kompletnie zdezorientowanego, ale zaraz się opanował i odwrócił w prawo.

- Pani przewodnicząca - zaczął, lekko skinąwszy jej głową, i spojrzał na niewielką karteczkę, którą przed sobą położył. - Pozwoliłem sobie prosić o możliwość zabrania głosu, aby oznajmić, że w sytuacji śmierci pani premier cały rząd podaje się do dymisji.

To było wszystko. Zawahał się jeszcze przez chwilę i poprawił okulary, jakby chciał mówić dalej, ale w końcu zszedł z podium i wrócił na swoje miejsce, zostawiając karteczkę na pulpicie.

- Wobec tego proszę teraz wszystkich zebranych o minutę ciszy - powiedziała przewodnicząca parlamentu.

Pełne napięcia milczenie trwało dwie i pół minuty. Od czasu do czasu ktoś pociągnął nosem, ale chyba nawet fotografowie prasowi zastosowali się do prośby przewodniczącej i nie popsuli uroczystej chwili.

- Zamykam posiedzenie. - Przewodnicząca znów uderzyła młotkiem.

Minister finansów Tryggve Storstein wstał. Półtorej doby bez snu zaczynało przynosić efekt odurzenia. Miał wrażenie, że znalazł się poza ciałem, i wpatrywał się w swoje dłonie, jakby należały do kogoś

innego.

- Kiedy posiedzenie Rady Państwa, Tryggve? - zapytała minister kultury ubrana w ciemnoszary kostium. Makijaż świadczył o tym, że już dawno nie zaglądała do toalety.

- O drugiej - odparł krótko.

Wyszli z sali plenarnej spokojnie, ze spuszczonej głowami, jak kondukt żałobny ćwiczący pogrzeb. Fotografowie prasowi zauważyli, że jedyną osobą, która naprawdę usiłuje ukryć uśmiech, jest minister zdrowia Ruth-Dorthe Nordgarden. Ale mógł to być tylko grymas.

15.32

Restauracja Gamle Christiania

- Typ w rodzaju Christera Petterssona, tego, którego podejrzewali o zabójstwo Palmego, to pewne. Na stówę! - Mężczyzna, który to powiedział, był ubrany w garnitur wyglądający tak, jakby został kupiony na stacji benzynowej Texaco. Błyszczący materiał przypominał sztuczne tworzywo z lat siedemdziesiątych. Uniósł prawie już pustą półlitrową szklankę i z pianą wokół ust ciągnął: - Policja się wygłupi tak jak w Szwecji. Zagrzebią się w przeróżne wielkopolityczne wątki, a okaże się, że to zrobił jakiś wariat. Ktoś w rodzaju Christera Petterssona.

- Albo zazdrosny kochanek. - Kobieta, która rzuciła ten niezbyt oryginalny pomysł, miała około trzydziestki, a głos z przejęcia jej się załamywał. - Ktoś coś wie o życiu miłosnym Birgitte Volter?

Czterej mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- O życiu miłosnym? Miała romans z Tryggvem Storsteinem, to jest w każdym razie pewne. Cholera, a teraz to prawdopodobnie on przejmie cały ten balet. Dość delikatna sytuacja dla glin. Przecież musi być na liście podejrzanych. Wiem, że... - zaczął mężczyzna w garniturze z Texaco z niezłomną pewnością, ale przerwał mu grzmiący głos wydobywający się z ogromnej brody tkwiącej na twarzy czterdziestokilkuletniego mężczyzny, który był całkiem łysy, za to kruczoczarny zarost sięgał mu do piersi:

- Ta plotka o romansie Volter ze Storsteinem to bzdura. On jest teraz związany z Helene Burvik, a nie z Volter. Oni dawno już ze sobą zerwali, na długo przed krajowym zjazdem Partii Pracy w

dziewięćdziesiątym drugim.

- A ja myślałam, że Tryggve Storstein jest szczęśliwie żonaty - mruknęła najmłodsza przy stoliku dziewczyna z „Aftenposten”, która nie zdążyła jeszcze wysiedzieć sobie miejsca w Gamie Christiania. - Jak, na miłość boską, ktoś taki w ogóle znajduje czas dla kochanki?

Zapadła grobowa cisza. Wszyscy zeszywnieli. Nawet piwo przez chwilę stało w spokoju. Dziewczyna zaczerwieniła się nietwarzowo, ale okazała się dostatecznie twarda, by ciągnąć:

- Skąd wy w ogóle wiecie, że to prawda? Gdybym miała wierzyć w połowę tych plotek, które słyszałam w ciągu ostatniego roku, to wynikałoby z nich, że większość ministrów ma ciemną przeszłość i życie seksualne, jakiego wszyscy moglibyśmy im zazdrościć. Oczywiście tym, którzy nie są homoseksualistami. A zresztą może i im. Skąd oni biorą czas na wszystkie te wybryki? I skąd wy o tym wiecie? Czy to naprawdę jest aż tak ważne? - Uniosła kieliszek z winem. Tylko ona nie piła piwa.

Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki została natychmiast wykluczona z grupy. Siedziała na rogu stołu, a dwaj mężczyźni po obu jej stronach jednocześnie się od niej odwrócili. Ich barki nagle urosły, zmieniając się w ścianę odgradzającą ją od pozostałych.

- Słodka dziewczyna - mruknął ten z brodą. - Słodka i porządna, doprawdy.

Do knajpy weszła Liten Lettvik i zaraz ich zobaczyła. Machnęła ręką na powitanie, odpowiedziały jej trzy uniesione szklanki. Wzięła sobie z baru coś do picia i podeszła do kolegów po fachu.

- Cola, Liten? Niewiarygodne! - Mężczyzna w poliamidowym garniturze pokręcił głową. - To trzeba uwiecznić. Dzwońcie po fotografa!

- W przeciwieństwie do was - powiedziała Liten Lettvik spokojnie, moszcząc się na stołku, którego cztery nogi zdawały się wyrastać wprost z jej pośladków - ja teraz pracuję dwadzieścia cztery godziny na dobę i staram się być trzeźwa. Po twojej gazecie - uniosła szklanekę w stronę siedzącego obok dziennikarza z „Dagbladet” - widać, że prowadzicie inną politykę niż my. Czym się zajmowaliście dzisiaj? Cała gazeta wygląda jak jeden wielki pean na cześć Birgitte Volter, daru Boga dla kraju, najlepszego premiera w dziejach. Gdzie się podziała krytyka, Ole? Gdzie wasze najlepsze dziennikarstwo? Ostre światło reflektorów? „Dagbladet” zawsze na przedzie! Dzisiaj, doprawdy, jesteście daleko z tyłu.

- Przynajmniej rozumiemy, że należy się powstrzymać od szalonych spekulacji, dopóki kompletnie nic nie wiadomo.

Brodacz się obraził. Był często nagradzany i bardzo doświadczonym dziennikarzem. Wielokrotnie proponowano mu stanowiska redaktora naczelnego, ale zawsze burkliwie odmawiał, zadowolony jednak, bo przecież koniec końców oferty te dowodziły jego umiejętności. Chciał być zwykłym dziennikarzem śledczym. Wiedział wszystko i stanowił miłe towarzystwo dla tych, którzy uznawali jego wielkość. Ale tylko dla nich.

- Kiedy premier Norwegii ginie zastrzelona we własnym gabinecie, to doprawdy pora na spekulacje - ciągnęła Liten Lettvik. - A jak myślicie, co robi policja? Oczywiście spekuluje. Bo co innego może robić? Przecież nic nie wie. Policjanci snują swoje teorie i na ich podstawie usiłują działać. Tak samo jak my.

- To nie jest dzień na spekulacje - powtórzył Ole Henriksen z kwaśną miną. - Ten dzień przyjdzie jutro. Kiedy ludzie już się wypłaczą.

- Chyba do jutra nie zdążymy - powiedziała słabym głosem wykluczona dziewczyna.

- Wobec tego czym się zajmujesz? - spytał Ole Henriksen, patrząc na Liten i jednocześnie obracając szklanę. - Co ty takiego wiesz, czego nie wie nikt inny?

Liten Lettvik roześmiała się ochryple i szczerze.

- Pytasz tak, jakbyś uważał, że ci odpowiem. - Nagle spojrzała na zegarek - był to plastikowy swatch, a wokół jego paska wyraźnie rysowała się egzema. - Muszę zadzwonić - oświadczyła nagle. - Przytrzymajcie mi miejsce.

W milczeniu śledzili ją wzrokiem. Wszystkich nagle ogarnęło nieprzyjemne uczucie, że właściwie powinni być zupełnie gdzie indziej i robić zupełnie inne rzeczy, a nie popijać piwo w ulubionej knajpie. Nikt się jednak nie odzywał.

- Kiedy właściwie otwierają piwnicę Tostrupa? - mruknął wreszcie najstarszy z mężczyzn, który już zaczynał lekko bełkotać.

Nie doczekał się odpowiedzi. Wszyscy patrzyli na Liten Lettvik, która nie poprzestała na opuszczeniu knajpy. Na wszelki wypadek przeszła jeszcze na drugą stronę ulicy i stanęła pod wystawą domu towarowego GlasMagasinet kilka metrów od wejścia do cukierni.

Na dworze było chłodno. Mżawka kazała jej przycisnąć się do muru. Odwrócona plecami do ulicy wybrała sekretny numer.

- Słucham, Storskog - rozległo się jak zwykle.

- Konrad, Konrad, mój najlepszy przyjacielu! - zaczęła Liten Lettvik i w odpowiedzi jak zwykle usłyszała przenikliwą ciszę. - Dzisiaj znów tylko jedno małe pytanko. Właściwie takie samo jak wczoraj. Nie bardzo miałeś ochotę na współpracę.

Pauza nie trwała tak długo, jak Liten się spodziewała.

- To ostatnia odpowiedź, jakiej ci kiedykolwiek udzielię, Lettvik. Słyszysz? Ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek dostaniesz. - Zawiesił głos, najwyraźniej czekając na obietnicę, która nie padła. - Słyszysz, Lettvik? Chcę, żeby to się skończyło. Umawiamy się tak?

- To zależy. A co masz?

Znów długa pauza.

- Benjamin Grande...

- Grinde.

- Dobrze, Grinde. Wczoraj postawiono mu zarzuty.

- Zarzuty? - Telefon o mało nie wypadł Liten z ręki. Zapiszczał wesoło, kiedy zdumiona przypadkiem nacisnęła kilka klawiszy naraz. - Halo, jesteś tam?

- Jestem.

- Zarzuty? Postawiliście zarzuty sędziemu Sądu Najwyższego?

- Spokojnie. Od razu je wycofano. To była cholerna pomyłka. Prawnicy jak zwykle przesadzili.

- Ale istniały? Na piśmie? Pisemne zarzuty?

- Tak. Naczelnik Biura Kryminalnego, który je podpisał, dzisiaj musiał iść na dywanik. Dostał opieprz od samego komendanta. Ten z całą pewnością nie zostanie już komendantem policji.

Liten Lettvik odwróciła się w stronę ulicy. Przez strumień ludzi sunący po chodniku przedzierał się jakiś niewidomy mężczyzna z białą laską, którą wymachiwał przed sobą. Uderzył nią Liten w łydkę.

- Możesz mi załatwić kopię, Konrad?

- Nie.

- Jak mi załatwisz kopię, to umowa stoi. Nigdy więcej telefonów ode mnie.

- Nie mogę. I tak już dość dostałaś.

- Kusząca umowa, Konrad. Więcej do ciebie nie zadzwonię, jeśli zdobędziesz dla mnie kopię tych zarzutów. Słowo honoru.

Komisarz Konrad Storskog nie odpowiedział. Po prostu się rozłączył. Liten Lettvik przez chwilę stała wpatrzona w telefon komórkowy, w końcu go zamknęła i schowała do kieszeni płaszcza. Potem uśmiechnęła się szeroko, przeszła na drugą stronę ulicy, pomachała sześciorgu dziennikarzom, którzy czekali na nią w knajpie, i ruszyła dalej w stronę Stortorget. Cola pozostała nietknięta.

- Dzięki Bogu, że Konrad nienawidzi prawników - mruknęła do siebie, śmiejąc się pod nosem. - Dzięki ci za to, dobry Boże!

Była przekonana, że Storskog uchwyci się każdej możliwości, by pozbyć się jej na dobre. Mało brakowało, a zaczęłaby gwizdać.

19.04 czasu norweskiego

Berkeley, Kalifornia

Kochany Billy T.!

Dzięki za faks. Podziwiam, że w ogóle znajdujesz czas na pisanie. Mam nadzieję, że ten faks Cię nie obudził (masz włączony sygnał w maszynie?), bo jeśli śpisz, to na pewno na to zasłużyłeś. Musisz załatwić sobie komputer, żebyśmy mogli mejlować. Taki kontakt jest tańszy i wygodniejszy.

Zabójstwo Birgitte Volter wciąż budzi tu pewne zainteresowanie, ale powiem teraz: dzięki Bogu za Internet! Godzinami surfowałam po norweskich kanałach informacyjnych, chociaż wygląda na to, że i nasi dziennikarze nic nie wiedzą. Z wyjątkiem „Kveldsavisen”, która przedstawia jeden scenariusz za drugim. No ale czymś muszą wypełnić wydania specjalne.

Trochę mnie zainteresowało to, co napisałeś o strażnikach. Skoro z całą pewnością możecie powiązać z miejscem zdarzenia zaledwie cztery osoby: sekretarkę, sędziego Sądu Najwyższego (czy to ten od komisji?) i tych dwóch strażników, poświęciłabym czas na poszukanie prostego sposobu dostania się sekcji pomieszczeń pani premier. Wymyślenie motywu dla którejkolwiek z tych czterech osób, które z całą pewnością tam były, wydaje się raczej trudne, a zatem mógł to być ktoś inny, a ten ktoś musiał jakoś się tam dostać. Typowe dla naczelnika: badać przewody wentylacyjne i okna na szesnastym piętrze. Rozumiem, że to również należy zrobić, ale oboje, i ja, i ty, Billy

T., wiemy, że odpowiedź prawie zawsze kryje się w prostym rozwiązaniu. Czy strażnik zrobił sobie przerwę? Był przecież piątkowy wieczór i z tego, co zrozumiałam, w kancelarii panował raczej mały ruch. Ktoś mógł wejść najprostsą drogą! Czy strażnik pali? Miał rozstrój żołądka? Zakładam, że te cztery osoby są zweryfikowane i mają poświadczenia bezpieczeństwa. Ale czy nie pojawiło się jakieś odstępstwo od reguły? Ktoś na zastępstwie? I jeszcze jedno. Gdybym to ja pracowała przy tej sprawie, to na razie zostawiłabym w spokoju problem dostania się do gabinetu. Szukałabym motywów. Przypuszczam, że chłopaki z ostatniego piętra w budynku policji wariują, snując wesole spiskowe teorie, ale może by tak wrócić do staroświeckiej pracy policyjnej? Czy Volter miała wrogów? Z całą pewnością, przecież stale robiła karierę. A przede wszystkim: czy mogła akurat teraz coś ujawnić? Czy rząd miał przyjąć coś, co śmiertelnie zagrażało czyjś potężnym interesom?

Okej, nie uważam, żeby ktoś był gotów zabić, by nie dopuścić do budowy elektrowni gazowej w regionie Vestlandet, ale mimo wszystko...

Szukaj tego, co proste, Billy T. To, co najprostsze, jest najlepsze. Znajdź najpierw motyw, a dostęp do gabinetu sam ci się ukáže. Nikt nie zabija bez motywu. W każdym razie kiedy jest to zabójstwo z premedytacją. A tak musi być w tym wypadku.

Nie pozwól, żeby chłopcy z POT Tobą rządzili. Ale postaraj się nie być dla nich niemiły. Masz tam przecież dawnych przyjaciół.

Poza tym muszę Ci powiedzieć, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Cecilie i ja kłóciliśmy się przez trzy dni, kiedy się dowiedziałam o tym zabójstwie. Ona chciała przedłużyć pobyt, a ja zdecydowanie odmawiam. Oczywiście uwielbiam Stany, ale rok bez pracy w zupełności mi wystarczy. Teraz już wszystko między nami w porządku. Pewnie jednak raczej nie wyjdzie z Twojej wytęsknionej wizyty u nas. A może?

Trzymam kciuki za szybkie wyjaśnienie sprawy i w napięciu czekam na następny faks. Pozdrów Hakona, jeśli go zobaczysz, i przekaz mu, że list jest w drodze.

Buziaki, Hanne

21.13

Odins gate 3

- Nie mogłam przecież pozwolić, żebyś taki wieczór spędzał tylko z matką - szepnęła, obejmując go swobodnie i po przyjacielsku. - Nie wyszłoby ci to na dobre!

Benjamin Grinde uśmiechnął się samymi ustami i zawiązał fartuch na plecach.

- Przepraszam, że dzwoniłem do ciebie w nocy, Nino. Mam nadzieję, że nie obudziłem Geira ani dzieci.

- Zwariowałaś? - oburzyła się Nina Rambol. - Oczywiście, że powinieneś zadzwonić. Na pewno byłeś strasznie zdenerwowany. - Sięgnęła po surową marchewkę i stanęła tyłem do kuchennego blatu. - Plecy cię bolą.

- Słucham?

- Plecy cię bolą. - Uśmiechnęła się szeroko. Teraz już siedziała na blacie i machała nogami. Buty bez obcasów stuknęły w drzwi szafki z garnkami, ale Nina nie zwracała uwagi na zmarszczkę dezaprobaty widoczną na czole Benjamina. - Tak powiedziałam gościom. Mówiłam, że dopadł cię taki ischias, że przyjęcie trzeba odwołać. Mam ci przekazać od wszystkich pozdrowienia i życzyć powrotu do zdrowia.

- Bardzo dziękuję - mruknął, patrząc z przygnębieniem na gotowy befsztyk, po który wpadł do delikatesów Smor-Petersen na dziesięć minut przed zamknięciem. - Miał być zapiekany łosoś w cieście francuskim.

- A tam! - prychnęła Nina, celując w kosz na śmieci wyjątkowo wyciągnięty na środek kuchni.

Resztką marchewki nie trafiła do celu i Nina przez krótką chwilę zastanawiała się, czy nie zeskoczyć z blatu. Wpadła jednak na lepszy pomysł i sięgnęła po duży kieliszek z czerwonym winem, który stał obok

- Strasznie siorbiesz - mruknął Benjamin.

Popatrzyła na niego znad brzegu kieliszka i przekrzywiła głowę.

- Ty naprawdę nie jesteś sobą, Benjamin.

Benjamin Grinde nie miał żadnej kobiety. Mężczyzna, który pełne podziwu muśnięcie marynarki brał za zaproszenie do rozmowy, nie miał kobiet. Miał przyjaciółki. Nina Rambol, o pięć lat od niego młodsza, była spośród nich najbliższa. Poznali się ćwierć wieku temu, kiedy on odbywał staż lekarski, a ona była sekretarką medyczną. Mąż Niny w końcu zaakceptował zdumiewający fakt, że kiedy się pobierali, jego narzeczona na świadka wybrała mężczyznę.

- Mam też odesłać do domu Jona i Olava? - spytała dziecinnie pocieszającym głosem, gładząc go po plecach. - Wolałbyś, żeby tak było? Źle zrobiłam, że pozwoliłam im przyjść? Nalegali...

- Nie, nie, w porządku...

- Chłopcy i dziewczęta, musicie wreszcie do nas dołączyć! - krzyknęła kobieta stojąca w drzwiach.

W rękę trzymała lampkę sherry i lekko się chwiała. Miała twarz opaloną i pomarszczoną jak rodzynka, a kiedy uniosła kieliszek, aby wznieść toast, obwisła skóra przedramion uderzyła o bluzkę bez rękawów w duże kwiaty. Pomarańczowe legginsy wyszły z mody już kilka ładnych lat temu, a nawet wtedy nie prezentowały się zbyt dobrze na siedemdziesięciodwuletnich staruszkach.

- Przyleciałam jak ptaszyna z Hiszpanii tylko po to, by uczcić mojego syneczka, a ty tu stoisz i się mażesz! Ben, chodź do nas! Chodź

do mamusi! Ty, Nino, też. Ślicznie ci w tej sukience. Wspaniale! Ale zawsze miałaś świetne wycucie kolorów.

Podeszła do nich, stawiając długie kroki na siedmiocentymetrowych obcasach, i złapała Benjamina za ramię. Odsunął się, nie patrząc na nią.

- Zaraz, mamó. Zaraz przyjdę. Tylko najpierw to skończę. Możesz poprosić gości, żeby siadali do stołu.

Odwrócił się do niej z miską pełną sałatki, ale zmienił zdanie i wręczył miskę Ninie. Matka nie zareagowała na ten brak zaufania i już ponownie forsowała podłogę kuchni z wysoko uniesionym kieliszkiem.

- To po prostu niewiarygodnie straszne - zaczęła, gdy paliły się już świece, a półmisek z daniem okrążył stół. - Droga kochana Birgitte. Taka śliczna! Oczywiście wiecie, że Ben i Birgitte Volter w młodości byli najlepszymi przyjaciółmi! Birgitte stale do nas przychodziła. Taka śliczna i dobrze wychowana dziewczynka. Przez to Benowi jest jeszcze o wiele, wiele ciężiej. On jest przecież taki wrażliwy. Ma to po ojcu. Czy będę mogła iść z tobą na pogrzeb, Ben? Dla mnie to całkiem naturalne. Naprawdę. Przecież ona stale nas odwiedzała, przez długie lata. A kiedy właściwie ten pogrzeb? W katedrze, prawda? To musi być katedra.

Zawłaszczyła miskę z sałatką ziemniaczaną, podnosiła ją i opuszczała w miarę, jak słowa płynęły strumieniem. Matka Benjamina Grindego nie mówiła. Ona ćwierkała. Głos miała cieniutki, niezwykle wysoki, nalegała też, by nazywać ją Lerke, słowiczkiem.

- Nie byliśmy przyjaciółmi, mamó. I wcale tak często u nas nie bywała. Odwiedziła mnie może ze trzy razy, nie więcej. Czasami pomagaliśmy sobie w lekcjach, ale rzadko.

Lerke Grinde, urażona, uniosła ciężkie powieki, dodatkowo obciążone dużą ilością cienia.

- Nie żartuj sobie, Ben! Ja miałabym nie wiedzieć, kto prawie od nas nie wychodził? Birgitte była... przyjaciółką domu, tak bym to nazwała. A ty byłeś nią zachwycony. Po prostu się w niej podkochiwałeś, Ben. - Puściła oko do Jona, który zrezygnował z czekania na sałatkę i zamiast tego zaczął skubać mięso. - Mogła być z nich piękna para. Wiele razy powtarzałam to mężowi. Szkoda, że ten... Jak on się nazywał, Ben? Mąż Birgitte. Jak on się nazywał?

- Roy Hansen - mruknął Benjamin, próbując odebrać matce miskę. Ona jednak odsunęła ją poza zasięg rąk syna i ciągnęła:

- Roy, no tak, Roy! Cóż za okropne imię! Kto daje takie imię dziecku? No cóż, nie był zbyt dobrą partią moim zdaniem. I nie chcę być niedyskretna, co to, to nie. Do tego mi daleko. Nie mam też uprzedzeń, a pruderyjna nigdy nie byłam. - Nachyliła się nad stołem, niemal wsadzając brodę w sałatkę i wzrokiem konspiracyjnie omiatając kolejne osoby. - Ale oni musieli się pobrać! - Wyprostowała się podniecona i oddała sałatkę Ninie.

- Mamo!

- Ups! Za dużo powiedziałam. - Nakryła usta ręką i szeroko otworzyła oczy. - Ben jest taki daleki od wszelkich plotek. Przepraszam, Ben! Wybaczysz chyba starej matce, że coś jej się wysnęło w taki dzień jak dzisiaj? Wszystkiego najlepszego, synku! Najlepszego! - Uniosła kieliszek tak gwałtownie, że czerwone wino chlusnęło na obrus. - Na zdrowie! - uśmiechnęła się do pozostałych gości i ze współczuciem popatrzyła na jubilata.

Zadzwonił telefon. Benjamin Grinde wstał i poczuł zawrót głowy jak gwałtowny poryw wiatru. Musiał się przytrzymać krzesła. Dwoma

palcami dotknął nasady nosa, zaciskając oczy.

- Wszystko w porządku, Benjamin? - spytała przestraszona Nina, nakrywając dłonią jego rękę. - Źle się czujesz?

- Nie, nie - zaprzeczył i poszedł do telefonu, który stał w korytarzu. Zawroty głowy nie chciały ustąpić. - Słucham, Grinde - powiedział, przysmykając drzwi do salonu.

- Witam, tu redaktor Liten Lettvik z „Kveldsavisen”. Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze w sobotni wieczór, ale mamy przecież stan wyjątkowy, bo...

- Będę dostępny w swoim biurze w poniedziałek.

Słuchawka już opadała.

- Chwileczkę!

Zrezygnowany przyłożył ją do ucha.

- O co chodzi?

- Chodzi o sprawę Birgitte Volter.

- Słucham?

- O sprawę Volter.

Na chwilę świat się zatrzymał, zanim znów zaczął wirować w przyspieszonym tempie. Seria pięciu niewielkich litografii na ścianie naprzeciwko Benjaminą zachowywała się jak pociąg ekspresowy. Musiał spuścić wzrok.

- W ogóle nie chcę o tym rozmawiać - oświadczył i odbiło mu się. Od kwasu żołądkowego język aż się skurczył.

- Niech pan posłucha, panie Grinde...

- Mam gości - przerwał jej ze złością. - Kończę pięćdziesiąt lat. Ta rozmowa jest nie w porę i zbyt bezczelna. Rozłączam się.

- Ale, panie Grinde...

Trach. Odłożył słuchawkę na miejsce z taką siłą, że pękła.

Z salonu słyhać było dalekie popiskiwanie matki.

- I on flirtuje! Wyobraźcie to sobie! Taki uprzejmy, naprawdę elegancki seńor. Nie wyniknie z tego nic poważnego, ale ponieważ spędzam tam osiem miesięcy w roku, cudownie się czuję, kiedy ktoś zwraca na mnie uwagę.

Lerke Grinde zaśmiała się z zachwytem. Dla Niny Rambol stało się bardziej oczywiste niż kiedykolwiek, dlaczego Benjamin Grinde ograniczył swoje dzieciństwo do odrabiania lekcji we własnym pokoju. Kiedy wrócił do salonu, matka znów trzymała kieliszek w górze.

- Na zdrowie, moje słońko! Kto dzwonił? Ktoś z życzeniami, Ben?

Ręka ze sporą porcją złota wokół nadgarstka przesunęła się ponad stołem, wskazując na bukiety, które przysłano w ciągu dnia.

- Ben? - Powaga na twarzy Lerke Grinde sprawiła, że matka Benjaminą wydała się nagle obca. - Ben, coś się stało?

Jon i Nina, którzy siedzieli do niego tyłem, gwałtownie się odwrócili.

Benjamin Grinde stał na środku salonu i chwiał się, szaro-blady, z oczami nagle zapadniętymi w głąb.

- Mamo! Nie mam na imię Ben. Nigdy nie miałem. Mam na imię Benjamin.

Powoli zamknął oczy i zemdlał.

Niedziela, 6 kwietnia 1997

07.30

Głęboko w lasach Nordmarka koło Oslo

Woda go pochwyciła, przylgnęła do ciała i nie chciała puścić. Zmuszała do oddychania samymi szczytami płuc. Chwytał więc powietrze łapczywie, krótkimi oddechami, od których ściągała się skóra. Serce w szerokiej klatce piersiowej waliło mocno i szybko. Wyraźnie czuł krew krążącą w ciele, rytmiczne, pulsujące skurcze serca, które rozprowadzały ją dalej, do coraz węższych naczyń krwionośnych. Dopływała do nóg, rąk i palców, a potem cofała się, by objąć walczące płuca i zaczerpnąć z nich nową siłę, nowe życie. Znów się zanurzył i skoncentrował na pełnych ruchach pływackich, na długich sprężystych wymachach ramion. Był w wodzie albatrosem, rekinem tygrysim, stopami poruszał błyskawicznie jak ryby ogonem i uzyskał dostateczną prędkość, by wyskoczyć wysoko, wysoko ponad szarą i gładką jak lustro tafłę.

Nigdy bardziej nie czuł, że żyje. Jednym płynnym ruchem wydostał się na ląd. Dał duży krok na niewielką zszarzałą skałę, wypolerowaną przez miliony lat. Z miłością spojrzął na swe nagie ciało - od dużych stóp z jasnymi włoskami po barki, po których znać było ciężką pracę i jeszcze cięższy trening. Roześmiał się na widok półsztywnego członka. Zimna woda była najprzyjemniejszą rzeczą, jaką znał. Zawsze pływał bez spodenek, jakby drwił ze wszystkich znajomych mężczyzn. Ale teraz był tu sam.

Nie wycierając się - nie wziął nawet ręcznika z domku

letniskowego - odwrócił się w stronę leśnego jeziora. Zdążyło się już za nim zamknąć, tylko tu i ówdzie jakaś rybka mąciła powierzchnię, na której pojawiały się z idealną regularnością malutkie rozchodzące się koła. Poranna mgła unosiła się wśród drzew, wciąż równie nagich jak on. Zawstydzone przyglądały się swemu odbiciu w wodzie. Gdzieniedzie leżały jeszcze brudne plamy śniegu, kurczowo trzymając się wrzosu i traw. Powietrze - wilgotne, świeże i przesycone rozpoznawalnym zapachem nadchodzącej wiosny - nie mogło mieć więcej niż pięć stopni. Uśmiechnął się i głęboko wciągnął je przez nos.

Nigdy nie czuł się szczęśliwszy. Naprawdę nie miał wiary w tego człowieka, chociaż został mu polecony, i to przez kilka osób. Dwóch członków grupy uważało, że warto się do niego zbliżyć. To on, przywódca, się sprzeciwił. Wyczuwał w nim jakąś słabość. Wtedy osobiście jeszcze z nim nie rozmawiał, jedynie oceniał go z daleka. Cały dzień śledził niczego niespodziewającego się strażnika z dzielnicy rządowej. To się zwykle przydawało. Jeden dzień obserwacji dostarczał więcej informacji o człowieku niż jakiegokolwiek referencje.

Nie był pewien, co przesądziło sprawę. Dostrzegł coś nieakceptowalnie kobiecego w sposobie, w jaki tamten chłopak się poruszał. W dodatku niewłaściwie się ubierał. To też świadczyło o słabości. A może chodziło o spojrzenie? Miał piwne oczy, lecz nie kolor był decydujący. Ważniejsze, że krążyły niespokojnie. Niezdecydowanie. Niepewnie. Nie ma mowy - zdecydował sam. Ten człowiek stanowi ryzyko.

Zabezpieczenia. Podwójne sprawdzanie. Potrójne gwarancje. Nigdy nie były ważniejsze niż teraz, kiedy służba bezpieczeństwa, sterowana przez zdrajców ze Stortingu, odwróciła uwagę od prawdziwego zagrożenia - czerwonych - i skupiła się na nich. Wreszcie

zdołał stworzyć coś, co przypominało zdolną do działania organizację. Co prawda nie było ich wielu - i jedynie dziesięciu członkom mógł ufać na sto procent - ale od liczebności ważniejsza jest siła. Rekrutację należało przeprowadzać z największą ostrożnością. Nową osobę sprawdzano przez kilka miesięcy, zanim grupa w ogóle zaczynała się do niej zbliżać.

Strażnik opowiadał się za Partią Postępu^[2]. Nie był jej członkiem, ale wyraźnym sympatykiem. Zazwyczaj nie stanowiło to dobrego punktu wyjścia. Co prawda osoby należące do tego ugrupowania często wykazywały się tą samą zdrową miłością do ojczyzny co on, ale przeważnie były głupie jak but. A jeśli nawet nie, to z reguły cierpiały na coś, co nazywał nadwyżką demokratyczną. Podobało mu się to określenie, sam je wymyślił. Ci z Partii Postępu nie wykazywali właściwego zrozumienia wobec bezwzględnej konieczności wykorzystywania innych środków działania niż te, na które w danym czasie zezwalały sterowane przez zdyktwo norweskie elity władzy.

Dlatego się nie zgodził. Tamci dwaj, którzy za niego ręczyli, trochę się zezłościłi, lecz odniósł wrażenie, że zaakceptowali jego decyzję. Musieli.

- Niech najpierw coś udowodni - zdecydował nieco ponad rok temu.

Niedługo potem ci dwaj powiedzieli mu, że strażnik jest kumplem pewnego faceta z Loke, tego zasranego ugrupowania. Pieprzeni romantycy, banda zdiadziałych harcerzyków, którzy niszczyli samochody Pakistańców, jak za dużo wypili. Chłopięce wybryki bez ideologicznego zakotwiczenia. Nic nie wiedzieli, czytali najwyżej o przygodach Morgana Kane'a na Dzikim Zachodzie. Ale strażnik miał interesującą pracę.

Nigdy wcześniej nie mieli możliwości zwerbowania kogoś znajdującego się tak blisko rządu. A strażnik był naprawdę blisko, bliżej nie dało się podejść.

Dlatego on, szef grupy, wciąż od czasu do czasu śledził go na własną rękę. Wiedział już o nim wszystko. Trzymał w piwnicy całą teczkę informacji na jego temat. Wiedział, jakie gazety czyta, jakie pisma prenumeruje, jaką ma broń, bo strażnik miał broń, był członkiem klubu strzeleckiego. Wiedział nawet, że chłopak posuwa piętnastoletnią córkę dozorczy i używa wody po goleniu marki Boss.

Powoli, bardzo powoli zaczął się do niego zbliżać. Najpierw niby przypadkiem. W kawiarni, gdzie strażnik zajął miejsce przy czteroosobowym stoliku, spytał, czy może się dosiąść.

Wyjął z kieszeni amerykański magazyn na temat broni. Chłopak się na to złapał. Później spotkali się pięć, może sześć razy. Nie był jeszcze członkiem grupy. W zasadzie nawet niewiele o niej wiedział, a już na pewno nic konkretnego, ale w jakiś sposób musiał się domyślić, że istnieje. On sam, przywódca, powiedział mu tyle, ile mógł, tak by nie dało się niczego udowodnić, by nie rozniosły się plotki. Ale strażnik zrozumiał. Pojął, że sam ma również szansę.

Najważniejsze to utrzymać dystans. Pełen dystans. Nikt nie może powiązać strażnika z grupą. To ogromnie ważne.

- Nareszcie zaczęliśmy! - zawołał Brage Håkonsen do dwóch wron, które wystraszone sfrunęły z korzenia wywróconego drzewa.

Wielkimi krokami ruszył w stronę chaty z bali zbudowanej na skraju lasu.

- Nareszcie zaczęliśmy!

W chacie miał sporo papierów starannie ułożonych w teczkach i plastikowych koszulkach. Usiadł, wciąż nagi. Zmarzniętą skórę

pokryła czerwona wysypka.

- Zaczęliśmy - mruknął jeszcze raz do siebie i dalej wpatrywał się w listę, na której było szesnaście nazwisk.

08.14

Holmenveien 12

Karen Borg zafascynowana wpatrywała się w Billy'ego T. i jak najdyskretniej usiłowała wyjąć z zamrażarki nowy bochenek chleba i włożyć go do mikrofalówki.

- Masz coś jeszcze?

Billy T. zjadł osiem kanapek i wciąż był głodny.

- Zaraz będzie, zaraz - powiedziała i wcisnęła rozmrażanie. - Za pięć minut!

Prokurator policji Hakon Sand wszedł do dużej jasnej kuchni i usiadł na tradycyjnym krześle z siedziskiem wyplatany z trzciny. Był w czarnych spodniach, boso. Włosy miał mokre, a ciemne plamki na odprasowanej jasnoniebieskiej koszuli zdradzały, że nie chciało mu się dokładnie wytrzeć. Zmierzwił białe włosy dwulatka siedzącego na dziecięcym krzeselku, ale zaraz gwałtownie cofnął rękę i popatrzył na nią z obrzydzeniem.

- Karen! On ma dżem we włosach!

Hans Wilhelm roześmiał się głośno i machnął kromką chleba z dżemem truskawkowym, a potem się wychylił i przylepił ją do gorsu koszuli ojca. Billy T. zachichotał i wstał. Chłopczyk popatrzył na niego z uwielbieniem i wyciągnął rączki do góry.

- Coś mi się wydaje, że wybierzemy się we dwóch do łazienki. Pójdiesz z Billym T. do łazienki, Hans Wilhelm?

- Do łazienki! - pisnął chłopiec radośnie. - Z Billitem do łazienki!

- Tatuś w tym czasie się przebierze.

- Czy ja mam jeszcze jakieś czyste koszule mundurowe? - spytał

Hakon ze złością w głosie, odciągając koszulę od piersi i z odrazą patrząc na czerwoną plamę.

- Oczywiście - uśmiechnęła się Karen.

- Daj spokój, Hakon! Nawet o koszule do munduru nie dbasz sam?

Billy T. podniósł chłopca wysoko nad głowę jak samolot. Dziecko ze śmiechem próbowało dosięgnąć rączkami sufitu.

- *Is it a bird? Is it a plane? No, it's Superman!!!*

Olbrzymim lukiem od podłogi do sufitu Superman poszybował za drzwi, śmiejąc się przy tym tak serdecznie, że dostał czkawki.

- Już - oznajmił Billy T., kiedy wrócili.

Hans Wilhelm miał mokre włosy i był przebrany w czysty dres.

- Myślę, że teraz zjemy raczej kielbasę.

Sięgnął po jedną z nowych kromek chleba i przygotował Hansowi Wilhelmowi solidną kanapkę. Na wszelki wypadek przekroił ją na pół i złożył obie części.

- Tylko nie nabrudź - nakazał surowo, a Hans Wilhelm zjadł całość w zaskakującym tempie, ani trochę nie brudząc.

- Sporo mógłbyś się nauczyć od Billy'ego T., Hakon - podsumowała Karen Borg, usiłując wcisnąć olbrzymi brzuch między krzesło a stół.

- Kiedy on się urodzi? - spytał Billy T., wskazując na Karen kanapką z sałatką włoską.

- To dziewczynka, Billy T.! Za dwa tygodnie. To znaczy wtedy mam termin.

- Nie ma mowy. Będzie chłopak. Przecież widzę.

- Zejdźmy do piwnicy - przerwał mu Hakon Sand. - Możemy na trochę zająć biuro?

Karen Borg kiwnęła głową, w ostatniej chwili ratując szklanekę z mlekiem, która niebezpiecznie zachwiała się przed chłopcem.

- Chodź!

Mężczyźni zbiegli z hałasem po wąskich schodach do piwnicy i znaleźli się w zdumiewająco przytulnym pomieszczeniu. Wydawało się nawet jasne, mimo że było tu tylko jedno małe okno przepuszczające blade światło niedzielnego poranka. Billy T. spróbował się zmieścić na wąskiej ławie pod ścianą, natomiast Hakon usiadł na krześle biurowym i położył nogi na stole.

- Cholernie fajną masz chałupę, Hakon - powiedział Billy T., drapiąc się w ucho. - Fajny dom, fajna kobieta, fantastyczny dzieciak. Cudowne życie.

Hakon Sand nie odpowiedział. Dom nie był jego. Należał do Karen. To ona miała pieniądze, chociaż dochody, które uzyskiwała jako samodzielny adwokat, nie mogły się mierzyć z fortuną, jaką zbijała, będąc współniczką - i jedyną kobietą - w największej w kraju kancelarii zajmującej się sprawami biznesowymi. Zamieszkanie w dzielnicy Vinderen również było jej pomysłem. Życie bez ślubu też. Już raz była mężatką i uważała, że to wystarczy. Pojawienie się dziecka numer dwa mogło ją jednak zmiękczyć. Hakon westchnął ciężko i przeczesał palcami włosy.

- Akurat w tej chwili dużo bym oddał za możliwość spania przez dwadzieścia godzin.

- Nawzajem. Albo jeszcze dłużej.

- A konkretnie co teraz robisz?

Billy T. zrezygnował z prób wyciągnięcia się na ławie i ułożył się na podłodze, z rękami pod głową. O ławę oparł tylko nogi.

- Próbuje stworzyć całościowy obraz jej osoby - odparł, patrząc w sufit. - Cholera, to wcale nie jest łatwe. Rozmawiałem już z trzema ministrami, czworgiem przyjaciół, personelem biurowym,

współpracownikami politycznymi, diabłem i całą jego rodziną. To dziwne, wiesz...

Karen stanęła w drzwiach, przyniosła tacę z kawą i ciasteczkami. Billy T. odwrócił głowę i rozłożył ręce.

- Wiesz, Karen, jak Hakon ci się znudzi, chętnie się tu wprowadzę. Nie żartuję.

- On mi się nigdy nie znudzi - odpowiedziała, odstawiając tacę na stolik z komputerem. - W każdym razie jeśli to ty miałbyś zająć jego miejsce.

- Nie pojmuję, co ta kobieta w sobie ma - mruknął Billy T. z ciastkiem w ustach. - W każdym razie byłbym gotów na zawołanie.

- Co chciałeś powiedzieć? - ziewnął Hakon. - Mówiłeś, że coś jest dziwne.

- No tak. Dziwne jest to, że tak trudno wyrobić sobie zdanie o kimś, kogo się nigdy nie spotkało. Ludzie wydają się... Mówią takie różne rzeczy. Jedni twierdzą, że była inteligentna, pracowita, życzliwa i pragmatyczna. Nie miała żadnych wrogów. Inni podkreślają, że była dziwna, uparta i gotowa iść po trupach, by wyeliminować konkurencję. Jedni uważają, że w pewnym okresie, dziesięć lat temu, kiedy naprawdę obrała kurs na karierę, nie przebierała w środkach, żeby tylko wyrobić sobie pozycję. Naprawdę w żadnych środkach. Mówią, że bez wahania wskakiwała do łóżka tym, co trzeba, jeśli tylko było to konieczne. Innych dziwi, że nigdy nie zdradziła męża. Nigdy.

- Kim są ci inni? - Hakon Sand po raz pierwszy okazał coś na kształt zainteresowania tematem.

- Prawdę mówiąc, ci, którzy przypuszczalnie znali ją najlepiej. Twierdzą, że nigdy w nic takiego się nie wplątała. Wygląda na to, że...

- Usiadł i z siorbnięciem wypił łyk kawy. - Wydaje mi się, że im ktoś

był jej bliższy, tym lepiej o niej mówi.

- To chyba naturalne. Przecież to ci, którzy są nam najbliżsi, najbardziej nas lubią.

- Ale czy właśnie oni znają nas najlepiej?

Zapadła cisza. Z góry dobiegł płacz Hansa Wilhelma, który był, jakby go zarzynano.

- Męczy cię życie z małym dzieckiem, Hakon?

Prokurator przewrócił oczami.

- Nie miałem pojęcia, że to tyle pracy. Taka... taka męka!

- Mnie nie musisz tego tłumaczyć - zaśmiał się Billy T. - Powinieneś być załatwić to tak jak ja. Czwórka dzieciaków z czterema matkami, które pilnie opiekują się nimi na co dzień, a ja mam ich tylko do zabawy. To najlepszy system na posiadanie dzieci.

Hakon spojrział na niego, a w jego oczach pojawiło się coś, co Billy'emu T. skojarzyło się z wyniosłością. Z powrotem położył się więc na podłodze i kontynuował staranną obserwację sufitu.

- Aha - powiedział Hakon. - To dlatego jesteś pogodny jak słońeczko co drugi piątek i skwaszony jak ocet siedmiu złodziei w poniedziałek. Tak się cieszysz, że ich odwiozłeś?

- Daj spokój! - prychnął Billy T. ze złością. - Naprawdę przestań!

Hakon wstał i dolał im obu kawy.

- Uważaj, nie przewróć! - powiedział, patrząc na filizankę niepewnie stojącą na filcu. - A co tak naprawdę myślisz o tej sprawie?

- Nie wiem. - Billy T. wahał się z odpowiedzią. - W zasadzie bardziej wierzę tym, którzy znali ją najlepiej. Problem tylko, że... - Znów się podniósł. Tym razem całkiem wstał i wyciągnął rękę do sufitu. - Ona była naprawdę cholernie porządna, Hakon. Strasznie

trudno znaleźć w jej życiu coś, co mogłoby wskazywać, że ktoś pragnął jej śmierci. I to tak gorąco, żeby naprawdę dokonać zabójstwa.

- Może za wcześnie wyciągasz wnioski. Mamy jeszcze przed sobą sporo pracy. Łagodnie mówiąc. - Znów westchnął. To był fatalny dzień.

- Coś ci powiem, Hakon. - Billy T., który do tej pory wznosił się nad nim jak wieża, pochylił się i oparł rękami o stół tak gwałtownie, że Hakon się wystraszył. - Właściwie są tylko dwie możliwości. Albo zginęła, ponieważ była Birgitte Volter i ktoś chciał pozbawić życia osobę, która tak się nazywała, ale na to na razie nic, absolutnie nic nie wskazuje. Albo ktoś ją zabił, ponieważ była premierem. Ktoś chciał zabić funkcję, którą pełniła, jeśli można tak powiedzieć. Zaatakować Norwegię, politykę Partii Pracy, mniej więcej coś w tym rodzaju. Muszę przyznać... - Billy T. z trudem formułował myśli - ...muszę przyznać, że to mi się wydaje bardziej prawdopodobne. Akurat w tej chwili. A to oznacza, że chłopaki z dziewiątego piętra będą miały niezły ubaw. Bardzo mi się to nie podoba.

Dziecko nad ich głowami przestało płakać. Teraz z góry zaczęło dochodzić rytmiczne stukanie, jakby uderzanie zabawką o podłogę.

- Powiedz mi, co o niej wiesz, Billy T.

- Cholera, czy tu nie ma żadnego miejsca, gdzie mógłbym usiąść?

- Masz, siadaj tutaj. - Hakon Sand oddał mu swoje krzesło.

Billy T. uśmiechnął się zadowolony.

- W piątek są jej urodziny. Cholera, pochowają ją w pięćdziesiątą pierwszą rocznicę urodzin. Wyszła za mąż, kiedy miała osiemnaście lat. Za rówieśnika, przyjaciela z dzieciństwa, Roya Hansena. Wciąż byli małżeństwem. Jedno dziecko, Per Volter, dwadzieścia dwa lata. Uczeń Szkoły Podoficerskiej, stacjonuje we Fredriksvern w Stavern.

Miły młody człowiek. Jedynym żartem, jakie przysporzył rodzicom, było chyba to, że został członkiem Młodej Prawicy. Stosunkowo zdolny, wiceprzewodniczący klubu strzeleckiego, najwyraźniej odziedziczył zdolności organizatorskie po matce.

- Klubu strzeleckiego? Miał dostęp do broni?

- Jasne. I to do niej. Ale w ten weekend był na ćwiczeniach gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc, na płaskowyżu Hardangervidda. Prawdę mówiąc, nawet zawiadomienie go o śmierci matki okazało się problemem. Poza tym nic nie wskazuje na to, by był z nią w złych stosunkach. Przeciwnie, grzeczny synek. Z wyjątkiem tej Młodej Prawicy. Ale bądźmy szczerzy, chłopak jest poza wszelkimi podejrzeniami.

- Mów dalej - mruknął Hakon.

- Birgitte Volter urodziła się w Szwecji jedenastego kwietnia czterdziestego szóstego roku. Ojciec był Szwedem, matka uciekła tam podczas wojny. Do Nesodden sprowadzili się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym. Birgitte zrobiła maturę, skończyła szkołę handlową i szybko zaangażowała się w działalność związków zawodowych. Była sekretarzem czy kimś takim w Monopolu Winnym w Hasie. Potem zasiadała w gminnych władzach w Nesodden. Zajmowała coraz wyższe stanowiska w Norweskim Związku Urzędników Państwowych i tak dalej, i tak dalej. The rest is history, jak to się mówi. Wychowanica Gro. Jej faworytka. Ale w dziewięćdziesiątym drugim nie było jej łatwo.

- Przyjaciele?

- To też jest dziwne. - Billy T. znów podrapał się w ucho. - Cholera, chyba mi się robi zapalenie! Jeszcze tego brakowało! - Popatrzył na palec, ale były na nim jedynie wczorajsze ślady atramentu. - Wiesz, co

wypisują gazety o różnych powiązaniach i sytuacjach. Ten zna tego, a tamten przyjaźni się z tym. Moim zdaniem to nie może być prawda. Chyba że gazety inaczej rozumieją pojęcie przyjaźni niż ty i ja. Bo ci opisywani ludzie właściwie nie są przyjaciółmi, to raczej koledzy z partii. Przyjaciół, zdaje się, mają niewielu. I prawie zawsze są nimi osoby z zewnątrz, poznane w zwykłych miejscach pracy albo dawno temu, jeszcze w szkole. Jediną osobą ze świata polityki, która chyba naprawdę przyjaźniła się z Birgitte Volter, była przewodnicząca parlamentu.

- A wrogowie?

- I znów to samo. Zależy, co masz na myśli, mówiąc o wrogach. Kto to jest wróg? Jeśli to ktoś, kto źle o tobie mówi, to chyba wszyscy mamy ich mnóstwo. Ale czy słusznie tak ich nazywamy? Jeśli komuś udaje się zajść tak wysoko w strukturach tak spragnionej władzy ugrupowania jak Partia Pracy, to z pewnością po drodze urazi wiele osób. Ale czy to są wrogowie? Nie mówiąc już o tym, że któryś z nich byłby gotów posunąć się do zabójstwa. Nie. Ja nic takiego nie widzę. Przynajmniej na razie.

- No tak... - Hakon Sand wstał i uchylił okno. - Właściwie mamy ten sam problem, jeśli podejmiemy do tego od tej drugiej strony - powiedział, wracając na swoje miejsce.

- Od drugiej strony?

- Tak, jeśli uznamy, że to był atak na funkcję, stanowisko. Tak to nazwałś? Norwegia wydaje się taka... oswojona. Nie mieści mi się w głowie, by Anne Enger Lahnstein z Partii Centrum planowała zabójstwo Birgitte Volter, nawet gdyby fanatycznie chciała powstrzymać przystąpienie Norwegii do układu z Schengen.

Billy T. zaśmiał się głośno.

- To by dopiero było coś! Anne Lahnstein w przebraniu komandosa pełźnie przez kanały wentylacyjne w budynku rządowym z nożem w zębach i pistoletem za paskiem!

- No właśnie, rozumiesz?

Hakon Sand wciąż miał mokre włosy. W piwnicy panowała jednak lekka wilgoć, przez co schły dłużej niż zwykle, dlatego wciąż przegarniał palcami szpakowate kosmyki.

- Ale to nie może być żadna sprawa wewnętrzna. Po prostu w Norwegii tak się nie dzieje. A teoria szaleńca też się kupy nie trzyma. Wybrałby inne miejsce. Na litość boską, przecież norwescy ministrowie mają minimalną ochronę, z wyjątkiem właśnie miejsca pracy. Szaleniec zaatakowałby ją gdzieś na zewnątrz. W sklepie. Na meczu piłki ręcznej. Gdziekolwiek.

- Pod kinem - powiedział cicho Billy T.

- No właśnie. Zabójstwo Olofa Palmego było dla szwedzkiej policji o wiele większym wyzwaniem, ponieważ sprawcą mógł być każdy. A w sprawie Birgitte Volter mamy zupełnie przeciwny punkt wyjścia.

Popatrzyli na siebie i nagle, jak na sygnał, równocześnie podnieśli do ust filiżanki z kawą.

- Tego zabójstwa nikt nie mógł dokonać - powiedział Hakon Sand.

- Wobec tego musimy próbować się dowiedzieć, kim jest ten nikt - podsumował Billy T. - Idziemy?

To ostatnie okazało się trudne, bo dwulatek uczepił się lewej nogi Billy'ego T. i za skarby świata nie chciał puścić.

- Billit! Do łazienki!

Nie przestawał krzyczeć, kiedy obaj policjanci wsiadali do samochodu zaparkowanego przed białym przytulnym domem na Holmen veien 12, ale nagle ucichł, gdy rura wydechowa głośno

strzeliła, a volvo ruszyło po długim podjeździe.

- Ceść, Billit i tata - pomachał im i wsunął kciuk do buzi.

11.25

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

Szum w wielkim, wygiętym w łuk budynku policji na Gronlandsleiret 44 miał niską częstotliwość i rozbrzmiewał stale, jak w ulu. W środku trwała nieprzerwana systematyczna praca. Mogło się wydawać, że sam budynek ożył. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał. Poszarzały długi gmach, liczący siedem oficjalnych pięter z przetrąconym i ukrytym skrzydłem w postaci dwupoziomowego poddasza, na którym miała swoją siedzibę służba bezpieczeństwa, był przyzwyczajony do przyjmowania tysiąca sześciuset funkcjonariuszy, zazwyczaj na swój sposób walczących z przestępczością, która stale ich wyprzedzała i grała wszystkim na nosie. Słabe kwietniowe słońce zawisło zmęczone na niebie nad wzgórzem Ekeberg, ale budynek policji jakby zaczerpnął skądś nowych sił. Nagle się rozrósł, na długość i na szerokość. Okna, które zwykle przypominały osłabione, przymykające się oczy na świat, energicznie błyszcząły. Podciągnięto markizy i uchylono szyby, a ludzie do tej pory chowający się w swoich pokojach coraz częściej z nich wychodzili. Nawet dwa najwyższe, najbardziej odizolowane piętra odważyły się ujawnić. Nie wciskały się już w dach z nadzieją, że w ten sposób unikną kolejnego skandalu i drobiazgowej kontroli.

- Komendantowi trzeba przyznać jedno - stwierdził Billy T. - Zorganizował to wszystko niezwykle skutecznie.

Ogółem do śledztwa w sprawie zabójstwa premier Birgitte Volter skierowano stu czterdziestu dwóch policjantów w pełnym wymiarze godzin, do których dołączyła nieznana liczba funkcjonariuszy służby

bezpieczeństwa. W Komendzie Okręgowej Policji w Oslo pracowało szesnaście podgrup różnej wielkości. Najmniejsza składała się z trzech osób i miała wspomagać koordynację współpracy z POT. W największej, która zajęła salę gimnastyczną na siódmym piętrze, było w sumie trzydziestu dwóch policjantów. To oni byli w głównej mierze odpowiedzialni za zorganizowanie taktycznego śledztwa. Cały Wydział Wywiadu Kryminalnego już dociskał informatorów, porządkował dane i usiłował naszkicować obraz tego, co w ostatnim czasie działo się w podziemnym świątku Oslo. Billy T. wspólnie z czterema osobami pracował nad stworzeniem obrazu życia Birgitte Volter. Uważał to za wyjątkowe zadanie, o wiele ciekawsze od wyczerpujących przesłuchań, w jakich uczestniczył w pierwszej dobie po śmierci pani premier. Tone-Marit Steen w tej grupie nie było.

- Dlaczego, do diabła, ja mam go przesłuchiwać? - Billy T. nie krył irytacji. - Przecież ty już to zrobiłaś i to na pewno starannie.

- Chcę, żebyś jeszcze raz wziął go w obroty - powiedziała Tone-Marit cicho, podając mu cienką zieloną teczkę.

- Posłuchaj - Billy T. pchnął teczkę z powrotem w stronę koleżanki - musimy utrzymywać jakiś porządek w tym koszyczku z niemi. To wy się tym zajmujecie. Niemożliwe, żeby ten strażnik miał coś ważnego do powiedzenia na temat prywatnego życia Birgitte Volter.

- Wiem. Ale szczerze mówiąc, Billy, powinieneś przyjąć to jako komplement. Wydaje mi się, że ten facet kłamie, a ty jesteś najlepszy w przesłuchaniach. Bardzo cię proszę.

- Ile razy mam powtarzać... - Uderzył pięściami w stół. - Ile razy już mówiłem, że mam na imię Billy T.! Nie, Billy! Ty się tego nigdy nie nauczysz!

Tone-Marit gwałtownie zaczęła kiwać głową, przesadnie wyrażając

przeprosiny.

- Billy T. Co właściwie to T. oznacza?

- Akurat ciebie nie powinno to za cholere obchodzić! - warknął, nieco szerzej uchylając okno.

Wygląd Tone-Marit Steen potrafił zwieść. Miała na oko około dwudziestu lat, chociaż tak naprawdę do trzydziestki brakowało jej zaledwie dwóch, okrągłą twarz i ładne rysy z lekko skośnymi oczami, które zupełnie znikwały, kiedy się uśmiechała. Była wysoka i szczupła, grała na lewej obronie w reprezentacji kraju w piłce nożnej i dostała już złoty zegarek, tradycyjną nagrodę za rozegranie w kadrze co najmniej dwudziestu pięciu meczów. Podobna funkcja przypadła jej w policji: solidnego obrońcy wszystkiego, co słuszne i zgodne z prawem. Była silna, przytomna i nikogo się nie bała.

- Wiesz co? Ja się na coś takiego po prostu nie godzę! - Z oczu Tone-Marit strzeliły iskry, kącik ust zadrżał. - Z reguły traktujesz mnie jak gówno, niczego mi nie oszczędzasz. Nie życzę sobie, żebyś tak się do mnie odzywał. Rozumiesz?

Billy T. jakby spadł z księżyca.

- Spokojnie, moja mała! Spokojnie!

- Nie jestem twoją małą! Przestań! Jesteś po prostu cholernym męskim szowinistą, Billy T.! Zarywasz każdą dziewczynę, jaka tylko się pojawi, i wydaje ci się, że każdą poderwiesz, ale tak naprawdę... - tupnęła w podłogę, a Billy T. się roześmiał, co Tone-Marit rozzłościło jeszcze bardziej - ...ale tak naprawdę ty wcale nie lubisz kobiet, Billy T.! Ty się ich boisz. Nie tylko ja zauważyłam, że inaczej odnosisz się do kolegów, a inaczej do koleżanek. Powiem ci, że wszyscy tak myślą. Ty się po prostu nas boisz.

- Daj spokój, przecież wiele dziewczyn tutaj...

- Wcale nie wiele. Jedna. W całej komendzie jest jedna dziewczyna, którą naprawdę szanujesz, Billy T. Jej Królewska Mość Hanne Wilhelmsen! A wiesz dlaczego? Wiesz? - Przez moment jakby się zawahała, jakby nie wiedziała, czy starczy jej odwagi, by to powiedzieć, ale zwilżyła wargi czubkiem języka i zaczerpnęła głęboko powietrza: - Dlatego że jej nigdy nie zaciągniesz do łóżka. Dlatego że ona nie wchodzi w grę. Jediną kobietą, którą naprawdę szanujesz, jest lesbijka, Billy T.! Powinieneś się nad tym zastanowić.

- Przestań!!!

Billy T. wstał i kopnął kosz na śmieci, który z hukiem uderzył o ścianę. Potem zapadła cisza. Nawet w sąsiednim pokoju zapadło milczenie. Ale Billy T. nie zniżył głosu:

- Do jasnej cholery, nie będziesz mi tu mówiła źle o Hanne Wilhelmsen! Ty... ty jej do pięt nie dorastasz! Do pięt! I nigdy nie dorośniesz!

- Ja wcale nie mówię źle o Hanne - oświadczyła Tone-Marit spokojnie. - Ani trochę. Mówię źle o tobie. Gdybym miała coś do powiedzenia na temat Hanne, poszłabym do niej. A teraz rozmawiamy o tobie.

- Poszłabyś do Hanne? Poszła? Chyba raczej popłynęła!

Tone-Marit próbowała powstrzymać uśmiech, ale oczy ją zdradziły.

- Kurczę, aleś ty dziecinny!

- Kurczę, kurczę - przedrzeźniał ją cienkim głosem.

Wtedy Tone-Marit zaczęła się śmiać na całego. Wciąż próbowała się powstrzymać, ale śmiech wydzierał się z niej, wzbierał, aż w końcu wybuchnęła nim tak głośno i szczerze, że lzy ciurkiem pociekły jej z wąskich kresek pod brwiami. Usiadła na krześle, trzymając się za

brzuch i nie przestając się zarykiwać. W końcu Billy T. też nie mógł się powstrzymać. Zaśmiał się pod nosem, cicho przeklinając.

- No dobrze, porozmawiam z tym facetem - burknął wreszcie, sięgając po cienką zieloną teczkę. - Gdzie on siedzi?

- Przyprowadzę go - oświadczyła Tone-Marit, ocierając oczy, ale ciągle się śmiała.

- Wyjdź stąd, do jasnej cholery! - powiedział Billy T., ale z uśmiechem.

- Powinieneś porozmawiać z psychologiem - mruknęła do siebie Tone-Marit, kiedy już zamknęła drzwi.

11.30

Ole Brumms vei 212

- Nigdzie nie mogę jej znaleźć - powiedział Roy Hansen do młodziutkiej studentki szkoły policyjnej z warkoczami i dużymi niebieskimi oczami. - Przykro mi.

- I szukał pan wszędzie? - spytała zupełnie niepotrzebnie panienska, miętosząc w palcach czapkę od munduru. Wyglądała jak żywcem wyjęta z opowiadania Dziewczę ze Słonecznego Wzgórza.

- Oczywiście. Wszędzie. W torbach, szafkach, w kieszeniach i w szufladach.

Ta czynność wypełniła go dojmującym bólem. Czuł jej zapach wszędzie, cała szafa pachniała Birgitte, a cienki strup, którym pokryła się rana zadana w piątek wieczorem, został zerwany. Jej torebki pełne znajomych rzeczy. Breloczek do kluczy, który uplotł dla niej w tamte ciepłe miesiące, gdy skończyli dwadzieścia lat; węzeł bosmański, który nigdy się nie rozplątał i był - jak mówiła w żartach - równie mocny jak ich miłość. Ciemnoczerwona, prawie zużyta szminka. Na moment Birgitte stanęła mu przed oczami - szybki wprawny ruch przeciągania szminką po wargach. Bilet do Teatru Norweskiego, stary i wyblakły, z wieczoru, który będzie pamiętał do końca życia. Ten bilet kazał mu zrobić przerwę w poszukiwaniach. Roy stanął w sypialni i zaczął go wachać, tęskniąc za czasami sprzed Wielkiego Projektu - politycznej kariery Birgitte.

- Tej karty wstępu po prostu tutaj nie ma. Przykro mi.

Na kanapie siedział młody mężczyzna. Policjantka domyśliła się, że to syn. Był w mundurze, ale twarz miał straszliwie bladą. Próbowwała

się do niego uśmiechnąć, lecz wcale na nią nie patrzył.

- Wobec tego trudno. Może po prostu ją zgubiła. Naprawdę przepraszam, że przeszkadzam.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi domu, stanęła na schodach i zaczęła myśleć. W piątek Birgitte Volter zapomniała karty, to zostało już wyjaśnione. Mimo to dokładnie przeszukali jej gabinet. Nie było jej tam. Karta miała rozmiary karty kredytowej ze zdjęciem i paskiem magnetycznym na odwrocie. Zwykła państwowa karta wstępu. Która nie znalazła się też w domu wdowca. Dziwne.

No cóż. Premier mogła ją zgubić. Po prostu. Albo położyć ją gdzieś w mieszkaniu, w miejscu, o którym mąż nie pomyślał. Przecież tak niedawno stracił żonę. Może był zbyt rozkojarzony.

Młodziutka policjantka wsiadła do samochodu i włożyła kluczyk do stacyjki. Na chwilę znieruchomiała, lecz w końcu podjęła decyzję i włączyła silnik. Ale zagubiona karta nie schodziła jej z głowy.

12.07

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

Billy T. był w złym humorze. Mężczyzna siedzący po drugiej stronie biurka wcale mu go nie poprawił.

- Powtórzmy to jeszcze raz - powiedział surowo, próbując pochwycić umykające spojrzenie przesłuchiwanego. - A więc włączył się alarm. Z pokoju konferencyjnego przylegającego do pokoju wypoczynkowego pani premier o godzinie...

- ...siedem minut po wpół do szóstej. Jeśli mi nie wierzycie, możecie przeczytać dziennik.

- Co cię, na miłość boską, skłania, żeby przypuszczać, że ci nie wierzę? - spytał Billy T. - Posłuchaj! Spójrz na mnie!

Strażnik się nie ruszył, ale odrobinę podniósł wzrok.

- Dlaczego mielibyśmy ci nie wierzyć?

- A po co wzywalibyście mnie tu drugi raz? - zezłościł się strażnik.

Miał dwadzieścia siedem lat i kilka miesięcy. Tak mówiły dokumenty leżące przed Billym T. na biurku.

Był dziwną postacią. Nawet nie taki brzydki czy odrażający, ale do urody było mu daleko. W całym swoim wyglądzie miał coś nieprzyjemnego, trudnego do zdefiniowania. Twarz była wąska, podbródek ostry, włosy brudne i przetłuszczone. Oczy mogłyby być niebrzydkie, gdyby wyostrzył spojrzenie, bo rzęsy miał długie i ciemne. Wiek kompletnie niemożliwy do określenia, Billy T. musiał spojrzeć w dokumenty. Facet mógł mieć dwadzieścia lat, ale równie dobrze zbliżyć się do czterdziestki.

- Musisz chyba pojąć, że twoje zeznania są cholernie ważne,

człowieku!

Billy T. sięgnął po szkic szesnastego piętra - kopię folii, którą komendant pokazywał im dzień wcześniej.

- Spójrz na to! - Stuknął palcem w pokój konferencyjny, który rzeczywiście od gabinetu pani premier oddzielał jedynie wąski pokoik wypoczynkowy. - Byłeś tutaj. W bardzo krytycznym momencie. Opowiedz, co się stało.

Strażnik parsknął jak koń. Kropelki śliny upadły na blat biurka, a Billy T. się skrzywił.

- Ile razy mam to powtarzać? - spytał chłopak z kwaśną miną.

- Dokładnie tyle razy, ile ja zechcę.

- Mogę dostać coś do picia? Szklankę wody?

- Nie.

- Nie mam prawa nawet do szklanki wody?

- Nie masz prawa do czegokolwiek. Jeśli chcesz, możesz wstać i wyjść z komendy. Jesteś świadkiem i zależy nam na tym, żebyś złożył zeznania dobrowolnie. I powinieneś to zrobić! Natychmiast!

Billi T. mocno uderzył pięściami w stół i natychmiast zacisnął zęby. Dłonie bolały go już po tamtym wybuchu pół godziny temu, a teraz ból przeszył przedramiona. Ale pomogło. Strażnik dosłownie usiadł na baczność. Wyprostował się i wyprężył pierś.

- Siedziałem na dole. W dyżurce. Włączył się alarm w pokoju konferencyjnym. To są takie ciche alarmy, nie słyhać ich w danym miejscu, tylko u nas. Ciągłe się uruchamiają, chyba co drugi dzień, i zwykle za bardzo się nimi nie przejmujemy - mówiąc, zwracał się do brzegu biurka. - Ale oczywiście musimy sprawdzać, zawsze. Więc poszedłem na górę... To znaczy powinniśmy zawsze sprawdzać we dwóch, ale mieliśmy dość ciężki dzień z powodu tego remontu i mój

kolega zasnął. Poszedłem sam. - Teraz próbował się porozumiewać ze zmaltratowanym koszem na śmieci w kącie. - Pojechałem windą na piętnaste, bo to ten drugi, ten, który zasnął, miał klucze do windy na samą górę. Powiedziałem cześć temu, który siedział za szybą, i po schodach wszedłem na szesnaste.

- Chwileczkę! - Billy T. zamachał ręką. - Można wjechać windą aż na szesnaste piętro? Bez mijania strażnika w szklanej budce?

- Tak, na siedemnaste też. Ale trzeba mieć klucz. Bez klucza winda jedzie tylko na piętnaste.

Billy T. zdziwił się, że o tej możliwości nie wspomniano podczas wczorajszego zebrania. Chwilowo postanowił nie zgłębiać tej kwestii, bo tak oczywisty dostęp do gabinetu pani premier musiał zostać odnotowany przez tych, którzy się tym zajmowali. Na wszelki wypadek jednak naskrobał słowo „winda” na żółtej karteczce, którą przylepił do abażuru lampy.

- Mów dalej - poprosił.

- Wszedłem do pokoju konferencyjnego i tam nikogo nie zastałem. Jak zawsze jakieś zwarcie. Nie udało im się porządnie zainstalować tego systemu.

- Czy drzwi do pokoju wypoczynkowego były otwarte? Strażnik nagle na niego spojrział. Po raz pierwszy. Zawahał się, a Billy T. gotów był przysiąc, że przez jego policzek przebiegł maleńki skurcz.

- Nie, zamknięte. Otworzyłem je i zajrzałem do pokoju wypoczynkowego. Mam taki obowiązek, bo ktoś mógł się przecież tam ukryć. Ale tam też było pusto. Drzwi do pokoju wypoczynkowego i do gabinetu pani premier były zamknięte. Nie ruszałem ich.

- A potem?

- Potem... potem wróciłem na dół. I tyle.

- Dlaczego nie rozmawiałeś z sekretarką?

- Z sekretarką? A dlaczego miałbym z nią rozmawiać? Strażnik wyglądał teraz na szczerze zdziwionego, ale znów opuścił wzrok, jakby zaczął przyglądać się czemuś na piersi Billy'ego T.

- Normalnie tego nie... Zresztą wcale jej tam nie było!

- Owszem, była. Siedziała w sekretariacie całe popołudnie i wieczór.

- Nie było jej. - Strażnik energicznie pokręcił głową. - Mogła wyjść do toalety, nie wiem, w każdym razie jej tam nie było. Mogę to zobaczyć...? - Nachylił się nad szkicem i pokazał. - Widzi pan? Zobaczyłbym ją stąd.

Billy T. przygryzł policzek.

- Mhm. No dobrze.

Zdjął żółtą karteczkę z lampy o ruchomym ramieniu i naskrobał na niej „toaleta?”, po czym znów ją przykleił do abażuru.

- No to zszedłeś do... Jak to nazwałeś?

- Do dyżurki.

- Aha.

Billy T. odwrócił się w stronę półki z emaliowanego aluminium, którą miał za plecami, sięgnął po termos i nalał parującej kawy do kubka z portretem Pucciniego. Strażnik tęsknym wzrokiem spojrzał na kubek, ale niewiele to dało.

- Widzę, że interesuje cię broń - powiedział Billy T., głośno dmuchając na parującą kawę.

- To tak po mnie widać? - spytał chłopak ze złością i spojrzał na zegarek.

- Zabawne. Tak lubisz żartować? Widzisz, mam tu różne dokumenty i w nich jest to napisane. Wiem o tobie naprawdę sporo.

Mam nawet twoje poświadczenie bezpieczeństwa po weryfikacji. - Prowokująco machnął jakąś kartką, po czym schował ją na sam spód.

- Tego nie powinien pan mieć - rozzłościł się strażnik. - To bezprawne!

Billy T. roześmiał się i pochwycił spojrzenie chłopaka, który nie zdołał już odwrócić wzroku.

- Coś ci teraz powiem. W obecnej sytuacji nie za bardzo przestrzegamy reguł. Jeśli chcesz się na coś poskarżyć, możesz próbować. Zobaczymy, czy znajdzie się ktoś, kto będzie mógł poświęcić na to czas. Ale wątpię, żeby tak było. Jaką masz broń?

- Mam cztery sztuki. Wszystkie zarejestrowane. Wszystkie legalne. Leżą u mnie w domu, więc jeśli chce pan do mnie przyjść, to... - Gwałtownie urwał.

- To co?

- Mogę je przynieść tutaj, jak pan sobie życzy.

- Wiesz, że faktycznie sobie życzę. Ale podkreślam, że to zupełnie dobrowolne z twojej strony. Ja ci tego nie nakazuję.

Strażnik mruknął coś, czego Billy T. nie dosłyszał.

- Jeszcze jedno - powiedział nagle policjant. - Znasz Pera Voltera?

- Syna pani premier?

- Tak. Skąd wiesz, że o niego pytam?

- Przecież czytałem gazety. Całe mnóstwo w ostatnich dniach. Nie, nie znam go.

Zaniepokojenie strażnika przybrało na sile. Wyrażał je teraz całym sobą. Błyskawicznym ruchem przełożył nerwowo lewą nogę na prawą.

- A zresztą - dodał nagle. - Wiem, kto to jest. Dobry strzelec. Bierze udział w zawodach.

- To znaczy, że go poznałeś?

Strażnik namyślał się tak długo, że to wręcz zmuszało do zastanowienia.

- Nie - powiedział i po raz drugi popatrzył wprost w błękitne jak lód oczy Billy'ego T. - Nigdy go nie spotkałem. Nigdy w całym moim życiu.

14.10

Motzfeldts gate 14

Z głośników komputerowych popłynęła szybka elektroniczna melodyjka, która zaraz przeszła w przeciągłe wycie. Liten Lettvik z cygaretką w kąciku ust przeszła do swojej pracowni owinięta dużym ręcznikiem. Urządzenie potrzebowało chwili na odbiór wiadomości i kiedy wreszcie na dole z prawej strony ekranu pojawiła się maleńka koperta, Liten natychmiast weszła do skrzynki odbiorczej.

Wiadomość nie miała nadawcy. Liten przesunęła kursor na najwyższą linijkę i dwa razy kliknęła. Postanowienie o przedstawieniu zarzutów. Konrad Storskog dotrzymał obietnicy. Liten nie była pewna, czy dotrzyma swojej.

16.30

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

- Zaczynam mieć serdecznie dość tych konferencji prasowych - mruknął prokurator Hakon Sand.

Rzecznik prasowy komendy przyszedł z dobrze płatnej posady w „Dagbladet”, zdumiewając wszystkich chęcią podjęcia się niewdzięcznego zadania informowania społeczeństwa o wszystkim, z czym nie radziła sobie policja.

- Briefing prasowy, Hakon. To nie jest konferencja - powiedział, przytrzymując drzwi do sekretariatu komendanta okręgowego policji.

- Ale cztery razy dziennie? To naprawdę konieczne?

- Najlepszy sposób na uniknięcie spekulacji. Poza tym świetnie sobie poradziłeś. Do twarzy ci w mundurze. A teraz masz cztery godziny do następnego razu. Możesz się cieszyć.

- Do tej pory na pewno nie będziemy mieć niczego nowego. - Hakon Sand poluzował kołnierzyk, ciągle ze sztucznego włókna, które odparzało skórę na szyi.

W pokoju było sześciu mężczyzn. Jeden ustawiał rzutnik do slajdów, drugi usiłował dojść, jak działają żaluzje. Ale nie udało mu się, więc w końcu musiał wezwać sekretarkę. Zaciemniła pokój w trzydzieści sekund i zanim wyszła, zapaliła światło.

- Mamy wstępne wyniki sekcji - oznajmił komendant. Niebieskoczarny cień na podbródku zmieniał mu się już w pełny zarost. - To właściwie bardzo dokładny raport. Mieliśmy rację co do czasu zgonu. Między wpół do szóstej a siódmą. Nic konkretniejszego nie da się na razie ustalić. Zmiany temperatury w

pokoju były tak duże, że to w ogóle będzie raczej trudne.

Dał znak Hakonowi, który wstał i zgasił światło. Na ścianie ukazało się zdjęcie - zbliżenie głowy premier Birgitte Volter. W jasnych włosach wyraźnie było widać dziurkę. Niedużą, okrągłą, z czarnymi brzegami. I strużkę krwi, która zakrzepła we włosach. Komendant skinął głową naczelnikowi Biura Kryminalnego, który wszedł w krąg światła projektora i wyjął składany wskaźnik.

- Jak widzicie, wlot kuli jest nieduży. Sama kula utkwiała tutaj.

Wcisnął guzik na pilocie i ukazało się kolejne zdjęcie. Pod włosami widać było wyraźny guzek, wielkości dużego bolącego pryszcza.

- Kula weszła w skroń, przeszła przez mózg i czaszkę po drugiej stronie i ułożyła się w poprzek w tym miejscu, tuż pod skórą. Birgitte Volter zginęła natychmiast.

Znów kliknął.

- A to jest kula.

Wyglądała niepozornie, mimo że była znacznie powiększona. Czarno-biała miarka obok zdradzała, że to amunicja małego kalibru.

- Dziwne jest to... - powiedział i urwał. - No nic, zapoznajmy się najpierw z wnioskami techników.

Kolejne kliknięcie przywołało rysunek. Przedstawiał kobietę siedzącą na krześle obrotowym z rękami na blacie. Za nią stał mężczyzna z twarzą bez rysów. W ręku trzymał broń, rewolwer skierowany w skroń kobiety.

- To musiało przebiegać mniej więcej tak. Oczywiście jest, że broń dotykała skroni w chwili oddania strzału. Widać to po oparzeniach wokół rany wlotowej. A to oznacza, że sprawca musiał stać za nią. Z przodu raczej nie było miejsca.

Wskaźnik puknął w blat biurka na rysunku.

- Oczywiście nie będziemy spekulować, ale to może wyglądać na...

- ...na szantaż - dokończył Hakon Sand.

Pozostali popatrzyli na niego. Szef służby bezpieczeństwa, teraz w antracytowym garniturze z czerwonym krawatem, przymknął oczy i gwałtownie wypuścił powietrze przez nos, aż rozległo się piśnięcie.

- Tak. Może na to wyglądać. A w dodatku...

Naczelnik przywołał kolejne zdjęcie. Teraz rana w głowie pani premier rozwarła się na nich tysiąckrotnie powiększona.

- ...widzimy tu szczątki włókien. Wełnianych, jak się okazuje. Przypuszczamy, że pochodzą z szala, który premier miała na sobie, a którego na razie nie udało nam się znaleźć. Czarne i czerwone wełniane włókna. Co oznacza, że...

- ...została zastrzelona przez własny szal? - spytał Hakon Sand. - Miała go na głowie?

Naczelnik Biura Kryminalnego wydawał się zirytowany tymi wtętami.

- Proponuję, żebyśmy dyskusję odłożyli na później - powiedział z gniewem i machnął wskaźnikiem, który nieoczekiwanie zaczepił o gwóźdź po obrazie zdjętym na tę okazję. - Nie, nie miała szala na głowie. Nosila go na ramieniu. Ale mogła go mieć na głowie akurat wtedy, niemal jak...

- ...kaptur - mruknął Hakon Sand. - Sprawca zasłonił jej oczy.

- Właśnie - włączył się szef służby bezpieczeństwa, poprawił krawat i nachylił się do przodu. - Ten człowiek mógł jej zarzucić szal na głowę, żeby jeszcze bardziej ją wystraszyć. Znana taktyka. Uniemożliwił ofierze zobaczenie czegokolwiek. To wywołuje u ludzi dezorientację. Mam na myśli ciemność.

- I w tym momencie dochodzimy do tego, co wydaje mi się

najdziwniejsze w tej sprawie. - Naczelnik Biura Kryminalnego najwyraźniej postanowił, że nie będzie zwracał uwagi na wtrącenia nie w porę. - Kaliber.

Na ścianie znów pojawiło się zdjęcie kuli.

- Jest za mały.

Komendant teraz wstał, stanął przy oknie i patrząc na pokój, zaczął rozcierać krzyż.

- Co masz na myśli, mówiąc, że jest za mały?

- Siedem przecinek sześćdziesiąt dwa milimetra. Mały. Najpopularniejszy kaliber broni to raczej dziewięć milimetrów albo trzydzieści osiem, jak się to określa w Stanach. Ale przy tak małokalibrowej amunicji nie było wcale pewności... - Podrapał się w czoło i trochę zbyt długo zwlekał.

- Nie było pewności, że ona umrze! - Hakon Sand ucieszony wychylił się do przodu.

- No właśnie - mruknął z rezygnacją naczelnik i spojrzał w sufit.

- Miałem kiedyś do czynienia z czymś takim - ciągnął Hakon. - Facet strzelił sobie w głowę dwa razy. Dwa razy! Pierwsza kula przeszła przez mózg, nie wyrządzając aż tak wielkich szkód. W każdym razie nie takich, by umarł momentalnie. Ale dlaczego... - Tym razem to on się zawahał, więc naczelnik podjął:

- Otóż to. Dlaczego osoba, która ma zamiar zabić premier Volter i jest na tyle sprytna, żeby przedostać się do być może najlepiej strzeżonego gabinetu w Norwegii, bierze ze sobą broń, która w zasadzie się do tego nie nadaje? Nie dość na tym... - Czerwonym końcem wskaźnika obrysował kontury kuli. - To bardzo rzadki kaliber. W każdym razie u nas w kraju. Takiej amunicji nie da się normalnie kupić, choć oczywiście można ją sprowadzić na zamówienie.

- Ale jeśli... - zaczął komendant, podchodząc do ściany służącej jako ekran. - Jeśli ten człowiek stosował jakąś formę nacisku... to znaczy przyszedł, żeby ją tylko zaszantażować, a nie zabić... To o co mogło mu chodzić? I dlaczego to zrobił, skoro od początku nie miał takiego zamiaru?

W pokoju zapadła cisza. Zrobiło się duszno. Komendant wcisnął jakiś klawisz w telefonie.

- Kawa - powiedział i wcisnął jeszcze raz.

Dwie minuty później sześciu mężczyzn siedziało przy stole konferencyjnym komendanta policji i popijało kawę. W końcu szef służby bezpieczeństwa odstawił biały kubek i lekko chrząknął.

- Król Jordanii miał przyjechać w najbliższą środę. Incognito.

Popatrzyli po sobie. Komendant policji intensywnie wpatrywał się w szefa Wydziału Wywiadu Kryminalnego, przystojnego rudowłosego mężczyznę, który przez całe spotkanie nie odezwał się ani słowem, co było do niego bardzo niepodobne.

- Ostatnia próba ratowania resztek porozumienia z Oslo - wyjaśnił po krótkiej przerwie szef służby bezpieczeństwa Ole Henrik Hermansen i rozejrzał się po pokoju, wyraźnie czegoś szukając. - Czy tu można zapalić?

- Właściwie nie. - Komendant podrapał się w głowę. - Ale dzisiaj niech będzie.

Z szuflady biurka wyjął szklaną popielniczkę i postawił ją przed Hermansenem, który już zdążył zapalić papierosa.

- W związku ze śmiercią premier Volter ta wizyta zostanie oczywiście odwołana, ale to może być jakiś trop. Istniały jednak też inne, znacznie mniej dramatyczne sposoby na powstrzymanie króla Jordanii od przyjazdu. Gdyby wiadomość o jego spotkaniu z Birgitte

Volter wyciekła, wystarczyłby jeden telefon z pogrózkami do nas. - Kółka dymu utworzyły łańcuszek aureoli nad jego głową. - No i są oczywiście prawicowi ekstremiści. Jak wiecie, zaczęli się uaktywniać. Gazety co prawda przesadzają, ale mamy pewną wiedzę o tym, że dwie czy trzy grupy są dostatecznie silne w wierze, by planować zabójstwo. Do tej pory uważaliśmy, że to zbyt luźne organizacje, za mało fanatyczne. Wygląda jednak na to, że sytuacja się zmieniła.

- Ale - Hakon Sand podniósł rękę jak przejęty uczeń - jeśli rzeczywiście stoją za tym ekstremiści, to... dlaczego nie przyznali się do zabójstwa? Czy taki czyn nie traci sensu, jeśli świat się nie dowiadyuje, kto jest sprawcą?

- Punkt dla ciebie - powiedział Ole Hermansen, nie patrząc na Hakona. - Spodziewaliśmy się takiej wiadomości. Nie przyszła. Jeśli jednak za zabójstwem rzeczywiście stoi któreś z tych ugrupowań, to mamy gigantyczny problem. W piątek.

- Pogrzeb - dodał zmęczonym głosem komendant.

- Właśnie. Premier zajmowała najwyższe miejsca na tych tak zwanych listach śmierci. Wszyscy pozostali, którzy się na nich znajdują, naprawdę wszyscy, będą na tym pogrzebie.

- To będzie czyste piekło - odezwał się dowódca antyterrorystów, czarnowłosy umięśniony olbrzym.

- Możesz mieć rację - przyznał szef służby bezpieczeństwa i zdecydowanym mocnym ruchem zgasił papierosa. - Może właśnie dlatego do tej pory nie wystosowali żadnego oświadczenia. Czekają. To jest możliwe. Absolutnie możliwe.

21.39

Stolmakergata 15

*Non potendo carezzarmi,
le manine componesti in croce!
E tu sei morto senza sapere
quanto t'amava questa tua mamma!*

Billy T. stał w maleńkiej sypialni, która wydawała się jeszcze mniejsza z powodu piętrowych łóżek po obu stronach. Odległość między nimi wynosiła niespełna pół metra. Zrobił sobie przerwę w ścieleniu i położył głowę na dłoniach, opierając się o wyższe łóżko. Muzyka dudniła w całym mieszkaniu. Miał głośniki w każdym pomieszczeniu, również w pokoju chłopców, choć jego usilne próby nauczenia czterech młodych mężczyzn w wieku od sześciu do ośmiu lat miłości do opery na razie spełzały na niczym.

Siostra Angelica wypłakiwała swój żal nad zmarłym synem w połowie Tryptyku Pucciniego, a Billy T. przyłożył kołdrę do twarzy i zamknął oczy. Pod powiekami paliło. Od piątku rano spał pięć godzin. Sen miał niespokojny, rzucał się z boku na bok i kiedy się zbudził, czuł się bardziej zmęczony, niż kiedy się kładł. Wkrótce będzie musiał skapitulować przed rohypnolem stojącym w łazienkowej szafce niczym ratująca życie boja. Nie tykał tabletek już od roku.

Potarł twarz poszwą. Oczy nie przestawały piec. Chłopcy powinni spędzić z nim cały weekend. Cierpliwie i z dorosłą wyrozumiałością

czterej przyrodni bracia pogodzili się z koniecznością rozwiezienia ich do matek w sobotę przed południem, po tym jak siostra Billy'ego T. zastąpiła go, wezwana w piątek wieczorem.

- Tata będzie szukał mordercy - wyjaśnił młodszemu najstarszy Alexander. - To tata go znajdzie. Prawda, tato?

Teraz tata miał dosyć. Serdecznie dosyć. Przeszedł do salonu i usiadł w jedynym wygodnym fotelu, jaki tam stał - gigantycznym angielskim uszaku z wytartym skórzanym obiciem. Nogi ułożył na stoliku, starym zniszczonym, kupionym na pchlim targu. I jeszcze podkręcił pilotem głośność w ogromnej wieży stereo.

M'ha chiamata mio figlio!

Dentro un raggio di stelle

me apparso il suo sorriso

mha detto: „Mamma, vieni in Paradiso!”

Addio! Addio!

Addio, chiesetta! In te quanto ho pregato.

Wziął do ręki libretto, chociaż właściwie znał tekst na pamięć. Nieduża broszurka prawie zniknęła w jego wielkich dłoniach. Siedział otumaniony, patrząc przed siebie. Ledwie usłyszał dzwonek. Zirytowany próbował zobaczyć, która godzina, w końcu oczy odnalazły kominkowy zegar. Ściszył muzykę.

- Dobrze, dobrze - powiedział, kiedy dzwonek rozległ się jeszcze raz, zanim dotarł do drzwi.

Zaczął się szarpać z zamkiem i dzwonek znów się odezwał.

- Już, już - burknął i szarpnął drzwi, otwierając je na oścież,

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był olbrzymi worek żeglarski, który

nie został starannie zawiązany, więc wielki wełniany sweter usiłował się z niego wydostać. Potem dostrzegł parę kowbojek, wyjątkowo ładnych, niezwykłych, z wężowej skóry, z prawdziwymi srebrnymi okuciami. Wtedy podniósł wzrok.

Kobieta, która przed nim stała, uśmiechała się szeroko. Miała półdługie brązowe włosy i bardzo niebieskie oczy z wyraźną czarną obwódką wokół tęczówki. Ubrana była w nową jasną skórzaną kurtkę z krótkimi frędzlami na karczku i indiańskimi haftami na kieszeniach. Była opalona. Jej skóra miała lekko złocistą barwę bez odrobiny czerwieni, jakby długo przebywała w stronach, gdzie jest dużo słońca. Od kącików oczu w stronę skroni biegły cienkie białe paseczki. Wybuchnęła śmiechem.

- Wyglądasz, jakbyś spadł z księżyca! Mogę się u ciebie zatrzymać?

- Hanne - szepnął. - To nie może być prawda. Hanne!

- *It's me, all right* - powiedziała, kiedy Billy T. dał krok ponad workiem, objął ją, uniósł i wrócił do mieszkania.

Posadził ją na fotelu i rozłożywszy ręce, zawołał:

- Hanne! Skąd się tu wzięłaś? Kiedy przyjechałaś? Długo zostaniesz?

- Przyniesiesz mój worek?

Billy T. przyniósł worek i wyłączył operę.

- Chcesz coś? Napijesz się czegoś?

Poczuł się jak dziecko. Poczzerwieniał z radości, co było dla niego kompletną nowością, lecz wcale nie było nieprzyjemne. Hanne Wilhelmsen wróciła! Przyjechała do kraju. Będzie u niego mieszkać. W lodówce leżała połówka pizzy domowej roboty z piątku i pięć puszek ringnesa. Wziął dwie, włączył piekarnik i jedną puszkę rzucił Hanne.

- Opowiadaj! - zażądał, siadając przy niej na podłodze. Objął ją za kolana i popatrzył jej w oczy. - Kiedy przyjechałaś?

- Teraz. Mnóstwo opóźnień po drodze i w ogóle. Jestem cholernie zmęczona. Która właściwie godzina? - Nie czekając na odpowiedź, pogładziła go po łysej głowie. - Tak się cieszę, że cię widzę, Billy T. Jak się czujesz?

- Dobrze - powiedział zniecierpliwiony. - Wracasz do pracy? Od razu?

- Nie. Mam bezpłatny urlop do Bożego Narodzenia i jadę z powrotem do Kalifornii. Za jakiś czas. Ale po prostu nie mogłam wytrzymać tak daleko. Cecilie zrozumiała. Widziała, że oszaleję, będąc tam, podczas gdy tutaj... - Zatoczyła łuk ręką, w której trzymała puszkę, aż piwo chlapnęło. - Nie mogłam cię zostawić samego z tą sprawą. Mogę ci pomóc jako... wolny strzelec? Żebyś nie był już sam.

- Sam?

Wtulił twarz w jej kolana i mocniej objął za nogi, ale cały się trząsał ze śmiechu. Trzęsa się i ona.

- Przecież nad tą sprawą pracuje ze dwieście osób!

- Ale nie ma nikogo takiego jak ja - roześmiała się Hanne Wilhelmsen.

Billy T. chłonał ten śmiech, który przyjemnie wpelzał mu do uszu, do mózgu i rozchodził się wzdłuż kręgosłupa. Komisarz Hanne Wilhelmsen wróciła. Do Norwegii. Do Oslo. Przyjechała mu pomóc.

- Tak się cieszę, że jesteś - szepnął. - Ja... - Urwał i podrapał się w plecy.

- Stęskniłeś się za mną. A ja za tobą. Gdzie będę spać? Nasze mieszkanie wynajęliśmy, więc mam nadzieję, że się zgodzisz, żebym zatrzymała się u ciebie.

- To zależy - powiedział Billy T. - Zaryzykujesz spanie ze mną w jednym łóżku czy wolisz spać u dzieci?

- To ostatnie będzie chyba bezpieczniejsze - odparła i głośno ziewnęła.

- Dobrze, ale najpierw rozprawimy się z winem, co?

Hanne Wilhelmsen popatrzyła na puszkę z piwem, ledwie napoczętą.

- Prawdę mówiąc, o niczym innym bardziej nie marzę niż o tym, żeby się napić z tobą wina. O niczym.

- Jest jeszcze pizza - roześmiał się Billy T. - Sam zrobiłem!

Zegarek na nocnym stoliku świecił na zielono, informując, że doba ma już cztery godziny i pięć minut. Billy T. zrzucił koldrę i leżał w poprzek robionego na zamówienie łóżka. Był w bokserkach i koszulce piłkarskiej drużyny San Francisco 49ers w rozmiarze XXXL, prezencie od Cecilie, i lekko pochrapywał z otwartymi ustami. Hanne stanęła, patrząc na niego. Przez chwilę chciała zmienić decyzję, w końcu jednak po cichu podeszła i ułożyła się przy tym potężnym ciele.

- Mam strasznie złe sny - szepnęła. - A tamto łóżko jest takie twarde.

Billy T. kilka razy cmoknął i zrobił jej miejsce. Potem objął ją lewą ręką i mruknął:

- Wiedziałem, że kiedyś w końcu zaciągnę cię do łóżka.

Hanne roześmiała się w ciemności. Oboje zasnęli.

09.15

Sąd Najwyższy

Benjamin Grinde wpatrywał się w pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, lekko kręcąc głową.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co mam powiedzieć. Tak jak mówiłem wczoraj przez telefon, policja przyznała, że to wszystko było jednym wielkim nieporozumieniem. Po prostu nie mam pojęcia, w jaki sposób prasa się o tym dowiedziała.

Prezes przysunął gazetę do twarzy. Szkła okularów miał wyjątkowo mocne, przez co oczy wydawały się bardzo małe. A teraz jeszcze je mrużył.

Zarzuty dla sędziego Sądu Najwyższego

Benjamin Grinde jest ostatnią osobą, która widziała premier Volter żywą.

Liten Lettvik (tekst)

Trond Kjevik (zdjęcia)

Policja już od trzech dni uparcie zaprzecza, by w sprawie zabójstwa premier Volter dokonano jakichkolwiek zatrzymań, a tymczasem nie jest to prawda. Zarówno policja, jak i sam sędzia Sądu Najwyższego Benjamin Grinde rozpaczliwie usiłują ukryć, że Grinde już w piątek wieczorem został zatrzymany we własnym domu.

Zaledwie pół godziny po znalezieniu zwłok premier Birgitte Volter w jej gabinecie sporządzono postanowienie o przedstawieniu zarzutów wobec sędziego Sądu Najwyższego Benjamina Grindego (zdjęcie obok). Wszystko wskazuje na to, że znany prawnik, ponadto przewodniczący komisji powołanej przez rząd jesienią ubiegłego roku, był ostatnią osobą, która widziała premier Volter żywą. Grinde odmówił „Kveldsavisen” komentarza w tej sprawie, ale jak udało nam się dowiedzieć, twierdzi, że jego wizyta w gabinecie Birgitte Volter późnym popołudniem w piątek była wyłącznie rutynowa. Policja nie chce tego potwierdzić. Komenda Okręgowa w Oslo otoczyła to postanowienie o przedstawieniu zarzutów murem milczenia. Komendant Hans Christian Mykland stwierdził krótko, że zarzuty już dawno wycofano, gdyż opierały się na nieporozumieniu. Reakcje polityków na tę sprawę są różne. Jedni nie kryją szoku, inni wstrzymują się z komentarzami.

- Niedobrze - mruknął prezes. - Naprawdę nie jest dobrze. Benjamin Grinde wpatrywał się w stół przed sobą. Wzrok utkwiał w grubym czerwonym tomie zawierającym wszystkie norweskie ustawy. Lew w godle państwowym szczyrzył się do niego arogancko i wyniośle. Grinde zamrugał.

- Nietrudno się z tym zgodzić - powiedział cicho. - Co mam robić? Czego byś sobie życzył? Mam tymczasowo zawiesić pełnienie obowiązków sędziego?

Prezes odłożył gazetę, wstał, okrążył masywny dębowy stół i podszedł do okna obramowanego ciemnozielonymi aksamitnymi storami. Zapatrzył się w fasadę budynku naprzeciwko, na której wyryto w kamieniu pierwsze nuty hymnu Norwegii Tak, kochamy ten kraj. Być może Ministerstwo Finansów pragnęło zapewnić świat o swoim patriotyzmie w czasach, gdy za wszelką cenę starano się oszczędzać majątek wypływający z Morza Północnego niczym z czarodziejskiego źródła.

- Ładne zdjęcie - mruknął prezes, kładąc dłonie na szybie.

- Słucham?

- Bardzo ładne twoje zdjęcie. W gazecie.

Odwrócił się i spokojnie usiadł z powrotem. Przez chwilę mogło się wydawać, że odpłynął gdzieś daleko, ale Benjamin Grinde wiedział, że pierwszy prezes Sądu Najwyższego to człowiek, który najpierw myśli, a dopiero potem mówi, więc nie przejął się tym milczeniem.

- To by było niesłuszne - orzekł w końcu. - Zarzuty najwyraźniej nie miały żadnych podstaw i odsunięcie cię od wykonywania obowiązków oznaczałoby uleganie spekulacjom prasy. Ale na wszelki wypadek należy to przedyskutować z adwokatami.

Wstał i otworzył drzwi czworgu pozostałym sędziom, którzy czekali już w czarnych togach z purpurowym aksamitem przy szyi. Prezes odciągnął najstarszego na bok i przeprowadził z nim ściszoną rozmowę, która nie dotarła do innych. Za chwilę pojawił się sekretarz sądu i zgodnie z rytuałem oświadczył:

- Adwokaci są w ławach.

Sędzia senior lekko skinął głową pozostałym, którzy ustawili się za nim w ustalonym porządku, z Benjaminem Grindem na końcu, ponieważ otrzymał mianowanie ostatni.

Podniosłe uczucie, jakie zawsze go ogarniało, gdy po krótkim oficjalnym skinieniu głową adwokatom siadał w tej sali sekundę po przewodniczącym składu sędziowskiego, zniknęło. Krzesło z wysokim oparciem nagle stało się niewygodne, a w todzie było mu za gorąco.

- Otwieram posiedzenie. Zajmiemy się dziś kasacją numer...

Benjamin Grinde poczuł się niedobrze. Sięgnął po szklanekę z wodą, ale ponieważ ręce mu się trzęsły, nie podniósł jej.

- Czy są jakieś zastrzeżenia co do składu sędziowskiego?

Przewodniczący przenosił wzrok z jednego adwokata na drugiego, którzy stali wyprostowani za ławą znajdującą się naprzeciwko ławy sędziowskiej w kształcie litery U. Młody adwokat pierwszy raz występował przed szacownym zgromadzeniem. Była to jedna z dwóch spraw próbnych, od których zależała jego dalsza kariera. Grdyka podskakiwała mu jak jo-jo, uniemożliwiając wykrztuszenie słowa, gorączkowo więc pokręcił tylko głową. Natomiast blisko sześćdziesięcioletnia kobieta, już od dawna posiadająca uprawnienia do występowania przed Sądem Najwyższym, oświadczyła zdecydowanym głosem:

- Nie.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że dzisiejsza sytuacja jest dość wyjątkowa - ciągnął przewodniczący, bezcelowo przerzucając leżące przed nim wydruki sądowe rozmaitej jakości, chociaż widział je już wcześniej. - Zakładam, że obrońcy zapoznali się z treścią artykułu, jaki ukazał się w jednej z porannych gazet, opisującego sędziego Grindego. - Lekko skinął głową na lewo. - Miały mu jakoby zostać przedstawione zarzuty w tej tragicznej sprawie, o której wszyscy wiemy. No cóż, z naszej strony zbadaliśmy sytuację i uzyskaliśmy potwierdzenie od prokuratora krajowego, że była to pomyłka. Dlatego nie uważam, aby sensacyjny artykuł w... tabloidzie - słowo to wymówił z taką miną, jakby wbił zęby w cytrynę - miał skutkować zawieszeniem sędziego Sądu Najwyższego w wykonywaniu obowiązków. Ale tak jak mówiłem, sytuacja jest wyjątkowa, dlatego mecenasom pozostawiam podjęcie decyzji, czy sędzia Grinde zasługuje na niezbędne zaufanie. Pytam więc ponownie, podkreślam: w imię porządku, czy są jakieś zastrzeżenia co do obecnego składu sędziowskiego?

- Nie!

Tym razem adwokaci odpowiedzieli chórem. Młody mężczyzna nachylił się nad ciężką ławą z tekowego drewna. Z wysiłkiem przełykał ślinę. Kiedy przewodniczący udzielił mu głosu, gwałtownie się wyprostował.

Nastąpiła długa pauza i adwokat zakołysał się na piętach. Sędziowie nie mogli widzieć, jak jego przeciwniczka zaciska dłoń z kciukiem uniesionym w geście dodającym otuchy, ponieważ zrobiła to dyskretnie, pod osłoną ławy, ale stojący obok niej mężczyzna był już tak zdenerwowany, że też tego nie zauważył.

Benjamin Grinde był bliski śmiechu i aż pogładził się po ustach, próbując zetrzeć z nich wesołość. To się nigdy dotychczas nie zdarzyło. Nigdy nie stracił powagi, od jakiej najwyższy sąd w kraju był uzależniony. W tych salach musiała panować atmosfera dostojności. Ale dobrze wiedział, z czym zмага się młodszy adwokat.

Mężczyzna miał kredowobiałą twarz i oddychał płytko, poruszając ustami jak ryba wyciągnięta na brzeg. W końcu zaczął:

- Szeroki Sądzie...

Przewodniczący chrząknął, głośno i demonstracyjnie. Kandydat na adwokata z uprawnieniami do występowania przed Sądem Najwyższym gwałtownie urwał, teraz już bliski płaczu. Przewodniczący dyskretnie uniósł rękę, dając znak protokolantowi, który szybko naskrobał coś na żółtej samoprzylepnej karteczce i położył ją przed nieszczęśnikiem. Ten z kolei poczerwieniał teraz tak, jakby nagle dostał gorączki, a nad górną wargą wyraźnie wystąpił pot.

- Wysoki Sądzie, najwyżsi sędziowie kraju! - zaczął od nowa i mogło się wydawać, że sama sala odetchnęła z ulgą.

Ciemne ściany straciły swoją surowość, przestały się tłoczyć. Czterej sędziowie uśmiechnęli się lekko i zaczęli notować. Benjamin

Grinde nagle spowaźniał.

Nie zwrócił też uwagi na Liten Lettvik, która cichutko wstała z ostatniego rzędu miejsc dla publiczności i opuściła salę.

12.00

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

Nawet miękki dialekt z rejonu Kristiansand nie mógł ukryć jego wściekłości. Komendant okręgowy policji w Oslo Hans Christian Mykland uderzył pięścią w stół i prawie stu pięćdziesięciu funkcjonariuszy wyprostowało się na krzesłach.

- Traktuję tę sprawę bardzo poważnie. Bardzo! Wydawało mi się, że powiedziałem to jasno podczas sobotniej odprawy. Żadnych przecieków do prasy! Mówiłem o tym głośno i wyraźnie.

Znów uderzył płaską dłonią w stół i zapadła taka cisza, że Billy T. nie ośmielił się nawet beknąć, chociaż bolał go brzuch.

- To postanowienie o przedstawieniu zarzutów było błędem. Wszyscy o tym wiemy. Ryzykujemy oskarżenie o nieuzasadnione ściganie i roszczenie solidnego odszkodowania. Macie świadomość, co oznacza ublżenie trzeciej władzy?

Nikt nie poczuł się powołany do udzielenia odpowiedzi. Większość studiowała własne kolana, i to bardzo wnikliwie.

- Zajmiemy się wyjaśnieniem tego przecieku. Osobiście zadbam o to, aby osoba, która nie umiała trzymać języka za zębami, dostała za swoje. Sam się z nią policzę!

Komendant znalazł wreszcie czas na to, by się ogolić, i pojawiło się w nim jakby nowe zdecydowanie. Wydawało się, że w ciągu weekendu urósł.

- A więc dobrze. Na razie tę sprawę zamykamy. Chciałbym podczas następnej konferencji prasowej - zerknął na rzecznika i sam się poprawił - to znaczy podczas następnego briefingu prasowego

podkreślić najdobitniej, jak to możliwe, że Benjamin Grinde współpracował z nami jako świadek. Zobaczymy, jak duży jest naprawdę ten pożar i czy da się go ugasić. Oddaję teraz głos naczelnikowi Biura Kryminalnego.

Wywołany drgnął, jakby w ogóle nie słuchał reprimendy, bo przecież go nie dotyczyła.

- Uznaliśmy, że konieczne jest krótkie podsumowanie - zaczął i ułożył folię na rzutniku.

- Ten, kto nie ma nic do powiedzenia, mówi to za pomocą projektora - mruknął Billy T., który znów siedział na samym końcu razem z Tone-Marit.

Udała, że go nie słyszy.

- Jak wicie, gorączkowo pracujemy na wszystkich frontach. W pierwszej kolejności musimy się dowiedzieć, w jaki sposób i dlaczego. Jeśli chodzi o to ostatnie, uznaliśmy za słuszne podzielenie możliwych motywów na trzy główne kategorie. - Odwrócił się do ekranu i nie wstając, zaczął pokazywać. - Jeden: motyw osobisty. Dwa: motyw międzynarodowy. Trzy: motyw ekstremistyczny. Kolejność przypadkowa.

- Zabójstwo premiera jest samo w sobie działaniem ekstremalnym, bez względu na powód - zauważyła cicho Tone-Marit, a Billy T. popatrzył na nią zdziwiony.

- Powinnaś grzecznie milczeć - zachichotał.

- Poza tym zdecydowaliśmy, że należy wstrzymać się z przesłuchaniami najbliższej rodziny. Przynajmniej do pogrzebu, który odbędzie się w piątek. I tu pojawia się kolejny problem.

Uniósł rękę, wskazując na dowódcę antyterrorystów czy raczej Oddziałów Specjalnych Policji, bo tak ładnie formacja ta nazywała się

na papierze. Krępy mężczyzna z kruczoczarnymi włosami i brodą podniósł się sztywno.

- Podczas pogrzebu obowiązywać będzie najwyższy stopień zagrożenia. Rozpoznamy teraz grupy ryzyka. Mam na myśli międzynarodowych terrorystów, agentów zagranicznych, miejscowych ekstremistów z lewej i prawej strony... - Uśmiechnął się do szefa służby bezpieczeństwa, który jednak nie odpowiedział mu tym samym. Dowódca antyterrorystów ciągnął więc lekko urażonym tonem: - I oczywiście osoby z zaburzeniami psychicznymi. Wiemy z wcześniejszego doświadczenia, międzynarodowego, muszę dodać, że przy tego rodzaju okazjach szaleńcy chętnie wypełzają na powierzchnię. Poza tym oczywiście mamy oko na zwykłe środowiska przestępcze, które w jakiś sposób mogłyby mieć związek z tą sprawą. Jutro przed południem odbędzie się osobna odprawa poświęcona właśnie temu.

Usiadł i spojrzął na szefa służby bezpieczeństwa, czekając na jego akceptację. Nie doczekał się jednak żadnej reakcji.

Znów zabrał głos naczelnik Biura Kryminalnego:

- Obecnie trwa digitalizacja protokołów z przesłuchań wszystkich pracowników budynku rządowego. Staramy się ujawnić ewentualne nieuprawnione osoby, które mogły mieć dostęp do Kancelarii Premiera. Dlatego bardzo ważne jest, żeby wszyscy dostarczyli protokoły z przesłuchań na dyskietkach...

- Gdybyśmy mieli lepszy sprzęt, można by to zrobić przez wciśnięcie jednego klawisza - westchnął Billy T. i wstał.

- Już wychodzisz? - szepnęła Tone-Marit.

- Mam ciekawsze zajęcia - burknął.

Coś plątało mu się po głowie, ale za skarby świata nie potrafił

powiedzieć, co to może być. Coś, o czym zapomniał, jakaś informacja, którą dostał, ale zawieruszyła się gdzieś na twardym dysku w jego głowie.

- Nadmiar danych - mruknął do siebie, wymykając się przez drzwi i idąc w stronę żółtej strefy na czwartym piętrze budynku policji. - Chyba rzeczywiście nie jestem w stanie przetworzyć więcej.

12.24

Centrum Oslo

Brage Håkonsen był ubrany w dżinsy i obszerną rudoczerwoną bluzę z logo Washington Redskins na piersi i rysunkiem indiańskiego wodza w pióropuszu na plecach. Inni dziwili się, że chce mu się chodzić z brudasem na bluzie, ale oni kompletnie nic nie rozumieli. Indianie Ameryki Północnej to dumny, wyniosły lud. W przeciwieństwie do swoich niezdarnych krewniaków z południa, tych małych czarniawych stworków w kolorowych łachach, mieli wspaniałą kulturę, doskonale rozumieli przyrodę i zwierzęta. To zainfekowany przez żydostwo amerykański rząd przez setki lat ich gnębił, odebrał należne im prawo do wody i ziemi. Wystarczyło, by Brage o tym pomyślał, a już w uszach zaczynało mu szumieć z wściekłości.

Błyskawicznie schował się za zostawionym na luzie samochodem dostawczym, pełnym ubrań przeznaczonych dla sklepu na końcu Storgata, bo strażnik przez moment popatrzył w jego kierunku. Kiedy ostrożnie, z bejsbolówką nasuniętą głęboko na oczy, wyjrzał zza ciężarówki, zobaczył, że strażnik idzie dalej, w ten sam sposób jak poprzednio, zachowując czujność. Miał w sobie nerwowość, której wcześniej nie było po nim widać, lecz nie wyglądało to na zwykłą tchórzliwość, tylko właśnie czujność. Zachowywał się jak sarna podczas polowania. Wszedł teraz do sklepu G-sport, a przed wejściem rozejrzał się na obie strony.

Brage Håkonsen przebiegł obok McDonalda i przeciął skrzyżowanie na czerwonym świetle. Jakiś Volkswagen garbus gwałtownie zahamował, ale on nawet nie odwrócił się do kierowcy.

Minęło trochę czasu, zanim strażnik znów wyszedł. Nic nie niósł, nawet małej torebki, więc jeśli coś kupił, musiało się to zmieścić w kieszeni. Wciąż miał na twarzy tę czujność, cały czas się rozglądał, a chwilami przystawał i patrzył za siebie. Potem nagle przebiegał kilka metrów i znów zaczynał iść powoli, z przesadnym spokojem.

Wcześniej tak się nie zachowywał. Był najłatwiejszym na świecie obiektem do śledzenia. Nigdy na nikogo nie patrzył, więc Brage Håkonsen nieraz szedł bezpośrednio za nim. Czasami nawet z satysfakcją wyprzedzał go o dwa czy trzy metry, a ten i tak go nie widział. Teraz zaś jakby miał oczy w tyłku. Śledzenie go stało się męczące i Brage pożałował, że włożył rzucającą się w oczy bluzę. Lepsze byłoby coś neutralnego, koszula i marynarka, brązowa albo szara.

Wreszcie strażnik wszedł na most Nybrua. Tu nic nie zakłócało widoku i Brage Håkonsen mógł zwiększyć dystans do stu metrów bez ryzyka, że straci go z oczu. Nagle od strony pogotowia rozległa się syrena karetki i Brage zobaczył, jak strażnik dosłownie podskakuje. Można było odnieść wrażenie, że zamierza wskoczyć do rzeki Aker, bo przycisnął się do balustrady mostu i rozglądał jak szaleniec.

Brage się uśmiechnął. Nie mógł się mylić. Radość mąciło mu jedynie zachowanie chłopaka, tak podejrzane, że policja mogła go zwinąć, gdyby go zobaczyła. Musieli jednak już go przesłuchiwać i to pewnie nieraz, mimo to wciąż chodził wolno po ulicach Oslo.

Kiedy strażnik z budynku rządowego wyszedł za róg ulicy, przy której mieszkał, i wsunął klucz w zamek bramy, nie zamieniając nawet dwóch słów z córką dozorca, która patrzyła na niego urażona, wyzywająco wysuwając jedno biodro, Brage upewnił się, że ma rację. Stał i dopóty obserwował zniszczoną kamienicę przy Jens Bjelkes

gate, dopóki według wszelkich wyliczeń strażnik nie dotarł do własnego mieszkania.

Potem Brage Håkonsen próbował złapać taksówkę.

14.47

Redakcja „Kveldsavisen”

Kolano Liten Lettvik przestało boleć. Miała natomiast za sobą weekend w pełnej trzeźwości i organizm zdawał się reagować na to nieoczekiwane delikatne traktowanie obrzydzeniem do papierosów. Nie zapaliła od pięciu godzin. Czuła się świetnie.

Policja niczego nie zdementowała. Co prawda podczas konferencji prasowej przed godziną wili się jak piskorze, a komendant okręgowy lał wodę, że aż pryskało, ale nie mieli odwagi zaprzeczyć informacji o zarzutach dla Grindego. Liten posłała Konradowi Storskogowi ciepłą myśl, zastanawiając się nawet, czy rzeczywiście nie powinna go już zostawić w spokoju.

Tylko jej gazeta napisała o tej sprawie. Niejaka wdzięczność naczelnego przejawiała się w formie wyraźnego sygnału, że Liten Lettvik może dalej pracować nad powiązaniem zabójstwa Birgitte Volter z wizytą Benjamina Grindego w jej gabinecie. Chociaż naczelny nie krył wątpliwości.

- Z tej cytryny pewnie nie da się już nic więcej wycisnąć - protestował delikatnie, w zamyśleniu przygryzając wargę. - Dzisiaj to gorąca sprawa, Liten, ale oczywiste jest, że policja już go nie podejrzewa. Chryste, przecież już dziś rano zasiadał w Sądzie Najwyższym!

- Posłuchaj, Leif - zaczęła przekonywać szefa. - Chłopcy z działu politycznego dostali przecież skrzynię złota. Naprawdę mają nad czym pracować.

- Roboty i tak im nie brakuje. Ciągłe nie wiadomo, jaki rząd

będziemy mieli w piątek. Dział polityczny nie miał tyle zabawy od wybuchu tej afery Furrego.

- No właśnie. A co było najistotniejsze w sprawie Furrego? Naczelnym nie odpowiedział, ale skupił na niej całą swoją uwagę. Zdradzało go bawienie się podkładką do pisania, która już miała wystrzępione brzegi.

- Przede wszystkim krytykowano to, że parlamentarzysta Berge Furre był śledzony przez policyjną służbę bezpieczeństwa, prawda? A przecież był członkiem komisji, która miała badać służby specjalne, a przez to, mówiąc w skrócie, powinien być wyjęty spod takiego śledztwa. Obrońcy POT zaczęli wrzeszczeć, że w takich sprawach nikt nie ma immunitetu, ani król Salomon, ani Czerwony Kapturek. A teraz postawili zarzuty sędziemu Sądu Najwyższego! Królowi Salomonowi. Rozumiesz? Naprawdę coś w tym jest. Więcej niż coś. Całe mnóstwo.

Naczelnym przez chwilę siedział w milczeniu. W końcu gniewnym ruchem głowy wskazał na drzwi. Oznaczało to zgodę równie dobrą jak każda inna.

Ale dużo więcej na temat Benjamin Grindego Liten Lettvik nie znalazła. Zdziwiło ją to, kiedy przerzucała jego teczkę. Właściwie prawie nikt go nie znał. Nawet ta sympatyczna i bezgranicznie naiwna stażystka z sekretariatu Sądu Najwyższego, z którą Liten odniosła taki sukces w piątek po południu, nie mogła jej pomóc, chociaż najwyraźniej rozemocjonowało ją to, że stołeczna dziennikarka interesuje się jej opinią na różne tematy.

- Nie, sędzia Grinde właściwie nigdy nie odbiera telefonów prywatnych - zaszczebotała na drugim końcu linii.

Benjamin Grinde miał wielką liczbę znajomych, ale najwyraźniej

żadnych przyjaciół. W każdym razie nie wśród liczących się dziennikarzy. Charakterystyka, jaką Liten zdołała uzyskać podczas jedenastu rozmów telefonicznych, na które zmarnowała czas, była śmiertelnie nudna i do niczego się nie nadawała: Grinde był zdolny, solidny i pracowity.

- Sekretariat mecenasa Fredriksena. Słucham.

Liten w końcu zapaliła papierosa, wydmuchała dym przez nos, przedstawiła się i poprosiła o połączenie z Frodem Fredriksenem. Nie minęły dwie sekundy, jak już był na linii. Mecenas nie należał do tych, którzy pozwalają, by ominęła ich zagwarantowana prawem możliwość głoszenia swoich poglądów.

- To skandal prawny! - zaczął z grubej rury.

Liten Lettvik dosłownie słyszała, jak adwokat strzepuje łupież z marynarki, co zawsze robił, gdy chciał coś podkreślić.

- Powiem pani jedno. Jeśli komisja nie dotrze do sedna tej sprawy, osobiście zadbam o to, by właściwe osoby zostały pociągnięte do odpowiedzialności. Taki jest mój przeklęty obowiązek jako rzecznika słabych.

Frode Fredriksen był w stanie użyć najbardziej pompatycznych słów o wyrabianiu ciasta na chleb, więc Liten Lettvik nie chciało się nawet notować. Po prostu przerwała tę tyradę, nim klucząc, zdołał dotrzeć do „nienaruszalnych praw człowieka”.

- Właściwie co jest takie skandaliczne? Co się mogło zdarzyć?

- Władze chcą coś zataić! Ukrywają coś!

- Rozumiem, że pan tak uważa. Tylko o co może chodzić?

- Tego oczywiście nie wiem. Ale z podobnym murem milczenia, jaki rozmaite instancje wzniosły wokół tej sprawy, nigdy się jeszcze nie zetknąłem. W całej swojej karierze. A ona jest, z całą skromnością,

bardzo długa, jak pani dobrze wie.

- Jakiego rodzaju murem milczenia?

Liten Lettvik odpaliła kolejnego papierosa od poprzedniego.

- Znikają karty chorób! - emocjonował się adwokat Fredriksen. - Odmawia się ich wydania. Kiedy już w końcu wpadną mi w ręce, okazują się niepełne. Szpitale w tym kraju to służba bezpieczeństwa opieki zdrowotnej, tyle pani powiem. Robienie tajemnic ze wszystkiego i arogancja władzy na każdym kroku. Lecz my nie damy się powstrzymać!

- Ale przecież prosił pan o odroczenie rozpatrywania roszczeń zadośćuczynienia, prawda?

- Oczywiście. Mam nadzieję, że komisja Grindego rzuci nowe światło na sprawę, a tym samym kwoty zadośćuczynienia wzrosną.

- Proszę mnie posłuchać, panie Fredriksen. - Liten Lettvik zniecierpliwionym ruchem przyłożyła słuchawkę do drugiego ucha. - Musi pan mieć jakieś pojęcie o tym, co mogło się stać. To znaczy... zgodnie z mandatem udzielonym komisji ma ona zbadać, co się ewentualnie wydarzyło i czy służba zdrowia udzielała dostatecznych informacji rodzinom zmarłych dzieci. Ale szczerze mówiąc, od tej sprawy minęło już ponad trzydzieści lat. Czy w niej może się kryć aż tyle dynamitu? I dlaczego pan jest tak wzburzony? Przecież już pan ugrał swoje. Powołano komisję. A chyba o to przede wszystkim pan wnosił?

Na drugim końcu linii zapadła kompletna cisza. Liten Lettvik zaciągnęła się aż do brzucha i wstrzymała oddech, rozkoszując się nikotyną przenikającą do krwi.

- W sześćdziesiątym piątym zmarło o osiemset dzieci za dużo - padło wreszcie wypowiedziane ściszym głosem stwierdzenie.

Towarzyszył mu szelest papieru. - Co najmniej osiemset. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym było w Norwegii tysiąc siedemdziesiąt osiem zgonów niemowląt, w sześćdziesiątym szóstym liczba ta wyniosła dziewięćset siedemdziesiąt sześć. W latach wcześniejszych i późniejszych zgony utrzymują się mniej więcej na stałym poziomie koło tysiąca. Potem stopniowo zaczęły spadać. Obecnie poziom śmiertelności wśród niemowląt utrzymuje się na poziomie między dwieście a trzysta przypadków rocznie. Natomiast w roku sześćdziesiątym piątym, pani Lettvik, zmarło tysiąc dziewięćset czternaścioro niemowląt! Taki nagły wzrost nie może być przypadkowy. Te dzieci zmarły od czegoś. A władze nie chcą pomóc w ujawnieniu przyczyny. To skandal! Powtarzam: ogromny skandal!

Liten Lettvik to wiedziała, czytała wszystko o tej sprawie, ale wciąż nie otrzymała odpowiedzi na swoje pytanie. Przez chwilę zastanawiała się, czy chce jej się kontynuować tę rozmowę. W końcu zmieniła temat:

- A co z Benjaminem Grindem?

Adwokat Fredriksen zaśmiał się głośno.

- Tu jesteście całkowicie w błędzie. Mam na myśli policję. To kompletna pomyłka. I z tego, co rozumiem, policja to nawet przyznała, chociaż tak rozdmuchaliście tę sprawę. Benjamin Grinde to wspaniały człowiek. Trochę nudny, trochę pompatyczny, ale te cechy przynależą jego stanowisku. Ściany Sądu Najwyższego są nimi dosłownie nasączone. O, nie, nie! Benjamin Grinde to wyjątkowo zdolny prawnik. Obywatel, któremu nie można nic zarzucić. Byłem ogromnie zadowolony z wyboru jego osoby na przewodniczącą tej komisji i pozwoliłem sobie nawet mu o tym powiedzieć. Z całą skromnością.

To było bezcelowe. Liten Lettvik bez wyraźnego entuzjazmu podziękowała za rozmowę i wybrała ostatni numer telefonu. Niedługo będzie musiała coś zjeść.

- Słucham, Edvard Larsen - odezwał się przyjemny głos.

- Cześć, Loffen. Tu Liten Lettvik. Jak się masz?

- Okej - odparł bez entuzjazmu rzecznik prasowy Ministerstwa Zdrowia.

Liten Lettvik dzwoniła w porę i nie w porę, zawsze okazując zaledwie minimalne zrozumienie tego, że nie mógł jej przełączyć bezpośrednio do Ruth-Dorthe Nordgarden.

- Czym ci mogę dzisiaj służyć?

- Posłuchaj. Po prostu muszę rozmawiać z minister zdrowia.

- A o co chodzi?

- Tego, niestety, nie mogę powiedzieć, ale to ważne.

„Loffen” Larsen zazwyczaj pływał w morzu cierpliwości. Była to nieoceniona cecha, skoro miał być głosem pani minister w świecie mediów. Teraz jednak powoli zносиło go na mieliznę.

- Doskonale wiesz, że muszę wiedzieć, o co chodzi. Nie będziemy chyba przerabiać całej lekcji od początku, prawda? - Usiłował złagodzić swoją irytację krótkim śmiechem.

Liten Lettvik jęknęła.

- No dobrze. To zupełnie niegroźne, ale ważne. Chcę ją spytać o coś w związku z pracą komisji Grindego.

- Przekaż mi pytania. Postaram się, żebyś dostała odpowiedź jak najszybciej.

- Bardzo ci dziękuję, ale nie skorzystam! - prychnęła Liten Lettvik i rzuciła słuchawką.

Nie była jednak tak bardzo zirytowana. Żaden z członków rządu

nie dawał się tak łatwo namówić na rozmowę jak Ruth-Dorthe Nordgarden. Należało tylko znaleźć coś, czym dałoby się ją polecić. Taki handel wymienny. Liten Lettvik przez chwilę w roztargnieniu przerzucała kartki swojego terminarza. Jej palce same natrafiły na zastrzeżony numer domowy minister.

Cholerna szkoda, że musiała z tym poczekać aż do wieczora.

20.50

Stolmakergata 15

- Mógłbyś spróbować zrobić coś, żeby było tu chociaż troszeczkę przytulniej. Jeśli nie z innego powodu, to chociaż dla chłopców.

Hanne Wilhelmsen stała przepasana skórzanym fartuchem, pokrytym plamami wina i jedzenia. Z rezygnacją machnęła w powietrzu drewnianą łyżką, z której prysnął sos pomidorowy.

- A ty mogłabyś spróbować nie polewać sosem całej mojej kuchni - odciął się ze śmiechem Billy T. - W ten sposób na pewno nie będzie tu przyjemniej.

Wytarł drzwiczki lodówki wierzchem dłoni i zlizął czerwony sos.

- Mmm, pyszne! Szkoda, że chłopców nie ma. Spaghetti z mielonym mięsem i sosem pomidorowym. Uważają, że to najlepsze na świecie.

- Tagliatelle bolognese - poprawiła go Hanne. - To nie jest spaghetti. - Podsunęła mu torebkę pod nos.

- Płaskie spaghetti - podsumował. - Ale po co ci to coś? - Sięgnął po lodygę selera naciowego i włożył ją do ust, jednocześnie wskazując gałkę muszkatołową.

- Zostaw! - Hanne znów machnęła łyżką, tym razem smuga składająca się z czerwonych plamek pojawiła się na śnieżnobiałym T-shircie Billy'ego T.

- Przyjrzyj się temu pokojowi - powiedziała z rezygnacją, kładąc na garnku pokrywkę. - Te zasłony są chyba z lat siedemdziesiątych! Prawdopodobnie miała rację. Wisiały żałośnie krzywo i zostały uszyte z rzadko tkanego pomarańczowego materiału w brązowe pasy. W

fałdach widać było kurz, który musiał się w nich zbierać przez lata.

- Przynajmniej mógłbyś je uprać. Spójrz na przykład tam.

Wyjrzała między górną a dolną szafką przez otwór łączący kuchnię z pokojem i wskazała stojącą na półce z książkami wieżę stereo, która lśniła i mrugała w świetle stojącej lampy z trzema żarówkami i abażurem z konopi.

- Ile to kosztowało?

- Osiemdziesiąt dwa tysiące - mruknął Billy T., próbując sięgnąć do garnka łyżką.

- Mówiłam, nie ruszaj! Osiemdziesiąt dwa tysiące? Gdybyś połowę tej sumy wydał w Ikei, mogłoby tu się zrobić bardzo ładnie. Przecież ty nie masz nawet porządnej kanapy!

- Chłopcy lubią siedzieć na podłodze.

- Jesteś i będziesz dziwakiem - uśmiechnęła się Hanne. - Zobaczę, co mi się uda zrobić przez ten czas, kiedy tu będę.

Billy T. nakrył do stołu i przestawił telewizor tak, by jedząc, mogli oglądać program publicystyczny „Redakcja 21”. Otworzył dwa piwa i rozlał do szklanek, regulując jednocześnie głośność.

- Ciekawe, kiedy im się znudzą te wszystkie rozszerzone wydania specjalne - mruknęła Hanne, zdejmując fartuch. - Oglądałam dzisiaj już dwa. Cały czas powtarzają to samo. Prawie.

Prezenterka miała duży biust i była osobą budzącą zaufanie, mimo że bardzo przypominała postać z kreskówki.

- Ojej, obcięła włosy? - zdziwiła się Hanne. - Właściwie nawet twarzowo.

- Ta kobieta musi być mniej więcej tak zmęczona jak my - stwierdził Billy T. i zabrał się do jedzenia. - Przepyszne! Nie wiem, ile razy w ciągu dnia jest na wizji. Nawet dzisiaj zmienili ramówkę.

Najpierw mają być wiadomości, potem sport, a dopiero potem „Redakcja 21”. Wszystko stanęło na głowie. U nich też. - Wskazał łyżką na telewizor.

- Cicho! - pomachała ręką Hanne. - Cicho bądź!

- Tym razem gościmy w studiu komendanta okręgowego policji w Oslo Hansa Christiana Myklanda. Witamy, panie komendancie.

- Dobry wieczór.

- Od razu przejdę do meritum, ponieważ wiem, że ma pan wiele ważniejszych rzeczy do zrobienia niż udzielanie wywiadu. Może pan powiedzieć wprost, czy policja w ogóle choć trochę zbliżyła się do rozwiązania sprawy zabójstwa premier Volter? Od jej śmierci mijają dokładnie trzy doby.

- Biedaczysko! - mruknęła Hanne, słuchając odpowiedzi Myklanda. - Przecież on nie ma nic do przekazania, a musi sprawiać wrażenie, że posiada mnóstwo informacji. Naprawdę aż tak nic nie macie, Billy T.?

- Prawie.

Wciągał tagliatelle do ust, a sos ułożył mu się na wargach w dużą czerwoną różę.

- Błazen - mruknęła Hanne.

- Coś jednak mamy. - Billy T. wytarł usta przedramieniem. - Między innymi dość rzadki kaliber.

- Tak? Na ile rzadki?

- Siedem sześćdziesiąt dwa milimetra. Myślę, że w krótkim czasie będziemy mieć odpowiedź na pytanie, jakiej broni użyto. Ale on oczywiście nie może tego powiedzieć w telewizji. - Znów wskazał głową na ekran.

- W ogóle nie pojmuję, jaki jest sens przychodzenia do studia.

Przecież on właściwie i tak nigdy nie może nic mówić.

- Cholera, jest wściekły, że te bzdurne zarzuty wypłynęły. Nałożył teraz wszystkim nadzwyczajny kaganiec o podwójnej mocy.

- Mała nadzieja, że okaże się skuteczny. - Hanne wypila łyk piwa. - Ta komenda cieknie jak sito. Zawsze tak było.

Na twarzy komendanta widać było wyraźną ulgę, kiedy wreszcie mógł sobie iść. Ruda prezenterka zaprosiła widzów do innego studia. Tam przewodniczący klubów parlamentarnych w Stortingu siedzieli przy stole w kształcie bumerangu, a prowadzący, zajmujący miejsce pośrodku, trochę za długo patrzył w kamerę, nim zaczął mówić. Zapowiedział materiał filmowy, na który również trzeba było czekać.

- Dlaczego im nigdy noc nie wychodzi? - uśmiechnęła się Hanne. - W Stanach takie rzeczy się nie zdarzają. Tam wszystko jest zawsze dopięte na ostatni guzik.

Na do nic niemówiących obrazków ze Stortingu komentator prezentował skomplikowany rządowy pasjans, jaki należało teraz ułożyć. Wreszcie prowadzący w studiu zwrócił się do nienagannie ubranego i ekstremalnie poważnego mężczyzny w jasnej marynarce.

- Myślałem, że to ta kobieta jest przewodniczącą Chrześcijańskiej Partii Ludowej, a nie on - zdziwił się Billy T.

- Ona jest przewodniczącą partii, ale on szefem klubu parl... Cicho!

- Byłoby rzeczą bezwzględnie złą, gdybyśmy chcieli odcinać polityczne kupony od tej niezwykle tragicznej sytuacji, jaka powstała w związku ze śmiercią premier Volter.

- Czy to oznacza, że nie zamierzacie wykorzystać możliwości, która się teraz pojawiła, aby poprawić swoją pozycję?

Dziennikarz mówił niezwykłą mieszanką dialektów z lekkimi wtrętami z Trondelag, a jego dziwaczny lok na karku, który co prawda

od wyjazdu Hanne do Stanów nieco się skrócił, podrygiwał w takt jego słów.

- Jak już mówiłem, kraj dotknęła tragedia. A my jako partia centrowa zdecydowaliśmy, że nie nadszedł jeszcze czas na żadne zmiany. W tych trudnych chwilach wszyscy musimy trzymać się razem i czekać, aż wyborcy we wrześniu zdecydują, kto ma dalej pokierować krajem.

Przedstawiciel chadeków jeszcze nie skończył, ale prowadzący już obrócił się w lewo do mężczyzny z zadbaną szpakowatą brodą i zrezygnowaną miną.

- A jak widzi to Partia Konserwatywna?

Mężczyzna lekko i z rezygnacją pokręcił głową i utkwiał wzrok w dziennikarzu.

- Kurs zachowania się w mediach - powiedziała Hanne. - On chodził na kurs zachowania się w mediach!

- Co? - zdziwił się Billy T. i nałożył sobie kolejną porcję.

- Nic, cicho!

- To bardzo trudny czas i na pewno nie jest to pora na przygotowywanie posunięć taktycznych czy obrzucanie się błotem. Pozwolę sobie jednak mimo wszystko powiedzieć, że obecna sytuacja jasno pokazuje, jak nierealistyczna jest w rzeczywistości propozycja centrum, które od miesięcy lansuje swojego kandydata na premiera po jesiennych wyborach. A kiedy trafia się szansa przejęcia władzy, to po prostu odrzuca ją od siebie, jakby była gorącym kartoflem. To świadczy, że prawica przez cały czas miała rację. Realną opozycją wobec Partii Pracy jest tylko Partia Konserwatywna.

- Akurat na to pytanie odpowiedź dostaniemy dopiero jesienią - stwierdził przedstawiciel chadeków, ale prowadzący zdecydowanie mu

przerwał. Hanne się roześmiała.

- Ani jedni, ani drudzy nie chcą przejąć władzy! Śmiertelnie się tego boją.

- Polityka! - prychnął BillyT. i dołożył sobie po raz trzeci. - Masz u mnie pracę. Jako kucharz.

- Kucharka - poprawiła go Hanne z roztargnieniem, nie odrywając oczu od ekranu. - Daj mi tego posłuchać, dobrze?

- Po prostu wykorzystanie tej nadzwyczajnej sytuacji byłoby nieprzyzwoite - przedstawiciel Partii Centrum jak echo powtórzył słowa swojego sojusznika z Chrześcijańskiej Partii Ludowej, a konserwatysta znów kręcił głową, tym razem jeszcze mocniej.

- Ale jaka to różnica? - spytał. - Co się zmieni jesienią? Partia Pracy ma dzisiaj mniejszość w parlamencie i jesienią będzie tak samo. Tak było przez cały okres powojenny. Czy Partia Centrum, lewica i chadecy liczą na większość w parlamencie po wyborach?

- Jak już mówiłem, to się okaże - usiłował mu przerwać ten z Chrześcijańskiej Partii Ludowej, ale prowadzący zdecydowanie pomachał ręką, a konserwatysta nie pozwolił odebrać sobie głosu:

- W takim razie najwyższa pora, abyśmy się dowiedzieli, jakie jest wasze stanowisko w bardzo istotnych sprawach. Wyborcy mają do tego prawo. Jak się ustosunkowujecie do rozbudowy elektrowni gazowych, co z EOG, co z zasiłkiem dla rodzin, w których dzieci nie dostały się do przedszkoli dotowanych przez państwo? I jakie naprawdę macie zdanie o systemie wynagrodzeń w okresie zwolnienia lekarskiego? Czy w ogóle dowiemy się czegoś na ten temat, zanim ludzie pójdą do urn?

Zaczęli mówić jeden przez drugiego.

- Kiedy kota nie ma, myszy harczą - podsumowała Hanne.

- Ale te wcale nie chcą harcować - stwierdził Billy T. - Oni wszyscy siedzą przyklejeni do ściany, śmiertelnie się bojąc, że ktoś ich poprosi do tańca. Można się wyrzygać.

Ale apetytu najwyraźniej mu to nie zepsuło, bo znów sięgnął do garnka. Tym razem zaskrobał już o dno.

- Nie mógłbym raczej nastawić jakiejś muzyki? - poprosił.

- Nie, opanuj się. Naprawdę, to bardzo ważne.

Mężczyźni przestali się wreszcie kłócić, a przynajmniej nie pozwolono im na to na wizji. Obraz przeniósł się do drugiego studia, w którym obok dziennikarki stał Tryggve Storstein.

- O rany, ależ on jest zmęczony! - zauważyła Hanne, odstawiając szklankę z piwem.

Tryggve Storstein miał tak zapadniętą twarz, że nawet telewizyjne charakteryzatorki nie zdołały nic z nią zrobić. W ostrym świetle głębokie cienie pod oczami jeszcze się pogłębiły, a usta wyrażały smutek, niemal złość, która utrzymywała się prawie przez cały wywiad.

- No cóż, panie Storstein. Mimo tragicznych okoliczności słusznie chyba zrobię, gratulując panu jako nowemu przewodniczącemu partii.

Mruknął coś, co mogło oznaczać podziękowania.

- Stał pan tu ze mną i przysłuchiwał się tej dyskusji. Czy zatem to pan utworzy nowy rząd w piątek?

Tryggve Storstein lekko chrząknął i kiwnął głową.

- Tak.

Prowadzącą najwyraźniej zaskoczyła ta krótka odpowiedź, bo gwałtownie zamachała rękami, nim zadała kolejne pytanie. Ale Storstein wciąż odpowiadał prawie wyłącznie monosylabami, a momentami zachowywał się wręcz odpychająco. Dziennikarka bardzo

się namęczyła, żeby wypełnić czas przewidziany w rozkładzie na ten wywiad.

- On raczej nie wygląda na The Great White Hope. - Hanne zaczęła sprzątać ze stołu. - Kawy?

- Owszem, chętnie.

- No to możesz zrobić.

Znów pojawił się dziennikarz w okularach z lekkim akcentem z Trondelag. Tym razem odwiedziło go trzech naczelnych redaktorów gazet, którzy z patosem wypowiadali się o zaistniałej sytuacji.

- Jak można w tych dniach - zapytał prowadzący - liczyć na zdrowy i normalny proces polityczny, skoro trwa śledztwo policyjne, które może, podkreślam, może wykazać, że w kręgach osób, spośród których ma zostać wybrany nowy rząd, mogą się znajdować osoby podejrzane o zabójstwo?

- Chciałabym, żeby ludzie nauczyli się mówić z kropkami - powiedziała Hanne niemal do siebie.

Billy T. głośno gwizdnął, obsługując ekspres do kawy.

Naczelnny „Dagbladet” z zapalem się nachylił, długą brodą prawie dotykając blatu.

- Ogromnie ważne jest, by policja nie włączała się do procesów politycznych. To oczywiste, że żadne tego rodzaju względy nie mogą hamować jej w pracy, ale też nie możemy doprowadzić do sytuacji, w której partia mająca utworzyć nowy rząd, zostanie przetrzebiona z tego powodu, że większość wchodzących w grę kandydatów na ministrów dobrze znała Birgitte Volter.

- Typowe - westchnęła Hanne Wilhelmsen. - Nikt nie wierzy, że mógł to zrobić ktoś z jej znajomych, chociaż wszelkie statystyki pokazują, że zabójcy niemal zawsze wywodzą się z kręgów

najbliższych ofierze. No ale przecież Birgitte Volter znali wszyscy przedstawiciele władzy w Norwegii. A w takim wypadku trochę zbyt niebezpiecznie ufać statystykom.

Wstała i zgasiła telewizor.

- Muzyka? - spytał Billy T. optymistycznie.

- Nie. Chcę, żeby było cicho, dobrze?

Z braku porządnej sofy ułożyli się w sypialni, w małżeńskim łóżku na waleta. Hanne oparła głowę o ścianę, a plecy o zniszczony i wychudły już fotel Sacco. Wypiła łyk kawy, którą jej podał.

- Fuj! - wypluła ją i skrzywiła się. - Co to jest? Asfalt?

- Za mocna?

Billy T., nie czekając na odpowiedź, poszedł do lodówki po mleko i nalał jej do filiżanki.

- Już. Teraz przez jakiś czas nie zaśniemy.

Próbował przyjąć jakąś w miarę wygodną pozycję leżącą, ale nie było więcej poduszek, więc w końcu usiadł.

- Jest coś w tej Ruth-Dorthe Nordgarden - oświadczył, drapiąc się w ucho. - Co to jest, do cholery? Od czasu do czasu cholernie boli.

- To znaczy co?

- Jakieś zapalenie, nie wiem.

- Idiota. Mam na myśli Ruth-Dorthe Nordgarden.

Billy T. spojrział na koniuszek palca, ale wciąż nic na nim nie było.

- Dziwna osoba - powiedział. - Mnóstwo nerwowych ruchów dłoni, dziwne grymasy, jakieś tiki, a jednocześnie wydaje się... zimna! - Machnął palcem w powietrzu. - Lodowato zimna. Jak ryba. Jest w tym coś, co mam ochotę sprawdzić dokładniej. Ale nie bardzo wiem, co to jest. A w dodatku absolutnie żadnych podstaw, by twierdzić, że była w pobliżu KP wieczorem w dniu zabójstwa.

- KP?

- Kancelarii Premiera. Musisz się nauczyć terminologii.

- Czy ona się przyjaźniła z premier Volter?

- Nie, przynajmniej tak twierdzi. Powiedziała mi, że nie spotykały się na gruncie prywatnym. Cholernie dziwna osoba. Ma w sobie coś... nieprzyjemnego. Zacząłem się denerwować od samego przebywania z nią w jednym pokoju!

Hanne nie odpowiedziała. Grzała dłonie o gorącą filiżankę, wpatrując się w dziecięcy rysunek powieszony na korkowej tablicy, a przedstawiający bardzo zaawansowany Batmobil ze skrzydłami i armatami.

- A tym, co...

- Cicho! - Hanne prawie krzyknęła.

Billy T. aż podskoczył i rozlał kawę.

- Ale co...

- CICHOO!

Wymamrotał przekleństwo, którego Hanne jakby nie usłyszała. Uważnie wpatrywała się w ścianę za jego plecami. Billy T. aż się odwrócił, żeby zobaczyć, czemu się tak przygląda.

- To Alexander - próbował wyjaśnić. - Alexander to narysował.

Nagle Hanne popatrzyła prosto na niego. Jej oczy wydawały się większe niż zwykle, a czarna obwódka wokół tęczówki jeszcze pociemniała.

- Powiedziała ci, że nie spotykały się prywatnie?

- Tak. I co z tego?

Hanne wstała z łóżka, odstawiła filiżankę na podłogę, podeszła do rysunku Alexandra i dalej mu się uważnie przyglądała.

- O co ci chodzi z tym rysunkiem? - zdenerwował się Billy T.

- O nic, o nic - zapewniła Hanne. - Rysunek jest ładny, ale nie o nim myślę. - Odwróciła się do Billy'ego T. Wysunęła jedno biodro i przekrzywiła głowę. - Syn Birgitte Volter, Per, całkiem niezłe strzela. Spotkałam go kilka razy na strzelnicy Lovenskiolda. Kiedy był młodszy, często przychodził z nim ojciec. Nie mogę powiedzieć, że go znam, ale czasami zamienialiśmy kilka słów. Gdybyśmy się spotkali na ulicy, pewnie kiwnęlibyśmy sobie głowami. I...

Billy T. patrzył na Hanne, ale palec stale miał w uchu.

- Jeśli naprawdę robi ci się zapalenie, to nie powinieneś tam tak grzebać. - Hanne odsunęła mu rękę od ucha. - Ale potem, mniej więcej rok temu... A zresztą nie, to było tuż przed naszym wyjazdem do Stanów w listopadzie, więc to musiało być w okolicach zmiany rządu, widziałam Roya Hansena i Ruth-Dorthe Nordgarden w Café 33 na Grünerløkka.

- W Café 33? W tej spelunie?

- Mnie też to zdumiało. Zajrzałam tam, żeby oddać coś osobie, która tam pracuje, a oni siedzieli w głębi przy piwie. Tak, to musiało być tuż po zmianie rządu, bo wcześniej właściwie nie wiedziałam, kim jest Ruth-Dorthe Nordgarden. Ona jest dość... ładna? Blondynka, taka lalka. Rzuca się w oczy. Najpierw chciałam podejść do Roya, ale coś mnie powstrzymało i wyszłam, zanim mnie zobaczył.

- Jak możesz to tak dobrze pamiętać?

- Ponieważ tego samego dnia przeczytałam w gazecie, chyba to była „Dagbladet”, pewien artykuł o tych sitwach, którymi tak się interesują dziennikarze. O dynastiach i tak dalej. Chyba nawet miałam przy sobie tę gazetę, kiedy wpadłam do Café 33.

- Cholera - mruknął Billy T., rozcierając koniuszek ucha. - Pewnie będę musiał iść do lekarza.

- Więc czy to nie dziwne, Billy T... - zaczęła Hanne w zamyśleniu, znów wpatrując się w Batmobil, który, co dopiero teraz zauważyła, miał jeszcze telewizor na masce i ogromny radar na tylnej klapie - ...czy to nie wysoce zastanawiające, że Ruth-Dorthe Nordgarden twierdzi, że nie spotykała się z Birgitte Volter prywatnie, a pół roku temu piła piwo z jej mężem w podrzędnej knajpie na Grünerløkka?

Billy T. spojrział na nią i wolno zaczął drapać się po głowie.

- No, owszem - przyznał w końcu. - Masz rację. To rzeczywiście dziwne.

Wtorek, 8 kwietnia 1997

09.00

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

- Nie do wiary, że rzuciłaś palenie, Hanne!

- Bystry jesteś. Wystarczyło ci dziesięć minut, żeby to zauważyć. Billy T. do tej pory się nie zorientował. A ty awansowałaś na starszego prokuratora. Super!

Hakon Sand ścisnął jej rękę długo i mocno, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Musisz jak najszybciej do nas przyjść. Hans Wilhelm jest już taki duży!

Mały synek Hakona dostał imiona po niej, a ona teraz dziękowała bogom, w których nie wierzyła, że pamiętała o prezencie. Ściśle mówiąc, pamiętała o tym Cecilie. Koszulka futbolowa kupiona w pośpiechu na lotnisku dla Billy'ego T. i cytrynowożółty olbrzymi aligator dla Hansa Wilhelma.

- Zatrzymasz się u nas? - Hakon cały się rozjaśnił, jakby nagle wpadł na świetny pomysł.

- Możliwe, że Karen nie byłaby aż tak zachwycona nową lokatorką.

- Hanne machnęła ręką. - Czy ona nie jest już na ostatnich nogach?

- Termin w przyszły weekend - mruknął Hakon i więcej nie nalegał. - Ale odwiedzić nas musisz, i to jak najszybciej.

Ktoś lekko zapukał do drzwi i zaraz wszedł umundurowany policjant. Na widok Hanne znieruchomiał.

- O rany, przyjechałaś? Witaj! Kiedy przyjechałaś? Wracasz do

pracy?

Czekając na odpowiedź, położył jakąś teczkę przed prokuratorem.

- Wybrałam się tylko na wakacje - uśmiechnęła się Hanne. - Dwa tygodnie.

- Ha! Na pewno nie zdołasz utrzymać się z dala od komendy.

Śmiech posterunkowego słychać było jeszcze długo po zamknięciu drzwi.

- Co to jest? - spytała Hanne, wskazując na teczkę.

- Zaraz zobaczymy.

Hakon zaczął przerzucać kartki. Hanne musiała mocno wziąć się w garść, żeby nie wstać i nie spojrzeć mu przez ramię. Dała mu dwie minuty, dłużej nie mogła wytrzymać.

- Co to jest? Coś ważnego?

- Broń. Chyba już wiemy, z jakiej broni pochodziła ta kula.

- Pokaż! - Hanne już sięgała po papiery.

- Halo! - zaprotestował Hakon, obiema dłońmi przyciskając kartki.

- Obowiązek dochowania tajemnicy, pamiętasz? Ty jesteś na urlopie. Nie zapominaj o tym!

- Daj spokój!

Przez chwilę wydawało się, że mu uwierzyła, bo wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Naprawdę daj spokój. Raz policjant, zawsze policjant. Naprawdę.

- Żartowałem. - Roześmiał się i podał jej zieloną teczkę.

- Nagan - mruknęła Hanne, przerzucając kartki. - Prawdopodobnie model rosyjski, wzór 1855. Dziwne. Cholernie dziwne.

- Dlaczego?

Zamknęła teczkę, ale dalej trzymała ją na kolanach.

- Zabawna broń. Bardzo specyficzna. Wyjątkowy patent w

bębenku. Przy odwodzeniu kurka bębenek przesuwa się do przodu, a wystająca krawędź szyjki łuski wchodzi do lufy. Między bębenkiem a lufą powstaje gazoszczelne połączenie. I śmieszna rzecz, bo ten patent został kiedyś normalnie skradziony Norwegowi!

- Co?

- Hansowi Larsenowi z Drammen. To on wymyślił nowy gazoszczelny karabin bębenkowy, którego projekt wysłał do Liege w Belgii, żeby tam go wyprodukowali. Belgowie olali karabin, ale ukradli patent, który dopracowano i pod koniec dziewiętnastego wieku w Rosji powstała jego rozwojowa wersja. Car i reszta, no wiesz.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać. - Hakon Sand uśmiechnął się, ale wiedział, że kilka lat temu koledzy usiłovali zgłosić Hanne do teleturnieju w dziedzinie znajomości broni. Kiedy zadzwonili do niej z telewizji, gwałtownie zaprotestowała i nic z tego nie wyszło.

- Ale o co chodzi z tą... gazoszczelną lufą? Tak to nazwałaś?

- Większa precyzja - wyjaśniła Hanne. - Ogólnie problem z rewolwerami polega na tym, że między bębenkiem a lufą wytraca się ciśnienie, przez co zmniejsza się precyzja strzału. Zazwyczaj nie ma to większego znaczenia, bo rewolwery nigdy nie służyły do strzelania na odległość. Widziałam kiedyś taki. - Umilkła i czytała dalej. - Tu jest napisane, że tylko pięć sztuk broni tego rodzaju jest w rejestrze. No to macie duży problem, Hakon. Naprawdę duży problem.

Zamknęła teczkę i przez moment wyglądała tak, jakby miała ochotę niepostrzeżenie schować ją do torby leżącej przy krześle. W końcu jednak odłożyła raport na biurko.

- Z tego, co wiem, w tej sprawie mamy niejeden wielki problem. - Hakon ziewnął. - Można powiedzieć, że problemy tłoczą się w kolejce. Ale co masz na myśli?

- Ta broń była w masowej produkcji przez dłuższy czas. Znajdziesz ją w bardzo wielu krajach, szczególnie tych, które pozostawały pod wpływami sowieckimi. Rosjanie w latach pięćdziesiątych sprzedawali ją tanio swoim sojusznikom i w Europie, i w Afryce. Znajdziesz ją na przykład... - Zawahała się i szybko potarła oczy. - Na Bliskim Wschodzie. I całkiem sporo jest też w Norwegii. Na pewno więcej niż pięć sztuk. Z reguły dostawały się do nas w dość ciekawy sposób. Ten egzemplarz, który ja widziałam, należał do Rosjanina przebywającego tu na wygnaniu. Odziedziczył go po swoim ojcu, który podczas drugiej wojny światowej służył w Armii Czerwonej.

- Niezarejestrowana broń. - Hakon z rezygnacją lekko wydmął policzki. - Tylko tego nam brakowało.

Hanne roześmiała się serdecznie i odgarnęła włosy.

- Chyba niczego innego się nie spodziewałeś. Myślałeś, że norweska pani premier została zabita z broni wpisanej do naszego dziurawego i totalnie nieprzydatnego rejestru? Naprawdę w to wierzyłeś?

09.45

Ministerstwo Zdrowia

Właściwie nikt do końca nie rozumiał, dlaczego to ona została ministrem zdrowia. Uderzyło to Loffena Larsena, kiedy zakończyła spotkanie z tym dziwnym grymasem. Zawsze te niewytłumaczalne skrzywienia, nagle zmiany wyrazu twarzy bez jasnego powodu, bez związku z czymś, co się stało lub zostało powiedziane.

Kiedy obejmowała tekę ministra, prawie nikt poza trójkątem Akersgata-Storting-rząd nie bardzo wiedział, kim jest, mimo że już od czterech lat była wiceprzewodniczącą Partii Pracy. Miała tytuł magistra historii i ukończone kursy uniwersyteckie z dwóch mało istotnych przedmiotów dodatkowych. Kiedyś, dawno temu, pracowała jako nauczycielka. Była rozwódką i miała dorastające bliźniaczki, a przez dość znaczący czas w ogóle nie pracowała zawodowo, tylko zajmowała się domem. Później robiła jeden krok tu, jeden tam, trochę w związkach zawodowych, ale nie za długo, trochę w stowarzyszeniu zajmującym się oświatą dorosłych, ale tam też nie zagrzała miejsca. Zdobywała jednak coraz mocniejszą pozycję, a jednocześnie w zaskakujący sposób zdołała trzymać się z tyłu. I nigdy nie wypowiadała się w żadnych kwestiach dotyczących zdrowia. Dopóki nie została ministrem.

Loffen Larsen nie lubił swojej nowej szefowej i to mu bardzo dokuczało.

- Kończymy poranne spotkanie.

Sekretarz stanu, doradca polityczny i radca ministra wstali jednocześnie z Loffenem Larsenem.

- Zaczekaj!

Wszyscy drgnęli i odwrócili się do pani minister.

- Gudmund! Ty zostaniesz.

Doradca polityczny, rosły młody mężczyzna z Fauske, skulił się i z zazdrością spojrzął na innych, którzy mogli wyjść.

Ruth-Dorthe Nordgarden przeszła od stołu konferencyjnego do własnego biurka. Usiadła na krześle i zaczęła wpatrywać się w Gudmunda Herlanda. Przypominała trochę zmęczoną lalkę Barbie. Twarz miała pustą, oczy szeroko otwarte i w śmieszny sposób poruszała górną wargą, co kazało zdenerwowanemu młodemu człowiekowi skierować wzrok za okno.

- Ta sprawa Grindego - powiedziała, niczego nie precyzując.

Doradca polityczny nie bardzo wiedział, czy ma usiąść, ale szefowa mu nie pomogła, więc stał. Czuł się jak idiota.

- Tak? - spróbował ostrożnie.

- Dlaczego nie zostałam poinformowana o tym, że on chce więcej pieniędzy?

- Ale... - zaczął Gudmund Herland. - Usiłowałem to poruszyć...

- Usiłowałeś. Nie życzę sobie, żeby mnie nie informowano o takich ważnych sprawach. - Bawiła się długopisem, który przy tak gwałtownych ruchach mógł zaraz pęknąć.

- Posłuchaj, Ruth-Dorthe. Mówiłem ci przecież, że chciał się spotkać, żeby o tym porozmawiać, ale ty...

- Nie powiedziałaś mi, o co chodzi.

- Ale...

- Kończymy - oświadczyła zdecydowanie, jak szalona wymachując rękami i nie patrząc na niego. - Musisz wziąć się w garść. Naprawdę musisz wziąć się w garść. Możesz odejść.

Gudmund Herland nie wyszedł. Stał na środku, czując, jak wzbiera w nim wściekłość. Zacisnął usta i zamknął oczy. Przekłęte babsko! Cholerna głupia suka! Nie dość, że informował ją o tym, że Benjamin Grinde chce z nią rozmawiać, to jeszcze wręcz gorąco jej doradzał, by się z nim spotkała. Ta afera pozwoliłaby jej się wyróżnić, wykazać zdolnością do działania. A właśnie tego potrzebował rząd. Niestety, ona słuchała go jednym uchem i w końcu go zbyła. Nie miała czasu. Może później. Zawsze to samo: może później. Ta kobieta nie rozumiała, co to znaczy być ministrem. Wydawało jej się, że minister ma unormowane godziny pracy, i wściekała się, kiedy obowiązki nie pozwalały jej zjeść obiadu z ukochanymi córeczkami.

Zacisnął zęby, aż zatrzeszczało, i ledwie ją usłyszał:

- Masz zamiar tak tu stać?

Otworzył oczy. Teraz z policzkami wciągniętymi w jakiejś diabolicznej minie wyglądała jak jedna z rodziny Addamsów. Nie była warta jego złości. Jego kariera polityczna nie rozbije się na tej skale. Bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł. Ale jednej drobnej przyjemności nie mógł sobie odmówić - nieco zbyt głośno zamknął za sobą drzwi.

Ruth-Dorthe Nordgarden sięgnęła po słuchawkę i poprosiła sekretarkę, żeby wrócił radca ministra. Czekaając na niego, odchyliła się na krześle, nogi oparła na koszu do śmieci i zaczęła przyglądać się zasłonom. Nie podobały jej się. Zirytowała się, że jeszcze ich nie zmieniono, mimo że polecała to już kilka razy.

Bała się tej sprawy umierających niemowląt. Gdyby teraz musiała ustąpić, w co osobiście mocno wątpiła, mogłoby się okazać, że coś przeoczyła, a to z kolei mogłoby zostać wykorzystane przeciwko niej. Być może. O czym chciał z nią rozmawiać Benjamin Grinde, który w

końcu zdecydował się iść do Birgitte? Chodziło mu o pieniądze czy o coś więcej? O coś zupełnie innego?

Zanurzyła kostkę cukru w kawie i położyła słodką brązową grudkę na języku. Z irytacją i nie bez troski pomyślała o wczorajszej rozmowie z Liten Lettvik. Nie mogła się zorientować, o co chodzi dziennikarce. Nic zresztą jej nie powiedziała. Ale ta rozmowa pozostawiła w niej nieprzyjemny niepokój. Teraz też mimo słodczy w ustach poczuła kwas.

Radca ministra stanął w drzwiach.

- Chciałaś mnie widzieć?

- Tak - wyseplenila i porządnie usiadła na krześle, gryząc cukier. Kilka razy musiała przełknąć ślinę. - Chcę mieć na biurku wszystkie dokumenty dotyczące wzrostu śmiertelności niemowląt. Natychmiast.

Radca ministra kiwnął głową. Wiedział, że takie polecenie oznacza, iż tak naprawdę te dokumenty powinny tu leżeć już od wczoraj.

12.39

Siedziba POT

Szef służby bezpieczeństwa Ole Henrik Hermansen śmiał się w głos, co było zupełnie do niego niepodobne, ponieważ zazwyczaj zachowywał powściągliwość. Jego nienaganny wygląd i uboga mimika sprawiały, że wyglądał jak uosobienie stereotypowego tajnego agenta. Twarz miał neutralną, pozbawioną znaków szczególnych - od szpakowatych, zaczesanych do tyłu włosów po rozmyte oczy i proste wąskie usta. Mógł się wtopić w każdy tłum w zachodnim świecie.

- Skąd go masz?

Funkcjonariusz przed nim spojrzał na siebie i uśmiechnął się zażenowany.

- Noszę go tylko tutaj, w pracy. Nigdy na zewnątrz.

Był w szarym T-shircie, na którym czarnymi literami wypisano z przodu: „To ja mam twoją teczkę”.

- Mam nadzieję. Mógłby nam narobić kłopotów.

- Większe kłopoty są tutaj, szefie - powiedział funkcjonariusz, kładąc na biurku akta i pytająco patrząc na krzesło.

- Siadaj. Co to jest?

- Raport od naszych szwedzkich kolegów po fachu, z SÄPO. Bardzo się niepokoją. - Lewą ręką rozmasował prawy bark, krzywiąc się z bólu.

Hermansen nie ruszał teczek, tylko intensywnie wpatrywał się w podwładnego.

- Wczoraj wieczorem na północy Szwecji, w Norrlandii, w regionie Västerbotten, między Umea a Skelleftea, rozbił się mały samolot.

Nieduża sześćoosobowa Cessna - zaczął mężczyzna w T-shircie. Zmienił też stronę. Teraz prawą ręką intensywnie ugniatał lewy bark. - Już w piątek wieczorem przesłaliśmy ostrzeżenie do wszystkich naszych sąsiadów, więc podjęto nadzwyczajne środki bezpieczeństwa w związku z osobami szwedzkiego premiera Gorana Perssona i duńskiego Paula Nyrupa Rasmussena. Dlatego na szczęście to nie wyszło na jaw.

Zawahał się i spojrzał na teczkę, którą położył przed szefem. Lepiej by było, żeby Ole Henrik Hermansen sam przeczytał raporty, ale on wciąż nawet gestem nie zdradzał, że zamierza to zrobić. Jedynie ledwie zauważalne uniesienie brwi zdradzało, że zaczyna się niecierpliwić i chce poznać dalszy ciąg historii.

- W tej maszynie miał być premier Göran Persson. Zamierzał otworzyć dużą wystawę łodzi w Skelleftea. A ze względu na zjazd krajowy Partii Socjaldemokratycznej, odbywający się w Umea, musiał lecieć małym samolotem, żeby zdążyć w oba te miejsca.

- Miał być w tym samolocie? - spytał szef służby bezpieczeństwa cicho.

- Tak. Na szczęście ten wyjazd odwołano. W ostatniej chwili. Pilot poleciał sam. Z tego, co zrozumiałem, mieszkał tam. W Skelleftea. Już nie żyje.

Hermansen wreszcie otworzył teczkę i szybko przerzucił kartki. Tak szybko, iż niemożliwe było, by coś z nich wyczytał.

- I co mówią nasi szwedzcy przyjaciele? Sabotaż?

- Jeszcze nie wiedzą. Na razie głównie się cieszą, że historia nie wyszła na jaw. Ale myślą swoje. Tak samo jak my.

Ole Henrik Hermansen wstał i podszedł do dużej mapy Skandynawii, w którą wszędzie powbijano czerwone szpilki,

gdzieniegdzie w dużych skupiskach. Powiódł po niej palcem wzdłuż wschodnich wybrzeży Szwecji.

- Wyżej. Tutaj. - Funkcjonariusz poszedł za szefem i puknął palcem w mapę. - Dokładnie między Kvärnbyn a Vebomark.

Dwie szpilki, które do tej pory brutalnie przebijały Malmö, spadły na ziemię, chociaż żaden z mężczyzn nawet ich nie musnął.

- Muszę załatwić sobie nową mapę - mruknął Hermansen. - Ta wisi tu chyba od zarania dziejów. Ile osób wiedziało, że miał lecieć tym samolotem?

- W zasadzie nikt. Nawet pilot.

- Nawet pilot - powtórzył Hermansen cicho i podrapał się w czoło.

- W SÄPO bardzo się niepokoją?

- Bardzo. - Funkcjonariusz uniósł barki i zatoczył głową koło. -

Poza tym Goran Persson przyjeżdża do Norwegii. Na pogrzeb oczywiście.

Ole Henrik Hermansen westchnął ciężko.

- No tak, kto tu nie przyjeżdża.

Funkcjonariusz ruszył do drzwi i już miał je za sobą zamknąć, gdy Hermansen nagle zawołał:

- Zaczekaj!

- Tak?

- Zdejmij tę koszulkę. Po głębszym namyśle stwierdzam... że wcale nie jest taka zabawna. Zdejmij ją, dobrze? I już więcej jej nie noś.

15.30

Kancelaria Premiera

- Siedziałam tutaj. Ja tylko... ja tylko siedziałam tutaj! - Wenche Andersen zakryła twarz dłońmi i zaczęła płakać. Cicho i rozpaczliwie.

Ramiona pod rdzawą marynarką drżały. Tone-Marit Steen przykucnęła przy niej, kładąc jej rękę na plecach. Po sekretarce pani premier w końcu zaczęło być widać wydarzenia ostatnich dni. Wydawała się mniejsza i o wiele starsza.

- Coś pani przynieść? Może wody?

- Ja tylko tu siedziałam! Nic nie robiłam.

Odsunęła ręce od twarzy. Pod lewym okiem rysowała się czarna kreska rozmazanego tuszu do rzęs.

- Gdybym cokolwiek zrobiła - wyszłochała - może bym ją uratowała!

Rekonstrukcje wydarzeń nigdy nie były łatwe. Billy T. stłumił westchnienie i zerknął na sędziego Benjamina Grindego, który także jakby się skurczył. Garnitur wydawał się luźniejszy, a lekka opalenizna całkowicie zniknęła. Teraz widać było, że jego policzki pokrywa delikatna siateczka popękanych naczynek. Usta zaciskał w nieprzyjemną wąską kreskę.

- Nie mogła pani jej uratować - pocieszała sekretarkę Tone-Marit. - Zginęła natychmiast. Już to wiemy. Naprawdę nie mogła pani jej pomóc.

- Ale kto to zrobił? Jak się tu dostali? Musieli mnie w jakiś sposób wyminąć. Dlaczego ja tylko tu siedziałam?

Wenche Andersen oparła się o stół. Billy T., patrząc w sufit,

usiłował znaleźć w sobie cierpliwość, którą już dawno stracił. Niepotrzebnie dużo czasu poświęcili na sprawdzanie akustyki. Funkcjonariusz w gabinecie Birgitte Volter oddał kilka strzałów ślepymi nabojami i chociaż przez podwójne drzwi ledwie je było słyhać, Wenche Andersen za każdym razem podskakiwała na krześle. W toalecie nie słyhać było nic. Problem polegał na tym, że Wenche Andersen nie potrafiła dokładnie określić, kiedy wstała zza biurka.

- Może jednak spróbujemy zacząć - zaproponował Billy T. - Chyba lepiej mieć to już za sobą.

Sekretarka głośno pociągnęła nosem i nie przestała płakać, ale przynajmniej się wyprostowała i wzięła papierową chusteczkę, którą podała jej Tone-Marit.

- Może i tak - szepnęła. - Może po prostu zaczynamy. Benjamin Grinde popatrzył na Billy'ego T. i zobaczywszy skinienie głową, będące sygnałem do startu, wyszedł na korytarz.

- Proszę tam zaczekać! - zawołał Billy T. - I nie wchodzić, dopóki nie powiem. - Nachylił się nad biurkiem Wenche Andersen i spytał cicho: - Była więc godzina za piętnaście piąta. Szesnasta czterdzieści pięć, tak mniej więcej. Wtedy byli tu jeszcze... - Przerzucił leżące przed nim kartki.

- Øyvind Olve, Kari Slotten, Sylvi Berit Gronningen i Arne Kavli - pomogła mu Wenche Andersen, szlochami oddzielając nazwiska. - Ale nie przez cały czas. Wyszli w ciągu pół godziny. Wszyscy.

- W porządku. - Billy T. odwrócił się do drzwi i zawołał: - Proszę wejść!

Benjamin Grinde spróbował wycisnąć uśmiech z grymasu, który nie schodził mu z ust. Skinął głową sekretarce.

- Jestem umówiony z panią premier... - zaczął.

- Stop! - przerwał mu Billy T. i podrapał się w ucho. - Nie musimy odgrywać przedstawienia. Po prostu proszę mi powiedzieć, co pan robił.

- Aha - mruknął Benjamin Grinde. - Więc wszedłem i powiedziałem właśnie to, co przed chwilą. Poproszono mnie, żebym chwilę poczekał, a potem... - Skupił się, a Wenche Andersen znów pospieszyła z pomocą:

- Wstałam, poszłam do premier Volter, a ona po prostu gestem zaprosiła sędziego do środka. Powiedziałam „Proszę”, a on mnie wyminął. Mniej więcej tak.

Benjamin Grinde na próbę poruszył się w stronę Wenche Andersen. Nie mogli utrafić, którą stroną mają się minąć, i stali tak, kołysząc się na boki jak dwa bojowe koguty sprawdzające przeciwnika. - Stop! - powtórzył Billy T. tym razem z głębokim westchnieniem i znaczącym spojrzeniem rzuconym naczelnikowi Biura Kryminalnego, który do tej pory jeszcze się nie odezwał. - Jak już mówiłem... - zaczął przesadnie wolno i wyraźnie, jakby przed nim stały pięcioletnie dzieci, które wciąż nie wiedziały, jak się gra w chińczyka. - Nie bądźcie aktorami. Spróbujcie się rozluźnić. Nie jest zbyt ważne, w którym miejscu staliście i jak się poruszaliście. A więc - położył wielką łapę na ramieniu Benjamina Grindego i zdecydowanie przeprowadził go przez drzwi do gabinetu pani premier - wszedł pan tędy, a potem...

Benjamin Grinde pozwolił się przesunąć na środek pokoju. Billy T. na próbę puścił jego ramię i ruchem głowy dał znak, że sędzia ma iść do przodu. Nie pomogło. Grinde stanął bezradnie, a twarz pobladła mu jeszcze bardziej.

- Pewnie się pan przywitał - podsunął Billy T., choć wiedział, że

sugeruje znacznie, znacznie więcej, niż uczono go w szkole policyjnej.

- Uściskał ją pan? Podał jej rękę?

Benjamin Grinde nie odpowiedział, tylko patrzył na biurko - posprzątane i umyte, bez śladu tragedii, jaka rozegrała się tu w zeszły piątek wieczorem.

- Podał jej pan rękę, panie Grinde?

Sędzia drgnął. Nagle jakby uświadomił sobie, gdzie jest i czego się od niego oczekuje.

- Podaliśmy sobie ręce i lekko się uścisnęliśmy. To ona tego chciała. Mam na myśli uścisk. Mnie się wydał trochę nienaturalny. Nie widziałem jej od bardzo wielu lat - wyjaśnił ściszym głosem, ale mocnym i pozbawionym emocji.

- I co dalej?

Billy T. zakręcił dłonią w nadziei, że trochę popędzi Grindego.

- Potem usiadłem. Tutaj.

Osunął się na krzesło, a bordową aktówkę położył przed sobą na biurku.

- Położył pan ją tu?

- Słucham? Aha, teczkę. Nie.

Zdjął ją z biurka i ustawił na podłodze, lekko opierając o nogę krzesła.

- Siedziałem w ten sposób.

- Przez trzy kwadranse - powiedział Billy T.

- I rozmawialiście o...

- Nie ma konieczności zadawania takich pytań, Billy T. - skarcił go naczelnik i chrząknął. - To przecież nie jest przesłuchanie. Sędzia Grinde już składał zeznania. To rekonstrukcja wydarzeń. - Posłał Benjaminowi Grindemu służalczy uśmiech, ale sędzia myślami był

gdzie indziej.

- Okej. - Billy T. nie zdołał ukryć nagłej irytacji. - I co dalej? Kiedy już skończyliście rozmawiać.

- Wstałem. Wyszedłem. Nic więcej się nie wydarzyło.

Spojrzał na policjanta. Oczy miał ciemniejsze niż przedtem. Brąz tęczówki zlewał się z czarnymi źrenicami. Białka miał przekrwione, a wargi węższe niż kiedykolwiek.

- Nic więcej nie mam do powiedzenia. Przykro mi.

Przez chwilę wyglądało na to, że Billy T. nie bardzo wie, co dalej robić. Zamiast kontynuować rekonstrukcję, podszedł do okna. Za dnia miasto wydawało się bardziej chaotyczne i szare niż wtedy, kiedy stał tu poprzednio, gdy wszystkie światła sprawiły, że Oslo wyglądało wręcz pięknie. Chociaż naprzeciwko wznosiły się nowe budynki, był jakiś bałagan w tym widoku. Budowa trwająca na rogu przy sklepie Hansen & Dysvik wzmacniała wrażenie, że stolica państwa to dywanik utkany ze starych i nowych gałganków, który nigdy nie zostanie skończony.

Policjant gwałtownym ruchem odwrócił się od okna.

- Co premier powiedziała, kiedy pan wychodził?

Sędzia, który wciąż siedział wpatrzony przed siebie, odparł:

- Powiedziała: „Miłego weekendu”.

- Miłego weekendu? Nic więcej nie dodała?

- Nie. Życzyła mi miłego weekendu i zaraz wyszedłem.

Benjamin Grinde wstał, wziął teczkę pod pachę i ruszył do drzwi.

- Sędziego możemy już chyba zwolnić? - odezwał się znów naczelnik, a jego słowa należało traktować bardziej jak polecenie niż pytanie.

- Dobrze - mruknął Billy T.

Ale wcale nie było dobrze. Ani trochę. Benjamin Grinde nie mówił prawdy. Był najgorszym kłamcą, z jakim Billy T. kiedykolwiek się zetknął. Jego kłamstwa były wyposażone w niebieskie migające światła i syreny, chociaż nie dało się zrozumieć ich powodu.

- Sprowadź strażnika - poprosił umundurowanego policjanta, a sam wyszedł za Grindem.

W połowie schodów znów położył rękę na ramieniu sędziego. Grinde gwałtownie się zatrzymał i zeszywniał, ale się nie obejrzał. Billy T. go wyminął, stanął dwa stopnie niżej, a kiedy się odwrócił, ich oczy znalazły się na tej samej wysokości.

- Uważam, że pan kłamie, Grinde - szepnął.

Kiedy sędzia spuścił głowę, Billy T. zaskoczył ich obu, wsuwając mu rękę pod brodę. Wcale nie mocno, bez wrogości, mniej więcej tak, jak postępował ze swoimi synami, kiedy nie chcieli patrzeć mu w oczy. Był to przejaw niesłychanej bezpośredniości, ale Benjamin Grinde z jakiegoś powodu zaakceptował to upokorzenie.

- Myślę, że nie powiedział mi pan prawdy. I nie rozumiem dlaczego. Jestem przekonany, że nie zabił pan Birgitte Volter, chociaż sam nie wiem, skąd to wiem. Coś jednak pan ukrywa. Prawdopodobnie coś, o czym rozmawialiście. Co mogłoby rzucić światło na to zabójstwo.

Grinde się opanował. Nagłym ruchem wyrwał brodę z ręki Billy'ego T. i zrobił krok do tyłu. Teraz patrzył na policjanta z góry.

- Powiedziałem już wszystko, co należało powiedzieć w tej sprawie.

- Przyznaje więc pan, że są rzeczy, o których pan nie mówi? - Billy T. wciąż patrzył mu w oczy.

- Powiedziałem to, co należało powiedzieć. A teraz chcę odejść.

Wyminął wysokiego policjanta i kiedy zszedł po schodach, skręcił

za róg, nawet się nie oglądając.

- Cholera - szepnął Billy T. do siebie. - Niech to szlag!

- Weź się w garść, chłopaku!

Strażnik nie był typem osoby, którą Billy T. miałby ochotę ująć pod brodę, by życzliwie przymusić nieco do współpracy. Tego człowieka miało się ochotę przełożyć przez kolano i sprać na kwaśne jabłko. Był zły, zbuntowany i sprawiał wrażenie cholernie zdenerwowanego.

- Dotykałeś tej klamki czy nie dotykałeś?

Stali we dwóch w malutkim pokoju wypoczynkowym między gabinetem pani premier a pokojem konferencyjnym.

- Mówiłem to już tysiąc razy - odparł strażnik gniewnie. - Nie dotykałem tych drzwi.

- Wobec tego, jak wyjaśnisz, że twoje odciski zostały tutaj - Billy T. zakreślił palcem kółeczko na futrynie - i tutaj, na klamce?!

- Przecież wcześniej byłem tu ze sto razy - odparł strażnik i przewrócił oczami. - Macie jakiś kod czasowy na tych odciskach czy co?

Billy T. przymknął powieki i zaczął liczyć. Kiedy doszedł do dziesięciu, otworzył oczy.

- Co właściwie z tobą jest nie tak? Nie rozumiesz powagi sytuacji? - Uderzył pięścią w ścianę. - Co? Niczego nie rozumiesz?

- Rozumiem, że uważacie, że to ja zabiłem tę Volter. Ale ja tego nie zrobiłem, do cholery! - Głos strażnika przeszedł w falset, dolna warga zaczęła drżeć.

Billy T. stanął, wpatrzony w niego, i przez dłuższą chwilę nic nie mówił. W końcu jednak to zrobił. Ujął strażnika pod brodę i zmusił go do kontaktu wzrokowego. Chłopak próbował się wyrwać, ale Billy T.

za mocno go trzymał.

- Ty nie wiesz, co dla ciebie dobre - stwierdził spokojnie. - Nie rozumiesz, że możemy sobie nawzajem pomóc. Gdybyś tylko mi powiedział, co się wydarzyło tego wieczoru, obydwaj poczulibyśmy się lepiej. I jeszcze jedno. Jeśli zabiłeś Volter, ja się tego dowiem. Chociaż wcale nie uważam, że to ty. Na razie. Ale musisz mi pomóc. Nie rozumiesz?

Chwył Billy'ego T. był na tyle mocny, że wokół jego palców na brodzie strażnika wykwitły czerwone plamy. Gdzieś z tyłu naczelnik burknął ostrzegawczo. Ale Billy T. nie słuchał. Patrzył w piwne oczy strażnika okolone niezwykle długimi rzęsami. Nagle poczuł, że jeżą mu się włoski na karku. Zrozumiał, co wyraża wzrok chłopaka. To był lęk w najczystszej postaci. Strach głęboki jak otchłań.

- Cholera, ty nie mnie się boisz - szepnął Billy T. tak cicho, żeby usłyszeć go mógł wyłącznie strażnik. - Gdybyś miał dość oleju w głowie, powiedziałbyś mi, skąd ten strach. Bo widzę, że coś jest. Ale przekonasz się, że ja się tego dowiem. - Gwałtownie oderwał dłoń od twarzy strażnika. - Możesz odejść - rzucił ze złością.

- Przynajmniej ta pani nie kłamie - mruknął Billy T. głównie do siebie.

Wenche Andersen z gardłem ściśniętym od płaczu z najdrobniejszymi szczegółami zrelacjonowała, co robiła od chwili, gdy po raz ostatni widziała Birgitte Volter żywą, do momentu, kiedy znalazła ją martwą w gabinecie. Powiedziała, że była trzy razy w toalecie. Czerwona i zakłopotana dodała nawet, że raz chodziło o większą potrzebę, a dwa razy o mniejszą. Tone-Marit uśmiechnęła się wyrozumiale i podkreśliła, że aż takie szczegóły nie są konieczne.

- Potem zadzwoniłam na policję. - Wenche Andersen skończyła mówić i odetchnęła.

- Bardzo dobrze, ogromnie nam pani pomogła - pochwaliła ją Tone-Marit Steen z przesadną życzliwością jak przedszkolanka dziecko.

Billy T. przymknął oczy i potarł twarz.

Wenche Andersen podziękowała za komplement słabym uśmiechem. Potem nagle poczerwieniała jak piwonia. Tone-Marit widziała, jak opanowuje ją podniecenie. Tętnica na szyi rozszerzyła się i zaczęła mocniej pulsować.

- Zapomniałam o czymś! - zawołała Wenche Andersen. - Kolejny raz o czymś zapomniałam!

Pobiegła do gabinetu pani premier, nawet nie pytając o pozwolenie, co było do niej bardzo niepodobne.

- Puzdreczko - szepnęła, odwracając się do Billy'ego T., który poszedł za nią. - Pojemniczek na leki. Znaleźliście go tutaj?

- Pojemniczek na leki? - Billy T. rzucił pytające spojrzenie umundurowanemu policjantowi, który sięgnął po listę przedmiotów zabranych z gabinetu do zbadania.

- Tutaj nic o tym nie ma - oznajmił, kręcąc głową.

- Co to za pojemniczek? - spytał Billy T., przekrzywiając głowę i przykładając płaską dłoń do ucha, które bolało jak opętane.

- Prześliczny drobiazg. Z pokrytego emalią srebra - wyjaśniła Wenche Andersen i narysowała w powietrzu maleńki prostokąt. - Złocony i emaliowany, a może wręcz ze złota. Wyglądał na bardzo stary. I zawsze stał tu, na biurku. - Pokazała palcem. - Ja... - Przez rozpacz zaczął chyba przebijać wstyd i Wenche Andersen jakby się zawahała. - Muszę po prostu się do czegoś przyznać - zdecydowała się

wreszcie, patrząc w podłogę. - Raz próbowałam... - Znow ukryła twarz w dłoniach, a głos miała zniekształcony, jakby mówiła z tłumikiem. - Raz próbowałam go otworzyć. Ale zamek był bardzo oporny i zanim mi się to udało, pani premier wróciła do pokoju... - Uniosła twarz, a łzy wstydu leciały jej z oczu. Z trudem łapała powietrze. - To było takie strasznie przykre. A ona tylko... po prostu wyjęła mi pojemnik z rąk i nigdy więcej o tym nie wspomniała.

Billy T. uśmiechnął się ciepło do kobiety w rdzawoczerwonym kostiumie.

- Zrobiła pani świetną robotę - pocieszył ją. - A każdemu z nas zdarza się nie zapanować nad ciekawością. Jest pani wolna.

Ale kiedy wszyscy inni już wyszli z gabinetu pani premier, on jeszcze został.

- Puzderko na leki - powiedział do siebie w końcu. - Ciekawe, czy rzeczywiście były w nim leki.

17.10

Ole Brumms vei 212

- Będę bardzo dyskretna - obiecała Hanne Wilhelmsen. - Zleję się w jedno z tapetą.

- Ty w jedno z tapetą? To niemożliwe.

Billy T. wciąż nie był przekonany, czy dobrze zrobił, zabierając ją ze sobą do mieszkania Roya Hansena.

- Nie odzywaj się - mruknął, kiedy zbliżali się do drzwi pomalowanego na żółto szeregowca. - A już na pewno nie mów o tym nikomu w robocie.

Gdy dotarli do wejścia, Hanne wydało się, że coś jej mignęło z boku. Odwróciła się w stronę sięgającego jej mniej więcej do pasa żywopłotu, biegnącego po obu stronach małego ogródka. Nic jednak nie dostrzegła. Pokręciła głową i poszła za Billym T., który już dzwonił do drzwi.

Nikt nie odpowiedział. Billy T. zadzwonił ponownie, ale i tym razem nikt nie przyszedł otworzyć. Hanne zeszła ze schodów i popatrzyła na piętro.

- Ktoś jest w domu - szepnęła. - Zasłonka się poruszyła.

Billy T. chwilę się wahał, ale wreszcie jeszcze raz przyłożył palec do dzwonka.

- Słucham.

Mężczyzna, który przed sekundą otworzył drzwi z gniewnym szarpnięciem, miał pastę do zębów w kącikach ust i trzydniowy zarost. Oczy zwężone, rozbiegane, jakby przed chwilą wstał z łóżka. Na koszuli zaschnięte plamy z żółtka. Hanne nie znosiła jajek i na chwilę

musiała się odwrócić. Kilka razy głęboko odetchnęła przez nos i uśmiechnęła się do rosnącej tuż przy schodach jabłonki.

- Roy Hansen? - spytał Billy T.

Mężczyzna w odpowiedzi kiwnął głową.

- Policja. - Billy T. lewą ręką pokazał identyfikator, a prawą wyciągnął na przywitanie. - Bardzo przepraszam, że przeszkadzamy. Możemy wejść?

Roy Hansen zrobił krok do przodu i prędko rozejrzał się w obie strony.

- Możecie - mruknął. - Dzwonili dzisiaj do drzwi już cztery razy. Dziennikarze.

Poprowadził ich przez nieduży przedpokój do pogrążonego w półmroku salonu, w którym kurz tańczył w smudze światła wpadającej przez szparę w zaciągniętych zasłonach. Opadł na kanapę z lekkim stęknieniem i wskazał policjantom fotele.

Powietrze było lepkie i duszne, unosił się w nim słodkawy ciężki zapach kwiatów i gnijących owoców cytrusowych. Hanne popatrzyła na olbrzymią misę z owocami, w której pomarańcze pokryły się zielonoszarym nalotem pleśni. Obok misy na sosnowym bufecie leżały stosy nieotwartej korespondencji. W rogu salonu Hanne zauważyła mnóstwo bukietów, również nieruszonych, czterdzieści, może pięćdziesiąt wielkich, niekształtnych paczek owiniętych w szary papier, choć tu i ówdzie trafił się też celofan. Obrazy na ścianach, nieawangardowe, ale gustowne grafiki, wydawały się matowe i bezbarwne, jakby zrezygnowały ze sprawiania radości oczom mieszkańców tego domu, który właściwie przestawał już być domem.

- Pomóc panu przy tych kwiatkach? - spytała Hanne, nie siadając. - W każdym razie nie powinny po prostu tak tu leżeć.

Roy Hansen nie odpowiedział. Spojrzał w stronę kąta, ale sprawiał wrażenie, jakby pakunki zajmujące kilka metrów kwadratowych pokoju ani trochę go nie obchodziły.

- Powinniśmy przynajmniej odciąć wizytówki - zaproponowała Hanne. - Żeby mógł pan podziękować. Później. Kiedy będzie pan miał na to siły.

Roy Hansen z rezygnacją pokręcił głową i machnął ręką.

- To bez znaczenia. Jutro przyjeżdżają śmieciarze.

Hanne usiadła.

Ten salon był kiedyś przytulny. Gdyby wpuścić tu światło, meble okazałyby się kolorowe i wesołe, a rośliny pod wielkim panoramicznym oknem imponujące. Ściany, które teraz sprawiały wrażenie szarawych, miały tak naprawdę jasnożółtą barwę. Zapewne przy dużej ilości światła i powietrza pięknie współgrały z jasną sosnową podłogą. Załedwie cztery dni temu ten salon był sercem miłego, przytulnego norweskiego domu. Hanne zadrżała na myśl o tym, co może zrobić śmierć, bo nie tylko z wdowca siedzącego przed nią, ale z całej tej przestrzeni była przejmująca pustka.

- Naprawdę szczerze przepraszam - powiedział Billy T., który wyjątkowo siedział spokojnie z nogami grzecznie ustawionymi przed sobą. - Polecono nam nie zakłócać wam spokoju aż do pogrzebu, ale wyniknęła pewna sprawa, którą chciałbym rozstrzygnąć od razu. Ale zanim ją poruszę...

Z piętra zbiegł dwudziestoletni chłopak. Był w dresie i czarnych adidasach, średniego wzrostu, jasnowłosy, a brak charakterystycznych rysów czynił jego twarz niemal anonimową.

- Pójdę trochę pobiegać - mruknął i ruszył do drzwi, nie patrząc na policjantów.

- Per! Zaczekaj! - Roy Hansen wyciągnął ręce, jakby chciał zatrzymać syna. - Przecież wiesz, że będą próbowali z tobą rozmawiać!
- Bezradnie spojrział na policjanta. - Zatrzymują nas za każdym razem, kiedy wychodzimy z domu.

Billy T. wstał zirytowany.

- Cholerne pismaki! - syknął i podszedł do drzwi na taras. - Nie możesz wyjść tędy? I przeskoczyć przez żywopłot do sąsiada? - Otworzył drzwi i wyjrzał. - Tamtędy - pokazał. - Na przykład przez ten płot.

Per Volter przez chwilę się zawahał, po czym z gniewną miną i spuszczoną głową przeszedł przez salon na taras. Billy T. ruszył jego śladem.

- Billy T. - przedstawił się, wyciągając rękę. - Jestem z policji.

- Tyle zrozumiałem - odparł młody człowiek, ignorując jego gest.

- Moje kondolencje. - Billy T. miał problemy z tym obcym słowem, ale żadnego lepszego nie znalazł. - Bardzo mi przykro.

Chłopak nie odpowiedział. Zaczął truchtać w miejscu, jakby chciał już odejść, ale dobre wychowanie nie pozwalało mu na okazanie jeszcze większej nieuprzejmości.

- Tylko jedna rzecz, zanim pobiegiesz - powiedział Billy T. - Skoro już cię złapałem. To prawda, że jesteś członkiem klubu pistoletowego?

- Strzeleckiego - poprawił go Per Volter. - Jestem wiceprzewodniczącym Związku Strzeleckiego w Groruddalen.

Po raz pierwszy na jego twarzy pojawiło się coś, co można było nazwać uśmiechem.

- Znasz tam wszystkich?

- Prawie. Przynajmniej wszystkich w miarę aktywnych.

- I bierzesz udział w zawodach?

- Tak. To znaczy teraz to głównie mistrzostwa wojskowe. Jestem w szkole podoficerskiej.

Billy T. kiwnął głową, a potem wyjął fotografię - zrobioną polaroidem, bez zezwolenia, zanim strażnik z budynku rządowego zdążył zaprotestować.

- Znasz go?

Podał zdjęcie Perowi Volterowi, który zaprzestał suchej zaprawy i przez kilka sekund mu się przyglądał.

- Nie - powiedział z wahaniem. - Chyba nie.

- Ale pewny nie jesteś?

Per jeszcze przez chwilę przyglądał się zdjęciu. W końcu zdecydowanie pokręcił głową, oddał fotografię i popatrzył Billy'emu T. prosto w oczy.

- Jestem pewien. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

Krótko skinął głową, wyskoczył do ogrodu i podbiegł do metrowego płotu, który sforsował eleganckimi nożycami i zniknął w krzakach po drugiej stronie.

Billy T. patrzył za nim ze zmarszczonymi brwiami. W końcu wrócił do Hanne i Roya Hansena.

- Znalazł pan kartę wstępu? - spytał, siadając.

- Nie, przykro mi. Nigdzie jej nie ma.

Policjanci porozumieli się błyskawicznie spojrzeniami. Billy T. nie był w stanie wysiedzieć spokojnie. Wychylił się, żeby oprzeć się o niski stolik, i prawie przykucnął, aż zabolowały go plecy.

- Wie pan, że żona miała nieduże pudełeczko na tabletki, srebrne albo złote?

- Emaliowane - uzupełniła Hanne. - Mały emaliowany pojemniczek, mniej więcej tej wielkości. - Z kciuków i palców

wskazujących ułożyła prostokąt.

Roy Hansen patrzył na nich zdumiony.

- Pojemniczek na leki? To znaczy?

- Takie maleńkie puzderko - wyjaśniła Hanne. - Prawdopodobnie bardzo stare. Może spadek po kimś?

Roy Hansen przechylił głowę na bok i podrapał się w policzek. Rozległ się lekki szelest. Nagle wstał i z zapchanej książkami półki przyniósł album ze zdjęciami. Usiadł, przez chwilę go kartkował.

- Tutaj - powiedział nagle. - Czy może chodzić o to?

Nachylił się nad stolikiem i położył album między sobą a Hanne Wilhelmsen, po czym wskazał na czarno-białą fotografię. Było to duże zdjęcie, najwyraźniej zrobione przez zawodowego fotografa na dużoobrazkowym filmie. Wyraźne były nawet drobne szczegóły. Bardzo młoda i bardzo szczęśliwa Birgitte Volter w sukni ślubnej z welonem stała przy uśmiechniętym Royu Hansenie, który miał gęstą czuprynę i okulary w czarnych rogowych oprawkach. Państwo młodzi pozowali przy stole zapelnionym prezentami. Widać było dwa żelazka, dużą szklaną misę, srebrne nakrycia, dwa obrusy, chyba kryształowy zestaw składający się z dzbanuszka na śmietankę i cukiernicy, a także mnóstwo innych rzeczy, których przeznaczenie trudno było określić. A na pierwszym planie rzeczywiście widniało maleńkie pudełeczko.

- Prawie go nie widać - stwierdził Roy Hansen. - I szczerze mówiąc, całkiem o nim zapomniałem. Nie widziałem go od wielu, wielu lat. Nie pamiętam nawet, od kogo je dostaliśmy.

- A pamięta pan kolor?

Roy Hansen pokręcił głową.

- I nie wie pan, skąd się wzięło? Na pewno?

Roy Hansen dalej kręcił głową. Jego spojrzenie nagle stało się

dalekie, jakby z zapomnianego, zakurzonego kąta mózgu usiłował wyciągnąć wspomnienia ze ślubu. Utkwił wzrok w zdjęciu, w radosnej fotografii, a kącik oka wyraźnie mu zwilgotniał.

- No cóż - powiedział Billy T. - Wobec tego nie będziemy dłużej przeszkadzać.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Roy Hansen drgnął. Łza oderwała się od rzęs, pociekła w stronę ust. Otarł ją gwałtownie wierzchem dłoni.

- Mam otworzyć? - spytała Hanne.

Gospodarz podniósł się powoli, ciężko i kilka razy potarł twarz dłońmi.

- Nie, dziękuję - szepnął. - Czekam na matkę. To może być ona.

Kurz, półmrok i duszne gęste powietrze miały jakiś wpływ na akustykę. Zmęczone tykanie starego stołowego zegara brzmiało tak, jakby owinięto go w watę. Cały pokój zdawał się wywatowany. Dlatego głosy z korytarza przecięły całą tę miękkość i bezdźwięczność ostro jak noże dysonansu.

- Kim pan jest? - rozległ się głos Roya Hansena. Prawie krzyczał, jakby wzywał pomocy.

Hanne i Billy T. poderwali się błyskawicznie i wybiegli do przedpokoju. Ponad zgarbionymi plecami Roya Hansena Billy T. dostrzegł wysokiego, mniej więcej czterdziestoletniego mężczyznę z rozwichrzonymi włosami. Trzymał gigantyczny, nieowinięty w papier bukiet kwiatów i wciskał go w ręce męża Birgitte Volter, który oszołomiony cofał się teraz w głąb przedpokoju. Mężczyzna z kwiatami skorzystał z okazji i prawie już przekroczył próg. Billy T. precyzyjnie przycisnął się obok Roya Hansena i położył płaską dłoń na klatce piersiowej mężczyzny.

- Kim pan jest? - spytał.

- Kim jestem? Jestem dziennikarzem z „Życia Gwiazd”. Chciałem tylko złożyć kondolencje i zamienić kilka słów.

Billy T. odwrócił się i spojrzał na Roya Hansena. Mąż pani premier był w złym stanie, już kiedy przyszli. Płakał podczas ich wizyty. Billy T. naprawdę nie chciał go dręczyć, lecz pytanie o pojemniczek na leki było na tyle ważne, że nie widział innego wyjścia. Teraz zaś Roy Hansen był popielatoszary na twarzy, a na czoło wystąpił mu pot.

- Co pan sobie, u diabła, myśli, wdzierając się tu w taki sposób? - warknął Billy T. na dziennikarza. - Niczego pan nie rozumie?

Hanne zabrała gospodarza z powrotem do salonu i zamknęła drzwi.

- Niech się pan wynosi! - syknął Billy T. - Niech pan się, do jasnej cholery, wynosi z tej okolicy! Natychmiast!

- O rany, po co te nerwy? Przecież po prostu chcieliśmy być mili.

- Mili? - warknął Billy T., szturchając dziennikarza palcem w pierś tak mocno, że ten się zachwiał i bukiet wypadł mu z ręki. - Niech pan się wynosi, powiedziałem!

- Spokojnie, spokojnie, już idę. Przecież wychodzę. Mężczyzna cofnął się, ale jeszcze nachylił się po bukiet.

- Mógłby pan przynajmniej wstawić te kwiaty do wody? Billy T. nie bił. Billy T. miał na swoim koncie zniszczenie w przyпыłwie wściekłości mnóstwa rzeczy: koszy na śmieci i abażurów, szyb i samochodowych lusterek. Ale nie tknął drugiego człowieka od czasu, gdy jako chłopiec bijał się z siostrą. Teraz też nie uderzył. Lecz potężny cios był już naprawdę blisko. Z pięścią przysuniętą do twarzy dziennikarza zasyczał:

- Jak cię jeszcze raz zobaczę w tej okolicy... Jak cię tylko zwęszę, ciebie albo kogoś innego z tego szmatławca, to... - Zamknął oczy i

policzył do trzech. - Spadaj stąd, ale już!

Chciał zatrzaskać drzwi, ale w szparę jeszcze raz wsunął się bukiet.

- Niech pan przynajmniej przekaże te kwiaty!

Billy T. zamknął drzwi na rękę, która je trzymała. Mężczyzna z wrzaskiem wypuścił wiązanekę.

- Do diabła, chce mnie pan zabić?

Wyszarpnął rękę, a policjant zatrzaskał drzwi, ciężko dysząc i usiłując odzyskać panowanie nad sobą.

- Nie może pan tu zostać - oświadczył Royowi Hansenowi, kiedy wreszcie opanował się na tyle, by wrócić do salonu. - Tak jest przez cały czas?

- Nie, nie przez cały. Dzisiaj było najgorzej. Jakby się spodziewali, że... że to już koniec mojej żałoby. Jakby dali mi na nią tylko trzy dni.

Spuścił głowę nad kolanami i wybuchnął płaczem.

Hanne Wilhelmsen chciała już iść. Czuła potrzebę wydostania się stąd, opuszczenia tego dusznego, zamkniętego miejsca, w którym przebywały dwie pogrążone w żałobie osoby, nieumiejące ze sobą rozmawiać. Roy Hansen potrzebował pomocy. Ani ona, ani Billy T. nie mogli mu jej zapewnić.

- Czy mogę po kogoś zadzwonić? - spytała cicho.

- Nie, dziękuję. Niedługo przyjdzie moja matka.

Policjanci spojrzeli na siebie i postanowili pozostawić Roya Hansena rozpacz, której nie mogli zaradzić. Ale spędzili w samochodzie zaparkowanym przed Ole Brumms vei 212 jeszcze trzy kwadransy, dopóki starsza kobieta przy pomocy taksówkarza bezpiecznie nie dotarła do drzwi. Żaden dziennikarz nie próbował nawiązać z nią kontaktu. Być może wystraszyło ich niebieskie światło, ostrzegawczo migające na radiowozie stojącym po przeciwnej stronie

ulicy.

Po drodze Billy T. wepchnął przepiękne kwiaty od „Życia Gwiazd” do kosza. Musiały kosztować blisko tysiąc koron.

18.30

Restauracja Bombay Plaza

Siedzieli w głębi hinduskiej restauracji, pochłaniając papa-dums w oczekiwaniu na kurczaka tandoori. Cienkie kruche placki były tak ostre, że Øyvind Olve odzyskał nieco kolorów na twarzy. Od piątku rano prawie się nie kładł i czuł, że trzy łyki piwa uderzyły mu do głowy.

- Bardzo się cieszę, że cię widzę - powiedział i uniósł szklankę w stronę Hanne Wilhelmsen. - Kiedy przyjeżdża Cecilie?

Wszyscy, którzy znali partnerkę Hanne, dopytywali się o jej powrót, zanim w ogóle spytali o coś innego. Postanowiła jednak, że nie będzie się tym irytować.

- Nie wcześniej niż na Boże Narodzenie. Ja wracam do Stanów. Za jakiś czas. To coś w rodzaju urlopu, jeśli można tak powiedzieć.

Siedzący przed nią mężczyzna dobiegał czterdziestki i wyglądał jak pluszowy miś. Nie był wcale specjalnie wielki ani gruby, ale uszy wesoło mu sterczały z okrągłej jak kulka głowy pokrytej czarnym językiem, a z oczu za okrągłymi okularkami biły takie ciepło i spokój, jakby nigdy nie miał do czynienia z nędzą tego świata. Wrażenie to było jednak całkowicie złudne. Mężczyzna był bowiem doświadczonym politykiem, a do ostatniego piątku pełnił funkcję szefa sztabu Birgitte Volter i sekretarza stanu w Kancelarii Premiera. Był też bliskim przyjacielem Cecilie Vibe. Pochodził z Kvinnherad i wychowywał się w gospodarstwie położonym obok domku letniskowego rodziców Cecilie. Partnerka Hanne Wilhelmsen, która miała o wiele prostszy stosunek do ich związku, zabrała Øyvinda i jego

siostrę Agnes w swoje dorosłe życie. Hanne Wilhelmsen zaś odkreśliła swoje dzieciństwo grubą czarną kreską w dniu, w którym zamieszkała razem z Cecilie, czyli bardzo dawno temu. Własnych przyjaciół zastąpili jej przyjaciele partnerki.

- Co będziesz teraz robił?

Øyvind nie odpowiedział od razu. Siedział tylko wpatrzony w szklankę, którą obracał wokół jej własnej osi. W końcu lekko pogładził się po głowie i uśmiechnął.

- Bóg jeden wie. Przypuszczam, że wrócę do zarządu partii, ale najpierw... najpierw wezmę urlop.

- Z całą pewnością zasłużony. Jakie właściwie było to pół roku?

Zanim Øyvind zdążył odpowiedzieć, Hanne się rozjaśniła.

- Jedź do Cecilie! Kalifornia o tej porze roku jest naprawdę cudowna! Mamy mnóstwo miejsca dla gości i tylko pięć minut do plaży.

- Zastanowię się. Dziękuję. Ale może Cecilie nie będzie to odpowiadać?

- Oczywiście, że będzie. Naprawdę się ucieszy. Wszyscy tylko mówią, że nas odwiedzą, ale nikt nie przyjeżdża.

Uśmiechnął się, lecz porzucił ten temat.

- To było najbardziej niespokojne pół roku w moim życiu. Wszystko, co mogło pójść źle, tak właśnie poszło. Ale... - Znów pogładził się po włosach, co oznaczało zakłopotanie. Powtarzał ten gest, odkąd się znali. - Ale było też bardzo emocjonująco. Taka sytuacja zbliża ludzi. Możesz mi wierzyć albo nie, ale cały ten pasztet nie złamał Birgitte. Potrafiła nas zjednoczyć. Trochę na zasadzie my przeciwko nim. Odpowiedzialni przeciwko beztroskim.

Wysoki ciemnowłosy mężczyzna przyniósł im jedzenie. Czerwony

jak ogień kurczak parował i pachniał. Hanne poczuła, że nic nie jadła od śniadania. Sięgnęła po kawałek nan i mówiła dalej z jedzeniem w ustach:

- Jaka była Birgitte Volter? Tak naprawdę. Przecież pracowałeś z nią tyle lat, prawda? - Mhm. - Więc jaka była?

Øyvind Olve był spokojnym, opanowanym mężczyzną z zachodniej Norwegii. Zaszedł wysoko w partii dzięki chłopskiemu pochodzeniu, uczciwej pracy i umiejętności trzymania języka za zębami wtedy, kiedy należało. Teraz nie wiedział, co odpowiedzieć. Wprawdzie Hanne Wilhelmsen była jego dobrą przyjaciółką, ale też policjantką. Już dwa razy przesłuchiwał go olbrzym, który w innym ubraniu wyglądałby jak chodzący plakat propagandowy nazistowskich Niemiec. Dlatego Øyvind Olve się zawahał, czując, że w głowie mu się kręci od alkoholu.

- Była jedną z najciekawszych osób, jakie znałem - powiedział w końcu. - Troskliwa, zdolna, miała wizje. Najbardziej godne podkreślenia było chyba jej zupełnie ekstremalne poczucie odpowiedzialności. Nigdy nie zostawiała żadnych spraw niezakończonych. Zawsze wszystko brała na siebie. A poza tym... była zwyczajnie dobrym człowiekiem.

- Dobrym człowiekiem? - roześmiała się Hanne. - Istnieją w ogóle politycy, którzy są dobrymi ludźmi? Co przez to rozumiesz?

Øyvind Olve wyglądał tak, jakby przez chwilę się zastanawiał. W końcu skinął na kelnera, prosząc o jeszcze jedno piwo. Pytająco spojrzał na Hanne, która odmownie machnęła ręką.

- Birgitte chciała czynić dobro. Szczerze uważała, że polityka powinna służyć zapewnieniu odpowiednich warunków życia jak największej liczbie ludzi. Pamiętała o tym nie tylko w swoich przemówieniach, nie tylko na papierze. Naprawdę interesowali ją

ludzie. Upierała się na przykład przy czytaniu wszystkich listów przychodzących z całej Norwegii od tych, którzy chcieli osobiście przedstawić jej swój problem. A powiem ci, że było ich naprawdę dużo. Nie jesteśmy w stanie na wszystkie reagować, ale ona i tak czytała każdy, a niektóre historie głęboko ją poruszały. W kilku przypadkach interweniowała osobiście. Ku wielkiej irytacji urzędników. Bezgranicznej.

- Nie była przez nich lubiana? Mam na myśli urzędników.

Øyvind Olve długo patrzył na Hanne, w końcu znów zaczął jeść.

- Wiesz, właściwie trudno to stwierdzić. Nigdy nie zetknąłem się z taką lojalnością, przynajmniej pozorną, jak wśród urzędników Kancelarii Premiera. Po prostu nie da się stwierdzić, czy ją lubili, czy nie. I może nie jest to wcale aż tak ważne. - Potarł oczy zgiętymi palcami wskazującymi jak śpiące dziecko.

- A co z życiem prywatnym? - spytała Hanne.

Pytanie kompletnie zaskoczyło Øyvinda. Odsunął ręce od twarzy i spojrzał na nią niemal z przerażoną miną.

- Prywatnym? Ja jej nie znałem prywatnie.

- Nie znałeś jej? Przecież tak długo blisko z nią współpracowałeś.

- Owszem, pracowałem, ale to nie to samo, co znać kogoś prywatnie. Sama powinnaś o tym wiedzieć.

Uśmiechnął się i zauważył, że Hanne lekko się zaczerwieniła. Od trzynastu lat pracowała w Komendzie Okręgowej Policji w Oslo, a tylko dwóch kolegów z firmy przekroczyło próg jej mieszkania, które dzieliła z Cecilie Vibe.

- Ale organizujecie przecież w partii rozmaite imprezy i podobne spotkania - upierała się Hanne. - A na dodatek jeździłeś z nią po świecie, prawda?

- Nie za wiele. Co ty właściwie chcesz wiedzieć?

Hanne odłożyła sztucę i wytarła usta dużą białą płócienną serwetką.

- Pozwól, że zacznę od innego końca. Czy to Birgitte Volter wybrała Ruth-Dorthe Nordgarden na stanowisko ministra zdrowia?

Teraz to Øyvind Olve się zaczerwienił. Wypuścił z ręki kawałeczek nan zanurzony w sosie. Na koszuli ukazała się czerwona plama.

- Nie powiedziałbym ci o tym, gdyby nie to, że ona nie żyje - mruknął, próbując zetrzeć plamę, ale od pocierania suchą serwetką tylko się powiększyła. - To może być trudne do zrozumienia.

- Wypróbuj mnie - uśmiechnęła się Hanne.

- Ułożenie rządu to ogromnie skomplikowane puzzle - zaczął Øyvind Olve. - Premier nie może sam wybierać ministrów. Ma na uwadze mnóstwo względów: geografię, płeć... - Wyraźnie starał się opanować beknięcie. - Związki zawodowe muszą dostać swoje, główne osoby w partii, sekretarz i tak dalej, i tak dalej. - Teraz mu się odbiło, złapał się za mostek. - Zgaga - mruknął przepaszająco.

- No dobrze, ale co z Ruth-Dorthe Nordgarden? - Hanne wróciła do swojego pytania. Odsunęła talerz na bok i położyła łokcie na stole. - Kto ją wybrał?

Øyvind Olve wyjął niedużą saszetkę balancidu i próbował jak najdyskretniej spożyć jej zawartość. Nie było to łatwe.

- Nie powinieneś jeść azjatyckich dań, jeśli masz kłopoty z żołądkiem - zauważyła Hanne. - Co z tą Nordgarden?

- W każdym razie to nie Birgitte ją chciała. Ruth-Dorthe wsadzono jej na głowę.

- Kto to zrobił?

Długo na nią patrzył, w końcu westchnął.

- Naprawdę, Hanne, nie jesteś nawet członkiem partii.

- Ale na was głosuję - roześmiała się. - Za każdym razem!

Rozumiała jednak, że niczego więcej się nie dowie. Nie na ten temat. Ale może wyciągnie coś na temat, który interesował ją najbardziej.

- Czy Ruth-Dorthe Nordgarden miała romans z Royem Hansenem? - zapytała tak nieoczekiwanie, że Øyvind Olve czknął jeszcze raz i strużka balancidu wyciekła mu z ust. Znów więc musiał sięgnąć po zmaltretowaną serwetkę.

- Ze wszystkich osób na świecie akurat ty powinnaś wiedzieć, że nie należy słuchać plotek, Hanne - powiedział cicho.

- To znaczy, że słyszałeś o tym już wcześniej?

Øyvind Olve przewrócił oczami.

- Gdybym miał ci opowiedzieć, co słyszałem na temat tego, który polityk z kim sypia, to powinniśmy zarezerwować stolik do końca tygodnia - uśmiechnął się lekko.

- Nie ma dymu bez ognia - stwierdziła Hanne.

- Powiem ci coś. - Øyvind nachylił się. Mówił teraz dobitnie. - Widziałem bardzo zadymione pokoje, w których nie było nawet jednego płomyka. I już dawno się nauczyłem, że właśnie tak może być. Ty też powinnaś o tym wiedzieć. O ilu mężczyznach związanych z tobą plotkowano, zanim ludzie zaczęli domyślać się prawdy? I z iloma kobietami cię wiązano?

Rozmowa przestała być przyjemna. Resztki tandoori pachniały ostro, aż kręciło w nosie. Piwo zwietrzało. W restauracji było za gorąco. Hanne musiała odciągnąć dekolt swetra. Hanne Wilhelmsen była wierna Cecilie od blisko dziewiętnastu lat, ale wiedziała, że w komendzie przypisuje się jej najbardziej niewiarygodne erotyczne

konfiguracje. Spojrzała na zegarek.

- Mimo to o coś cię spytam - powiedziała. - Czy one się znały? Birgitte Volter i Ruth-Dorthe Nordgarden?

- Nie - odparł Øyvind Olve i pomachał na kelnera, dając mu sygnał, że prosi o rachunek. - Nie w takim znaczeniu, o jakie pytasz. Nie prywatnie. Były koleżankami z tej samej partii.

- I nic nie wiesz o tym, na ile Ruth-Dorthe... Co to zresztą za imię?
- uśmiechnęła się i ciągnęła: - Czy ona w ogóle знаła Roya Hansena?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Øyvind Olve pokręcił głową.

-Więc jeśli ci powiem, że...

Kelner przyniósł rachunek i po kilku sekundach wahania położył go przed Hanne, chociaż to Øyvind o niego poprosił.

- Sama widzisz, jaki autorytet od ciebie bije - zaśmiał się Øyvind.

- ...a jeśli ci powiem, że widziałam tę Ruth-Dorthe z Hansenem przy piwie w Café 33 pół roku temu, to cię to zdziwi?

Popatrzył na nią ze zmarszczką między misiowatymi oczami.

- Owszem. Dziwi mnie to, i to bardzo. Jesteś pewna, że to byli oni?

- Najzupełniej - odparła Hanne i przesunęła rachunek na drugą stronę stołu. - Aktualnie jestem bez stałej pracy.

- W zasadzie ja też - mruknął Øyvind Olve, ale rachunek wziął na siebie.

23.10

Vidars gate 11c

- Musisz mi pomóc - szepnął strażnik. - Niech to cholera, Brage, potrzebuję pomocy!

Brage Håkonsen stał w kredowobiałym T-shircie i slipach w kolorze maskującym i nie wierzył własnym oczom. Strażnik z budynku rządowego wyglądał jak dziki. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, zmierzwiłone i zaniedbane, a oczy miał otwarte tak szeroko, jakby dwie minuty temu ujrzał żywego wampira. Ubranie na nim wisiało, barki kompletnie zniknęły pod za dużą wojskową kurtką.

- Na rozum ci padło?! - syknął Brage. - Jak możesz tu przychodzić? Teraz? Spadaj stąd i więcej się tu nie pokazuj!

- Ale, Brage... - zaczął skarżącym się tonem strażnik. - Niech to cholera! Potrzebuję pomocy! Ja...

- Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś!

- Ale, Brage - pisnął strażnik jeszcze raz. - Posłuchaj mnie! Pozwól mi wejść i porozmawiać.

Brage Håkonsen położył ogromną pięść na piersi strażnika, który był od niego o głowę niższy.

- Mówię ci ostatni raz: spadaj!

Ktoś na dole wyszedł na klatkę. Brage Håkonsen drgnął przestraszony i mocno pchnął strażnika na podest schodów. Zatrzasnął drzwi i zaczął się mocować z łańcuchem.

U dołu stopni pojawił się młody mężczyzna. Strażnik podciągnął kurtkę pod same uszy i patrzył w ścianę, kiedy tamten go mijał. Stał i słuchał kroków, aż dotarły do piątego piętra.

Co miał robić? Do oczu napłynęły mu łzy, wargi drżały. Czuł się paskudnie. Musiał nawet usiąść na schodach, żeby się nie przewrócić.

- Muszę stąd spadać - powiedział do siebie. - Muszę, cholera, stąd spadać.

W końcu wstał i na oślep ruszył przez pogrążone w nocnym mroku ulice Oslo.

08.32

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

Broń leżała w wyściełanej kopercie. Na wierzchu grubym czarnym flamastrem napisano jedynie „Komenda Okręgowa Policji w Oslo”. Przesyłka nie została ofrankowana. Funkcjonariusz, który stanął w drzwiach pokoju prokuratora Hakona Sanda, z trudem łapał oddech.

- Leżała w skrzynce na Poczcie Głównej - wydyszał z trudem. - Pomyśleli, że to może być coś ważnego, i przed chwilą to dostarczyli.

Hakon Sand włożył lateksowe rękawiczki. Koperta już była otwarta, co było karygodnym zaniedbaniem procedur. Przecież to mogła być bomba. Ale nie była. Hakon Sand wyciągnął rewolwer i z największą ostrożnością położył go na białym papierze.

- Nagan - szepnął Billy T. - Rosyjski, wzór 1895.

- O, matko! - westchnął Hakon. - Ty też? Urządzacie sobie z Hanne sobotnie quizy?

- A żebyś wiedział - odparł Billy T. z uśmiechem. - Na temat broni i motocykli. Ona zna się na tym najlepiej.

- Nie ruszaj! - zawołał Hakon, kiedy Billy T. nachylił się nad rewolwerem.

- Aż taki głupi nie jestem - mruknął olbrzym, przyglądając się broni z odległości dziesięciu centymetrów. - Poza tym to nie ma kompletnie żadnego znaczenia. Założę się, że jest oczyszczona ze wszystkiego, co mogłoby nas do czegośkolwiek doprowadzić. Wypolerowana i wytarta do połysku, jakby nowa.

- Pewnie masz rację - westchnął Hakon - ale i tak nie dotykaj. Koperty też nie. Wszystko musi iść do techników.

Billy T. nagle się rozjaśnił.

- Wiesz co? Ale skoro to leżało w skrzynce na Poczcie Głównej... to co z wideo? Cała ta przeklęta poczta jest przecież naszpikowana kamerami.

- Już o tym myślałem - skłamał Hakon. - Posłuchaj - zwrócił się do młodego policjanta, który wciąż stał w drzwiach i wyciągał szyję. - Zadbaj o to, żeby ktoś przejrzał ich nagrania z ostatniej doby. Zresztą nie tylko. Z dwóch ostatnich dni.

- I na ziarnistym filmie zobaczymy anonimowego faceta w czapce, który będzie miał dość rozumu w głowie, żeby się odwracać do kamery plecami - mruknął Billy T.

- A masz jakąś lepszą propozycję? - spytał Hakon trochę za głośno. Billy T. tylko wzruszył ramionami i wrócił do swojego pokoju.

12.03

Jens Bjelkes gate 13

Pójście na zwolnienie było oczywiście idiotyzmem. Kompletną głupotą. Ale szef w każdym razie spojrział na niego z troską i potwierdził, że podwładny wygląda bardzo źle. Tak zresztą naprawdę się czuł, kiedy od niego wychodził.

Musiał wyjechać. Najchętniej w ogóle z kraju. Rozumiał jednak, że to by wyglądało podejrzanie. Lepiej wybrać się na północ, do Tromsø. Pojeździć na nartach. To by mu na pewno dobrze zrobiło. Morten, jego najlepszy kumpel, stale go zapraszał. A tej zimy na północy było wyjątkowo dużo śniegu.

Spakował wielki plecak i pojechał na lotnisko Fornebu, nie rezerwując biletu. Niemożliwe, żeby w kwietniową środę samoloty były pełne. Przynajmniej nie w środku dnia.

Czwartek, 10 kwietnia 1997

Przed południem

Dzielnica rządowa

- „Wszyscy prorokują, że skład nowego rządu będzie taki sam jak poprzedniego, z tą jedną zmianą, że Joachim Hellseth, obecnie przewodniczący Komisji do spraw Polityki Finansowej w Stortingu, obejmie tekę ministra finansów. Inne rozszady byłyby wielką niespodzianką”.

Dziennikarz najpewniej miał rację. Minister rolnictwa wyłączył radio i odchylił się na krześle. W każdym razie tak można było sądzić po wczorajszym zachowaniu Tryggvego, który poklepał go po ramieniu z uśmiechem, chociaż niezbyt serdecznym. To zresztą nie było aż takie ważne. Oczywiście chciał zachować stanowisko. Dobrze się tu czuł. Ministerstwo Rolnictwa bardzo mu odpowiadało. Praca ciekawa, pełna wyzwań i ważna. Chętnie by ją kontynuował. Ale jeśli się nie da, to trudno. Miał też inne zadania.

Zadzwoił telefon. Przez chwilę się w niego wpatrywał, ale w końcu szeroko się uśmiechnął. Był przekonany, że poradzi sobie bez względu na to, jaką wiadomość otrzyma. Wreszcie podniósł słuchawkę.

- Tryggve Storstein - zaanonsowała sekretarka.

- Proszę łączyć - polecił minister, a po krótkiej przerwie powiedział: - Cześć, Tryggve, jak się czujesz?

- Lepiej. Teraz przynajmniej śpię. Dziś w nocy sześć godzin. Czuję się jak nowy lepszy człowiek.

Minister rolnictwa zaśmiał się i wyjął z kieszeni pudełeczko ze snusem.

- Churchillowi wystarczały cztery. Ale on miał spokojniejsze życie niż ty!

Wydało mu się, że rozmówca na drugim końcu linii się uśmiecha.

- No cóż - powiedział Tryggve Storstein. - Zostajesz w drużynie, prawda?

Minister rolnictwa poczuł, że ręka trzymająca słuchawkę zaczyna mu drżeć. Czyżby mimo wszystko było to dla niego ważniejsze, niż chciał przyznać? Przełknął ślinę i lekko zakasłał.

- Oczywiście. Jeśli tego chcesz.

- Chcę. I partia też chce.

- Cieszę się, Tryggve. Bardzo dziękuję. - W jego głosie dźwięczała szczerą radość.

Minister kultury przeglądała cztery telefaksy, które właśnie położono jej na biurku. Zapaliła prince'a mild i ze złością zauważyła, że wypaliła ich już więcej, niż właściwie pozwalała sobie przed lunchem.

To były propozycje pracy. Z dwóch stacji telewizyjnych i jednej gazety. Poza tym z dużej międzynarodowej spółki, która zamierzała podjąć jakieś nowe działania w dziedzinie informacji społecznej. Minister przebiegła tylko po nich oczami, a potem złożyła je i schowała do szuflady oznakowanej etykietką „Prywatne”.

Zadzwonił telefon. Odebrała i odbyła rozmowę, która trwała czterdzieści pięć sekund. Kiedy odkładała słuchawkę, uśmiechała się od ucha do ucha. Połączyła się z sekretarką i wyjęła telefaksy, które przed chwilą schowała.

- Zniszcz je, dobrze? - poprosiła, podając jej kartki.

Starsza kobieta westchnęła z ulgą.

- Gratuluję - szepnęła, puszczając oko. - Bardzo się cieszę!

Minister zdrowia Ruth-Dorthe Nordgarden nie mogła nic robić. Przy każdym dzwonku telefonu dosłownie rzucała się na aparat i za każdym razem czuła to samo rozczarowanie. Ale teraz o rozczarowaniu nie było już mowy. Teraz po prostu się rozzłościła.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić do kogoś z pozostałych i nie spytać, czy nie mają jakiejś informacji. Ale jakim upokorzeniem byłoby potwierdzenie tego, czego zaczęła się już domyślać: że inni pozostają na stanowiskach, a ona nie.

Z wściekłością sięgnęła po swoją dużą torbę i zaczęła w niej grzebać. W końcu wyciągnęła to, czego szukała: marchewkę owiniętą w papier śniadaniowy.

Kiedy z gniewem wbiła w nią zęby, rozboleła ją głowa.

13.46

Siedziba POT

- To nie może być przypadek. To po prostu niemożliwe!

Funkcjonariusz, który wpadł do gabinetu szefa służby bezpieczeństwa bez pukania, był przejęty i zdyszany. Prawą ręką uderzył w papiery, które położył przed Olem Henrikiem Hermansenem.

- SÄPO uważa, że to sabotaż. Przewód paliwowy był uszkodzony w sposób, którego nie rozumieją. To nie wyglądało na zużycie materiału ani na uszkodzenie w wyniku użytkowania. Cały samolot został dokładnie sprawdzony zaledwie na kilka godzin przed wylotem. Wtedy nic takiego nie znaleźli.

Ole Henrik Hermansen stracił twarz pokerzysty. Miał teraz napiętą czujną minę. Zmarszczył czoło, a w jego oczach zapłonął niepokój.

- To pewne? A raczej: na ile to pewne?

- Oczywiście na razie jeszcze nie wiedzą, sprawdzają dalej. Ale to nie wszystko, Hermansen. Jest coś jeszcze.

Funkcjonariusz z własnej aktówki wyciągnął czerwoną teczkę i odszukał w niej zdjęcie. Duże, ziarniste i kolorowe. Młody mężczyzna z jasnymi, zaczesanymi do tyłu włosami patrzył w bok od obiektywu. Miał okulary bez oprawek i papierosa w kąciku ust.

- To Tage Sjögren - przedstawił go funkcjonariusz. - Trzydzieści dwa lata, ze Sztokholmu, przywódca grupy prawicowych ekstremistów, którzy nazwali się Biała Walka. Już wcześniej mieli kłopoty z policją, ale głównie chodziło o rozróbę na ulicy w rocznicę

urodzin Karola XII i takie rzeczy. Ale w ostatnim roku jakby zapadli się pod ziemię. SÄPO straciła ich z oczu, chociaż wie, że wciąż istnieją. A tydzień temu...

Funkcjonariusz był teraz tak przejęty, że się śmiał. Szefowi służby bezpieczeństwa przypominał jego własnego syna, kiedy chłopiec przybiegał do domu ze świadectwem przed wyjazdem na wakacje.

- ...Tage Sjögren przyjechał do Norwegii!

Ole Henrik Hermansen wstrzymał oddech. Zorientował się, co robi, dopiero gdy zaczęło mu świdrować w uszach. Wypuścił powietrze z płuc przez zaciśnięte wargi, lekkim trąbieniem podkreślając sensacyjność tych doniesień.

- O, cholera! Wiemy coś na temat jego ruchów tutaj?

Funkcjonariusz odchylił się na krześle i założył ręce za głowę.

- Nie. Rozpaczliwość tej sytuacji polega na tym, że ten cały Tage nie jest dla SÄPO aż tak interesujący, aby uważali, że należy nas uprzedzać o jego przyjeździe. Wiedzą tylko, że przyjechał tutaj i wrócił do Szwecji w... - mężczyzna dosłownie promieniał; kojarzył się z łowczym psem na smyczy, który zwęszył zwierzynę i tylko czekał, aż zostanie spuszczone - ..w sobotę przed południem!

Ole Henrik Hermansen długo przyglądał się swojemu podwładnemu. Bardzo długo.

- Połącz mnie z szefem SÄPO - oświadczył krótko. - Musimy poprosić, żeby ściągnęli go na przesłuchanie. Natychmiast.

22.30

Ministerstwo Zdrowia

Kierowca siedział w piwnicy i czekał od piątej po południu. Wiedziała, że jej sposób korzystania z samochodów służbowych irytuje wszystkich, z radcą ministra i politycznymi współpracownikami włącznie. Ale też i oni nie wiedzieli, jak strasznie denerwująca była konieczność wysłuchiwania najprzeróżniejszych taksówkarzy, którzy za wszelką cenę usiłowali się wywyżżyć i przedstawiali się jako reprezentanci narodu. Jakieś bonusy z tej pracy musiała przecież mieć. Poza tym ten dzień zapowiadał się na ostatni, w którym mogła się cieszyć przywilejem posiadania własnego kierowcy. Tryggve Storstein wciąż jeszcze nie dzwonił.

Sprawy zaszły już tak daleko, że dziennikarze zaczęli spekulować. Liten Lettvik zatelefonowała na jej zastrzeżoną komórkę i spytała, czy to prawda, że nie poproszono jej o kontynuowanie pracy w rządzie. Ruth-Dorthe Nordgarden rzuciła telefonem. Telewizyjne wiadomości były wprawdzie ostrożne, ale i tak postawiły znak zapytania przy jej zdjęciu, prezentując przewidywany skład nowego rządu.

Potrzebowała jeszcze jednej marchewki. Z irytacją zaczęła grzebać w torebce, ale nic nie znalazła. Wiedziała, że w lodówce jest cała torebka.

W drzwiach prowadzących do sekretariatu na moment się zatrzymała. Czy usłyszy telefon w kuchni? Zanim się zdecydowała, zadzwonił. Wcześniej przełączyła linię na swój aparat, a wszystkich pracowników odesłała do domu. Nie chciała żadnych świadków wielkiego upokorzenia.

- Halo! - krzyknęła do słuchawki.

Usłyszawszy dzwonek, podbiegła do biurka i teraz stała po niewłas'ciwej stronie. Nie miała na czym usiąść.

- Halo? - rozległ się zdziwiony głos. - Z kim rozmawiam?

To był Tryggve.

- Cześć, Tryggve. To ja, Ruth-Dorthe.

- Jeszcze pracujesz?

- Robię porządki.

Pauza.

- Możesz to sobie darować. Zostajesz.

Nowa długa pauza.

- Bardzo ci... dziękuję, Tryggve. Nigdy tego nie zapomnę. To znaczy tego dnia. Nigdy!

Na drugim końcu linii Tryggve Storstein poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Podziękowania Ruth-Dorthe zabrzmiały niemal jak groźba.

10.55

Stortorget

Od pogrzebu starego króla w styczniu 1991 roku nie było w centrum Oslo tak wielu ludzi. Boczne uliczki prowadzące do Stortorget zamknięto dla ruchu samochodowego. Na Kirkegata cała armia umundurowanych policjantów z ponurymi minami starła się utrzymać przejezdność, aby kolumna, której spodziewano się za kilka minut, miała wolną drogę. Na razie było z tym trudno. Przestrzeń między ludźmi po obu stronach ulicy miała szerokość większej leśnej ścieżki. Wszędzie rozstawiono kamery telewizyjne, a Brage Håkonsen tu i ówdzie dostrzegał śmiesznie łatwo rozpoznawalnych funkcjonariuszy z POT. Mieli w uszach słuchawki i ciemne okulary, chociaż było pochmurno.

Dwaj konni policjanci okrążyli róg przy Karl Johan. Konie stąpały z gracją, ale nerwowo po obu stronach drogi. Okazały się skuteczne. Ludzie cofali się w przesyconym powagą strachu przed potężnymi zwierzętami, które miały pianę wokół pyska i pokazywały białka oczu. Nagle z Karl Johan wyłoniły się cztery motocykle i pomknęły wzdłuż Kirkegata, a za nimi w kolumnie nadjechały limuzyny.

Ze zbyt dużą prędkością gnały w stronę katedry, pod którą zahamowały i ustawiły się w rzędzie. Prominentni goście z bliska i z daleka zostali szybko, a niekiedy nawet brutalnie wepchnięci do kruchty przez funkcjonariuszy w mundurach i cywilu. Brage Håkonsen zachichotał, kiedy ze swojego punktu obserwacyjnego na

skrzyżowaniu Grensen z Kirkegata zobaczył, że Helmut Kohl protestuje przeciwko braniu go za ramię. Kanclerz odtrącił nadgorliwego funkcjonariusza, o głowę niższego niż on, i poświęcił czas na to, by się odwrócić do kogoś znajomego i elegancko się z nim przywitać.

Pojawiła się orkiestra gwardzistów. Marsz żałobny Chopina nakrył tłum ludzi niczym cicha kołdra. Brage Håkonsen zdjął z głowy bejsbolówkę. Nie powodował nim szacunek, po prostu wiedział, że powinien zachowywać się jak inni.

Za orkiestrą pojawił się czarny samochód z norweską flagą na masce i żałobnymi zasłonkami w oknach, które jednak pozwoliły zebrany zobaczyć, że trumna Birgitte Volter jest biała. Leżała na niej wiązanka z ciemnoczerwonych róż, kojarzących się z gęstą zakrzepniętą krwią. Brage Håkonsen słyszał, że niektórzy ludzie zaczęli pociągać nosem. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafiłby wyjaśnić, a już z pewnością nie chciałby się do niego przyznać, on również odczuł powagę chwili, pod-niosłość żałoby. Zirytowany otrząsnął się i przemieścił na czoło zgromadzenia od strony placu.

To się stało kompletnie bez zapowiedzi.

Czterech mężczyzn i siedem kobiet z głośnym krzykiem przedarło się przez zbity na chodniku tłum na ulicę przed karawanem, zanim którykolwiek z policjantów zdążył zareagować.

- *Stop the whaling!* - zaczęli wrzeszczeć. - *Killers! Killers!*^[3]

Brage stanął jak wryty i nagle spojrzał prosto w oczy olbrzymiego gumowego wieloryba, który zaczął pęcznieć, gdy zieloni aktywiści uruchomili aparat z helem stojący między ich nogami.

- *Stop the whaling NOW! Stop the whaling NOW!*

Rytmiczne okrzyki zagłuszyły niemal muzykę gwardzistów, którzy

jedyni nie zwracali uwagi na to zakłócenie i dalej grali swoje. Ciężki, przesycony śmiercią rytm rozbrzmiewał wśród wrzasków i syków wieloryba, który zdążył już urosnąć do prawie naturalnych rozmiarów. Wił się i kręcił w miarę, jak się powiększał, jakby chciał wpłynąć do katedry. Jeden z aktywistów - pięćdziesięciokilkulatek z wielką kapitańską brodą i jakimiś dystynkcjami na ramionach, który nie wiadomo skąd się wziął - złapał wiadro podane mu przez młodą kobietę. Błyskawicznie za pomocą scyzoryka otworzył pokrywę i z wielkim zamachem próbował oblać karawan czerwoną farbą. Kierowca jednak zorientował się w sytuacji i zaczął się cofać. Za nim parskały przerażone konie. Farba rozbryzgnęła się po asfalcie i zaledwie kilka kropli dotarło do samochodu wiozącego ziemskie szczątki Birgitte Volter.

Policja, chociaż zaskoczona, bardzo szybko przerwała akcję. Dwudziestu funkcjonariuszy rzuciło się na demonstrantów i dokładnie pięć minut zajęło im skucie ich, przedziurawienie wieloryba i upchnięcie zarówno aktywistów, jak i sflaczałego walenia do suki zaparkowanej tuż przy sklepie H&M. Poszło to szybko i sprawnie, chociaż pewna liczba widzów poczuła się zobowiązana do przyścia policji z pomocą. Krzykami i gniewem znacznie utrudnili jej pracę.

- Hej! - krzyknął Brage Håkonsen, szarpiąc kajdanki. - Ja w tym nie brałem udziału! - Opierał się, jak mógł, kiedy trzech mężczyzn wpychało go do samochodu. - Do cholery, ja w tym nie uczestniczę! Nie słyszycie?

- Zamknij się! - warknęła kobieta w mundurze, siedząca z przodu samochodu. - Nie macie za grosz przyzwoitości. Jak można popsuć... popsuć pogrzeb! Nie macie wstydu?

Odwróciła się do niego, a jej słowa zdawały się przepalać kratę

oddzielając ją od aresztantów.

- Do cholery, ja w tym nie brałem udziału! - wrzasnął Brage jeszcze raz, waląc głową o ścianę. - Wypuście mnie, do diabła!

Ale w odpowiedzi usłyszał jedynie warkot zapuszczanego silnika i mamrotanie współaresztowanych:

- *Stop the whaling NOW! Stop the whaling NOW!*

12.13

Katedra w Oslo

- Och, to prześliczne! Wzruszająco prześliczne!

Lerke Grinde usiłowała mówić cicho, ale miała tak przenikliwy głos, że nawet jej szept rozchodził się na odległość kilku metrów. Wisiała uczepiona ramienia syna, ubrana na czarno w stylu, który pasowałby bardziej na pogrzeb ojca chrzestnego mafii niż odprowadzenie do grobu norweskiej socjaldemokratycznej pani premier. Wszystko miała czarne. I błyszczące. Buty na wysokich obcasach, kabaretki, sukienkę, płaszcz, a na dodatek nosiła połyskujący toczek z czarną sztywną woalką. Na razie jeszcze tego nie wiedziała, ale miało ją to niezmiernie uradować podczas wieczornego oglądania telewizyjnej relacji z uroczystości: kamera zatrzymywała się na niej kilkakrotnie, bo szlochającą kobietę w pełnej żałobie uznano za osobę z najbliższej rodziny.

- Opanuj się, mamó - szepnął Benjamin Grinde. - Mów choć trochę ciszej!

W kruchcie stali Roy Hansen i Per Volter. Obaj w ciemnych garniturach. Syn był o pół głowy wyższy od ojca. Mieli zszarzałe twarze i spuszczone wzroki. Wyciągali ręce, nie patrząc nikomu w oczy, i wiele osób po krótkim wahaniu decydowało się minąć ich bez składania kondolencji. Inni poświęcali kilka chwil na rozmowę. Większość kobiet; z rządu długo i serdecznie ścisnęła obu.

Liten Lettvik stała wraz z gromadą innych dziennikarzy nieco dalej i obserwowała żałobników. Kiedy podeszła Ruth-Dorthe Nordgarden, ostatnia w szeregu ministrów, Liten zauważyła, że Roy Hansen się

odwrócił. Udał, że pochwycił go płacz, który nie chciał ustąpić, dopóki Ruth-Dorthe nie poddała się i nie znalazła się za ciężkimi dębowymi drzwiami. Per Volter był bardziej bezpośredni niż ojciec. Odmówił ujęcia wyciągniętej ręki pani minister i odwrócił się demonstracyjnie do biskupa Oslo, który w pełnych pontyfikaliach towarzyszył pogrążonym w żałobie. Wyglądał jak podstarzały orzeł w pożyczonych piórach.

- Roy - szepnęła Lerke Grinde, kiedy w końcu do nich dotarła. - Roy, cóż za tragedia!

Liten Lettvik przysunęła się bliżej wyjścia. Kim mogła być ta stara kobieta uczepiona ramienia Grindego?

- Że też to spotkało Birgitte! - ciągnęła Lerke, a ludzie wokół powoli zaczęli się odwracać w jej stronę. - Cóż za tragiczne zdarzenie! Kochana Birgitte! Kochana, niewinna, śliczna Birgitte! - Głośno pociągała nosem, odwracając się w stronę Pera Voltera, który patrzył zdumiony na tę dziwną kobietę. - Per! Taki duży i przystojny!

Próbowała objąć młodego mężczyznę, ale on cofnął się wystraszony. Doprowadziło to do tego, że Lerke Grinde zawisała na ramieniu syna, niebezpiecznie wychylona do przodu. Szpilki zakleszczyły się w szparze w posadzce i zaczęła tracić równowagę.

- O mój Boże, chyba zaraz zemdleję! - jęknęła.

Benjamin Grinde złapał matkę za ramię, a jakiś policjant chwycił ją w pasie i nieco uniósł.

- Czy pomóc pani wyjść? - spytał uprzejmie i nie czekając na odpowiedź, przeprowadził ją przez tłum trzydzieści metrów dalej, w stronę samego Stortingu.

Benjamin Grinde dreptał za nimi, połą płaszcz osłaniając twarz. Obecni w kruchcie dziennikarze podśmiewali się z tej sceny. Wszyscy

z wyjątkiem Liten Lettvik. Bo ona zapisała sobie kilka słów w notatniku: „Starsza kobieta razem z BG. Interesujące?”.

13.00

Plac przed Zamkiem Królewskim

Dziennikarze się nie pomylili. Odgadli wszystkie szesnaście nazwisk nowych szefów resortów. Rządowy pasjans wyszedł bez żadnych niespodzianek. Tryggve Storstein stał w środku rzędu ministrów z wielkim bukietem czerwonych róż i roztargnionym, pełnym rezerwy uśmiechem stosownym do sytuacji. Minęły przecież zaledwie cztery godziny od chwili, gdy jego poprzedniczkę odprowadzono na wieczny spoczynek. Mniej ludzi niż zazwyczaj przyszło powitać nowy rząd, ale tym więcej było dziennikarzy i fotografów.

Lekko mżyło. Minister transportu nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie zwyczajowa sesja fotograficzna dobiegnie końca. Bez przerwy spoglądała na zegarek i za wcześnie ruszyła w stronę rządowych samochodów. Tryggve Storstein musiał ją przywoływać. Wreszcie było po wszystkim. Zgromadzeni zaczęli się rozchodzić. Liten Lettvik złapała Ruth-Dorthe Nordgarden za rękę i zmusiła się, by ją objąć.

- Komórka dziś wieczorem - szepnęła jej do ucha.

17.15

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

- Najpierw zaprasza gliniarza, żeby obejrzał jego kolekcję broni, a potem wyparowuje! Nie rozumiesz, że to śmierdzi już z daleka, Hakon?!

Hakon Sand demonstracyjnie bębnił palcami prawej ręki o blat biurka.

- Przebywania poza miejscem zamieszkania, kiedy jest się na zwolnieniu lekarskim, nie nazywamy wyparowaniem, Billy T.! On może być wszędzie. U lekarza, u dziewczyny. Albo u swojej matki.

- Ale telefonu też nie odbiera. Dzwoniłem do niego od wczoraj kilka razy. I, do cholery, nie może siedzieć u lekarza przez całą dobę!

- Może jest w szpitalu. Albo u dziewczyny, tak jak mówiłem.

- Ten facet nie ma dziewczyny. Gotów jestem się założyć o głowę.

Hakon Sand zmierzwił sobie włosy i poprosił, żeby Billy T. usiadł.

- Co ty właściwie masz na tego strażnika? - spytał zmęczonym tonem.

- Po pierwsze, niezaprzeczalnie był na miejscu zdarzenia. Po drugie, ma broń. Cztery zarejestrowane sztuki. A najbardziej podejrzane ze wszystkiego... - Billy T. sięgnął po napoczętą butelkę coli i wlał w siebie jej zawartość, nie pytając właściciela o zdanie.

- Na zdrowie! - rzucił Hakon Sand ze złością.

- Posłuchaj tylko... - podjął Billy T., po czym skrzywił się, lekko uniósł pośladek i puścił solidnego bąka.

- Jasna cholera, Billy T! Przestań!

Hakon wstał i gorączkowo machając ręką, drugą zacisnął nos.

Potem na oścież otworzył okno. Billy T. roześmiał się i rzucił butelkę po coli do kosza na śmieci.

- Najbardziej podejrzane jest to - powtórzył - że facet zmienił zdanie.

- Zmienił zdanie?

Hakon bawił się pudełkiem zapalek. Zapalał po jednej i czekał, aż się wypali, zanim zapalił drugą.

- Najpierw zaproponował, że mogę przyjść do niego do domu, żeby obejrzeć tę broń. Potem zmienił zdanie. Powiedział, że ją tutaj przyniesie. Zgodziłem się i uprzejmie podziękowałem. Później już go nie widzieliśmy. A teraz jest niby na zwolnieniu. Ha!

- Więc uważasz - powiedział prokurator powoli - że powinniśmy zwinąć chłopaka, na którego nie mamy nic poza tym, że w piątek wykonywał swoją pracę, a następnie pozwolił sobie na poważne wykroczenie, jakim jest niestawienie się u Billy'ego T., mimo że obiecał? A poza tym dopuścił się czynu karalnego, jakim jest zachorowanie! - Hakon rzucił pudełko z resztką zapalek na biurko, wyprostował się, a ręce oparł na podłokietnikach. - Skoro tak uważasz, to poszukaj sobie innego prawnika. Nakaz przeszukania oznacza postawienie zarzutów. Mieliśmy już w tej sprawie nadgorliwie wydane postanowienie. A poza tym to nie twoja działka. Masz takie same problemy jak Hanne z wykonywaniem tego, co ci wyznaczono. Ocena roli strażnika w tej sprawie nie należy do ciebie.

- Do diabła, Hakon! - Billy T. uderzył pięścią w stół. - To Tone-Marit za cenę życia chciała, żebym przesłuchał faceta!

- Nic ci nie przyjdzie z tych krzyków - zachichotał Hakon. - Zapomnij o tym! Wracaj do swojego pokoju i dalej szukaj jakichś przyjaciół Volter, których będziesz mógł przesłuchać.

Billy T. bez słowa wyszedł i tylko mocno trzasnął drzwiami.

- *Stop the whaling NOW!* - Hakon Sand śmiał się długo i serdecznie.

Dopiero gdy załatwił dwa telefony i chciał z powrotem usiąść do pracy, zorientował się, że Billy T. wyprowadził go w pole.

Kopia raportu z sekcji, która absolutnie nie była sprawą Billy'ego T., a o którą Billy T. dopominał się jak dzieciak, zniknęła z biurka. Policjant musiał ją najzwyczajniej w świecie zwinąć.

19.00

Stolmakergata 15

- Nie będziesz oglądać wiadomości, Hanne?

Billy T. wziął sobie zimne piwo z lodówki i z zadowoleniem rozejrzał się po własnym dużym pokoju. Pojawiły się nowe zasłony. Chociaż sam nigdy wcześniej nie zwracał uwagi na pomarańczowe, to jednak stwierdził, że nowe, szarobłękitne, są znacznie przyjemniejsze, zwłaszcza że Hanne wybrała się do sklepu Idé Skeidar i kupiła też kanapę, również niebieską. Poza tym znalazła na strychu kilka starych plakatów. Skąd wzięła ramy, nie wiedział, ale nieźle wyglądały na ścianie za kanapą. Natomiast rośliny doniczkowe były najzupełniej zbędne. Wprawdzie doniczki w indiańskie wzory same w sobie mu się podobały, ale wiedział, że chabazie i tak padną najwyżej za trzy tygodnie. Próbował tego już wcześniej.

Hanne nie odpowiedziała. Siedziała zatopiona w kopii raportu z sekcji zwłok i gryzła długopis.

- Halo! Ziemia wzywa Hanne Wilhelmsen! Nie będziesz oglądała wiadomości?

Lekko stuknął ją w głowę butelką i włączył telewizor. Z głośników ryknęła pogrzebowa muzyka.

- W porządku, tylko mi nie przeszkadzaj. - Zirytowana roz-tarła miejsce, w które ją uderzył, i nawet nie zerknęła na ekran.

Billy T. jęknął i usiadł na podłodze, żeby obejrzeć relację z pogrzebu. Nagle wybuchnął śmiechem.

- Spójrz na tych wariatów. No, spójrz!

Niespokojna kamera złapała zagorzałych aktywistów, którzy

niemal za cenę życia domagali się wstrzymania połowu wielorybów przez Norwegię. Głos z offu informował, że po demonstracji przed katedrą zatrzymano jednego obywatela norweskiego, trzech Holendrów, dwóch Francuzów i sześciu Amerykanów.

- Amerykanie, którzy protestują przeciwko poławianiu wielorybów! Przecież oni grillują, zagazowują i trują ludzi! Miliony ich obywateli żyją poniżej granicy ubóstwa. Niech to szlag! - Wypił wielki łyk piwa i znów puścił bąka.

- Zachowuj się! - mruknęła Hanne, ale nawet teraz nie podniosła oczu. - Mama cię nie nauczyła, że takie rzeczy załatwia się w ubikacji?

- Najpierw było ucho - odparł Billy T. ze złością. - Już się uspokoiło. Ale teraz żołądek się buntuje. Muszę to z siebie wyrzucić. Moja babcia mawiała, że więcej miejsca na zewnątrz niż w środku. Cicho! - nakazał, choć było to zupełnie zbędne, bo Hanne całkiem utonęła w raporcie z sekcji.

Reportaż z akcji zielonych skończył się i prowadzący poinformował, że Norweg został zwolniony z aresztu, gdyż okazało się, że nie miał nic wspólnego z demonstracją, natomiast cudzoziemcy pozostają zatrzymani.

- Czego ty właściwie szukasz? - spytał Billy T., po raz pierwszy wykazując większe zainteresowanie Hanne.

- Niczego - westchnęła, złożyła kartki i wsunęła je do plastikowej koszulki. - Absolutnie niczego. Wydawało mi się, że wpadłam na genialny pomysł, który da nam odpowiedź na wszystko.

- I co?

- Jak zwykle nie był zbyt genialny. Raport z sekcji wyklucza moje podejrzenia. Ale dobrze, że dało się je wykluczyć. Dzięki, że go zdobyłeś.

- Musiałem trochę oszukać tego twojego ulubieńca. A co ci się wydawało takie genialne?

- Nic - uśmiechnęła się Hanne. - Przecież i tak się nie sprawdziło. Zagramy?

- Yes.

Billy T. poderwał się i przyniósł z sypialni wielkie staroświeckie piłkarzyki.

- Ja chcę być Anglią! - zawołał, dźwigając stół z gumowymi figurkami nadzianymi na osiem drutów.

- No dobrze, to ja jestem Holandia.

Fakt, że jedna drużyna miała jasnozielone koszulki, a druga niebieskie, ani trochę im nie przeszkadzało. To przecież mogły być jakieś stare rezerwowe stroje.

21.30

Ole Brumms vei 212

Nareszcie sam. Ciemna marynarka wisiała na oparciu krzesła. Ona również wydawała się zmęczona i pełna rezygnacji. Roy Hansen patrzył na zdjęcie Birgitte stojące na bufecie. Świeczka obok była jedynym źródłem światła w pokoju i niemal go hipnotyzowała.

Ostatni tydzień był nierzeczywisty. Nigdy nie interesował go New Age czy zjawiska paranormalne. Nie był też religijny. Ale w ostatnich dniach doświadczał czegoś, czego nie potrafił określić inaczej niż doznania pozacieleśne.

Odwiedził go Tryggve Storstein, zażenowany i zmęczony, mimo to bliski i szczerze bolejący, co w jakiś sposób ucieszyło Roya Hansena. Tryggve go wzruszył. Długo rozmawiali i jeszcze dłużej razem milczeli. Tamte dwie osoby z Wydziału Protokołu MSZ-etu, nie zapisały mu się miło w pamięci. Ale kobieta w każdym razie nalegała na wizytę firmy sprzątajacej City Maid. Należało pozbyć się kwiatów, kurzu i ciemności. Teraz przynajmniej było tu porządknie i czysto.

Dzisiaj po południu wszyscy chcieli do niego przyjść. Wiedział, że pragną jego dobra, ale nie życzył sobie tu nikogo. Tylko Pera. Per za to nie chciał z nim rozmawiać. Albo wychodził biegać, pokonywać jakieś niekończące się trasy, albo siedział w swoim pokoju sam, nic nie robiąc lub odbywając ciągnące się w nieskończoność rozmowy telefoniczne nie wiadomo z kim. Po uroczystości w ratuszu kilka osób przyszło z nim do domu. On sam opuścił przyjęcie, gdy tylko zezwolili mu na to ci z protokołu. Sekretarz i trzy inne osoby z zarządu partii wyszły razem z nim. Później dołączyło jeszcze kilka osób, ale na

szczęście po pewnym czasie wszyscy zrozumieli, że chce zostać sam. I posprzątał po sobie.

Roy Hansen próbował włączyć telewizor, ale bez końca pokazywali reportaże z pogrzebu. Przypominały mu o ostatniej pięknej kłęsce. Nawet śmierci Birgitte nie miał dla siebie. Nawet gdy leżała tak pod ciężką pokrywą białej trumny, nie należała do niego. Należała do państwa. Do opinii publicznej. A przede wszystkim do partii. Nigdy do niego. Nawet dzisiaj, gdy wszystko skończyło się na zawsze. Zamiast intymnego spokojnego spotkania najbliższych, chwili pociechy z innymi kochającymi kobietę, z którą dzielił życie, musiał uczestniczyć w politycznym szczycie.

Przyłapał się nagle na tym, że brakuje mu rodziców Birgitte. Oboje zmarli pod koniec lat osiemdziesiątych i przypuszczalnie dobrze się stało. Nie musieli przeżywać zabójstwa córki. Nie doświadczali stale rosnącego dystansu Birgitte do wszystkich wokół niej, którzy ją kochali. Ale chciałby mieć ich dzisiaj blisko. Może oni potrafiliby dzielić z nim smutek? Per najwyraźniej nie potrafił.

W ubiegły piątek Roy ponad wszystko pragnął powrotu syna do domu. Godziny, które upłynęły do sobotniego popołudnia, kiedy wreszcie się zjawiał w mundurze, z wojskowym workiem pełnym bagażu, ciągnęły się nieznośnie. Ale kiedy syn przyjechał, w pewnym sensie zniknął. Twarz miał ostrą i zamkniętą.

Teraz nagle stanął w drzwiach.

- Dobranoc. Czekałem, aż babcia zaśnie. Idę się położyć.

Roy Hansen nawet nie usłyszał podjeżdżającego samochodu. Spojrzał na zarys sylwetki syna w drzwiach. W blasku świecy postać chłopaka była niewyraźna.

- Per - szepnął. - Nie możesz ze mną posiedzieć? Chociaż chwilę.

Młody człowiek się nie ruszył. Jego twarzy nie dało się zobaczyć.

- Usiądź, proszę. Na chwilę.

Nagle z sufitu popłynęło światło. Per pstryknął przełącznik, a kiedy oczy Roya przyzwyczyły się do światła i znów widział, przeżył szok.

Per, kochany syn, dobrze wychowany zdolny chłopiec, który nawet jako nastolatek nie przysporzył rodzicom zmartwień, Per, jego syn, jego pociecha i właściwie również jego odpowiedzialność, bo wielka nieobecność Birgitte zaczęła się, gdy chłopiec ledwie zdążył skończyć dziesięć lat, teraz był nie do rozpoznania.

- Jeśli za wszelką cenę chcesz ze mną rozmawiać, to bardzo proszę!

Twarz miał wykrzywioną, oczy wytrzeszczone jak u zdechłej ryby, a kiedy krzyczał, z ust pryskała mu ślina.

- Nie zamierzałem o tym wspominać. Ale naprawdę wydaje ci się, że nie wiem? - Stał nad ojcem, groźnie zaciskając dłonie w pięści. - Jesteś... jesteś przeklętym hipokrytą! Wiesz, tato, jesteś...

Rozplakał się. Podczas pogrzebu nie uronił ani jednej łzy, za to teraz trysnęły mu z oczu. Twarz miał pokrytą plamami, jakby opanowała go jakaś zaraza, która sprawiła, że stał się brzydki i odpychający. Roy na kanapie odchylił się na bok,, prawie położył na plecach. :

- Myślisz, że nie wiem, dlaczego mama trzymała się takj daleko? Dlaczego nie miała ochoty spędzać więcej czasu w domu?

Roy Hansen spróbował odsunąć się od syna, ale gwałtowny ruch pięści Pera jeszcze mocniej go wystraszył. Cały zeszywniał.

- I w dodatku z Ruth-Dorthe Nordgarden! Z tą gębą Dolly Parton! Jak myślisz, co mama poczuła, kiedy znalazła ten kolczyk w łóżku? Jak ci się wydaje?

- Ale...

Roy próbował usiąść, lecz Per znów uniósł ręce do ciosu. Jego pięści dzieliło od twarzy ojca zaledwie pół metra i nie pozwalały mu się poruszyć.

- Ja was słyszałem! Myślałeś, że mnie nie ma w domu tamtego wieczoru. Ale ja wróciłem.

- Per...

- Przestań do mnie mówić „Per”! Słyszałem was!

Młody mężczyzna szlochał jak dziecko. Kasłał, pociągał nosem, krzyczał cienkim głosem. Trudno było zrozumieć, co mówi.

- Uspokój się, Per! Opanuj się.

- Ja mam się opanować? Ja? To ty powinieneś być się opanować tamtego wieczoru jesienią zeszłego roku. Ty i ta dziwka!

Nagle jakby wszystko z niego uszło. Opuścił powoli pięści, stanął jak na spoczynku, z trudem łapał powietrze.

- Nigdy więcej nie chcę z tobą rozmawiać!

Ruszył do drzwi.

Roy Hansen powoli wstał. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Per - szepnął. - Tylu rzeczy nie wiesz. Tak wielu rzeczy nie wiesz.

Nie doczekał się odpowiedzi. Wkrótce potem usłyszał, jak samochód rusza z podjazdu. Świeca zgasła. W salonie zostało bezlitosne ostre białe światło.

10.15

Odins gate 3

Nie dawało się wstać. Miał pod głową dwie poduszki, trudno mu było oddychać. Spojrzał w dół na nagie stopy. Szukał w nich otworu, którym wypłynęły z niego wszystkie siły. Czuł się martwy. Totalna pustka była otoczona smutkiem, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył.

Nie było żadnego wyjścia. Świat Benjamina Grindego rozpadł się na kawałki. Zeszły tydzień stanowił jedną długą wędrówkę na Golgotę, ku nicości, ku absolutnemu końcowi. Spojrzenia kolegów sędziów... Jakby stał się niedotykalny. Nie rozmawiali z nim, zwracali się do niego jedynie wtedy, gdy było to absolutnie konieczne.

Tytuły w gazetach zniszczyły wszystko, chociaż postanowienie o przedstawieniu zarzutów było pomyłką, chociaż policja zapewniała, że nie był podejrzany. Postanowienie jednak istniało. Pismo zawierające oskarżenia, które przynajmniej teraz, kiedy cała sprawa przedostała się do wiadomości publicznej, uniemożliwi mu wykonywanie obowiązków. Ale to drugie było jeszcze gorsze.

Czyżby jego los miał pozostać nierozłączny z losem Birgitte? Czy to się nigdy nie skończy? Po tylu latach! Oboje na swój sposób usiłowali przed tym uciec, każde w swoją stronę. I trafili na szczyt, na samą górę, chociaż na różnych drzewach.

Wysiłkiem woli się opanował. Spuścił nogi z łóżka i z trudem usiadł. Lew z brązu strzegący drzwi do sypialni sztywno odsłaniał kły.

Grzywę miał wypolerowaną, lśniąca jak złoto, pysk czarny, pokryty patyną. Kupił go w jakiejś bocznej uliczce w Teheranie. Olbrzymi kot go fascynował. To obce zwierzę, które mimo wszystko zostało wybrane na najbardziej norweskie ze wszystkich: symbol Norwegii. Lew warczał w godle nad wejściem do budynku rządowego. Dwa lwy leżały przed Stortingiem, oswojone i bezzębne. Próbowaly stroszyć grzywy, ale nikogo nie mogły przestraszyć. I najpiękniejszy z nich: lwica z pełnymi piersiami strzegąca sali numer dziewięć w Sądzie Najwyższym, konferencyjno-reprezentacyjnej.

Benjamin Grinde zapatrzył się w figurę z brązu. Przykuła go do łóżka. Jakby z jej pyska wydobywał się obrzydliwy, cuchnący oddech. Chciał przed nim uciec. Wyjść z sypialni. Z trudem stanął na nogi i przeszedł do kuchni.

Szukając kawy, uświadomił sobie nagle, że nie sprawdził, co jest w środku.

Wielki dębowy kredens ze szklanymi drzwiczkami i wyrzeźbionymi gronami w półmroku wydawał się niemal czarny. Zasłony były zaciągnięte. Życie toczyło się na zewnątrz. Tu nie pozostało nic.

Za starymi obrusami prababci leżało maleńkie puzderko, które powinien był zostawić tam, skąd je wziął. Maleńkie prześliczne pudełeczko na leki ze złota pokrytego emalią.

Wyjął je i spróbował otworzyć.

11.00

Siedziba POT

- I tego mężczyznę mieliśmy wczoraj tutaj? U nas? W budynku policji?

Z powściągliwości szefa służby bezpieczeństwa nie zostało dużo. Krążył teraz po swoim gabinecie, raz po raz przeczesując włosy palcami.

- Kiedy go wypuścili?

- Wczoraj po południu. Nie miał nic wspólnego z tą demonstracją. Po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

- Brage Håkonsen - mruknął gniewnie Ole Henrik Hermansen. - Co na niego mamy do tej pory?

- Niewiele.

Funkcjonariusz usiłował śledzić swego szefa wzrokiem, ale było to trudne. Hermansen chodził za jego plecami od ściany do ściany.

- Czym jest to niewiele?

- Zdecydowanie należy do środowiska prawicowych ekstremistów. Wcześniej był członkiem Aryjskiej Siły, ale to już jakiś czas temu. Przez ostatnie dwa lata pozostawał prawie niewidzialny. Podejrzewamy, że ma własną grupę, jakby komórkę, ale nic nie wiemy na pewno.

Szef służby bezpieczeństwa gwałtownie się zatrzymał tuż za plecami podwładnego.

- I to właśnie jego odwiedził Tage Sjögren? W zeszłym tygodniu?

Funkcjonariusz poprzestał na kiwnięciu głową, chociaż nie wiedział, czy to zostało zauważone.

- Dowiedźcie się wszystkiego - syknął Ole Henrik Hermansen. Nagle podszedł do swojego krzesła i usiadł. - Dowiedźcie się wszystkiego o tym facecie. A w najgorszym razie aresztujcie go.

15.32

U stóp Tromsdalstinden, Tromsdalen koło Tromsø

Śnieg przestał już być biały. Smałał powietrze wokół niego w odcieniu szarości, jakiego nigdy wcześniej nie widział. Cała ta szarość zlewała się w nicość. Ledwie dostrzegał czubki własnych nart. Nie powinni byli opuszczać Skarvassbu. Mówił Mortenowi, że to głupie. Przy pogodzie, która się tak zmieniała, odkąd wyszli ze Snarbydalen, należało przenocować w schronisku.

- Ale przecież została nam już tylko droga prawie cały czas w dół - zaprotestował Morten. - Dwadzieścia minut lekko pod górę i trochę ponad pół godziny pięknym zjazdem poza trasą. A w domu czeka piwo. Chcesz tu zostać?

Morten wskazał na półki w maleńkiej chatce turystycznej. Kilka torebek z zupą kalafiorową i cztery puszki klopsików w rosolu stanowiły znacznie mniejszą pokusę niż krwisty befszyk i zimne piwo na stacji Mortena w bazie lotniczej Skattora.

- A zagrożenie lawinowe? - przypomniał strażnik. - Może zejść lawina!

- Boże! Robiłem tę trasę setki razy. Tu nie schodzą lawiny. Chodź.

Ustał. A teraz nie wiedział, gdzie jest Morten. Zatrzymał się i oparł na kijkach.

- Morten! Morten!

Dźwięk nie chciał się nieść w tej zamieci. Zawracał tuż przy ustach, wdzierał się z powrotem do gardła.

- Morten!

Nie widział nawet, gdzie jest. Teren wciąż lekko się wznosił, ale szli

już od blisko godziny, a Morten mówił, że po dwudziestu minutach zaczną zjeżdżać. To pewnie przez te straszne warunki. Przez cały ten śnieg. Dużo więcej śniegu niż normalnie. Wiedział, że w prognozie pogody dla Norwegii Północnej prawie codziennie mówili o nowych rekordach.

Czy tu nie jest bardziej płasko? Zatrzymał się i próbował to sprawdzić. Siekący w twarz śnieg zaczął się wdzierać pod ubranie. Żaden z nich nie był przygotowany na taką pogodę.

- Morten!

Strażnik z budynku rządowego zachwiał się, zakreśliło mu się w głowie. Nie wiedział, gdzie góra, a gdzie dół. W stronach świata pogubił się już dawno. Ale posuwał się do przodu.

Nagle usłyszał jakiś dźwięk. Inny niż wycie i pisk wiatru czy szarpanie za pokrywą plecaka. Jakiś groźny dźwięk o niskiej częstotliwości. Zastygł, czując, jak lęk pełźnie mu po łydkach. Pod nim musiały być ze dwa metry śniegu. Czy stał na zboczu? Pod skalną ścianą? Rozpaczliwie ruszył przed siebie, zdecydowany, chociaż nie miał pojęcia, dokąd idzie. Nagle stracił równowagę.

Ziemia pod nim zaczęła się poruszać. Wolnym, jakby lekkim ruchem. Huk przerodził się w ogłuszający ryk. Zanim strażnik zdołał się podnieść po upadku, nadciągnęły masy śniegu. Jakby kończył się świat. Rzuciło nim raz w jedną, raz w drugą stronę. Raz był na plecach, to znów popychało go w przód na brzuchu. Śnieg wdzierał się wszędzie. Nie tylko pod ubranie, ale do uszu, oczu, ust i nosa. Nagle zrozumiał, że umrze.

Poczuł zwiększający się nacisk. Znalazł się pod śniegiem. Dookoła nie było już szaro, tylko czarno. Oczy wciskało mu w czaszkę. Próbował łapać powietrze, którego nie było. Drogi oddechowe zatkał

śnieg.

Teraz już się nigdy nie dowiedzą.

Po raz ostatni spróbował wciągnąć powietrze w obolałe spłaszczone płuca. Potem przestał myśleć, a zaledwie trzy minuty później już nie żył.

16.10

Kirkeveien 129

Prześlizne stare empierowe krzeselko stało jakby obrażone przy biurku typu Billy z Ikei. Dokładnie tak samo obrażona powinna poczuć się litografia Muncha wisząca tuż przy serii grafik z czerwonym passe-partout, kupionych na aukcji na Aker Brygge za dwieście koron, kiedy zaczynało się panowanie yuppie.

Na krześle siedziała Ruth-Dorthe Nordgarden i myślała. Wpatrywała się w komórkę, którą trzymała w prawej ręce. W końcu odłożyła ją z hałasem i sięgnęła po słuchawkę stacjonarnego telefonu, bezprzewodowego, nad którym nie miała jeszcze pełnej kontroli.

Odegra się. Może nie od razu, ale kiedyś się odpłaci. Tryggve Storstein nie chciał, by pozostała w rządzie. Wiedziała, że to inne siły przepchnęły jej nazwisko. To potrwa, ale okazja z całą pewnością prędzej czy później się nadarzy.

- Halo?

Słuchawka milczała jak grób. Ruth-Dorthe z wahaniem wcisnęła zielony guzik i uśmiechnęła się z ulgą, gdy nagle usłyszała sygnał, po którym zagrała szybka piskliwa melodyjka.

- Halo?

- Halo?

- Mówi Ruth-Dorthe.

- Cześć, gratuluję!

Głos brzmiał obojętnie. Ona jednak dobrze go знаła. Oczywiście nie mogła mu ufać. Nikomu nie mogła ufać, mimo to był jej. To on przede wszystkim o nią dbał, pomagał jej, wspierał ją, wiedząc, że ich

kariery są ze sobą związane. Pod względem politycznym byli bliźniętami syjamskimi. Gunnar Klavenas również zasiadał w zarządzie krajowym.

- Co się, na miłość boską, stało? - spytała.

- Nie przejmuj się. Przecież dobrze się skończyło. Chociaż trwało.

Zaległo milczenie. W ciszy Ruth-Dorthe usłyszała odgłosy zmywarki, która się zacięła i nieprzerwanie płukała. Przeszła z telefonem do kuchni.

- Chwileczkę.

W maszynie trwała tropikalna ulewa. Orkan zamknięty w puszcze. Bezradna wpatrywała się w przyciski na panelu, ale żadnego nie dotykała. W końcu zdecydowanie wybrała guzik stop. Gwałtowny wichur w środku ustał. Padało coraz słabiej.

- Halo?

- Tak, jestem.

- On długo nie przetrwa - stwierdziła beznamiętnie.

- Chyba raczej się przeliczysz, Ruth-Dorthe - padła odpowiedź z drugiego końca. - Ma mocniejszą pozycję, niż ci się wydaje.

- Nie sądzę, jeśli odziedziczy wszystkie problemy z czasów Birgitte. A tak przecież będzie. Jesienne wybory przypieczętują jego los.

- Nie teraz. Na tym zabójstwie zarobimy głosy. Tak było z socjaldemokratami w Szwecji.

Zmrużonymi oczami popatrzyła na drzewo na podwórzu. Ledwie zaczęły pojawiać się na nim pączki.

- Przekonamy się - mruknęła. - Dzwonię spytać, czy wybierzemy się razem na kolację. Dzisiaj.

- Dzisiaj nie mogę, jestem cholernie zajęty. Zadzwoń do ciebie, kiedy będę mógł się wyrwać. Zgadzasz się?

- Oczywiście - odpowiedziała ze złością. - Po prostu myślałam, że chciałbyś usłyszeć, co ci mam do powiedzenia.

- Jasne, że chcę, Ruth-Dorthe. Ale może kiedy indziej, dobrze?

Nie odpowiadając, znów wcisnęła zielony przycisk z maleńkim rysunkiem telefonu. Zadziałało.

Już myśleli, że wypada z gry. Również ci, którzy ją popierali. Przynajmniej niektórzy z nich. Odejściu Gro przed rokiem zawdzięczała pozostanie na stanowisku wiceprzewodniczącej partii. Pierwsza czteroletnia kadencja nie przeszła całkiem tak, jak oczekiwali. Grupa przyjaciół skurczyła się, a niezadowolone pomruki wśród tych, którzy nie życzyli jej dobrze, narastały. Na zjeździe krajowym, który odbył się zaledwie dwa tygodnie po zmianie rządu, wszystkim chodziło o to, by awantura była jak najmniejsza. To był zjazd Birgitte i przywództwo z poprzedniej kadencji zostawiono w spokoju. Ruth-Dorthe Nordgarden wiedziała, że ocalono ją w ostatniej chwili. Wiedziała też, że to Tryggve Storstein był jej najzagorzalszym przeciwnikiem. Wówczas zaledwie wiceprzewodniczący; równorzędny wobec niej. Teraz był przewodniczącym. I premierem. Ale ona wciąż wiedziała, za jakie nitki można pociągnąć.

Spojrzała na zegarek. Dziewczynek nie będzie jeszcze przez kilka godzin. Ruth-Dorthe Nordgarden przyniosła sobie filiżankę kawy, która okazała się za mocna, więc z grymasem na twarzy jeszcze raz poszła do kuchni po mleko. Z lodówki po otwarciu drzwiczek buchnął nieprzyjemny zapach. Dziewczynki zaniedbywały swoje obowiązki jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Ze złością stwierdziła, że mleko jest przeterminowane. Powąchała otwór w kartonie i mimo wszystko nalala trochę do filiżanki.

Popijając brudnobrazowy napój, wodziła oczami od telefonu

komórkowego do stacjonarnego. Wydawało się niemożliwe, by komórki pozostawały poza podsłuchem. W dzisiejszych czasach dziwiło, że w ogóle można rozmawiać i mieć gwarancję, że nikt inny tego nie słucha. Komórka po prostu nie wyglądała na bezpieczną. Trzeszczało w niej i szumiało, a czasami na linii odzywały się inne głosy. W końcu jednak zdecydowała się na nią.

- Miałam zadzwonić - zaczęła obojętnym tonem, gdy ktoś odebrał na drugim końcu.

Powinna umyć okna. Padające ukosem promienie wiosennego słońca miały problemy z dotarciem do jej biurka. W bladym świetle tańczył kurz.

- Mówisz o wewnętrznych dokumentach - powiedziała w końcu. - To oczywiście trudne. W zasadzie niemożliwe.

Co nie było prawdą. Obie strony o tym wiedziały. Ale Ruth-Dorthe Nordgarden chciała, by ją namawiano. Chciała wiedzieć, co z tego będzie mogła uszczknąć dla siebie. Pięć minut później się rozłączyła.

Naskrobała kilka słów na marginesie rubryki terminarza na poniedziałek. Musi jak najszybciej ściągnąć kogoś do naprawy tej zmywarki. Poprosi doradcę politycznego, żeby się tym zajął. Nie może o tym zapomnieć.

18.00

Jacob Aalls gate 16

- Nie jestem zachwycona. Po prostu muszę to powiedzieć. Naprawdę nie jestem zachwycona!

Lerke Grinde zmarszczyła opalone czoło i odęła usta. Mimo to Liten Lettvik dostrzegła w oczach starej kobiety błysk zaciekawienia.

- Po tych strasznych rzeczach, jakie pani gazeta powypisywała o Benie, nic dziwnego, że nie tryskam radością na pani widok. Ale... - cofnęła się w malusieńkim przedpokoiku i dała znak, by Liten szła za nią - będę się bardzo cieszyć, jeżeli w jakikolwiek sposób przyczynię się do tego, że ludzie zrozumieją, iż Ben nie ma nic wspólnego z tą straszną historią.

Kobieta, która już dawno musiała przekroczyć siedemdziesiątkę, miała na sobie obcisłe dzinsy, w fascynujący sposób ujawniające wpływ procesu starzenia na ciało. Wychudłe nogi wydawały się pozbawione siły, łydki były cienkie jak wyciory. Między końcem obcisłych nogawek a sandałami na koturnie Liten Lettvik dostrzegła opaloną, napiętą, błyszczącą skórę, pokrytą ciemnymi plamami wątrobowymi. Mimo luźnego swetra z różowej angory, sięgającego Lerke Grinde do połowy pupy, Liten widziała, że ząb czasu zgryzł wszystkie mięśnie pośladków. Dziesięć lat temu, pomyślała Liten, zaledwie dziesięć lat temu prawdopodobnie mogłaś sobie jeszcze pozwolić na noszenie takich ubrań.

- Proszę siadać - nakazała Lerke Grinde, a dziennikarka poczuła na sobie nieprzyjemne, zaczepne spojrzenie tej starej kobiety, posłane spod brwi wyskubanych w dwie cienkie kreski na wysokim czole. -

Przypuszczam, że ma pani ochotę coś przekąsić.

Przyniosła z kuchni niewielki półmisek kanapek i paterę na nóżce pełną ciasteczek.

- Ja zawsze trzymałam linię, jak pani widzi. Dla mnie tylko portwajn. O! - Nalała sobie szczerze czerwono-brunatnego alkoholu, tak że niemal przelał się z kieliszka.

Liten Lettvik skinieniem głowy potwierdziła, że i ona się napije. Dostała połowę porcji.

- Pani pewnie prowadzi - wyjaśniła Lerke Grinde, siadając. - Proszę się częstować. - Podsunęła oba półmiski dziennikarce.

Przekąski wyglądały smacznie, a Liten Lettvik była głodna. Zawsze była głodna. Kiedyś, dawno temu w artykule w jakimś popularnonaukowym czasopiśmie wyczytała, że głód może zastąpić sumienie. Starła się zapomnieć o tym tekście. Sięgnęła po kanapkę z łososiem i jajecznicą, zadając sobie pytanie, czy staruszka zawsze ma takie przysmaki pod ręką. Przecież w kuchni zabawiła nie dłużej niż dziesięć minut.

Nieprzyjemnie było jeść pod jastrzębim spojrzeniem kobiety, która wpatrywała się w nią znad kieliszka piwnymi oczami. Liten Lettvik - jeszcze zanim przełknęła pół kanapki - poczuła, że dłużej tego nie zniesie.

- Jak mogliście napisać coś takiego? - powtórzyła Lerke Grinde. - Przecież wiedzieliście, że ten akt oskarżenia to jakaś bzdura!

- To było postanowienie o przedstawieniu zarzutów - poprawiła ją Liten. - I napisaliśmy przecież, że je wycofano. W tym artykule nie było ani słowa nieprawdy.

Lerke Grinde sprawiała wrażenie osoby nieobecnej duchem, chociaż w niekontrolowany sposób gapiła się na Liten Lettvik. Na jej

pomarszczonej twarzy rysował się jakiś nowy wyraz, niezbyt jeszcze wyraźny - przemieszczenie zadowolenia z zażenowaniem. Liten Lettvik trochę to namieszało w głowie.

- Poza tym to już poszło w zapomnienie - ciągnęła. - Wszyscy tak prędko zapominają. O tym mogę panią zapewnić. Ale może opowiedziałaby mi pani trochę o synu?

Spojrzenie starej kobiety stało się teraz już naprawdę nieznośne. Nie odrywała oczu od twarzy Liten Lettvik, raz po raz wycierając usta płócienną serwetką. Dziennikarka lekko potrząsnęła głową.

- Coś nie tak? - spytała.

- Ma pani jajecznicę na brodzie - szepnęła Lerke Grinde, nachylając się nad stołem. - Tutaj!

Pokazała miejsce na własnej brodzie. Liten Lettvik błyskawicznie wytarła podbródek wierzchem dłoni. Żółta grudka rozmazała się na skórze, więc musiała skorzystać z drugiej ręki.

- Ma pani serwetkę - oświadczyła Lerke surowym tonem.

- Dziękuję - mruknęła dziennikarka, wyciągając płócienną serwetkę z dużej obrączki z cyzelowanego srebra.

- Już - uśmiechnęła się zadowolona Lerke Grinde. - O co pani chciała spytać?

Liten Lettvik dawno nikt tak nie wytrącił z równowagi. Nigdy nie przejmowała się swoim wyglądem. Nie obchodził ją. W ogóle przejmowała się niewieloma rzeczami i w głębi ducha była bardzo zadowolona z tego, że właściwie nikogo szczerze nie lubi. Nawet nie interesowali jej inni ludzie. No, może on. A zresztą nie, on też nie. Jej misją, jej drogą krzyżową i wielkim projektem była prawda. Prawda stała się jej opętaniem i Liten śmiała się drwiąco z podejmowanych przez innych dziennikarzy wszelkich prób wszczynania debat na temat

etyki tego zawodu. Dwa razy, zaledwie dwa razy w całej swej uhonorowanej zaszczytami karierze oddała do druku coś, co - jak się zresztą dopiero później okazało - nie było prawdą. Ciężko to przeżywała. Nie mogła spać jeszcze przez kilka miesięcy. Pokorne przejście przez czyściec dementi było dla niej prawdziwym piekłem.

Prawda nigdy nie mogła być nieetyczna. Tłumaczyła sposób dotarcia do niej i wpływ, jaki mogła wyrzeć na innych ludzi. Nie miało znaczenia, czy Liten posługiwała się kłamstwem i postępowała wbrew zasadom, by ustalić fakty. Prawda miała tylko jedną stronę: obiektywną. Jeżeli każde słowo w tekście, które napisała, było prawdziwe, to miała prawo puścić artykuł do druku.

I ta świadomość nieustającego dążenia do prawdy sprawiała, że nie można jej było zranić. Ale akurat w tej chwili, w obecności tej wiedzy, tej małej próżnej śmiesznej wiewiórki, która stroszyła wąsiki po drugiej stronie mahoniowego stołu, pewność Liten Lettvik leciutko się zachwiała.

Wzdrygnęła się i odchyliła na fotelu, starając się wciągnąć brzuch. Po raz pierwszy od dawna ze złością popatrzyła na własne piersi. Układały się w solidny balkon, a wcześniej właściwie nie zauważała, że kiedy siedzi, leżą jej na udach.

- Chciałabym, żeby opowiedziała mi pani trochę o swoim synu - powtórzyła w końcu. - Pragnęlibyśmy przedstawić naszym czytelnikom jego właściwy obraz. Pani syn zajmuje bardzo wysokie stanowisko i jego życie z całą pewnością interesuje opinię publiczną. Zgodzi się pani ze mną?

- W najwyższym stopniu. Oczywiście. - Lerke Grinde zaśmiała się donośnie i dźwięcznie. - Prawdę mówiąc, dziwi mnie, że prasa wcześniej nie okazała mu większego zainteresowania. Czy pani wie -

Lerke Grinde znów się nachyliła, jakby zapraszała do większej intymności - że Ben był pierwszą osobą w Norwegii, która uzyskała dyplom z medycyny i doktorat z prawa? Pierwszą! Proszę spojrzeć tutaj! - Wstała z kanapy i nie przestając ćwierkać, podeszła do półki z książkami. Z wysiłkiem przykucnęła i wyciągnęła segregator. - Osobiście uważam, że świat poświęca mu za mało uwagi. - Rzuciła album dziennikarce. - Tylko małeńki artykuł na dwie szpalty w „Aftenposten” - prychnęła, pokazując pomalowanym na czerwono paznokciem. - A to było wydarzenie, o tym mogę panią zapewnić. Ale - wróciła na swoje miejsce - większy artykuł napisano o Benie, kiedy zrobił maturę. - Dała znak, żeby Liten Lettvik przerzuciła karty albumu do tyłu. - Chociaż co prawda tylko w lokalnej gazecie „Akershus Amtstidende”.

Liten Lettvik obracała strony. Nagle na dużym ziarnistym zdjęciu z pozółkłej wystrzępionej gazety zobaczyła Benjamina Grindego. Lekko zażenowany uśmiechał się do fotografa. Czuprynę miał gęstą, a oczy obnażone jak każdy osiemnastolatek, ale i tak łatwo go było rozpoznać. Z upływem lat wyprzystojniał, to prawda, lecz również na tym starym zdjęciu widać było jego urodę. Jeszcze niedojrzałą i kruchą, ale frapującą.

- Ho, ho - mruknęła Liten Lettvik. - Ocena ogólna celujący?

- Celujący ze wszystkich przedmiotów - zaśmiała się z zachwytem Lerke Grinde. - W dodatku w Szkole Katedralnej w Oslo, najlepszej w mieście. Powiedziałabym nawet w całym kraju, przynajmniej wtedy. Od tamtych czasów zeszała na psy. Podobnie jak wiele innych rzeczy. - Znów z dezaprobatą odęła usta.

- Kto to jest? - Liten Lettvik położyła ciężki segregator przed matką Benjamina Grindego.

Kobieta wyjęła ze skórzanego etui parę okularów z półkolistymi szklami i popatrzyła na zdjęcie.

- Ach, to! - pisnęła. - To przecież Birgitte. Biedna Birgitte! Proszę zobaczyć, jaka była śliczna!

Birgitte Volter obejmowała ramieniem osiemnastoletniego Benjamina Grindego. Młody człowiek stał sztywny, jakby kij połknął, z rękami zwieszonymi wzdłuż ciała, i z powagą wpatrywał się w jakiś punkt umieszczony z boku obiektywu. Birgitte Volter z półdługimi włosami, w rozkloszowanej spódnicy, czółenkach i okularach w oprawkach przypominających kocie oczy śmiała się do zdjęcia. Na drugiej ręce trzymała niemowlę. Dziecku nie było wygodnie. Główkę miało wysuniętą nieco zbyt daleko poza łokieć dziewczyny. Na szarocznym kartonie białym tuszem zrobiono staranny i łatwy do odczytania napis: „Maleńka Liv pierwszy raz na słońcu”.

- Proszę zobaczyć! - Lerke Grinde z ożywieniem przewracała strony albumu. - A tu jesteśmy wszyscy razem na plaży. Widzi pani, Birgitte Volter była bardzo bliską przyjaciółką rodziny.

Jej rodzice, wspaniali ludzie, zmarli kilka lat temu. Biedacy! Byli naszymi najbliższymi sąsiadami. To był cudowny czas! - westchnęła, odchyliła się na kanapie z uśmiechem, tęsknie wyglądając przez okno. - Cóż to był za cudowny czas! - powtórzyła cicho, bardziej do siebie niż do dziennikarki.

Liten Lettvik zresztą wcale jej nie słuchała.

- Kto to jest? - spytała głośno, wskazując na kolejne zdjęcie.

Lerke Grinde nie odpowiedziała. Wciąż wyglądała przez okno. Twarz miała teraz zmienioną: oczy nabrały łagodnego wyrazu, uśmiech zdawał się pochodzić z głębi, z jakiegoś miejsca, które już dawno zostało zamknięte na klucz.

- Przepraszam - powiedziała głośno Liten Lettvik. - Pani Grinde!

- Ach! - Stara kobieta drgnęła przestraszona. - Przepraszam. O co pani pytała?

- Kto to jest?

Liten Lettvik nie chciała ściągać uwagi na swoje obgryzione paznokcie, puknęła więc knykciem w zdjęcie niemowlęcia. Leżało na plecach na ręczniku frotte i krzywiło się do słońca, podciągając gołe kolana do piersi. Z jednej strony dziecka siedziała Birgitte Volter, wciąż uśmiechnięta, jakby flirtująca, z drugiej - śmiertelnie poważny Benjamin Grinde. Za dzieckiem kuczał przystojny, szeroki w barach i uśmiechnięty od ucha do ucha mężczyzna, który podtrzymywał główkę niemowlęcia, a którego Liten Lettvik natychmiast rozpoznała: Roy Hansen.

- Co to za dziecko?

Lerke Grinde spojrzała na nią zdziwiona.

- Dziecko? To przecież Liv.

- Liv?

- Tak, córeczka Birgitte i Roya.

- Córeczka? Przecież oni mają tylko jedno dziecko. Chłopca, prawda? Pera?

- Ależ, moja droga... - Lerke Grinde popatrzyła na Liten Lettvik z wyrzutem. - Per ma zaledwie dwadzieścia kilka lat. A to było w sześćdziesiątym piątym. Mała Liv przecież umarła. To taka straszna tragedia. Umarła po prostu, o, tak... - Spróbowała pstryknąć palcami. - Bez żadnej przyczyny. To było naprawdę straszne. Wszyscy tak bardzo to przeżyli. Państwo Volterowie dosłownie się rozchorowali. Naprawdę. Już nigdy później nie doszli do siebie. Dzięki Bogu, że Birgitte była taka młoda. No i Roy oczywiście. Chociaż nigdy nie

mogłam pojąć, jak Birgitte mogła zakochać się w kimś takim. Młdzież, wie pani, młdzież potrafi się podnieść. No i Ben, kochany chłopiec, był załamany. Biedny Ben, taki wrażliwy. Identyczny jak jego ojciec. Wie pani, mój mąż był fotografem i właściwie miał artystyczną duszę, zawsze to powtarzałam.

- I mówi pani, że to się wydarzyło w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym - powiedziała Liten Lettvik, przełykając ślinę.

- Ile miało dziecko?

- Zaledwie trzy miesiące. Biedactwo! Prześliczne maleństwo. Czarujące. Nie była wprawdzie zaplanowana, jeśli mnie pani rozumie.

- Liten Lettvik lekko mrugnęła prawym okiem. - Ale była jak promyk słońka. A potem po prostu umarła. Śmierć łóżeczkowa. Czy nie tak się mówi o tym dzisiaj? My po prostu nazywaliśmy to tragedią. Wtedy nie znało się tylu eleganckich określeń.

Liten Lettvik mocno zakasłała gdzieś aż od kolan. Obiema rękami zasłaniając usta, wychrypiała:

- Czy mogłabym dostać trochę wody?

Lerke Grinde kompletnie oszołomiona wybiegła do kuchni.

Dziennikarka dalej kasłała, ale jednocześnie sięgnęła po album i wsunęła go do wielkiej torby, z którą się nie rozstawała. Podczas ostatniego ataku kaszlu zaciągnęła zamek błyskawiczny.

- Proszę - zaczęła jak słowik Lerke Grinde, stawiając obok niej kryształową szklankę na nóżce. - Tylko proszę pić ostrożnie. Czy pani pali, pani Lettvik? Jeśli tak, to powinna pani rzucić ten nałóg.

Liten Lettvik nie odpowiedziała, ale wypła całą wodę.

- Dziękuję - mruknęła. - Ale muszę już iść.

- Już? - Lerke Grinde nie potrafiła ukryć rozczarowania. - Może pani jeszcze przyjdzie? Kiedy indziej?

- Oczywiście - zapewniła ją dziennikarka. - Ale teraz naprawdę muszę już lecieć.

Przez chwilę zastanawiała się, czy wychodząc, nie sięgnąć po jeszcze jedną kuszącą kanapkę. Opanowała się jednak. Istnieją pewne granice.

Poniedziałek, 14 kwietnia 1997

02.00

Redakcja „Kveldsavisen”

Gdyby Liten Lettvik miała ogon, merdałaby nim radośnie z boku na bok. Stała nachylona nad monitorem komputera i studiowała projekt pierwszej strony. Najbardziej zadowolona była ze zdjęcia - zdjęcia ze ślubu Birgitte Volter i Roya Hansena zrobionego przez ojca Benjamina, Knuta Grindego. Birgitte Volter miała pod sukienką okrągły brzuszek, odrobinę za duży, by dwa lata po śmierci Marilyn Monroe mógł uchodzić za modny.

- Gdzie ty właściwie zdobyłaś te zdjęcia? - mruknął szef działu, „choć, rzecz jasna, nie czekał na odpowiedź.

Liten Lettvik uśmiechnęła się tylko wyniośle i poprosiła o wydruk.

- Idź po niego sama - powiedział szef z kwaśną miną.

Ale tej nocy humoru Liten Lettvik nic już nie mogło popsuć. Pobiegła do swojego pokoju i weszła na stronę dzisiejszego wydania gazety.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA BADA RODZINNĄ TRAGEDIĘ

Nieznane zdjęcia premier Volter

TEKST: LITEN LETTVIK.

ZDJĘCIA: Z ARCHIWUM PRYWATNEGO

„Kveldsavisen” może dziś jako jedyna gazeta zaprezentować czytelnikom nieznane fakty z życia zmarłej premier Birgitte Volter.

Zdjęcia z okresu młodości nieżyjącej już pani premier nie były nigdy dotąd publikowane.

Nieznany szerzej był również fakt, że Birgitte Volter i jej mąż Roy Hansen w 1965 roku stracili w tragicznych okolicznościach trzymiesięczną córeczkę Liv. Kiedy dziecko się urodziło, Birgitte Volter miała zaledwie dziewiętnaście lat, mimo to zdołała ukończyć liceum. Jak wiadomo, nie podjęła studiów, a dwa miesiące po śmierci maleńkiej Liv zatrudniła się jako sekretarka w Monopolu Winnym. Dopiero w roku 1975 małżeństwu urodziło się drugie dziecko, Per Volter, który obecnie studiuje w szkole podoficerskiej. Rodzina wykazywała wielką wstrzemięźliwość w przekazywaniu opinii publicznej informacji o śmierci małej Liv. Źródła, z którymi kontakt nawiązała „Kveldsavisen”, pozostawały - jak same twierdzą - w bardzo bliskich stosunkach z rodziną Volter-Hansen, a jednak nic nie wiedziały o tym tragicznym wydarzeniu. „Kveldsavisen” nie udało się uzyskać komentarza od Roya Hansena, wdowca po zmarłej Birgitte Volter.

Nie zostało również podane do publicznej wiadomości, że Birgitte Volter i Benjamin Grindego w młodości łączyła bardzo bliska przyjaźń. A ponad trzydzieści lat później ten sam Benjamin Grinde kieruje komisją badającą wydarzenia z roku 1965, w którym w Norwegii zmarła zaskakująco wysoka liczba niemowląt.

Więcej na ten temat również na stronach 12 i 13.

Liten Lettvik zapaliła cygaretkę i przeszła na stronę 12.

WYSOCE ZASTANAWIAJĄCE, TWIERDZI PROFESOR

Fred Brynjestad ostro krytykuje Benjamin Grindego.

TEKST: LITEN LETTVIK.

FOT.: BEN SKULLE

- Są wszelkie powody, by podać w wątpliwość bezstronność sędziego

Sądu Najwyższego Benjamin Grindego jako szefa komisji badającej to, co może się okazać skandalem w służbie zdrowia, do jakiego doszło w roku 1965 - twierdzi znawca prawa publicznego doktor praw Fred Brynjestad w rozmowie z „Kveldsavisen”. Szefowa Komisji Spraw Społecznych Stortingu Kari-Anne Softeland (Partia Centrum) jest głęboko wstrząśnięta nowymi informacjami, jakie zostały ujawnione, i twierdzi, że zarówno ona, jak i pozostali parlamentarzyści zostali oszukani.

- Jeśli to prawda, że Birgitte Volter sama straciła córkę w tym interesującym wszystkich roku, a jednocześnie w tym czasie pozostawała w bliskiej przyjaźni z Benjaminem Grindem, są wszelkie powody, by głośno krzyknąć „UWAGA!” - mówi profesor Brynjestad. - Premier Volter sama powinna dostrzec niestosowność sytuacji, zanim jeszcze Grindego poproszono o przyjęcie funkcji szefa komisji - stwierdza z mocą Brynjestad. - O wiele jednak poważniejszym wykroczeniem jest to, że sędzia Grinde osobiście nie poinformował o tym fakcie - ocenia profesor. - Jest niezwykle utytułowanym prawnikiem i tego rodzaju okoliczności powinny natychmiast zostać przez niego ujawnione.

Brynjestad dodaje, że stronnictwo Grindego w tej sprawie nie jest oczywista, lecz taka ewentualność istnieje i już samo to wystarczy do stwierdzenia, że nie powinien być podejmować się pełnienia tej funkcji.

- W naszym społeczeństwie umacnia się przykra tendencja - zauważa profesor Brynjestad. - Osoby pełniące najwyższe funkcje w państwie są ze sobą coraz bliżej powiązane, a granice między władzą a siłami nacisku na nią się zacierają. Przeciętny obywatel przestaje je dostrzegać. Pojawia się niewidzialna siatka sił, nad którymi nie mamy kontroli.

Badania przeprowadzone przez „Kveldsavisen” w ostatnich tygodniach pozwalają nam na konkluzję, że Benjamin Grinde jest szarą eminencją w norweskim życiu publicznym. Blisko związany z Birgitte Volter w dzieciństwie, posiada przyjaciół zarówno w Stortingu, jak i w organach sprawiedliwości. W latach 1979-1984 był między innymi członkiem tego samego chóru co parlamentarzyści Kari Bugge-Oygarden (Partia Pracy) i

Fredrick Humlen (Partia Konserwatywna).

W okresie studiów utrzymywał stosunki towarzyskie z późniejszym szefem koncernu Orkla Haakonem Severinsenem, a także dyrektorem Szpitala Centralnego Ann-Berit Klavenas.

Parlamentarzystka Kari-Anne Softeland z Partii Centrum jest głęboko wstrząśnięta faktem, że okoliczności tych nie ujawniono wcześniej.

- Musimy teraz usiąść i zastanowić się nad powołaniem zupełnie nowej komisji, ale przez parlament - mówi „Kveldsavisen” w rozmowie telefonicznej z Seszeli, dokąd wyjechali członkowie Komisji Spraw Społecznych, by przyrzeć się działalności miejscowych ośrodków zdrowia. - Ta sytuacja wskazuje na konieczność poszerzenia kontroli ze strony Stortingu. Powołanie nowego organu mogłoby jednak spowodować duże spowolnienie prac dotychczasowej komisji, kierowanej przez Grindego.

Liten Lettvik wylogowała się z komputera. Z szuflady wyjęła album i w roztargnieniu zaczęła go przeglądać. W kilku miejscach ziały dziury. Małe papierowe rożki, których zadaniem było przytrzymywanie rodzinnych fotografii, wydawały się bezsensownymi ramkami otaczającymi nicłość.

Liten Lettvik miała teraz tylko jeden problem: w jaki sposób odda album?

Przez chwilę się nad tym zastanawiała, a pokój powoli wypełniał się lekkim tytoniowym dymem.

- To chyba już nie ma żadnego znaczenia - postanowiła w końcu. - Mogę go po prostu spalić.

Zabrała jednak album do domu. Na wszelki wypadek.

07.00

Ogród Botaniczny, dzielnica Toyen

Hanne Wilhelmsen lubiła wyciskać z siebie pot aż do protestu serca. Pod górę łagodnie wznoszącej się Trondheimsveien wrzuciła dodatkowy bieg i wpadła przez bramę do Ogrodu Botanicznego. Dotarła do Muzeum Zoologicznego i wybrała ławkę pod drzewem, którego gatunku nie rozpoznawała. Napis na tabliczce przy pniu był nieczytelny. Jakiś chuligan oznakował sprejem swój rewir.

Nigdy nie była w takiej dobrej formie. Zamknęła oczy i poczuła zapach drzew, które rozpoczęły już długie, pełne wysiłku lato. Cecilie miała rację, zmysł węchu wyostrzał się po rzuceniu palenia.

W jej stronę zbliżał się jakiś staruszek. W jednej ręce niósł grabie, w drugiej łopatkę.

- Śliczna pogoda - kiwnął głową, uśmiechając się do nieba, które - szare i zapłakane - wisiało nisko nad ich głowami.

Lekko mżyło.

- Rzeczywiście - roześmiała się Hanne.

Mężczyzna przyjrzał jej się i szybko podjął decyzję. Usiadł obok na ławce, z kieszeni wyjął kawałek tytoniu do żucia i starannie ułożył pod językiem.

- To najlepsza pogoda - mruknął. - Deszcz rano, a po południu słońce.

- Tak pan myśli? - spytała Hanne z powątpiewaniem i odchyliła głowę.

Mżawka pokryła jej twarz jak maseczka nawilżająca.

- Możemy się założyć - roześmiał się mężczyzna. - Niech pani

spojrzy tam! - Wskazał na zachód, gdzie kościół Sofienberg dumnie wznosił się na tle szarości. - Widzi pani te szczeliny w chmurach?

Hanne kiwnęła głową.

- Kiedy taka szczelina pojawia się dokładnie w tym miejscu nad Holmenkollen, między zachodem a południowym zachodem, i nie ma wiatru tak jak teraz, za kilka godzin będzie pięknie.

- Wcale tego nie zapowiadali. - Hanne wstała, żeby się porozciągać. - Ma padać aż do środy.

Staruszek serdecznie się roześmiał i splunął brunatną śliną.

- Pracuję tu od czterdziestu dwóch lat - oświadczył z zadowoleniem. - Od czterdziestu dwóch lat opiekuję się moimi roślinkami. Wiem, czego potrzebują, ile wody, słońca i pielęgnacji. Mam wspaniałą pracę, proszę pani. Ludziom się wydaje, że wszystkie te drzewa i rośliny potrzebują naukowego podejścia, ale one... potrzebują czegoś więcej.

Długo przyglądał się Hanne, a ona zaprzestała wykonywania gwałtownych ruchów i też wpatrywała się w niego z uwagą. Staruszek miał pomarszczoną, opaloną twarz. Właściwie dziwiło ją, że wciąż jeszcze pracuje, bo chyba już dawno powinien przejść na emeryturę. Przyjemnie się z nim rozmawiało. Emanował spokojem i nie wymagał od niej długich odpowiedzi.

- Chodzi o instynkt, rozumie pani? Dają mi książki, rozprawy czy jak to się tam nazywa. Ale mnie to niepotrzebne. Ja i tak wiem, czego potrzebuje każdy najmniejszy kwiatusek i każde wielkie drzewo w tym ogrodzie. Bo ja mam intuicję, rozumie pani? Wiem, jaka będzie pogoda i czego potrzebują rośliny. Każdy najmniejszy kwiatusek.

Wstał i podszedł do niedużej roślinki tuż przy ławce. Hanne nie wiedziała, czy to załazek drzewa, czy też może roślina powinna być

taka mała.

- Proszę spojrzeć na ten krzaczek - powiedział mężczyzna. - Pochodzi aż z Afryki. Nie muszę czytać książek, żeby wiedzieć, że ten kawaler potrzebuje więcej ciepła i troskliwości. Tkwi w tej ziemi i tęskni biedaczek za ciepłem, jakie miał w domu, i za swoimi koleżkami w Afryce.

Pogładził dłonią listki, a Hanne aż zamrugła, kiedy wydało jej się, że krzaczkowi naprawdę spodobała się ta pieśczość. Dłoń staruszka była duża, ze zrogowaciałą skórą, ale roślinki dotykała z miłą zmysłowością.

- Pan kocha te rośliny - uśmiechnęła się Hanne.

Dziadek wstał z trudem i oparł się na grabiach.

- Bez miłości nie można wykonywać takiej pracy. Jestem tu od czterdziestu dwóch lat. A pani czym się zajmuje?

- Pracuję w policji.

Mężczyzna roześmiał się głośno i zaraźliwie.

- No to ma pani teraz co robić! Z tą nieszczęsną kobietą, z tą Birgitte, co to ją zabito. Ma pani czas, żeby w ogóle biegać po ulicach?

- W zasadzie jestem na urlopie bezpłatnym - zaczęła się tłumaczyć Hanne, ale zrezygnowała. - I tak muszę trzymać formę.

Staruszek wyciągnął wielki kieszonkowy zegarek.

- No, muszę się brać do roboty - oświadczył. - O tej porze roku jest najwięcej pracy, jak to wiosną. Do widzenia.

Uśmiechnął się i na pożegnanie uniósł grabie. Zszedł niżej, ale jeszcze się odwrócił.

- Proszę mnie posłuchać - powiedział z powagą. - Nie znam się na takich śledztwach, bo ja pracuję w ogrodzie, ale u was chyba też tak musi być. Najważniejsze to słuchać tego, co wam mówi intuicja.

Hanne usiadła na ławce.

- Tak - przyznała cicho. - Chyba ma pan rację.

Staruszek jeszcze raz pożegnał ją uniesieniem grabi i poczłapał dalej.

Hanne oddychała głęboko. Powietrze było chłodne i wilgotne. Działo jak wewnętrzny krem oczyszczający. Głowa zrobiła jej się lżejsza, myśli o wiele bardziej przejrzyste i uporządkowane.

Czuła się jak monsieur Poirot, pozostawiona swoim „małym szarym komórkom”. Sytuacja była niezwykła. Normalnie to ona miała kontrolę, to ona posiadała wszystkie informacje zebrane w sprawie. Teraz docierały do niej tylko urywki i fragmenty. Nawet Billy T. dawał wyraz frustracji, wywołanej pracą w zespole tak dużym, że jedynie kilka osób miało całościowy obraz sytuacji. Co prawda Hakon wiedział więcej, lecz on z kolei z trudem panował nad stresem, głównie z tego powodu, że Karen jeszcze nie urodziła.

Ofiara miała dwie tożsamości. Jedną była premier Volter, drugą Birgitte. Która z nich właściwie została zabita?

Z żadną z nich nie wiązał się motyw, a przynajmniej nie w sposób oczywisty. Hanne z dużym dystansem odnosiła się do tropu międzynarodowego, o którym nieustannie rozpisywały się gazety. Ślad ekstremistyczny wydawał się bardziej prawdopodobny, mimo że POT również na to nie miała żadnych dowodów. Chociaż nigdy nie było wiadomo, czym tak naprawdę zajmują się chłopcy z górnych pięt.

Według Billy ego T. życie Birgitte Volter wydawało się wręcz nudne. Jej życie prywatne. Nie było w nim miejsca na skandale, bo sprawy publiczne całkiem ją pochłaniały. Jeśli miała tajemniczego kochanka, musiałby to być najbardziej tajemniczy kochanek w historii. Plotki, które kleiły się do niej jak do wszystkich osób na

świeczniku, były mętne i okazały się całkowicie nieprawdziwe. A poza tym większość dotyczyła odległej przeszłości.

Powodów do zabicia osoby na stanowisku premiera również nie było. W Norwegii nie morduje się szefów rządów. Choć Olof Palme z całą pewnością myślał tak samo o swoim kraju, gdy nie zgodził się, by do kina poszli z nim ochroniarze w tamten brzemienny w skutki lutowy wieczór w 1986 roku.

Hanne znów ruszyła biegiem. Minęła staruszkę, który na kolanach grzebał w ziemi i nawet jej nie zauważył. Przyspieszyła. Kiedy dotarła do parku Sofienberg, przestało padać. Spojrzała na zachód. Rozdarcia w chmurach, które pokazał jej ogrodnik, wyraźnie się powiększyły. Rozpościerał się tam teraz cały fragment błękitnego nieba. Przysiadła na huśtawce i zaczęła lekko się bujać.

Nieliczne osoby, które miały dostęp do gabinetu pani premier, wydawały się totalnie nieprawdopodobne w roli sprawców. Wenche Andersen musiałaby zamordować swoją szefową z zimną krwią, a następnie podczas rozmów z policją odegrać rolę zasługującą na Oscara dla najlepszej aktorki drugoplanowej. Wykluczone. Benjamin Grinde, który poszedł do domu szykować przyjęcie z okazji pięćdziesiątych urodzin i który według raportów zachowywał całkowity spokój, dopóki nie powiedzieli mu o śmierci Birgitte Volter, też nie wchodził w rachubę. Wszyscy pozostali pracownicy kancelarii mieli wiarygodne alibi: byli na spotkaniach, w studiach radiowych, na uroczystych kolacjach.

Wydawało jej się, że jest już blisko rozwiązania, gdy poprosiła o protokół z sekcji. Przez całą noc leżała, nie śpiąc i walcząc z jedną myślą: samobójstwo. Najprostsza ewentualność. Ale jak to możliwe, by ofiara samobójstwa zdołała sama usunąć broń, którą zadała sobie

śmierć, po to, by kilka dni później przesłać ją policji? Hanne nie wierzyła w życie pozagrobowe, a w każdym razie nie w aż tak aktywne. Wierząc się w łóżku, snuła kolejne teorie. W końcu ożywiona swoim pomysłem wyżebrała pokazanie jej protokołu z sekcji. Ale zmiażdżył jej teorię jednym krótkim zdaniem. Nie można odebrać sobie życia, nie pozostawiając śladów technicznych. Obducent zbadał dłoń Birgitte Volter głównie po to, by szukać oznak walki, lecz również rutynowo wykluczyć samobójstwo. Okazało się, że dłonie były wolne od resztek prochu. Teoria Hanne zawaliła się jak domek z kart.

Nie miała już ochoty na dalsze bieganie. Podniosła się z dużej opony samochodowej i spokojnym krokiem ruszyła do domu na Stolmakergata 15, do dziwnego mieszkania Billy'ego T.

Czy odpowiedź na zagadkę zabójstwa tkwiła w przyczynach przesłania broni policji? Czyżby ktoś chciał coś przekazać śledczym?

Hanne zirytowana pokręciła głową. Myśli znów zaczęły jej się mącić. Kłębiły się, nie znajdując dla siebie miejsca w niewyraźnym wzorze, na którego ułożenie poświęciła cały weekend.

Zabójstwo Birgitte Volter było sprawą bez motywu. W każdym razie do tej pory pozostawał ukryty. Co oni w ogóle mieli? Nic oprócz kilku zaginionych przedmiotów i ciała. Oraz odesłanego wyczyszczonego rewolweru niewiadomego pochodzenia. Próby balistyczne wykazały, że w kopercie istotnie znalazła się broń, z której dokonano zabójstwa.

Zaginał szal i pudełeczko na leki z pokrytego emalią srebra albo złota. I jeszcze karta wstępu. Czy między tymi rzeczami istniał jakiś związek?

Hanne Wilhelmsen pomyślała nagle o staruszku z Ogrodu Botanicznego. Intuicja. Zatrzymała się, zamknęła oczy, próbowała

wysłuchać się w sobie. Była przyzwyczajona do kierowania się intuicją. Tym, co jej podpowiadał brzuch. Teraz jednak nie czuła absolutnie nic oprócz pęcherza, który zrobił jej się na lewej pięcie.

Mimo to dalszą drogę do domu pokonała biegiem.

09.10

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

- To w każdym razie nie może być przypadek, Hakon! - Billy T. wpadł do pokoju prokuratora i zaczął mówić podniesionym głosem. W rękach trzymał coś olbrzymiego, trudnego do opisania. To coś było czerwone, wyglądało na gumowe i jakby straciło oddech.

- Co to jest? - ziewnął Hakon Sand.

- Wieloryb - zachichotał Billy T. i upchnął martwego walenia w kącie. - Moi chłopcy na pewno będą go uwielbiali. Największa na plaży zabawka do kąpieli.

- Niech cię cholera, Billy T.! Nie możesz wynosić z komendy dowodów rzeczowych!

- Nie mogę? To ten wieloryb ma tak leżeć? - Czubkiem buta trącił zwał gumy, która lekko i żałośnie pisnęła. - Zupełnie sam w ciemnej piwnicy? O, nie. Lepiej mu będzie z moimi chłopcami.

Hakon Sand tylko pokręcił głową i znów ziewnął.

- Posłuchaj, Hakon! - Billy T. nachylił się nad prokuratorem. - To nie może być przypadek. Przecież w tej sobotniej lawinie gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc, zginął strażnik z budynku rządowego!

- Tromso to miasto uniwersyteckie. Ma sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Wątpię, by spodobało się tam określenie z tym diabłem mówiącym dobranoc.

- Wszystko jedno. Nie rozumiesz tego? Facet nie żyje, a my możemy trochę rozejrzeć się po jego mieszkaniu. - Billy T. rzucił na biurko prokuratora niebieski formularz. - Masz. Podpisz mi nakaz przeszukania.

Hakon Sand odsunął kartkę od siebie, jakby była pudełkiem żywych skorpionów.

- Jak długo po terminie zaczyna być niebezpiecznie?

- Co?

- Chodzi mi o kobiety. O kobiety w ciąży. Jak długo mogą nosić dziecko po wyznaczonym terminie?

Billy T. zarechotał.

- Denerwujesz się? Przecież już raz przez to przechodziłeś, Hakon. Wszystko będzie dobrze.

- Ale Hans Wilhelm urodził się o tydzień za wcześnie. - Próbował zdusić kolejne ziewnięcie.

- Karen, zdaje się, mówiła, że termin upłynął wczoraj - zauważył Billy T.

- To prawda - mruknął Hakon, pocierając twarz. - Ale dziecko się nie urodziło.

- Na miłość boską, Hakon. Może minąć tydzień albo i dwa, zanim sytuacja stanie się krytyczna. Poza tym lekarz mógł się pomylić w obliczeniach. Uspokój się. Wypełnij mi raczej ten niebieski świstek. - Znow próbował podsunąć mu kartkę.

- Przestań! - Prokurator najpierw usiłował odepchnąć formularz, lecz kiedy to mu się nie udało, gwałtownie i ze złością porwał go na strzępy. - Nie wiem, czy ty w ogóle masz pamięć, Billy T., ale ja za to cholernie dobrze pamiętam pewien incydent sprzed kilku lat, kiedy usiłowałem doprowadzić do aresztowania Jorgena Ulfa Lavika na podstawie zeznań Karen. To był prawdziwy koszmar. Sędzia zjadł mój łeb na lunch, ponieważ nie dostrzegłem, że martwi ludzie mają takie same prawa jak żywi. Za diabła nie popełnię takiego głupstwa drugi raz! Billy T. rozdziawił usta.

- Zamknij gębę! - powiedział Hakon. - W przeciwieństwie do ciebie potrafię się uczyć na własnych błędach, a poza tym - i powtarzam to po raz ostatni - strażnik to nie twoja sprawa! - Hakon klasnął dłońmi o biurko i jeszcze trochę podniósł głos. - A jeśli teraz zaatakujesz Tone-Marit, żeby ją zmusić do załatwiania twoich spraw, to... to się naprawdę wkurzę! Nie ma żadnych podstaw, by cokolwiek mu zarzucać. Nie ma też absolutnie żadnej podstawy, by przypuszczać, że u niego w domu znajdzie się coś, co mielibyśmy prawo zatrzymać. Poczytaj sobie! - Hakon gwałtownie się odwrócił i zdjął z półki jeden z czterech zbiorów ustaw stojących za jego plecami. Rzucił go na biurko z taką siłą, że szyby w oknach zadzwoniły.

- Paragraf sto dziewięćdziesiąt cztery kodeksu postępowania karnego. Sam sobie przeczytaj!

Billy T. zaczął się wiercić na krześle.

- Cholera. Dlaczego tak się wściekasz?

Hakon Sand westchnął ciężko.

- Bo jest mi cholernie przykro, Billy T. - powiedział ciszej, niemal mamrocząc, jakby zwracał się raczej do opasłego tomu. - Czasami mam serdecznie dość ciebie i Hanne. Bo jesteście dobrzy w tej robocie. Wiem też, że zazwyczaj macie rację. Chodzi tylko o to, że... - Odchylił się na krześle i popatrzył w okno. Na parapecie siedziały dwie mewy i próbowały zajrzeć do środka. Przekrzywiały łebki i wyglądały tak, jakby użalały się nad prokuratorem. - To nie na was wylewają pomyje, kiedy coś się dzieje wbrew prawu, tylko na mnie. Wiesz, jak inni prawnicy w komendzie zaczęli mnie nazywać?

- Chłopiec na posyłki - bąknął Billy T., starając się zachować powagę.

- Mnie to nie przeszkadza. Właściwie nie mam nic przeciwko temu.

Cieszę się z tego, co mnie łączy z tobą i z Hanne. Przecież rozwiązaliśmy wspólnie kilka ważnych spraw.

Teraz uśmiechnęli się obaj, a mewy za oknem też wyraziły swoją skrzeczącą aprobatę.

- Ale czy nie można by... nie możecie mi okazać chociaż odrobiny szacunku? Tak od czasu do czasu?

Billy T. z powagą popatrzył na przyjaciela.

- Cholernie się mylisz, Hakon. Coś ci powiem... - Nachylił się i złapał prokuratora za rękę. Hakon usiłował cofnąć dłoń, lecz Billy T. nie puszczał. - Jeżeli jest w komendzie jeden prawnik, do którego Hanne i ja mamy szacunek, to jesteś nim właśnie ty. Żaden inny. A wiesz dlaczego?

Hakon patrzył na ich dłonie bez słowa. Wielka owłosiona łapa Billy ego T. była zaskakująco miękka i ciepła. Jego ręka zaś - koścista i twarda. Odwrócił ją. Teraz trzymali się tak, jakby zamierzali zatańczyć.

- Bo my cię lubimy, Hakon. Ty okazujesz nam szacunek. Jesteś skłonny trochę nagiąć sztywne przepisy z tego tomiszcza - wskazał głową dużą czerwoną księgę - kiedy rozumiesz, że przeszkadzają nam w złapaniu złych chłopaków. Nieraz narażałeś własną głowę dla mnie i dla Hanne. Grubo się mylisz, jeśli uważasz, że cię nie szanujemy. Naprawdę grubo.

Hakon poczuł, że robi mu się gorąco, a gdzieś w dole brzucha rozlewało się przyjemne doznanie - szczęście przypominające to z czasów dzieciństwa. Ale wraz z nim nadciągnęło również niewypowiedziane zmęczenie. Zakręciło mu się w głowie, oczy same mu się zamknęły.

- Cholera, ależ jestem śpiący! Całą noc nie zmrużyłem oka, tylko

leżałem wpatrzony w brzuch Karen. Jesteś pewien, że to nic groźnego?

- Głowę dam. - Billy T. puścił jego rękę i potarł łysą czaszkę. - Ale posłuchaj mnie uważnie. To może być wielka sprawa. Birgitte Volter nie żyje, a teraz nagle strażnik ginie w lawinie. Ten strażnik, który znalazł się w jej gabinecie w krytycznym momencie. Ten, który podczas przesłuchania był wściekły, ma broń i nie stawiał się, żeby nam ją okazać, chociaż to obiecał. To może być kwestia życia i śmierci, Hakon. Ja po prostu muszę mieć ten niebieski świstek.

Hakon Sand wstał. Wyciągnął ręce do sufitu, kołysząc się na palcach i piętach.

- Możesz sobie darować te przemowy, Billy T. Nie dostaniesz nakazu przeszukania. Ale jeśli to może być dla ciebie jakąś pociechą - z hukiem opadł na pięty - to w zeszły piątek wysłano do strażnika nakaz wydania broni. Innymi słowy, formalnie nakazano mu zrobienie tego, o co ty tak ładnie prosiłeś. Teraz spadkobiercy będą musieli się do tego ustosunkować. On chyba ma gdzieś jakichś rodziców. Jeżeli Tone-Marit stwierdzi, że warto go dalej badać, to będę o tym dyskutował z nią. Z Tone-Marit. Nie z tobą.

- Ale, Hakon! - Billy T. nie dawał za wygraną. - Śmierć strażnika nastąpiła w zbyt dogodnym momencie! Czy ty tego nie widzisz?

Teraz Hakon Sand zaczął się śmiać.

- Więc sądzisz, że istnieje organizacja terrorystyczna, będąca w stanie zamówić opady śniegu stulecia na północy Norwegii, a następnie wywołać nieoczekiwaną burzę i ogromną lawinę? Tę lawinę zaplanowano już w listopadzie. To wtedy napadało tak cholernie dużo śniegu. Mam wujka w Tromsø. W zeszłym tygodniu trafił do szpitala. Zawał serca z powodu przeciążenia organizmu odśnieżaniem. Ha! - Znów się roześmiał, długo i szczerze. - Niezły spektakl pogodowy do

wyreżyserowania. Tym razem się mylisz, Billy T. Wyjątkowo po prostu się mylisz!

Miał rację. Billy T. się rozzłościł. Gwałtownie poderwał się z krzesła, przykucnął i objął gumowego wieloryba.

- Olewam to wszystko - oświadczył ze złością i wyszedł.

- A tego wieloryba odłóż tam, gdzie go znalazłeś! - wrzasnął za nim Hakon Sand. - Słyszysz? Masz go odłożyć!

12.15

Sąd Najwyższy

Pięciu sędziów siedziało w jadalni, rozkoszując się herbatą i przyniesionym z domu drugim śniadaniem podczas tego, co nazywano dużą przerwą. Dwóch nie przyzwyczało się jeszcze do konieczności zrezygnowania z kawy. W Sądzie Najwyższym piło się herbatę.

Pomieszczenie było duże i ładne. Dwa kąciki wypoczynkowe z jasnej brzozy obitej materiałem w kolorze żywej zieleni, która ładnie współgrała z ciepłą żółtą barwą ścian. Klimatu dopełniało kilka obrazów autorstwa przyjemnych dla oka kolorystów. Leciutko brzęczały delikatne filiżanki z cieniutkiej porcelany. Od czasu do czasu rozlegały się ostrożne, ciche siorbnięcia.

- Czy ktoś widział dzisiaj Benjamina Grindego?

Pierwszy prezes Sądu Najwyższego miał na czole głęboką zmarszczkę, zdradzającą lekki niepokój, który pojawił się u niego, gdy kilka godzin temu zorientował się, że Grindego nigdzie nie można znaleźć.

- Zaglądałem do jego gabinetu jakiś czas temu - ciągnął. - To on był sędzią sprawozdawcą i pierwszy spośród składu ogłaszał swój wyrok w tej sprawie ubezpieczeniowej, którą rozpatrywaliśmy w zeszłą środę, prawda?

Troje pozostałych sędziów lekko kiwnęło głowami.

- Tak właśnie mi się wydawało. W przyszłym tygodniu mam wygłosić wykład w Sądzie do spraw Ubezpieczeń i chciałem się powołać na to ostatnie orzeczenie.

- Ja też go dzisiaj nie widziałem - oznajmił sędzia Sunde,

poprawiając śnieżnobiały kołnierzyk.

- Ani ja - zawtórowało dwoje pozostałych.

- Ale powinien mieć swoje stanowisko już przygotowane na popołudnie - zauważył sędzia Lovenskiöld. - Mamy posiedzenie o szesnastej. To rzeczywiście...

- .. .zadziwiające - dokończył inny. - Naprawdę zadziwiające. Prezes wstał i podszedł do telefonu, znajdującego się tuż przy eleganckiej kuchence urządzonej na lewo od drzwi wejściowych. Po krótkiej, przeprowadzonej ściszym głosem rozmowie odłożył słuchawkę i odwrócił się do pozostałych.

- To rzeczywiście niepokojące. W jego kancelarii mówią, że spodziewano się go dzisiaj jak zwykle, ale nie przyszedł. Nie przekazał też żadnej wiadomości.

Sędziowie powrócili do swoich filiżanek z herbatą, a z Apotekergate dobiegł warkot tira na jałowym biegu.

- Muszę to zatem sprawdzić - mruknął prezes. - I to niezwłocznie.

Czyżby Benjamin Grinde zachorował? To do niego niepodobne, by nie stawić się bez uprzedzenia. Prezes Sądu Najwyższego siedział w swoim gabinecie, słuchając sygnału rozlegającego się w słuchawce telefonu. Wiedział, że na Odins gate 3 aparat dzwoni, ale najwyraźniej nikt go nie słyszy. Poddał się więc i rozłączył.

W teczce personalnej znalazły się dwa numery do matki Grindego, jego najbliższej krewnej. Jeden był zagraniczny, ale prefiksu prezes nie był w stanie tak od razu umiejscowić. Drugi zaś zaczynał się od 22 - kierunkowego Oslo. Wybrał go powoli i starannie.

- Halo, tu dom państwa Grinde - zaćwierkał ktoś na drugim końcu linii. - Czym mogę służyć?

Prezes się przedstawił. Lerke Grinde nie mogła opanować

podniecenia: wczoraj odwiedziła ją dziennikarka, a dziś dzwonił sam pierwszy prezes Sądu Najwyższego.

- Ach, jakże mi miło, że pan telefonuje - pisnęła, a prezes mimowolnie odsunął słuchawkę od ucha. - W czym mogę pomóc?

Prezes przedstawił swoją sprawę.

- Przypuszczam, że Ben po prostu potrzebuje odpoczynku - uspokoiła go Lerke Grinde. - Jest ogromnie przemęczony. Wziął sobie do serca całą tę aferę z policją. Nie wiem, czy pan miał możliwość to zauważyć, ale Benjamin jest niezwykle wrażliwy. To rodzinna cecha. Jego ojciec na przykład...

Prezes jej przerwał:

- Więc sądzi pani, że on po prostu odpoczywa? Ale nikogo nie uprzedził.

- Oboje wiemy, że to niepodobne do Bena, ale może zwyczajnie zasnął. Mogę... - nagle urwała, lecz pauza nie trwała za długo - mogę po południu zajrzeć do jego mieszkania. Powinnam zdążyć przed wyjściem do teatru. Teraz mam umówioną wizytę u fryzjera, ale po południu...

- Dziękuję - przerwał jej jeszcze raz. - Będę wdzięczny, jeśli zechce to pani zrobić.

- Oczywiście - powiedziała Lerke Grinde, a prezesowi wydało się, że słyszy w jej tonie leciutką urazę.

- Do widzenia. - Rozłączył się, nie dając jej szansy na odpowiedź.

17.30

Ministerstwo Zdrowia

- Ależ przecież ja to mogę wysłać!

Sekretarka minister zdrowia zrobiła przerażoną minę, widząc szefową pochyloną nad telefaksem i usiłującą stwierdzić, jak działa to urządzenie.

- To prywatna sprawa - warknęła Ruth-Dorthe Nordgarden, machnięciem ręki odprawiając zdenerwowaną kobietę.

Faks został w końcu wysłany, a oryginał minister Nordgarden zabrała ze sobą do gabinetu.

- Proszę ich przysłać - nakazała jednej z pracownic recepcji, po czym zajęła miejsce u szczytu stołu konferencyjnego pół godziny po wyznaczonym terminie rozpoczęcia spotkania.

Nikt na nią nie patrzył, wchodząc. Atmosfera była napięta. W pomieszczeniu czaił się lęk wyczuwalny przez wszystkich z wyjątkiem pani minister. Uśmiechnęła się sztucznie i zaprosiła do zajęcia miejsc przy stole.

- Najpierw muszę po prostu powiedzieć, że na takich sprawach jak tak w ogóle się nie znam - zaczęła. - Proszę więc o zrozumiałe wyjaśnienia. Zaczynamy. Chociaż nie, chwileczkę. - Popatrzyła na przybyłych, dwóch mężczyzn i trzy kobiety, i rozłożyła ręce. - A gdzie Grinde? Jeszcze się nie stawił? - Wymownie zerknęła na zegarek.

Pozostali spojrzeli po sobie.

- Odniosłem wrażenie... - zaczął Ravn Falkanger, starszy lekarz, profesor pediatrii. - Sądziłem, że sędzia Grinde przyszedł tu na wcześniejsze spotkanie.

- Ależ skąd! - przerwała mu Ruth-Dorthe Nordgarden. - Nie było mowy o żadnym wcześniejszym spotkaniu. - Znów demonstracyjnie spojrzała na zegarek, podciągając rękaw żakietu i niepotrzebnie wysoko unosząc rękę. - No cóż, jeśli nie przyszedł do tej pory, zaczynamy bez niego. Przeczytałam to. - Machnęła jedenastostronicowym raportem, który tego samego dnia rano dostała od sekretarza komisji, młodziutkiej asystentki naukowej wyglądającej na przerażoną. - Muszę powiedzieć, że bardzo wszystko utrudniacie całym tym fachowym żargonem.

Profesor toksykologii Edward Hansteen leciutko chrząknął.

- Rzecz należy rozumieć następująco, pani minister. Z czasem prace komisji przybrały nieco inny obrót aniżeli ten, na który udzielono nam mandatu. Z naszej strony pojawiło się życzenie wyjazdu za granicę w celu skorzystania z tamtejszych archiwów. To była przyczyna, dla której Benjamin Grinde pragnął rozmawiać z panią minister, co jak rozumiem... - Znów chrząknął, tym razem głośniejsz, i dalej patrzył w swoje papiery. - Rozumiem jednak, że nawał obowiązków nie pozwolił pani minister na takie spotkanie. Sądzę, że właśnie dlatego szukał pomocy u premier Volter. Pani minister rozumie... sprawa jest tak delikatna, że Grinde pragnął omówić ją natychmiast z szefostwem politycznym.

W chwili kłopotliwego milczenia sekretarz komisji zaczęła się czerwienić. Na czoło wystąpił jej pot i na próżno usiłowała ukryć rumieniec pod długimi jasnymi włosami.

- No dobrze - odezwała się Ruth-Dorthe Nordgarden. - To jest woda, która dawno już popłynęła do morza. Ustosunkujmy się do tego, co mamy tu i teraz. Proszę. - Znów skinęła głową na doktora Hansteena.

Spotkanie trwało trzy kwadranse, ale atmosfera wcale się nie poprawiła. Równy, przyjemny głos Edwarda Hansteena przerywały jedynie nagłe uwagi pani minister w rodzaju: „Nie bardzo to rozumiem” albo „Czy mógłby pan powtórzyć?”. Synnove von Schallenberg, specjalistka medycyny społecznej, chwilami zastępowała kolegę. Również ona była wyraźnie zaniepokojona i od czasu do czasu zerknęła na Ruth-Dorthe Nordgarden.

- Jak pani minister zapewne rozumie - zakończył wreszcie doktor Hansteen - stoimy zatem w obliczu prawdopodobnej konkluzji, iż doszło do czegoś wysoce nieprawidłowego. - Podkreślił sens swojego podsumowania, trzy razy uderzając palcami w dokumenty.

Ruth-Dorthe Nordgarden nie odrywała oczu od leżących przed nią kartek. Od raportu, który dostała dziś rano. Naprawdę go przeczytała, choć może nie aż tak wnikliwie. Nie dość wnikliwie. Nie powinna była przesyłać go faksem Liten Lettvik. A już z całą pewnością nie z własnego sekretariatu. Czy takie rzeczy można wyśledzić? Chyba popełniła straszny błąd. Skrzywiła się nie wiadomo dlaczego i pociągnęła się za włosy.

- No tak, ale... - kącik ust gwałtownie jej drgał - czy jest w tym coś, co oznacza awanturę pod względem czysto politycznym?

Cztery najstarsze osoby wokół stołu wymieniły zakłopotane spojrzenia. Asystentka naukowa wbiła wzrok w sęk widoczny w blacie. Minister zdrowia Ruth-Dorthe Nordgarden odrobinę za późno zrozumiała, że posunęła się za daleko. Komisja nie przyszła tu, by pomagać jej w sprawach politycznych. Jej zadaniem było przedstawienie faktów.

- Mogą państwo odejść - powiedziała szybko. - Dziękuję za...

Dalszy ciąg zdania utonął w szuraniu krzesel, gdy przybyli

wstawali. Sekretarz komisji udało się nawet przewrócić krzesło. Ruth-Dorthe Nordgarden nie zareagowała, ale oczy miała pełne łez. Tego jednak żaden członek komisji nie zauważył.

19.30

Stolmakergata 15

Chociaż to, że Hanne Wilhelmsen się do niego wprowadziła, było fantastyczne, Billy T. odczuwał intensywną przyjemność z tej chwili samotności. Nikt nie zmuszał go do oglądania wiadomości, mógł też jeść lekko podgrzane spaghetti prosto z puszki i nikt na ten widok się nie krzywił. To było bardzo praktyczne rozwiązanie. Wkładał puszkę na chwilę pod strumień gorącej wody z kranu i pstryk, już miał obiad.

Przyciągnął fotel Sacco z sypialni, bo wciąż jeszcze nie do końca zaprzyjaźnił się z niebieską kanapą. Siedzisko dawało podparcie górnej połowie ciała, a ręce i nogi leżały rozrzucone na podłodze. Kompletnie ignorując walenie w ścianę rozzłoszczonej sąsiadki, Billy T. pilotem jeszcze odrobinę podgłośnił wieżę.

Madame Butterfly zbliżała się do końca. Intensywnie współodczuwał z nią wielką klęskę. Mężczyzna, którego kochała i na którego czekała latami, wreszcie wrócił, ale z inną kobietą. A teraz ta chciała jej również odebrać największy skarb - syna. Jedyne dziecko.

Muzyka narastała. Dramatycznie się zagęszczała. Billy T. zamknął oczy, poczuł, jak wypełniają go dźwięki. Odczuwał wibracje palcami stóp.

Con onor muore chi non pud serbar vita con onore!

- Niechaj z honorem umiera ten, komu los nie pozwolił żyć z honorem - szepnął Billy T.

Przez finał przedarł się dźwięk telefonu.

- Cholera! - Poderwał się, szarpnął za słuchawkę i ryknął: - Chwileczkę!

Położył słuchawkę obok aparatu i znów wyszedł na środek pokoju. Madame Butterfly śpiewała do swojego syna przesycona bólem. To dla niego chciała umrzeć. Było już po wszystkim.

Głosem tak miękkim, że Tone-Marit na drugim końcu linii przez chwilę zastanawiała się, czy się nie pomyliła, powiedział:

- Halo, z kim rozmawiam? - Ale już za moment ryknął normalnym tonem: - Co, do jasnej cholery?! Benjamin Grinde nie żyje?!

Wtorek, 15 kwietnia 1997

08.30

Markveien Café

Hanne Wilhelmsen przeczytała pasek z historyjką obrazkową o przygodach Calvina i Hobbesa i serdecznie się roześmiała. Zawsze od niej zaczynała. Zjadła już wszystko, co miała na talerzu - kotlet siekany z cebulą i smażone ziemniaki - do tego wypila pół litra mleka. Gdy się jej odbiło, pożałowała, że zapchała się kartoflami.

Billy T. nie abonował „Aftenposten”. Hanne irytowało, że nie wypełniał tego podstawowego wymogu cywilizowanego obywatela: nie dostarczano mu gazety pod drzwi. Ignorancję kolegi rekompensowała sobie śniadaniem w kawiarni po codziennej porannej przebieżce. Tutaj wszystkie gazety wisiały na drewnianych uchwytych.

Kawa nie była zbyt dobra, za to mocna. Hanne skrzywiła się, ale powodem jej grymasu mogły równie dobrze być wszystkie tytuły donoszące o śmierci Benjamina Grindego. „Dagbladet” zdecydowała się na gigantyczne czerwone litery nad zdjęciem sędziego. Hanne spojrzała na stronę czwartą, tak jak sugerowała zapowiedź na pierwszej stronie. Artykuł znów krzyczał wielką czcionką, lecz zawierał wyłącznie informacje, które już знаła. Nie chciało jej się czytać dalej. Wyjątkowo jednak musiała przyznać dziennikarzom rację. To rzeczywiście dziwny zbieg okoliczności, że Benjamin Grinde umiera osiem dni po Birgitte Volter. Najwyraźniej ogłoszony przez komendanta nakaz całkowitego milczenia poskutkował, bo jeśli Hanne się nie myliła, żadna z gazet nie wywęszyła, że zgon nastąpił w

sobotę po południu. Ale to rzeczywiście dziwny zbieg okoliczności. Media oszaleją, jeśli - a może raczej powinna powiedzieć „kiedy” - odkryją, że strażnik z budynku rządowego wyciągnął nogi tego samego dnia.

Coś jej przyszło do głowy, ale nie bardzo wiedziała, co właściwie. Strażnik. Benjamin Grinde. Birgitte Volter. Wszyscy zginęli w ciągu tygodnia. Jedna osoba zginęła od kuli z rewolweru, druga - w katastrofie naturalnej, trzecia prawdopodobnie popełniła samobójstwo. Tak przynajmniej szepnął jej Billy T., kiedy zwałił się obok niej o czwartej nad ranem. Powiedział, że Benjamin Grinde leżał w łóżku z pustym słoiczkiem po tabletkach na nocnej szafce. Hanne wyjęła z torebki długopis i odstawiwszy pusty talerz na sąsiedni stolik, narysowała na serwetce trójkąt. Grinde, strażnik i Volter w jego narożnikach. Pod spodem naszkicowała szal, rewolwer, kartę wstępu i puzderko na tabletki. Odpowiedź kryła się tutaj. Hanne wiedziała, że tak jest. Długopis zaczął biegać od przedmiotu do osoby, od osoby do przedmiotu. Powstał z tego niezrozumiały wzór, a Hanne rozboleła głowa. Od czasu, gdy w 1993 roku - w trakcie śledztwa w pewnej sprawie narkotykowej, w którą zamieszani byli znani politycy, adwokaci i służby specjalne - otrzymała cios w głowę, od którego straciła przytomność pod własnym pokojem na komendzie, ten ból czasami jej dokuczał.

Połknęła dwa paracetamole i popiła je ostatnimi łykami mleka.

„Kveldsavisen” dosłownie się zachłystywała. W końcu również dział polityczny zainteresował się wyprawą krzyżową Liten Lettvik i ze wszystkiego, co znajdowało się na łącznie sześciu stronach poświęconych tej sprawie, najbardziej rzucił się w oczy komentarz polityczny:

Czy wytrzymamy prawdę?

W ostatnim tygodniu Norwegię dotknęły wydarzenia, których dramatyzmu nie można porównywać z żadnymi innymi wypadkami w naszej powojennej historii. W zeszły piątek znaleziono premier Birgitte Volter zamordowaną we własnym gabinecie. Wczoraj w tajemniczych okolicznościach zginął w swoim mieszkaniu sędzia Sądu Najwyższego.

Oczywiście do tych wydarzeń można podejść z różnych punktów widzenia. Niektórzy zapewne przymkną oczy i będą woleli uważać, że również osoby na szczytach władzy dotknęła powszechna w naszym społeczeństwie tendencja do wzrostu przestępczości, ale w walce z którą nasi politycy wydają się bezradni. Takie stanowisko byłoby jednak naiwne i raczej przesłaniałoby prawdę, niż ją ujawniało.

W ostatnim tygodniu prasa norweska wysnuwała niezliczone teorie, z których wynikało, że międzynarodowe organizacje terrorystyczne miałyby obrać sobie naszą premier za cel swoich niecznych działań. Koncentrując się jednak zbyt mocno na takim rozwiązaniu, stajemy w obliczu niebezpieczeństwa, że nie dostrzeżemy bardziej prawdopodobnych wyjaśnień. „Kveldsavisen” jako jedyna gazeta sama zbadała okoliczności śmierci Birgitte Volter. Nie poprzestaliśmy na posłusznym przekazywaniu oficjalnych komunikatów, którymi policja wstrzemięźliwie dzieli się z opinią publiczną. Dzięki żmudnej pracy ujawniliśmy, że Benjamin Grinde był najprawdopodobniej ostatnią osobą, która widziała premier Volter żywą, a kilka godzin po jej śmierci sędziemu postawiono nawet zarzut zabójstwa. Później potrafiliśmy wykazać, że sędziego Grindego i panią premier łączyły bardzo bliskie więzi. Dziś możemy dodać, że komisja Grindego ujawniła wysoce nieprawidłowe stosunki w norweskiej służbie zdrowia. Decydujące pytanie brzmi następująco: Czy politycy, prasa i policja będą mieli dość odwagi, by wyciągnąć niezbędne wnioski z ujawnionych faktów?

To właśnie w tym trudnym czasie staniemy przed egzaminem jako państwo prawa. To, czy go zdamy, zależeć będzie od niezawisłości mediów, policji, sądów i polityków. Być może najważniejsza okaże się rola

mediów, skłonnych do protestowania, do szukania prawdy bez oglądania się na opinie sprawujących władzę.

Musimy uczyć się na przykładzie innych krajów, które przeszły podobne narodowe traumy. Szwecja jednaście lat temu przeżyła zabójstwo Olofa Palmego, do którego doszło na ulicy. W pierwszym okresie śledztwo koncentrowało się niemal wyłącznie na tak zwanym tropie kurdyjskim. Inne możliwości wzięto pod uwagę, kiedy było już za późno. Śledztwo ucierpiało przez brak profesjonalizmu i zamknięcie się na inne teorie. W rezultacie Szwecja najprawdopodobniej nigdy nie rozwiąże tej sprawy.

Belgią niedawno wstrząsnął skandal pedofilski, którego macki sięgały głęboko w szeregi policji, a najprawdopodobniej również w środowisko polityków. Najwyżsi kapłani władzy byli ze sobą blisko powiązani i mieli możliwość przeciwdziałania śledztwu w sprawie tak okrutnych przestępstw. Skoro tak było wygodniej...

Musimy się pilnować, by do tego nie doszło również w naszym kraju.

Informacje, które tylko „Kveldsavisen” może przedstawić norweskiej opinii publicznej, potwierdzają, że wykazana statystycznie nadmierna śmiertelność niemowląt w roku 1965 była najprawdopodobniej wynikiem bardzo poważnych błędów popełnionych przez władze. Szczepionki rozprowadzane przez Państwowy Instytut Zdrowia Publicznego okazały się zabójczą bronią. Substancja wywołująca masowe zgony była dystrybuowana przez państwową instytucję!

Polityczna przywódczyni kraju oraz szef komisji specjalnej badającej tę sprawę prawdopodobnie spotkali się nieco ponad tydzień temu, by o tym porozmawiać. Teraz oboje nie żyją.

Czy jesteśmy gotowi spojrzeć prawdzie w oczy?

Hanne Wilhelmsen po raz pierwszy od dawna poczuła, że ma ochotę na papierosa. Właściciel knajpy, w której siedziała, najwyraźniej nie słyszał o ustawie antytytoniowej, bo wszystkie pięć pozostałych osób w lokalu paliło papierosy, wypuszczając kłęby dymu.

O skandalu w służbie zdrowia Hanne trochę słyszała, bo wybuchł

tuż przed jej wyjazdem do Stanów. Oprócz tego wiedziała oczywiście, że komisją miał pokierować Grinde. I że odwiedził premier Volter w dzień jej śmierci. Ale czy te fakty miały jakiś związek z zabójstwem?

Znów zapatrzyła się na serwetkę. Wzór stał się jeszcze mniej wyraźny. Hanne delikatnie narysowała krzyżyk nad strażnikiem. Pogrubiała też linię między Benjaminem Grindem a Birgitte Volter, aż zrobiła dziurę w miękkiej bibułce. Ale strażnik jakby nie chciał zniknąć. Zamazała go całkiem, lecz wtedy rysunek stał się niepełny. Coś jednak musiało się tu kryć, tylko nie umiała tego uchwycić. Ból głowy powrócił, a przecież nie mogła brać więcej leków.

- Hanne! Hanne Wilhelmsen!

Jakiś mężczyzna lekko trzepnął ją w głowę gazetą. Błyskawicznie osłoniła się ręką, ale na jej twarzy zaraz ukazał się ogromny uśmiech.

- Varg! Co ty tu robisz?! Siadaj!

Mężczyzna był ubrany w obszerny zniszczony płaszcz, który ruchem światowca zarzucił na oparcie krzesła i usiadł. Łokcie położył na stole, splótł dłonie i zapatrzył się na Hanne.

- Niewiarygodne! Z każdym rokiem stajesz się coraz ładniejsza!

- Co ty tu robisz? Myślałam, że jedynie w ostateczności ruszasz się z tego cudownego miasta położonego wśród siedmiu wzgórz.

- Prowadzę pewną sprawę, bardzo dziwną. Szukam zaginionego chłopca, którego nikt nie chce, ale który znakomicie radzi sobie z komputerami. Urząd Ochrony Praw Dziecka stale znajduje jego ślady w Internecie, ale nie wiedzą, gdzie on jest. Ma dopiero dwanaście lat.

Skinął na kelnera i poprosił o kawę.

- Zamów raczej herbatę - szepnęła Hanne.

- Oszalałaś? Rano muszę się napić kawy. A ty? Czym się zajmujesz?

Varg i Hanne nie wiedzieli, skąd się znają. On był prywatnym detektywem z Bergen i rzadko pojawiał się w Oslo. Mieli jakichś dalszych wspólnych znajomych i ze dwa razy spotkali się na gruncie zawodowym. Od razu jednak poczuli do siebie sympatię, co oboje w równym stopniu zdumiało.

- Właściwie jestem na urlopie bezpłatnym - odparła Hanne, nie wdając się w głębsze wyjaśnienia. - Ale zajmuję się też trochę sprawą zabójstwa premier Volter. Trudno to sobie odpuścić.

- Zastanawia to, co donosi dziś „Kveldsavisen”. - Skinieniem głowy wskazał nieporządną stos papieru na stoliku. - Ten skandal związany ze służbą zdrowia rzeczywiście wydaje się poważny.

- Nie zdążyłam jeszcze wszystkiego przeczytać - przyznała Hanne. - O co w tym właściwie chodzi?

- No więc - zaczął Varg, niecierpliwym gestem ponaglając kelnera - na razie wygląda na to, że nienormalnie wysoka liczba dzieci zmarła z powodu tak zwanego nagłego zatrzymania akcji serca. To coś w rodzaju rezerwowej diagnozy, jaką się stawia po wykluczeniu wszelkich innych przyczyn zgonu. Wszystkie dzieci dostały ten sam rodzaj skojarzonej szczepionki, tak zwanej Di-Per-Te. Podaje się ją w wieku trzech miesięcy. Okazuje się, że szczepionka była... - sięgnął po „Kveldsavisen” i zaczął ją zapamiętane wertować, przy każdej stronie oblizując palec - ...zanieczyszczona. Tu napisali: „Prawdopodobnie chodzi o derywat, który wytworzył się w środku konserwującym. Posiada on tę cechę, że przypomina substancję czynną, lecz ma odmienne działanie. Mógł zaatakować serca dzieci”.

- Pokaż! - Hanne wyrwała mu gazetę.

Przez kilka minut w milczeniu czytała. Varg zdążył wypić pół filiżanki kawy, zanim wreszcie podniosła oczy.

- To cholernie poważna historia - stwierdziła cicho, składając gazety. - Nie wiedzą nawet, gdzie tę szczepionkę kupiono.

- No właśnie. O to chodzi. Ta komisja prosiła podobno o środki na przeprowadzenie badań w archiwach zagranicznych, aby jakoś się w tym rozeznąć. Nasze dokumenty wykazują w tym zakresie wyraźne braki. Prawdopodobieństwo przemawia za tym, że szczepionkę wyprodukowano w którymś z krajów bongo-bongo, gdzie nie przestrzega się odpowiednich zasad higieny. - Wlał w siebie resztę czarnego jak węgiel płynu i gwałtownie się poderwał. - Muszę już iść. Ale wiesz co? - Zawahał się, lecz zaraz się uśmiechnął. - Jesienią kończę pięćdziesiąt lat. Nie mogłabyś się wtedy wybrać za góry? Postanowiłem, że muszę to jakoś uczcić.

- Jesienią będę w Ameryce - powiedziała Hanne przepraszającym tonem, rozkładając ręce. - Ale już ci życzę wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Do widzenia!

Varg owinął się płaszczem i odszedł. Hanne wyrwała kartkę z kalendarza i od początku narysowała swój trójkąt. Volter. Grinde. Strażnik. W artykule napisano, że minister zdrowia Ruth-Dorthe Nordgarden zapewniła, iż władze podchodzą do sprawy z wielką powagą, a komisja otrzyma niezbędne środki na przeprowadzenie badań za granicą. Hanne zawahała się przez moment, po czym między nazwiskami Grinde i Volter umieściła inicjały RDN. Strażnik nagle wydał się zbędny. Jego obecność na papierze zakłócała nowo powstały trójkąt. Jeśli Benjamin Grinde rzeczywiście sam odebrał sobie życie, to dlaczego to zrobił? Jeżeli jego samobójstwo miało jakiś związek z tą aferą szczepionkową, to nie była w stanie dopatrzeć się w tym żadnej logiki. Przecież to odkrycie sędziego powinien raczej dopisać do swojej listy zasług.

Ból głowy stał się nieznośny. Gwałtownym ruchem przekreśliła cały rysunek i podarła kartkę na strzępy.

- W tym naprawdę nie ma żadnego sensu - powiedziała głośno do siebie i wyszła z kawiarni z nadzieją, że świeże powietrze dobrze jej zrobi.

Na ulicy wstukała numer w komórkę. Nie przedstawiając się, spytała:

- Możemy się spotkać wieczorem?

Już po kilku sekundach zakończyła rozmowę.

- W porządku. O siódmej. W Tranen, to jest na Alexander Kiellands Plass.

Potem wybrała numer Billy'ego T.

- Cześć, to ja. Dzisiejszy wieczór też spędzisz sam. Umówiłam się na kolację. - Czy to off the record czy on the retard, jeśli Cecilie zadzwoni i będzie o ciebie pytać? - zaśmiał się Billy T.

- Wariat. Mam spotkanie z Głębokim Gardłem. I to możesz powiedzieć Cecilie.

Ból głowy był już zabójczy. Z palcami przyciśniętymi do skroni Hanne postanowiła wrócić na Stolmakergata i trochę się przespać.

11.15

Odins gate 3

Wczoraj wieczorem technicy spędzili tu kilka godzin. Wszędzie pozostały po nich malusieńkie ślady. Ledwie widoczne oznaki, że mieszkanie zostało przewrócone do góry nogami, mimo że wszystko starannie odłożono na miejsce. Wszystko z wyjątkiem plastikowego pojemniczka po dwudziestopięcio-miligramowych tabletkach leku o nazwie Sarotex, który stał na nocnym stoliku Grindego obok szklanki do połowy wypełnionej wodą, i pościeli, którą również należało dokładnie zbadać.

Billy T. stał na środku pokoju z krótkim raportem techników. Ciało znaleziono na łóżku, tylko w bokserkach, nie było żadnych śladów włamania, drzwi zamknięte od środka na zasuwę, dodatkowo założony łańcuch. Matka denata wezwała ślusarza, aby móc dostać się do środka, ale ten okazał się na tyle przytomny, by najpierw powiadomić policję.

Billy T. złożył kartkę dwa razy i wsunął ją do kieszeni spodni. Wyklócił się o możliwość przyścia tutaj. Tone-Marit była mu coś winna za tamto przesłuchanie strażnika.

- Sarotex - zwrócił się do Tone-Marit. - Czy facet zażywał antydepresanty?

- Nic na to nie wskazuje - odparła koleżanka. - Po prostu wiedział, co musi połknąć. Wziął dwie tabletki valium, żeby się uspokoić, a następnie garść saroteksów. To opakowanie zostało kupione w piątek. Wypisał lek na receptę bez refundacji na nazwisko matki, a aptekarce wmówił, że matka owdowiała i potrzebuje czegoś na uspokojenie w

okresie przejściowym. Przecież ten facet sam był lekarzem, a oni wiedzą, czego im potrzeba, i mogą większość leków sami kupować w aptece.

Kuchnia była najwspanialszym pomieszczeniem w całym mieszkaniu. Szafki z wiśniowego drewna, a blaty z kamienia przypominającego ciemny marmur.

- Larvikit. - Tone-Marit pogłaskała gładką twardą powierzchnię. - Piękny. I popatrz tutaj.

Szeroka amerykańska lodówka z zamrażalnikiem po jednej stronie i chłodziarką po drugiej była zintegrowana z czerwono-brązowymi meblami z drewna wiśniowego. Z otworu w części zamrażarkowej można było nalać sobie wody, do której od razu wpadały kostki lodu. Billy T. otworzył drzwiczki. Starannie oznakowane paczuszki - „Polędwica z łosia 1996”, „Borówki 1995”, „Fettucine domowe 20 marca” - zapowiadały równie wyrafinowaną zawartość chłodziarki. To się jednak nie sprawdziło. W środku leżał tylko kawałek sera brie, który zaczynał się psuć, zwiędnięta papryka, trzy wody mineralne Farris i dwie butelki białego wina. Billy T. wetknął nos w otwór kartonu z odtłuszczonym mlekiem, stojący na półce w drzwiczkach, i krzywiąc się, gwałtownie cofnął głowę. Grinde już od jakiegoś czasu nie jadł. Nad niedużym dwuosobowym stolikiem pod oknem wisiała litografia, a robot kuchenny do złudzenia przypominał ten, który Billy T. widział na zapleczu kantyny. Kuchnia w tym mieszkaniu była niezwykle elegancka, ale sterylna.

W salonie było nieco przytulniej. Na półkach pokrywających całą dłuższą ścianę stała literatura przeróżnego rodzaju. Billy T. wcisnął guzik, by wyjąć płytę z odtwarzacza CD - operę Benjamin Brittena Peter Grimes. Nie całkiem w jego guście, więc pokręcił głową.

Tragiczna historia rybaka Petera Grimesa wypływającego podczas niepogody i wyładowującego agresję na młodych pomocnikach raczej nie poprawiała nastroju osobie dręczonej myślami samobójczymi. Zobaczył, że Tone-Marit obraca w palcach maleńkie figurki. Zdjął jedną z półki w dużym ciężkim kredensie, zastanawiając się, czym mogą być.

- To japońskie netsuke - uśmiechnęła się Tone-Marit. - Miniatury pierwotnie służące jako guziki do mocowania sakiewki przy pasku kimona. Później stały się obiektami dekoracyjnymi i kolekcjonerskimi.

Zdumiony Billy T. przeniósł wzrok z maleńkiego przerażającego boga shinto, którego Tone-Marit trzymała na dłoni, na jej twarz.

- Te są naprawdę prześliczne - ciągnęła policjantka. - Prawdopodobnie prawdziwe. A to oznacza, że wykonano je przed rokiem 1850. W takim razie są bardzo cenne. - Z wielką starannością odstawiała figurkę na miejsce w rzędzie za przeszklonymi drzwiczkami. - Mój dziadek prowadził filię pewnej japońskiej firmy - wyjaśniła niemal zawstydzona.

Billy T. uklęknął przy kredensie i otworzył dolne drzwiczki pokryte rzeźbieniami przedstawiającymi winogrona. W środku leżały nakrochmalone wyprasowane obrusy ułożone pod linijkę.

- Grinde lubił porządek - mruknął do siebie i zamknął drzwiczki.

Przeszedł do sypialni. Tu też panował porządek, ale z łóżka zdjęto pościel. Na elektrycznym urządzeniu do prasowania na ścianie wisiała para spodni, a na oparciu niedużego fotela - koszula i krawat. Z sypialni wchodziło się do łazienki, na wskroś męskiej, z granatowymi kafłami na podłodze. Białe ściany na wysokości ramion przecinał dookoła niebiesko-złoty ornament ze wzorem przypominającym

egipski. Pachniało lekko mężczyzną. Jedna szczoteczka do zębów, staroświecki pędzel i prawdziwe mydło do golenia. Billy T. wziął do ręki brzytwę. Wyglądała na srebrną i miała na ręczce inicjały B.G.

Poczuł się jak intruz. Nagle wyobraził sobie przerażający scenariusz. A gdyby to on umarł? Gdyby jakiś policjant zaczął przeczesywać jego łazienkę, brać w ręce jego rzeczy, zaglądać w jego najbardziej intymne sprawy? Wzdrygnął się i zawahał przed otwarciem szafki.

Leżało właśnie tam. Nawet przez moment nie miał wątpliwości.

- Tone-Marit! - ryknął. - Weź torebkę na dowody i chodź tutaj!

Koleżanka błyskawicznie pojawiła się w drzwiach.

- A o co chodzi?

- Spójrz!

Podeszła do niego powoli, wzrokiem podążając za jego palcem wskazującym złożone i pokryte emalią pudełeczko na leki.

- Ojej! - Szeroko otworzyła oczy.

- Można i tak powiedzieć - zachichotał Billy T., wkładając pudełeczko do plastikowej torebki i zamykając zamek strunowy.

15.45

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

Szef służby bezpieczeństwa wyglądał jak pracownik zakładu pogrzebowego. Garnitur miał za ciemny, a koszulę zbyt białą. Wąski czarny krawat był niczym wykrzyknik wyrażający oburzenie nieodpowiednim strojem. Co prawda mieli się spotkać z rodziną Birgitte Volter, ale od pogrzebu minęły już cztery dni.

Żadna z osób obecnych w pokoju konferencyjnym komendanta okręgowego policji nie uczestniczyła nigdy w podobnym zdarzeniu. Oczywiście większość z nich raz albo kilka razy w karierze rozmawiała z krewnymi ofiar zabójstw, ale nie w taki sposób. Nie aż tak oficjalnie. A już z całą pewnością nie z krewnymi zabitej pani premier.

- O, rany! - westchnął komendant policji.

Z niedowierzaniem patrzył na Billy'ego T., który przyszedł w szarych wełnianych spodniach z mankietem, białej koszuli i ciemnoszarej, teraz rozpiętej, marynarce. Do tego miał krawat w ciepłych jesiennych kolorach. Stał przed nim zupełnie inny człowiek. Nawet odwrócony krzyż zniknął z ucha. Zamiast niego lśnił maleńki diament.

Naczelnik wpadł do pokoju zdyszany i czerwony na twarzy.

- Windy są zepsute - jęknął, wygladzając rękami niegniotące się poliestrowe spodnie.

Roy Hansen stanął w drzwiach, zyczliwie wprowadzony przez sekretarkę komendanta. Przenosił wzrok z jednej osoby na drugą, a runda uścisków dłoni stała się tak długa i skomplikowana, że Billy T. litościwie postanowił nie przyłączać się do tej przykrej sceny. Zamiast

tego usiadł, skinął wdowcowi głową i powstrzymał się od pytania o to, gdzie podział się Per Volter.

Chłopak przyszedł pięć minut spóźniony. Wyglądał tak, jakby spał w ubraniu. I prawdopodobnie właśnie tak było. Odór starego potu mieszał się ze smrodem nieprzetrawionego alkoholu, odświeżonego jeszcze nad ranem. Na nic się zdała próba przytłumienia go zielonym płynem do ust. Oczy mu uciekały. Uniósł rękę w ogólnym powitaniu, zamiast uścisnąć dłonie, które z wahaniem się do niego wyciągnęły. Ojca nie zaszczycił nawet jednym spojrzeniem.

- Spóźniłem się - mruknął i opadł na krzesło, demonstracyjnie odwracając się bokiem do Roya Hansena. - Przepraszam.

Komendant wstał, nie bardzo wiedząc, jak zacząć. Niezręczne wydawało mu się serdeczne powitanie na spotkaniu, na którym zamierzano przedstawić studium zabójstwa żony i matki. Wpatrywał się więc w Roya Hansena, a ten z kolei I wbił oczy w plecy syna. Było to spojrzenie tak zaskakująco pełne rozpacz, że komendant na chwilę stracił pewność siebie i zastanawiał się, czy nie przełożyć całego tego spotkania.

- Z pewnością będą to nieprzyjemne chwile - rozpoczął w końcu - i bardzo mi z tego powodu przykro. Zakładam jednak, podobnie jak moi współpracownicy, że wolą panowie otrzymać bezpośrednią relację o dotychczasowych wynikach śledztwa.

- My pewnie wiemy mniej niż ci, co stoją tam, za drzwiami, na dole - odparował ze złością Per Volter.

- Słucham? - Komendant złapał się za bark, patrząc na chłopaka. - Za drzwiami?

- Tak. Dziennikarze. Musiałem przejść w ogniu fleszy. Myślicie, że mam ochotę znaleźć się teraz na zdjęciach?

Pociągnął się za koszulę, jakby chciał podkreślić swój fatalny stan.

Komendant uważnie przyglądał się czemuś, co miał tuż pod nogami, i kilkakrotnie przełknął ślinę. Jabłko Adama potarło od środka szyję podrażnioną przy goleniu.

- Nie mogę powiedzieć nic innego poza tym, że przepraszam. Nie zamierzaliśmy nikogo informować o waszym przyjeździe. Przepraszam.

- Stale tylko przepraszam i przepraszam. - Per Volter jak zbuntowany nastolatek zsunął się pośladkami na sam brzeg krzesła, barki wciskając w jego oparcie. Nogi rozwalił na podłodze. - To serve and protect. Nie tak to brzmi? Na razie nie wychodzi wam ani jedno, ani drugie. Mam rację? - Uderzył pięścią w ścianę, a potem zakrył twarz rękami.

Roy Hansen chrząknął. Twarz miał teraz szaroblada, a oczy niebezpiecznie wilgotne. Pozostali mężczyźni siedzieli cicho jak myszki. Jedynie Billy T. odważył się patrzeć na ojca i syna.

- Per - powiedział Roy Hansen cicho. - Nie możesz...

- Nie odzywaj się do mnie! - warknął Per Volter. - Nie mówiłem ci już? Przecież powiedziałem, że nie chcę z tobą już nigdy więcej rozmawiać!

Znów zakrył twarz.

Szef służby bezpieczeństwa był czerwony jak burak. Obracał w palcach papierosa, którego nie mógł zapalić, a wzrok wbił w kolana. Naczelnik odruchowo otworzył usta i uświadomił to sobie dopiero, gdy z kącika ust pociekła mu ślina. Zamknął je i błyskawicznym ruchem otarł brodę rękawem. Komendant wyglądał przez okno, jakby oceniał możliwą drogę ewakuacji.

- Per Volter!

To był głos Billy'ego T., głęboki i dobitny.

- Spójrz na mnie! - prawie krzyknął.

Młody chłopak po drugiej stronie stołu przestał kołysać się z boku na bok, ale wciąż nie odsłonił twarzy.

- Spójrz na mnie! - wrzasnął jeszcze raz Billy T., płaską dłonią uderzając w stół z tekowego drewna, aż zadzwoniły szyby.

Chłopak drgnął i odsunął ręce od twarzy.

- Rozumiemy, że czujesz się okropnie. Wszyscy w tym pokoju rozumieją, że jest ci bardzo źle. - Billy T. nachylił się. - Ale nie jesteś jedynym człowiekiem w historii, który stracił matkę, więc weź się w garść!

Per Volter ze złością podsunął się na krześle.

- Ale tylko ja muszę patrzeć, jak całe życie mojej rodziny wywlekają wszystkie gazety w kraju! - Teraz już płakał. Cicho pociągając nosem, pocierał oczy, ale nic nie pomagało.

- Masz rację - przyznał Billy T. - na pewno nie potrafię sobie wyobrazić, co czujesz. Ale musisz nam pozwolić wykonywać swoją pracę. Akurat w tej chwili polega ona na poinformowaniu twojego ojca o wynikach śledztwa. Jeśli chcesz tego posłuchać, to dobrze. Jeżeli nie, proponuję, żebyś wyszedł. Poproszę kogoś, żeby cię wyprowadził tylnym wyjściem. Ominiesz prasę.

Młody mężczyzna nie odpowiedział. Ciągle płakał.

- Hej! - zawołał Billy T. - Per!

Per Volter podniósł głowę. Ten policjant miał dziwne oczy. Wyraźnie jasnoniebieskie. Bardziej pasujące do niebezpiecznego psa albo filmu grozy. Ale usta rozciągały mu się w lekkim uśmiechu, świadczącym o zrozumieniu, którego nikt Perowi Volterowi - jego zdaniem - nie okazał od czasu, gdy zastrzelono jego matkę.

- Chcesz iść czy zostajesz? A możesz wolisz poczekać w moim

pokoju? Moglibyśmy potem porozmawiać we dwóch?

Per Volter zmusił się do uśmiechu.

- Przepraszam. Zostaję.

Wytarł nos w chusteczkę higieniczną, którą podał mu szef służby bezpieczeństwa, wyprostował się, założył nogę na nogę i spojrzał na komendanta jakby znieczepliwiony i zdumiony, że sprawozdanie skończyło się, jeszcze zanim się zaczęło.

Rzeczywiście nie potrwało długo. Komendant po krótkim wstępie oddał głos szefowi służby bezpieczeństwa, który również niewiele miał do powiedzenia. Billy T. zdawał sobie sprawę, że podawane przez niego informacje zostały precedzone zgodnie ze wszystkimi zasadami sztuki. Właściwie Ole Henrik Hermansen nie powiedział nic konkretnego. Najciekawsze były jego uwagi o wątku ekstremistów, przedstawionym bardzo ogólnikowo. Na jego twarzy pojawił się wówczas jakiś inny wyraz, a spojrzenie nie było tak kamienne jak zawsze. Strażnik, pomyślał Billy T. Mają coś na tego strażnika.

- Słucham? - zorientował się, że komendant wymówił jego imię już trzy razy. - O, przepraszam. Aha, pudełeczko na tabletki.

Z kieszeni marynarki wyjął niedużą plastikową torebkę i położył ją przed Royem Hansenem. Wdowiec nie odezwał się ani słowem od czasu, gdy syn na niego nawrzeszczał. Teraz też nie otworzył ust. Patrzył na torebkę jak skamieniały.

- Czy pan to poznaje? - spytał Billy T. - Czy to jest puzderko na leki należące do pana żony?

- Nigdy tego nie widziałem - oświadczył Per Volter, zanim ojciec zdążył odpowiedzieć.

Młody człowiek nachylił się po torebkę, ale Billy T. błyskawicznie nakrył ją dłonią.

- Jeszcze nie. Czy pan to poznaje? - Wyjął pojemniczek z torebki i podsunął Royowi Hansenowi.

- Ono jest nasze - szepnął wdowiec. - Dostaliśmy je w prezencie ślubnym. Pokazywałem ja panu na fotografii.

- Na pewno?

Roy Hansen wolno skinął głową, nie odrywając wzroku od bibelotu.

- Ja tego wcześniej nie widziałem - powtórzył Per Volter.

- Gdzie je znaleźliście? - spytał Roy Hansen, wyciągając rękę do Billy'ego T.

- W mieszkaniu Benjamina Grindego - odparł Billy T. i położył puderko na dłoni Roya Hansena.

- Co? - Per Volter przenosił wzrok z jednego na drugiego. - U tego sędziego Sądu Najwyższego?

Wszyscy policjanci pokiwali głowami, jakby dzięki temu słowa Billy'ego T. miały się stać jeszcze prawdziwsze.

- U Benjamina Grindego - powtórzył Roy Hansen. - Skąd się tam wzięło?

Zaprzestał wnikliwego przyglądania się pojemniczce i podniósł wzrok.

- Mieliśmy nadzieję, że wy nam to wyjaśnicie. - Billy T. dotknął palcem brylancika w uchu.

- Nie mam pojęcia - mruknął Roy Hansen.

- I żadnego pomysłu?

Rozpacz ustąpiła miejsca agresji.

- Może Benjamin po prostu je ukradł? - Wdowiec podniósł głos. - Zabrał w jakimś momencie. Skąd mogę wiedzieć? Mógł je schować kilka lat temu. Nie widziałem tego pojemniczka od niepamiętnych

czasów.

- Nie, to nie mogło być dawno. Najwyżej tego dnia, kiedy spotkał się z Birgitte Volter tuż przed jej śmiercią. Jej sekretarka pamięta, że pudełeczko jak zwykle stało na biurku. - Spojrzał na Pera Voltera, który wzruszył ramionami i pokręcił głową.

- Ja tam nigdy tego nie widziałem - powtórzył.

- Na pewno zwrócił pan uwagę, że trudno je otworzyć - Billy T. zwrócił się do Roya Hansena. - Ale nam się jakoś udało. W środku jest kosmyk włosów. Wyglądają na niemowlęce...

Per jęknął i widać było, że z trudem opanowuje łzy.

- Pomyśleliśmy... - zaczął Billy T. - Sądziliśmy, że być może... Niełatwo o to pytać, panie Hansen, ale...

Roy Hansen nagle jakby się skurczył. Oczy miał zamknięte.

- Podkreślaliśmy przecież, że absolutnie wszelkie informacje o Birgitte Volter mogą być ważne dla sprawy. Dlatego muszę spytać... - Billy T. dotknął ręką ogolonej czaszki i w zamyśleniu zaczął ją pocierać. Celowo omijał wzrokiem komendanta. Dobrze wiedział, jak zareaguje zwierzchnik. - Dlaczego nie powiedział nam pan o zmarłym dziecku? - spytał szybko. - O waszej córeczce.

- Billy T.! - odezwał się ostro komendant. - To nie jest przesłuchanie! Nie musi pan na to odpowiadać, panie Hansen.

- Ale chcę!

Roy Hansen wstał. Sztywno podszedł do okna, lecz nagle się od niego odwrócił.

- Przed chwilą powiedział pan, że pan nie wie, jakie to uczucie, kiedy się widzi własne życie roztrząsane w gazetach. I to jest prawda. Nie ma pan o tym pojęcia. Cała Norwegia interesuje się Birgitte, wy się nią interesujecie. Ja się na to godzę. Ale są rzeczy, które należą

wyłącznie do mnie. Są tylko moje. Moje. Rozumie pan? - Stał teraz obok Billy'ego T. i oparł się ręką o stół, patrząc policjantowi prosto w oczy. - Pan pyta, dlaczego nic nie powiedziałem o Liv. Dlatego że to nie wasza sprawa, okej? Śmierć Liv była naszą osobistą tragedią. Birgitte i moją.

Wściekłość ustąpiła równie szybko, jak się pojawiła. Roy Hansen nagle zaczął sprawiać wrażenie, jakby nie wiedział, gdzie jest i dlaczego się tu znalazł. Rozejrzał się zdziwiony i wrócił na swoje miejsce.

Długo panowała cisza.

- No dobrze - odezwał się Billy T., pieczołowicie chowając puzderko z powrotem do torebki, którą włożył do kieszeni marynarki. - Zostawmy to. Przepraszam, jeśli powiedziałem coś, co mogło pana zranić. Ale zostaje jeszcze jedna sprawa.

Spojrzał na komendanta, który zrezygnowanym skinieniem głowy pozwolił mu kontynuować.

- Jest coś, co absolutnie nie może wyjść poza ten pokój. Zdołaliśmy utrzymać to poza wiedzą mediów i bardzo chcielibyśmy, aby ta informacja jeszcze przez pewien czas nie wyciekła. Mamy... - Z teczki z dokumentami wyjął kopertę, a jej zawartość rozłożył przed mężem i synem pani premier. - Wiemy, że to broń, której użyto do dokonania zabójstwa. - Wskazał na dwa zdjęcia. - To rosyjski...

- ...nagan - przerwał mu Per Volter. - Wzór tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt pięć. - Wpatrywał się w zdjęcie. - Gdzie jest ta broń?

- A o co chodzi? - spytał Billy T.

- Gdzie jest ta broń? - powtórzył Per Volter. Na jego policzkach pojawiły się rumieńce. Wyglądał teraz tak, jakby miał gorączkę. - Chcę zobaczyć tę broń!

Już po kilku minutach do drzwi zapukał funkcjonariusz i przekazał Billy'emu T. rewolwer.

- Mogę go dotknąć? - spytał Per cicho, patrząc na Billy'ego T., który skinął głową.

Młody mężczyzna wprawnymi ruchami zbadał broń, która pozbawiła życia jego matkę. Sprawdził bębenek. Stwierdził, że jest pusty. Wycelował w podłogę i nacisnął spust.

- Znasz ten rodzaj broni? - spytał Billy T.

- Owszem - powiedział Per. - Znam tę broń bardzo dobrze. To mój rewolwer.

- Twój? - Szef służby bezpieczeństwa niemal krzyknął.

- Tak. Ten nagan należy do mnie. Czy ktoś może mi powiedzieć, w jaki sposób tu trafił?

17.30

Stensparken

Złościło go ogromnie, że nie uparł się przy innym miejscu spotkania. Nienawidził tego parku. Przez małe zielone płuco położone między Stensgata a Pilestredet nie dało się przejść bez narażania się na zaczepki szumowin, które zwykle się tu błąkały, tych obrzydliwych pedałów, którzy zawsze brali go za jednego z nich bez względu na to, jak się ubierał czy zachowywał. Jeden nazwał go kiedyś pochlebnie Jonasem Fjeldem i tylko to go uratowało przed błyskawicznym ciosem. Brage Håkonsen miał na półce cały komplet powieści napisanych na początku dwudziestego wieku przez Ovrego Richtera Fricha, którego bohater tak zręcznie rozprawiał się z żydami, bolszewikami i czarnuchami. Poza tym powinno się to odbyć późnym wieczorem, a na razie wciąż było jasno. Dostawca jednak nalegał. Wybierał się za granicę i chciał jak najszybciej załatwić sprawę.

Brage Håkonsen trzy razy przeszedł przez park. Nie mógł stanąć w miejscu, bo termity od razu zaczynały wypełzać ze swoich jam.

Nareszcie. Mężczyzna w cienkim, długim prawie do ziemi płaszczu lekko przesunął się w jego kierunku. Brage rozejrzał się jak najdyskretniej na wszystkie strony i ruszył ku tamtemu. Kiedy się mijali, poczuł, że coś mu wpada do torby. Do nylonowego worka ze strojem do ćwiczeń na dnie. Akurat w porę puścił jedną rączkę.

Teraz znów ją złapał i pobiegł w stronę dwóch pojemników na śmieci ustawionych na końcu parku. Otworzył jeden z nich, wrzucił do środka wymiętą kopertę i papierek po lodzie, który podniósł z ziemi pół godziny temu.

Pięć tysięcy to nie tak dużo. Za niezarejestrowaną i działającą broń. Niemożliwą do wytropienia.

Wychodząc z parku, kątem oka widział, jak mężczyzna w długim płaszczu kieruje się w stronę pojemników na śmieci. Brage się uśmiechnął i mocniej chwycił torbę. Nagle wzdłuż kręgosłupa przebiegły mu ciarki. Tego faceta, który stał pod drzewem i czytał gazetę, już kiedyś widział. Dzisiaj. Teraz, niedawno. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie to mogło być. W kiosku? W tramwaju? Lekko przyspieszył i obejrzał się przez ramię, chcąc sprawdzić, czy człowiek z gazetą za nim idzie. Nie szedł. Tylko na niego łypnął, po czym wrócił do swoich wiadomości.

To musiał być jeden z pedałów. Brage odetchnął z ulgą i lekkim truchtem pobiegł w stronę Wyższej Szkoły Weterynarii, ale myśl o człowieku czytającym gazetę nie chciała odpuścić. Właściwie powinien pojechać do domku w lesie i tam ukryć broń. Przynajmniej na jakiś czas. Dopóki plan nie będzie gotowy. Niewiele mu brakowało. Nie miał pewności, kogo może zabrać ze sobą, a projektu nie mógł zrealizować sam. Ale nie powinien mieć więcej niż jednego współpracownika. Im więcej osób z nim będzie, tym większe ryzyko, że wszystko się spieszy.

Po zabójstwie premier Volter przyszła kolej na przewodniczącą parlamentu. Znaczenie symboliczne będzie ogromne. Coś jednak kazało mu się zawahać, kiedy wchodził do mieszkania. Nie mógł pojechać do domku w lesie, chociaż prawie nikt nie wiedział, że nim dysponuje. Tylko staruszka z parteru, której robił zakupy i za którą mył schody. To ona z wdzięczności dała mu do niego klucze. Bezdzienna, a miała ze sto lat. Nie widywała prawie nikogo oprócz tych, którzy trzy razy w tygodniu przychodzili z gminy z gorącymi

posiłkami. Wysuszona staruszka, ale też imponująca. Właściwie nie miał wobec niej żadnych planów, kiedy od czasu do czasu zaczął z nią rozmawiać, ale gdy wyszło na jaw, że jej mąż walczył na froncie i poległ na wojnie, zaczął jej pomagać. Swoimi trzeba się opiekować. To kwestia honoru.

Chciał jechać do domku w lesie. Coś jednak mówiło mu, że nie powinien. Coś też mówiło mu, że broń nie powinna leżeć u niego w mieszkaniu. Ani w jego piwnicy.

Zszedł na dół, otworzył piwnicę pani Svendsby i położył opakowany pistolet za czterema słoikami dżemu z roku 1975. Nawet nie obejrzawszy broni, zamknął piwnicę, a klucz wsunął na miejsce między dwiema belkami pod sufitem.

Pani Svendsby miała chore biodra i nie schodziła do piwnicy od ponad piętnastu lat.

19.10

Restauracja Tranen

Restauracja Tranen nawet nie próbowała być modna. Podczas gdy wszystkie inne zapyziane knajpy w Oslo, zwane brunatnymi z racji barwy serwowanych tam dań i napojów, stały się obiektami inwazji podróżujących taksówkami turystów z zachodnich dzielnic, Tranen nawet do tego się nie nadawała - była zwyczajnie zbyt brunatna. Tutejsza klientela nigdy w życiu nie postawiła nogi dalej na zachód niż Bislett, a teraz większość stałych bywalców nie była już nawet w stanie zejść tak daleko. Przesiadali tu z kilkoma koronami z zasiłku, czerwono-fioletowymi twarzami i opowieściami o swoich losach, których nikt już nie chciał słuchać. Hanne Wilhelmsen wiedziała, że gdyby jednak ktoś się na to zdecydował, wszystkie historie okazałyby się przygnębiające.

Popatrzyła na zegarek, próbując się nie irytować.

W końcu zdyszany Øyvind Olve stanął w drzwiach. Rozejrzył się zaskoczony, jakby wydało mu się, że zablądził. Na stoliku tuż za drzwiami siedział kowboj. A raczej kowbojka, która w dodatku nie wyglądała na to, by kiedykolwiek usadziła swój szeroki tyłek na czymkolwiek, co mogłoby przypominać konia.

Choć wyposażenie miała w porządku. Ubrana była w lśniącą skórzaną kurtkę z długimi frędzlami z fosforyzującego nylonu i ćwiekami na plecach układającymi się w kaligraficzny napis: „Divine madness”. Na głowie nosiła białą podróbkę stetsona, a dzinsy były o trzy numery za małe i utrudniały jej siadanie. Może właśnie dlatego pólstała, nachylona nad mężczyzną, który najwyraźniej odmawiał

zapłacenia jej rachunku. A może po prostu chciała pokazać sztyblety, błyszczące, białe jak śnieg i w oczywisty sposób zrobione z plastiku.

- Powiedziałeś, że zapłacisz - wybełkotała, łapiąc za kołnierz mężczyznę, któremu cienkie kosmyki lepiły się do czaszki. - Ty, Beczka, do cholery! Obiecałeś, że stawiasz!

Mężczyzna dosłownie usiłował się wykręcić od imputowanej umowy. Przy okazji prawie przewrócił nietkniętą półlitrową szklanę z piwem i cała piątka zgromadzona wokół stolika patrzyła - wstrząśnięta - jak drogocenne krople rozlewają się po blacie i niczym wodospad spływają na podłogę.

- Cholera, Beczka, co ty wyprawiasz? - Kowbojka prawie się popłakała. - Teraz przynajmniej jesteś mi winien świeże piwo.

Øyvind Olve zauważył Hanne Wilhelmsen dopiero, gdy do niego zamachała. Z ulgą ominął rodeo przy drzwiach i ciężko usiadł na krześle naprzeciwko niej. Teczke rzucił na stolik.

- Ależ, Øyvind - Hanne uśmiechnęła się z wyrzutem - kiedy sobie załatwisz coś lepszego?

Urażony spojrział na teczkę z czerwono-czarnego sztucznego tworzywa z logo Partii Pracy w rogu.

- Ja uważam, że jest bardzo ładna.

Hanne odchyliła głowę i głośno się roześmiała.

- Ładna? Jest okropna. Dostałeś ją na jakimś zjeździe krajowym czy jak?

Zaskoczony Øyvind Olve kiwnął głową. Odstawił teczkę na podłogę, zabierając ją z oczu policjantki. Hanne wskazała stojące przed nim piwo, które zamówiła dla nich obojga.

- Dlaczego chciałeś się spotkać akurat tutaj? - szepnął, przewracając oczami.

- Ponieważ to jest jedyne miejsce w Oslo, w którym możesz mieć pewność, że nikt nie będzie cię podsłuchiwał - odszepnęła, rozglądając się konspiracyjnie. - Tu nawet służba bezpieczeństwa się nie zainstalowała.

- No dobrze - mruknął, patrząc na zatłuszczoną kartę. - Czy tu się da cokolwiek zjeść?

- Zjemy gdzie indziej - ucięła Hanne. - A piwo jest równie dobre jak w innych miejscach. A teraz opowiadaj! - Wypiła łyk, oblizała wargi językiem i położyła łokcie na stole. - O co, na miłość boską, chodzi w tym skandalu szczepionkowym? Co się właściwie dzieje?

- Kiedy dzieją się takie rzeczy, to znaczy, że chodzi głównie o władzę. I o przecieki do prasy.

- Co masz na myśli?

- To, co było dzisiaj w gazetach. - Øyvind narysował kółko na mgiełce pokrywającej szklanekę. - Nie wiadomo o tym nawet w Kancelarii Premiera. Wydaje się, że komuś chodzi o to, żeby w nas uderzyć.

- Uderzyć? Ale czy to, co napisali, nie jest prawdą?

- Być może. Lecz jeśli to prawda, zostałyby to upublicznione. Do zbadania tej sprawy została powołana komisja, a przez te przecieki trudno nam będzie podejść do tego racjonalnie.

- Nam? Masz na myśli partię?

Øyvind Olve uśmiechnął się niemal zażenowany.

- Tak, w zasadzie tak. Ale przede wszystkim rząd. Stale zapominam, że nie pracuję już w Kancelarii Premiera, przepraszam.

- Jak to może dzisiaj zaszkodzić rządowi? Przecież to się wydarzyło ponad trzydzieści lat temu!

- Rząd jest obwiniany o wszystko, tyle chyba zdążyłaś zrozumieć.

To rząd wziął na siebie odpowiedzialność za zbadanie tej sprawy. W ostatniej chwili udało nam się wyrwać ją ze szponów Stortingu. Na szczęście Ruth-Dorthe szybko zadziałała i doprowadziła do powołania komisji rządowej, zanim ci, których strzegą kamienne lwy, się zorientowali. Wtedy ta sprawa nie wydawała się aż taka poważna. Ale teraz się przekonasz... - Wypił duży łyk piwa i jęknął. - Przypomnij sobie ten skandal ze służbami specjalnymi - ciągnął, jeszcze bardziej zniżając głos. - Kiedy wreszcie sporządzono ostateczny raport komisji Lunda... - Znów przyłożył szklankę do ust i wypił połowę zawartości. - Nie widziałas, jak próbowali przekuć to w swoje zwycięstwo?

- Kto?

- Opozycja. Lewica socjalistyczna i Patia Centrum. I inni. Jak gdyby to sam Storting dokonał tych ustaleń, a nie wyjątkowo bystry sędzia Sądu Najwyższego z dobrą obstawą. Tak jakbyśmy my również nie byli zainteresowani pełnym i dokładnym zbadaniem wszystkich ewentualnych matactw.

- Hola! - zaprotestowała Hanne. - Przecież rząd pierwszy badał sprawę i to do niczego nie doprowadziło.

- Owszem. - Øyvind Olve odstawił szklankę na stół. - Ale to był błąd urzędników! Przecież to nie Gro osobiście przeglądała dokumenty i teczki.

Zirytowany skinął na kelnera, żeby poprosić o jeszcze jedno piwo, ale zamiast obsługi pojawił się nagle mężczyzna o wzroście niespełna metra czterdziestu ubrany w smoking. Nos mężczyzny definitywnie widział już lepsze dni, ale chyba nigdy wcześniej nie był większy, natomiast ust nie było prawie widać, dopóki ich nie otworzył, jednocześnie zamaszystym gestem zdejmując z głowy cylinder.

- Moi państwo, z niewypowiedzianą przyjemnością obserwuję, że

również porządni obywatele odwiedzają ten nieco zapyziały przybytek. Pragnę w imieniu właściciela i wszystkich stałych bywalców Tranen najserdeczniej państwa przywitać. - Obiema rękami włożył kapelusz na głowę i sztywno się uklonił. - Nazywam się Pingwin. Państwo z pewnością rozumieją dlaczego!

Roześmiał się głośno i małymi pulchnymi palcami przytrzymał się brzegu stolika. Smoking był stary i zniszczony, szary jedwabny pas groźnie obciskał wydatny brzuch, a ręce i nogi były zbyt krótkie w stosunku do reszty ciała.

Hanne zaczęła szukać portfela.

- Ależ, droga pani! - zawołał urażony człowieczek. - Skąd państwu mogła przyjść do głowy tak obelżywa myśl, że moje odwiedziny przy państwa stoliku mogłyby być podyktowane egoistycznymi motywami? Moim zadaniem jest wyłącznie serdeczne powitanie państwa tutaj.

Z ponurą miną spojrział na portfel Hanne, więc czym prędzej schowała go do torebki.

- Tak jest o wiele lepiej - kiwnął głową zadowolony. - Pozostawiam więc teraz państwa miłej rozmowie i złocistemu eliksirowi, wyrażając zarazem szczerą pragnienie szybkiego ponownego ujżenia państwa w tym lokalu.

Lekko pstryknął palcami i zaraz zjawił się kelner z dwoma piwami, których ani Hanne, ani Øyvind nie zamówili.

- Przestań już dręczyć gości, Pingwin - powiedział z kwaśną miną. - Odejdź!

- On nam wcale nie dokuczał - zaprotestowała Hanne, ale jej obrona w niczym nie pomogła.

Kelner, popychając małego człowieczka przed sobą, poprowadził go na drugi koniec lokalu.

- O czym mówiliśmy? - spytała Hanne, przelewając resztkę piwa z poprzedniej szklanki do nowej.

- Co to, na miłość boską, było? - spytał Øyvind, który wciąż nie był w stanie oderwać oczu od sylwetki w smokingu.

- To jest miasto - roześmiała się Hanne. - Na wsi nie macie takich typów.

- Owszem - mruknął Øyvind. - Mamy. Tylko nie ubierają się w smokingi.

- Ale coś mi opowiadałeś.

Øyvind jeszcze przez chwilę wpatrywał się w miejskiego dziwaka.

- Rządzenie to nieprzyjemny taniec na linie - stwierdził wreszcie. - Pod każdym względem. Zwłaszcza gdy zużycie materiału jest tak duże jak w naszej partii. Wszystkim się nas obciąża. Wszystkim, co negatywne. Żyjemy w kraju mlekiem i miodem płynącym, mimo to ludzie są wściekli na Partię Pracy. Ta afera szczepionkowa... - Spojrzał na zegarek i ręką dotknął brzucha.

- Głodny? - spytała Hanne.

- Mhm.

- Później. Najpierw jeszcze mi coś wyjaśnij.

- No dobrze - zgodził się Øyvind. - Jeśli w roku sześćdziesiątym piątym rzeczywiście stało się coś złego, to oczywiście jesteśmy zainteresowani tym, aby to ujawniono. Wszyscy. Z wielu przyczyn. Ktoś musi ponieść odpowiedzialność, ale najważniejsze to uczyć się na błędach, również tych popełnionych tak dawno temu. Ważne jest jednak również, aby rzeczy działały się we właściwym czasie. Przez tak duże przecieki do prasy rząd zmuszony jest przybrać pozycję defensywną... Cholera, Hanne! Kancelaria Premiera nie miała o niczym pojęcia, dopóki ta gazeta dziś o tym nie napisała!

- Ciągłe tego nie rozumiem - zamyśliła się Hanne. - To przecież ewentualny... Kto był u władzy w sześćdziesiątym piątym?

- Po ostatnim gabinecie Gerhardsena przyszedł rząd Bortena - mruknął Øyvind. - Ale nie o to chodzi. Najważniejsze, że obecny rząd przez to wydaje się ślamazarny i niedoinformowany. Bo przecież gazety radzą sobie lepiej. A to zawsze jest oznaką słabości. Ludzie tak to postrzegają. Przynajmniej dziennikarze. I właśnie to ma znaczenie.

Znów mu się odbiło.

- Musisz coś zrobić z tym swoim trawieniem - zauważyła Hanne.

- A kiedy dzisiaj wiązą ten skandal szczepionkowy z zabójstwem Birgitte, to naprawdę mamy problem.

Nachylił się teraz jeszcze bardziej nad stołem, zbliżając twarz na odległość dwudziestu centymetrów od Hanne.

- To przecież jakaś bzdura - zaprotestowała Hanne.

- Bzdura? Z pewnością, ale to nie ma żadnego znaczenia. Skoro gazety łączą to w jedną sprawę, ludzie będą tak to postrzegać. Szczególnie teraz, kiedy wygląda na to, że... - Odchylił się gwałtownie i wbił wzrok w bar, jakby nie miał zamiaru kontynuować.

- Na co wygląda? - szepnęła Hanne.

- Na to, że policja nie ma pojęcia, co się wydarzyło w sprawie Birgitte - odparł Øyvind cicho. - Czy może wiecie?

Hanne narysowała serduszko w mokrej plamie, która pojawiła się na stole w miejscu, gdzie wcześniej stała szklanka.

- Nie powinienesz łączyć mnie z policją. Przecież ja teraz nie pracuję - przypomniała.

Øyvind Olve nagle się nachylił i zaraz postawił przed sobą na stoliku swoją śmieszoną nylonową walizeczkę. Zaczął się mocować z suwakiem i w końcu położył przed Hanne trzy kartki formatu A4.

- No właśnie. Ty tam nie pracujesz. Wobec tego powiedz, co mam zrobić z tym? - Podsunął jej dokumenty.

- Co to jest? - spytała, odwracając je w swoją stronę.

- Znalazłem je w gabinecie Birgitte. Musiałem przejrzeć wszystkie dokumenty. Wiele z nich dotyczyło przecież delikatnych spraw o charakterze politycznym. Te kartki leżały wsunięte między dwie czerwone teczki.

- Czerwone teczki?

- Sprawy ściśle tajne.

Na kartkach drobną dziesięciopunktową czcionką wypisano w słupku nazwiska, a przy nich coś, co wyglądało na daty.

- To są daty urodzenia i śmierci - wyjaśnił Øyvind Olve. - Najwyraźniej jest to lista niemowląt, które zmarły nagle w sześćdziesiątym piątym. I spójrz tutaj...

Wziął od Hanne kartki, przerzucił do strony trzeciej, przez chwilę szukał na niej czegoś wzrokiem, aż w końcu znów ją podsunął Hanne, pokazując palcem.

- Liv Volter Hansen. Urodzona szesnastego marca sześćdziesiątego piątego, zmarła dwudziestego czwartego czerwca tego samego roku.

- No dobrze. Ale co z tego?

- Bardzo określonymi drogami i za pomocą całego mnóstwa szarych kłamstw dowiedziałem się, że tę listę sporządziła komisja Grindego. Rodziców tych dzieci wybrał komputer. Zamierzano przeprowadzić z nimi szczegółowy wywiad na temat zdrowia dzieci, zachowania, nawyków żywieniowych i tak dalej tuż przed ich zgonem. Innymi słowy, to dobór statystyczny. Przypadkowy. I przypadkiem w tej grupie znalazła się premier kraju. Ale najbardziej interesujące jest to, że lista powstała dopiero trzeciego kwietnia. Na dzień przed

zabójstwem Birgitte. A jedynym sposobem, w jaki mogła dostać się w jej ręce, było przekazanie jej przez Benjamina Grindego. Sprawdziłem wszystkie inne możliwości. Dzienniki poczty przychodzącej, protokoły z zebrań, absolutnie wszystko. Birgitte musiała ją dostać od Grindego. A spójrz tutaj... - Znów wskazał coś na kartce.

Na marginesie pierwszej strony odręcznie dopisano kilka słów: „Nowa osoba?” i „Co powiedzieć”.

- Co to, na miłość boską, ma znaczyć? - powiedziała Hanne bardziej do siebie niż do Øyvinda.

- Ja nie wiem - odparł jednak. - Ale to jest pismo Birgitte. Co mam z tym zrobić?

- To, co powinienesz był zrobić natychmiast - oświadczyła Hanne głośno karcącym tonem. - Musisz przekazać te dokumenty policji. I to teraz, zaraz.

- Ale przecież mieliśmy iść coś zjeść!

20.00

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

Per Volter już zaczął tracić włosy. Billy T. wyraźnie widział, że przerzedzają mu się na czubku głowy. Już niedługo młody człowiek mógł mieć łysinę.

Billy T. nie bardzo wiedział, jak postąpić. Od dziesięciu minut chłopak pólleżał na biurku w pokoju komisarza z głową nakrytą rękami i płakał jak dziecko, a całą sytuację wywołało krótkie i proste stwierdzenie Billy'ego T.

- Wydaje mi się, że masz mi co nieco do wyjaśnienia.

- Wy myślicie, że zabiłem mamę! - krzyknął Per Volter i wybuchnął płaczem.

Nic nie pomagało. Billy T. zapewniał, że wcale tak nie myśli. Po pierwsze, chłopak miał wiarygodne alibi. Dwudziestu żołnierzy i trzech oficerów gotowych było przysiąc, że w chwili, gdy w gabinecie pani premier padł strzał, Per Volter przebywał w namiocie na płaskowyżu Hardangervidda. Po drugie, nie dało się znaleźć nawet cienia motywu. Po trzecie, gdyby naprawdę był zabójcą, nie oświadczyliby tak nagle, że niezarejestrowana broń, z której dokonano zabójstwa, jest jego własnością.

Billy T. powtarzał to kilkakrotnie, ale nic nie wskórał. W końcu się poddał i postanowił, że pozwoli raczej Perowi się wypłakać. Zapowiadało się, że to trochę potrwa.

W końcu, po starannym przestudiowaniu własnych paznokci postanowił wyjść do toalety. Już wstawał z krzesła, kiedy Per Volter nagle gwałtownie zaszlochał i bezradnie się podniósł. Twarz zdawała

mu się rozpadać. Była czerwona i zapuchnięta.

- Już lepiej? - spytał Billy T., wolno osuwając się z powrotem na krzesło.

Per Volter nie odpowiedział, tylko wytarł twarz rękawem swetra, jakby się z tym zgadzał.

- Masz. - Billy T. podał mu chusteczkę. - Utrzymujesz godny podziwu porządek w broni i w wyposażeniu.

Podkreślił komplement pełnym uznania uśmiechem, lecz chłopaka raczej to nie pocieszyło.

- Oglądaliście? - spytał, przyglądając się mokrej chusteczce.

- Tak. Dwóch policjantów było u twojego ojca w domu i z raportu wynika, że broń jest przechowywana wzorowo, w szafce zamykanej na klucz, a amunicja oddzielnie, w innej szafce. Wszystkie pięć sztuk zarejestrowanych u nas.

- Ten wasz rejestr to właściwie jakiś żart - mruknął Per Volter. - Z tego, co wiem, obejmuje tylko ten dystrykt. I nie jest nawet prowadzony komputerowo.

- Czekamy na nową ustawę w sprawie broni. - Billy T. ze stalowego termosu nalał kawy do dwóch kubków. Czarny, z portretem Franza Kafki, podsunął Perowi. - Ale dlaczego? - spytał z wahaniem.

Per podniósł głowę i lekko się skrzywił, bo sparzył się w język.

- Co dlaczego?

- Dlaczego nie zarejestrowałeś nagana?

Per kilka razy dmuchnął na kawę, ponieważ jednak wciąż była za gorąca, ostrożnie odstawił kubek.

- Tak się jakoś stało. Pozostała broń została kupiona, a nagana dostałem w prezencie. Na osiemnaste urodziny. Kiedyś należał do mojej babci, matki mamy. Dość aktywnie działała podczas wojny,

walczyła w rejonie Finnmark. Mówiliśmy, że ten nagan to jej odznaczenie wojenne. - Młody człowiek lekko się teraz uśmiechnął i na jego twarzy ukazał się cień dumy. - Zoperowała rannego Rosjanina i uratowała mu życie. A przecież nie była lekarką! To się działo jesienią w czterdziestym trzecim, a on oprócz tego nagana nie miał nic, czym mógłby się jej odwdziżyć. Nazywał się Kliment Dawidowicz Raskin. - Teraz chłopak już uśmiechał się szeroko. - Kiedy byłem dzieckiem, bardzo mi się podobało to nazwisko. Babcia przez wiele lat po wojnie próbowała go odnaleźć, przez Czerwony Krzyż, Armię Zbawienia i w ogóle. Ale nigdy jej się to nie udało. Umarła, kiedy miałem szesnaście lat. Wspaniała kobieta... Ona... - Łzy w oczach znów groziły przelaniem, ale Per podjął kolejną próbę napicia się kawy. - Nagana dała mi na osiemnaste urodziny mama - mruknął w kubek. - Najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałem.

- Strzelałeś z niego kiedykolwiek?

- Tak. Amunicja jest nietypowa, więc musiałem ją specjalnie zamawiać. Strzelałem z tej broni... Myślę, że jakieś sześć, siedem razy. Głównie po to, by ją wypróbować. Niezbyt celna. No i stara. Babcia nigdy jej nie użyła.

Znów przytłoczyły go wspomnienia osoby, która już odeszła. Z lewego oka pociekły łzy, ale Per siedział wyprostowany.

- Dlaczego jesteś taki wkurzony na ojca, Per?

W tym momencie w głowie Billy'ego T. rozbrzmiały dzwonki alarmowe. Chłopaka należało pouczyć o tym, że nie ma obowiązku zeznawania przeciwko rodzinie. Mimo to Billy T. nie cofnął pytania.

Per Volter wyjrzał przez okno. Kubek trzymał przy twarzy, ale z niego nie pił. Para jakby sprawiała mu przyjemność. Zamknął oczy, wyraźnie napawając się wilgocią kładącą się na opuchniętej od płaczu

twarży.

- Niech jego imię będzie przeklęte! - syknął. - To gnojek. Zdradzał mamę, a mnie okłamywał.

Nagle popatrzył wprost na Billy'ego T. Oczy miał intensywnie niebieskie. Policjant przez chwilę poczuł się nieswojo, jakby zobaczył ducha. Chłopak był bardzo podobny do matki.

- Tata miał romans z Ruth-Dorthe Nordgarden. - Wypluł to nazwisko tak, jakby musiał się przełamywać, by w ogóle je wypowiedzieć.

Billy T. się nie odezwał, ale czuł, że serce zabiło mu szybciej, wręcz nieprzyjemnie zamigotało. Mimowolnie złapał się za pierś i zacisnął usta.

- Nie mam pojęcia, czy to trwało długo - ciągnął Per. - Ale w zeszłym roku jesienią nakryłem ich na gorącym uczynku. Tata nie wiedział, że ich słyszałem. Powiedziałem mu o tym kilka dni temu. Niech to szlag...

Głośno odstawił kubek, schował twarz w dłoniach, a łokcie oparł o uda. Kołysząc się wolno w przód i w tył, mówił dalej, nie odsłaniając ust:

- Nie wiem nawet, czy mama o tym wiedziała.

Nic więcej nie dodał. W małym pokoiku zrobiło się za ciepło. Gorąco nacierało na skórę. Billy T. wciąż czuł to przerażające ukłucie pod żebrami z lewej strony. Próbował unieść rękę, ale ból, który go przeszył, kazał mu z tego zrezygnować.

- Chciałbym mieć zwyczajną rodzinę - szepnął Per ledwie słyszalnie. - Tak, żebym nie musiał czytać o nas w gazecie. O...

- ...o swojej siostrze - dokończył Billy T.

Ból nieco złagodniał, ale serce wciąż waliło mocno w nieustalonym

rytmie.

Per Volter odkrył twarz i na nowo popatrzył w oczy Billy'ego T. Jego podobieństwo do matki wydawało się teraz wprost przerażające.

- Nie wiedziałem nic o mojej siostrze, dopóki nie przeczytałem o tym w gazecie - powiedział bezdźwięcznym głosem. - Nic! W ogóle nie wiedziałem, że miałem rodzeństwo. Czyja nie miałem prawa o tym wiedzieć?! - Teraz prawie krzyczał, a głos momentami mu się załamywał.

Billy T. pokiwał głową, ale milczał.

- Zawsze myślałem, że mama tyle pracuje, ponieważ to coś w rodzaju obowiązku. Partia, kraj i w ogóle. Teraz wydaje mi się... - Znow zaczął płakać.

Próbował z tym walczyć, przęłykał ślinę i pocierał oczy. Był właściwie zbyt zmęczony na kolejny wybuch, ale nie mógł sobie z tym poradzić. Ciekło mu z nosa i z oczu, a rękawy były już za mokre, żeby osuszyć łzy, kiedy raz po raz przyciskał przedramiona do twarzy.

- Wydaje mi się, że ona właściwie za bardzo mnie nie kochała. Skoro tak łatwo zapomniała o dziecku, że nigdy o nim nie mówiła, nic dziwnego, że zdarzało jej się zapominać i o mnie. Nie kochała żadnego z nas.

- Myślę, że akurat co do tego bardzo się mylisz. - Billy T. próbował go pocieszać, ale sam słyszał, że nie brzmi to zbyt przekonująco. - To, że się o kimś nie mówi, wcale nie oznacza, że się tego kogoś nie kocha. Pamiętaj, że...

- Wyobraża pan sobie, jak to jest, kiedy się czyta o takich rzeczach w gazecie? - przerwał mu Per Volter. - O najgłębszych tajemnicach rodzinnych, o których nawet ja nie wiedziałem? Nienawidzę ojca! Nienawidzę!

Billy T. nie odpowiedział. Ból, z jakim musiał się mierzyć ten młody chłopak, był tak wielki, że nie dało się z nim nic zrobić. Pokój, w którym siedzieli, był przegrzany i duszny. Wydawało się, że w każdej chwili może nastąpić wybuch. Policjant wiedział, że powinien pozwolić chłopakowi dalej się wściekać. Powinien gdzieś go zabrać, nakarmić, dać coś do picia, zaprowadzić w miejsce, gdzie mógłby dalej mówić do kogoś, kto by go wysłuchał. Bo Per Volter powinien mieć możliwość wykrzyczenia wszystkich swoich krzywd, skoro już się zaczęły z niego wylewać. Ale Billy T. był zbyt wycieńczony. On też już nie miał siły. Zamknął oczy, próbując sobie wyobrazić, jak zdoła dotrzeć do łóżka.

- Poproszę, żeby ktoś odwiózł cię do domu - powiedział w końcu.

- Nie chcę wracać do domu - odparł Per Volter. - Nie wiem, dokąd chcę iść.

23.30

Vidars gate 11c

Nie mógł zasnąć. Myślał o broni schowanej za słoikami z dżemem w piwnicy pani Svendsby. Była tam wprawdzie bardziej bezpieczna niż u niego, ale i tak kryjówka nie do końca mu się podobała. Broń powinna trafić do domku letniskowego.

Nie przestawała też dręczyć go myśl o człowieku z gazetą. Wyglądał inaczej niż inni. Sprawiał wrażenie obojętnego. Ale jakoś inaczej. Bo mimo wszystko miał na niego oko. To wspomnienie nie dawało mu spokoju.

Brage Håkonsen obrócił się w łóżku i poczuł, że prześcieradło jest wilgotne. Stęknął niezadowolony i wstał. Miał wielką ochotę zadzwonić do Tagego. Potrzebował pomocy kogoś z zewnątrz. Tak byłoby najbezpieczniej. Ale nie mógł. Bóg jeden wiedział, czyjego telefon nie jest na podsłuchu. Komórka to niezłe wyjście, ale policja i tak mogłaby wytropić, dokąd dzwonił. Dlatego korzystali z budek telefonicznych. I z zaszyfrowanych listów, spalanych natychmiast po przeczytaniu.

Miał wrażenie, że oblażyły go mrówki. Czuł łaskotanie na skórze i drapiąc się w brzuch, zaczął niespokojnie krążyć po pokoju. W końcu usiadł na rowerze treningowym stojącym w sypialni. Ustawił mocny opór i zaczął pedałować. Po dwóch kilometrach poczuł, że mięśnie zaczynają się rozluźniać. Pot oblepiało półnagie ciało, Brage oddychał ciężko, rytmicznie.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Brage Håkonsen zdrętwiał. Zdjął nogi z pedałów, pozwalając, by

kilka obrotów wykonały same.

Nie chciał otwierać, nie miał pojęcia, kto to może być, ale niepokój i nieprzyjemne napięcie powróciły z taką siłą, że ścisnęły przeponę. Nagle zaczął się trząść. Poruszając się powoli, wsunął się z powrotem do łóżka, ale nie miał odwagi zgasić światła. Każda zmiana zachodząca w mieszkaniu i widoczna z zewnątrz świadczyłaby o tym, że ktoś jest w domu.

Znów rozległ się dzwonek. Mocny i natarczywy.

Brage leżał sztywny i zupełnie nieruchomy. Nie zamierzał otwierać. Nikt nie powinien dzwonić do drzwi o tak późnej porze. Miał pełne prawo spać. Nagle przypomniały mu się magazyny pornograficzne. Cicho uniósł się na łokciu i spojrzał na stos leżący na nocnym stoliku. Zaniepokoiły go bardziej niż pistolet w piwnicy. Znów miękko wstał, uniósł materac i upchnął pod nim pornosy.

Dzwonek rozległ się po raz trzeci. Teraz brzęczał gniewnie i nieprzerwanie przez minutę.

Nie mieli za co go zwinąć. Nie miał też z nikim żadnej niezłaławionej sprawy.

Będzie jednak musiał otworzyć.

Narzucił granatowy szlafrok w czarne prążki i zawiązując pasek, ruszył do drzwi.

- Już, już - mruknął, zdejmując łańcuch.

Na zewnątrz stało dwóch mężczyzn. Obaj około czterdziestki. Jeden był w szarobrazowym garniturze z krawatem, drugi w spodniach i marynarce z koszulą rozpiętą pod szyją.

- Brage Håkonsen? - spytał ten w garniturze.

- Tak?

- Jest pan zatrzymany.

Obaj wyjęli nieduże plastikowe karty ze zdjęciami i lwem na godle.

- Zatrzymany? Za co?

Mimowolnie się cofnął. Mężczyźni weszli do mieszkania. Ten w sportowej marynarce cicho zamknął drzwi.

- Za nielegalne nabycie broni.

Podał mu niebieską kartkę, ale Brage nie chciał jej przyjąć.

- Broni? Przecież ja, do cholery, nie mam żadnej broni!

- W każdym razie nie masz zezwolenia na broń - powiedział wyższy z nich. - Mimo to dziś po południu w Stensparken kupiłeś pistolet.

Cholera! Niech to jasna cholera! Facet z gazetą nie był żadnym pieprzonym pedałem, tylko policjantem!

- Niczego nie kupiłem - oświadczył Brage Håkonsen, ale poszedł się ubrać.

Nie pozwolono mu nawet samemu wejść do sypialni. Ten wyższy wszedł razem z nim i nie spuszczał z niego oka, dopóki Brage nie był gotowy, by jechać z nimi na Gronlandsleiret 44.

09.15

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

- *Long time no see* - zaśmiał się BillyT. do Severina Hegera i nachylił się, żeby pomóc mu pozbierać teczki, które tamtemu wypadły z rąk.

- Mógłbyś uważać - oburzył się sierżant Heger, ale i tak odpowiedział uśmiechem.

- Co ostatnio porabiasz? - spytał Billy T., patrząc wyczekująco na kolegę.

Severin Heger już czwarty rok pracował w POT. Był jedynym funkcjonariuszem służby bezpieczeństwa, z którym Billy T. miał dobre układy, a stały za tym wyjątkowe przyczyny. Byli równolatkami i razem kończyli szkołę policyjną. Obaj mieli ponad dwa metry wzrostu i jeździli hondami goldwing, a kiedy w roku 1984 Billy T. został nieoficjalnym mistrzem Norwegii w karate pełnokontaktowym, Severin zajął drugie miejsce. Wieczorem, w dniu rozdania dyplomów, kiedy z dumą mogli wreszcie wsunąć złotą belkę na gołe dotychczas pagony munduru, wspólnie z gromadą innych wyruszyli w miasto. A później, nocą, Severin w pijackim widzie podjął niezdarną próbę seksualnego zbliżenia. Billy T. taktownie i delikatnie odmówił, a gdy załamany Severin wybuchnął płaczem, objął go i odprowadził do domu, gdzie ratował z bezdennej rozpacz, zaparzając między jedną pocieszającą tyradą a drugą trzy dzbanki kawy. Kiedy rano słońce wyszło zza chmur i obaj wytrzeźwieli, usiedli na balkonie, z nogami na

balustradzie, w małym mieszkaniu na Etterstad. Severin jednak nagle wstał, przyniósł nieduży srebrny puchar z inskrypcją i powiedział: „To dla ciebie, Billy T To mój pierwszy puchar. Najcenniejsza rzecz, jaką mam. Bardzo ci dziękuję”. Od tamtej pory rzadko się spotykali. Od czasu do czasu jeden drugiemu rzucił „cześć” albo klepnął go po ramieniu, kiedy mijali się na korytarzu. Żaden nie wspomniał tamtego wiosennego wieczoru przed laty. Srebrny puchar stał na półce w sypialni Billy’ego T. razem z kieliszkiem do jajek, który dostał z okazji chrztu, i posrebrzonym bucikiem należącym do jego najstarszego synka. Z tego, co Billy T. wiedział, Severin tamtej nocy podjął decyzję całkowicie sprzeczną z radami, jakie on mu dał - żył w celibacie i Billy T. nigdy nie słyszał nawet jednej złośliwej plotki na jego temat.

- Pewnie pracuję nad tym samym co ty - odparł Severin. - Chyba wszyscy zajmujemy się tym samym, prawda?

- Przypuszczam, że tak. Co tam u ciebie?

Severin przygryzł wargę i rozejrzał się na wszystkie strony. Ludzie mijali ich w pośpiechu. Jedni unosili ręce na powitanie, inni rzucali półgłosem wesołe „cześć”.

- Masz czas wypić ze mną kawę? - spytał nagle.

- Nie mam, ale wypiję - roześmiał się Billy T. - W kantynie?

Usiedli w głębi, przy samych drzwiach prowadzących na taras na dachu. Dzień był chłodny, niebo groziło deszczem, mogli więc liczyć na spokój.

- Pewnie się teraz sami bijecie w tyłki piętami. - Billy T. skinieniem głowy wskazał na sufit. - Chyba nigdy nie było wam aż tak wesoło.

Severin popatrzył na niego z powagą.

- Nie rozumiem, dlaczego masz do nas taki negatywny stosunek. Moi koledzy to przyzwoici ludzie. Ciężko pracują tak samo jak wy.

- Akurat przeciwko tobie nie mam nic. Po prostu nie znoszę całej tej waszej tajemniczości. Na przykład teraz mam wrażenie, że nawet nasze szefostwo nie bardzo wie, jakie teorie rozpracowujecie. W tej sprawie najbardziej frustrujące jest to, że chyba nikt nie ma jej całościowego oglądu, ale my przynajmniej próbujemy informować się nawzajem.

Severin nie odpowiedział, tylko dalej patrzył, jak kolega drapie się po ręce.

- O czym tak rozmyślasz? - spytał Billy T., wlewając do szklanki colę, która gwałtownie się zapieniła i wypłynęła górą. Ciemny płyn rozlał się na stoliku. - Cholera! - mruknął policjant, wycierając blat dłonią i osuszając ją o spodnie.

Severin nachylił się do niego i wbił oczy w plamę.

- Zwinęliśmy wczoraj ekstremistę - powiedział cicho. - Faceta, który w parku w kupił niezarejestrowaną broń. I który, jak przypuszczamy, dowodzi grupą neonazistów. Pozostaje w zdecydowanie dobrych stosunkach z pewnym szwedzkim neonazistą, który - Severin wyjął z kieszeni chusteczkę i zaczął wycierać stół - przyjechał do Norwegii na trzy dni przed zabójstwem Birgitte Volter, odwiedził tego naszego w Oslo i dzień po zabójstwie był już z powrotem w Szwecji.

Billy T. miał taką minę, jakby Severin Heger powiedział mu, że zamierza poślubić księżniczkę Marthę Louise.

- Co ty opowiadasz?

Severin Heger posłał Billy emu T. błyskawiczne ostrzegawcze spojrzenie, bo obok ich stolika przeszły akurat dwie kobiety, które chciały sprawdzić, czy mimo wszystko nie da się posiedzieć na dworze. Ledwie jednak wysunęły głowy na taras, już zmieniły zdanie i usiadły

bliżej lady, dwadzieścia metrów od nich.

- To jeszcze nie koniec. - Severin teraz prawie szeptał. - Mamy powody, by przypuszczać, że facet, którego wczoraj zwinęliśmy, jest w jakiś sposób powiązany ze strażnikiem z budynku rządowego. Tym, który zginął pod lawiną. Słyszałeś o nim?

- Czy słyszałem? - Billy T. próbował się opanować, ale podniecenie zniekształcało mu głos. - Nie tylko o nim słyszałem. Ja, do diabła, go przesłuchiwałem! I cały czas powtarzałem, że powinniśmy mu się bliżej przyjrzeć. Nie zmyślasz? Jest między nimi jakieś powiązanie?

- Jeszcze nie wiemy. - Severin gestem próbował uspokoić Billy'ego T. - Ale mamy powody, żeby tak przypuszczać. Czy nie tak się mówi, kiedy nie można powiedzieć, dlaczego coś się wie?

- Udało się wam coś z niego wyciągnąć?

- Kompletnie nic. Zero. Przeszukaliśmy mieszkanie. Nie znaleźliśmy niczego oprócz podejrzanej literatury na półce i pornosów pod łóżkiem. Żadnej broni, nic karalnego.

- Ale możecie go zatrzymać?

- Bardzo w to wątpię. Ta nowa ustawa o broni ciągle jest w powijakach, a teraz kary są takie niskie, że będziemy mieli problemy z zatrzymaniem go dłużej niż do wieczora. Potem trzeba będzie go śledzić, no, wiesz. Czort jeden wie, do czego to doprowadzi. Ludzie z SÄPO przesłuchali Tagego Sjögrena, tego Szweda. Trzymali go dwa dni. Ostro sobie z nim poczynali, ale facet nie pisnął ani słówka i w końcu musieli go wypuścić. - Nagle spojrzął na zegarek i pogładził szklankę kciukiem. - Muszę lecieć.

- Posłuchaj, Severin. - Billy T. złapał go za ramię, kiedy tamten go mijał. - A jak ci się żyje? - spytał cicho.

- Ja nie mam życia. Ja pracuję w służbie bezpieczeństwa. Severin

Heger uśmiechnął się, cofnął rękę i wybiegł z kantyny.

17.19

Vidars gate 11c

Brage Håkonsen wiedział, że każdy krok, który zrobi w ciągu następnych dni, nie będzie jego krokiem. Wszędzie będą mu się przyglądały czyjeś oczy, a każdy jego ruch zostanie odnotowany i trafi do teczki na najwyższych piętrach budynku policji. W jakiś sposób musiał z tym żyć. I nie przejmował się tym aż tak bardzo, jak wcześniej zakładał. Znacznie gorzej było, gdy omyłkowo wzięto go za protestującego przeciwko połowom wielorybów. Teraz przynajmniej chodziło o coś, w co wierzył, a naiwnością byłoby sądzić, że mimo swojej działalności na zawsze zachowa anonimowość. Po prostu milsi być jeszcze bardziej ostrożny.

Rozsądnie postąpił, trzymając język za zębami. Doradził mu to jego adwokat, starszy facet, który w zasadzie wyglądał na idiotę, ale - jak się okazało - podzielał część jego poglądów. Gliny wściekły się na jego wybór obrońcy i minęło ładnych kilka godzin, zanim wreszcie pozwoliły mu z nim porozmawiać. Na koniec adwokat zapowiedział, że w najbliższym czasie musi się bardzo pilnować, i puścił do niego oko spod krzaczastych brwi.

Gliny nie znalazły broni. Nie miał wprawdzie odwagi zejść do piwnicy, żeby sprawdzić, ale z całą pewnością okazaliby mu pistolet, gdyby wpadł im w łapy. Niech sobie tam leży. Przez jakiś czas.

Zatrzymanie bowiem spowodowało konieczność odłożenia zamachu. Niedobrze się stało - z dwóch powodów. Po pierwsze, efekt będzie tym słabszy, im więcej czasu upłynie od śmierci Volter. Po drugie, bardzo kłopotliwe było modyfikowanie dość już

zaawansowanego planu. Ale przecież i tak podjął decyzję o zmianie partnera. Reidarowi oczywiście mógł ufać, ale nie potrzebował dużo czasu, by zrozumieć, że chłopak nie jest szczególnie bystry. Kiedy Tage na pożegnanie rzucił, że jest w każdej chwili do usług, podkreślając konieczność współpracy transgranicznej, przyszło mu do głowy, że zrobią to we dwóch: Tage i on. Przełożenie akcji może się okazać korzystne. Tage może mieć przecież jakieś pomysły albo propozycje zmian.

Już sama myśl o tym wprawiała go w oszołomienie. Roześmiał się, kiedy wyjrzał przez okno i zobaczył po przeciwnej stronie ulicy dwóch mężczyzn w starym volvo. Wiedział, jak niepostrzeżenie przedostać się do domku w lesie. Musiał tylko poczekać ze dwa dni.

12.07

Sala konferencyjna w dzielnicy rządowej

Ledwie się udało.

Edvard „Loffen” Larsen musiał bardzo uważać, żeby nie westchnąć z ulgą, kiedy mijał gromadę fotografów stojących pod drzwiami wielkiej sali i czekających na panią minister. Potrzeba było sporej przebiegłości i rozsądku, żeby nakłonić ją do przyjęcia jego sugestii. Ruth-Dorthe Nordgarden długo się opierała. Chciała, by Loffen odczytał sprawozdanie w jej imieniu, a ona miała się pojawić dopiero potem i przez dziesięć minut odpowiadać na pytania.

- Ależ, Ruth-Dorthe! - przekonywał ją. - To będzie wyglądało bardzo dziwnie, jeśli ja, urzędnik, będę odczytywał sprawozdanie ministra. To naprawdę źle wypadnie.

- Ale ja nie mam siły czytać na głos przed taką masą ludzi, którzy w dodatku cały czas będą się na mnie gapić - poskarżyła się. - W czym to szkodzi, że zrobimy trochę inaczej? Przecież najważniejsze, żeby się dowiedzieli, nad czym pracujemy!

Przekonanie jej zajęło mu pół godziny, chociaż właśnie te trzydzieści minut powinien poświęcić na przygotowanie się do konferencji. No ale przynajmniej udało się przemówić jej do rozsądku.

Loffen Larsen szedł na podium zygzakiem między dziennikarzami, którzy stawili się bardzo licznie. Krawat mu się przekrzywił, a poła koszuli z jednej strony wysunęła się nieco zza paska. Dyskretnie próbował wepchnąć ją z powrotem, zobaczywszy, jak bliska

przyjaciółka, reporterka telewizyjna zaczyna mu z drugiego rzędu grymasami dawać znaki, by spojrzął w dół.

Na stole przed nim leżały dzisiejsze gazety. Już je przeczytał. Bardzo wnikliwie. We wszystkich było mnóstwo materiałów na temat afery szczepionkowej, a redakcja „Kveldsavisen” poświęciła całą pierwszą stronę na kolorowe zdjęcie starszego małżeństwa kucającego przy nagrobku z białego marmuru, zwieńczonym figurką anioła. Na kamieniu złotymi literami wygrawerowano imię „Marie”, a pod nim widniały daty: „Urodzona 23 maja 1965, zmarła 28 sierpnia 1965. Nigdy Cię nie zapomnimy”. Nad zdjęciem w gazecie krzychał tytuł: „KTO ODPOWIADA ZA ŚMIERĆ MALEŃKIEJ MARIE?!”.

Loffen Larsen usiadł i spojrzął na drzwi. Ruth-Dorthe Nordgarden wreszcie się pojawiła i dosłownie oślepiły ją błyski fleszy. Zasłoniła więc ręką twarz jak osoba prowadzona do aresztu, oskarżona o poważne przestępstwo, która nie chce, by ją rozpoznano. O Boże, pomyślał Larsen. Ale będą zdjęcia!

Prędko się otrząsnął i pomógł Ruth-Dorthe zająć miejsce. Zmrużonymi oczami popatrzyła na zgromadzonych i machnęła ręką, żeby powstrzymać atak fleszy. W końcu odkaszlęła i spojrzała w leżące przed nią kartki.

- Witam na dzisiejszej konferencji prasowej - zaczął Loffen, wstając. - Minister Nordgarden przedstawi najpierw krótkie sprawozdanie z dotychczasowych ustaleń na temat śmiertelności noworodków w roku 1965. Zajmie to około dziesięciu minut. Później będzie możliwość zadawania pytań.

Zachęcająco kiwnął głową Ruth-Dorthe, ale ona zapatrzyła się w leżące przed nią papiery. Zrobił więc w jej stronę dwa kroki i lekko dotknął ręką jej ramienia.

- Bardzo proszę, pani minister.

Kiedy zaczęła czytać, głos miała słaby i wyczuwało się w nim wyraźne zdenerwowanie. Wielkie jasnoniebieskie oczy krążyły po zebranych, zanim wreszcie spoczęły na leżącym przed nią wydruku. Dalej poszło już nieco sprawniej.

- W związku z doniesieniami prasowymi z ostatnich dni uznałam za niezbędne przedstawienie okoliczności zakupienia przez państwo skojarzonej szczepionki Di-Per-Te w latach 1964 i 1965. Podkreślam, że to sprawozdanie nie będzie dotyczyć pracy komisji badającej tę sprawę. Jak wiadomo, do ukończenia tej pracy jest jeszcze daleko. Przedstawię tylko stan faktyczny. - Nagle w sposób wyuczony, ale jeszcze nie do końca przeciwiczony - bo miała problemy ze znalezieniem miejsca, w którym skończyła czytać - podniosła wzrok znad kartek. - Pragnieniem rządu jest ujawnienie całej prawdy - podjęła, odnajdując właściwy fragment. - Ministerstwo w ostatnich dniach włożyło wiele pracy w zbadanie tej sprawy w celu ukrócenia dalszych spekulacji. Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli się z nią uporać i zająć bardziej aktualnymi problemami.

Loffen Larsen westchnął z rezygnacją. Skreślił to zdanie, kiedy dostał tekst do przejrzania, i uprzejmie usiłował wyjaśnić Ruth-Dorthe, że bagatelizowanie problemu jest ostatnią rzeczą, na jaką powinna się zdecydować. Najwyraźniej nie wzięła sobie tej rady do serca.

- Dla dzieci z rocznika sześćdziesiąt pięć zakupiono ograniczoną partię szczepionki. Dostawcą była uznana holenderska firma farmaceutyczna Achenfarma, a importerem - Państwowy Instytut Zdrowia Publicznego. Pod koniec roku 1965 zaczęły napływać doniesienia informujące o wzroście śmiertelności wśród niemowląt.

Szczepionkę wówczas wycofano, chociaż, podkreślam... - głos jej się załamał i musiała dwa razy chrząknąć, zanim mogła kontynuować - ...podkreślam, że nie wykazano żadnego związku przyczynowo-skutkowego między jakością tej partii szczepionki a zgonami wśród dzieci. Taką decyzję podjęto na wszelki wypadek. Szczegółowe badania wykazały, że środek konserwujący w zastrzykach był zanieczyszczony. Dla kolejnych roczników sprowadzono więc szczepionki wyprodukowane przez uznaną firmę farmaceutyczną z Ameryki.

Ruth-Dorthe podkręciła tempo. Czytała teraz tak szybko, że niektórym dziennikarzom trudno było za nią nadążyć. Loffen Larsen zapisał dwa słowa na żółtej samoprzylepnej karteczce, którą jak najdyskretniej podsunął pani minister. Ruth-Dorthe Nordgarden całkowicie wybiła się z rytmu, ale informacja do niej dotarła i kiedy znów zaczęła czytać, robiła to już spokojniej.

- Szkodliwe działanie szczepionki firmy Achenfarma nie było wcześniej znane opinii publicznej. Jak podaje Państwowy Instytut Zdrowia Publicznego, dla programów szczepień decydujące znaczenie ma zaufanie wśród mieszkańców kraju. Jeżeli więcej niż dziesięć procent ludności przestanie się szczepić, program traci swój prewencyjny skutek. Przypominam, że szczepionki rutynowo podawane w Norwegii mają chronić przed poważnymi, często stanowiącymi zagrożenie dla życia chorobami oraz że nie ma żadnych powodów, by... - znaczenie swoich słów podkreśliła uderzeniem ręką w stół - ...w ogóle żadnych powodów, by nie mieć zaufania do szczepionek podawanych obecnie dzieciom i młodzieży.

Zapadła całkowita cisza. A potem rozpętała się burza. Loffen Larsen musiał wstać i dopiero po minucie głośnych zapewnień, że

wszyscy zostaną dopuszczeni do głosu, udało mu się zaprowadzić porządek w szeregach zgromadzonych. Posypały się pytania o wszystko - od roszczeń o odszkodowania po obecną działalność firmy Achenfarma. „Dagbladet” chciała wiedzieć, czy Ministerstwo Zdrowia przez wszystkie te lata miało informacje o związku między zgonami niemowląt a skojarzoną szczepionką, czy też dowiedziało się o skandalu dopiero w wyniku pracy komisji. „Bergens Tidende” reprezentował zadziorny dziennikarz, którego pytania były niepotrzebnie szczegółowe, niepotrzebnie prowokujące i przynajmniej na razie najzupełniej niepotrzebnie spiskowe.

Ruth-Dorthe zdumiała Loffena spokojem i trzeźwością umysłu, jakich nigdy u niej nie widział. Nie pozwalała się wytrącić z równowagi i starała się odpowiadać tak jasno, że trudno było oczekiwać czegoś więcej. Loffen powoli zaczął oddychać z ulgą. Czuł, że wcale nie będzie tak źle. Jedynym powodem do lekkiego zmartwienia była Liten Lettvik, która siedziała cicho jak mysz pod miotłą w pierwszym rzędzie, nie robiąc zupełnie żadnych notatek. Dopiero gdy grad pytań zaczął powoli ustawać, podniosła się nagle, prosząc o głos. Ruth-Dorthe posłała jej życzliwe spojrzenie i powiedziała „Proszę”, zanim zdążył to zrobić Loffen.

- Z zainteresowaniem zauważyłam, że pani minister pragnie ujawnić wszystkie fakty - zaczęła Liten i zadowolona stwierdziła, że wszyscy inni dziennikarze ucichli, kierując na nią uwagę. Nawet fotografowie zrobili sobie przerwę. Wszyscy chcieli jej posłuchać, bo przecież to ona nakręciła sprawę. - Zakup szczepionki to rzeczywiście interesujący temat, ale czy pani minister jest pewna, że to Achenfarma ją wyprodukowała?

Ruth-Dorthe wydawała się lekko zmieszana. Na twarzy z lewej

strony ujawnił się lekki tik.

- Owszem - odparła. - To ta firma nam ją sprzedała.

- Ale ja wcale nie pytam, od kogo tę szczepionkę kupiono. - Liten Lettvik stała na szeroko rozstawionych nogach, a włosy sterczały jej na wszystkie strony. Całe jej ciało zdawało się drżeć z napięcia. Przypominała teraz starego spasionego psa na łośie, który chce pokazać swoim szczeniakom, jak należy polować. - Ja pytam, kto tę szczepionkę wytworzył.

- No tak, no tak... - Ruth-Dorthe zaczęła wertować leżące przed nią kartki.

A ponieważ nic w nich nie znalazła, spojrzała na Loffena, wzrokiem prosząc go o pomoc. Pokręcił głową, lekko wzruszając ramionami.

- No cóż, kto ją wytworzył... Może w przemyśle farmaceutycznym również istnieją podwykonawcy?

- Czy mam to uznać za pytanie ze strony pani minister? - spytała Liten Lettvik. - W takim razie mogę poinformować, że szczepionka, która w roku 1965 uśmierciła około tysiąca niemowląt, została wyprodukowana w NRD. Przez firmę, która nazywa się Pharmamed. Firma wciąż istnieje, została sprywatyzowana.

Po momencie totalnej ciszy podniósł się szum. Dziennikarze telewizyjni przeciskali się na przód, podsuwali mikrofony Liten Lettvik i ściszonymi głosami wydawali polecenia swoim kamerzystom, by na zmianę kręcili panią minister i redaktorę.

- „Kveldsavisen” udało się zrobić to, czego nie zdążyła jeszcze zrealizować komisja Grindego - ciągnęła Liten Lettvik, lekko się uśmiechając. - Sprawdziliśmy archiwa zagraniczne. To nie było trudne. - Znów się uśmiechnęła, wyniośle i złośliwie. Podeszła do

podium i na stół przed panią minister rzuciła jakiś dokument. - Wschodnioniemiecka firma Pharmamed otrzymała w roku sześćdziesiątym czwartym licencję eksportową na partię szczepionki dla Achenfarma. Ale ta szczepionka nie trafiła na rynek holenderski. W Holandii wyprodukowano jedynie opakowanie, a następnie całą śmiertelnościaną partię sprzedano do Norwegii.

Do sali wpadł jakiś młody człowiek. Zatrzymał się na chwilę i rozejrzał. W końcu dostrzegł Liten Lettvik, podbiegł do niej i podał jej gazetę.

- Dziękuję, Knut - powiedziała Liten i pozwoliła sobie na lekko arogancki ukłon. Podniosła gazetę wysoko. - To nadzwyczajne wydanie „Kveldsavisen”, które właśnie w tej chwili trafia na ulice - oświadczyła, rozglądając się po kolegach po fachu. - O całej sprawie możecie przeczytać właśnie tam. - Roześmiała się, kilka razy głębiej odetchnęła i znów mówiła dalej: - Natrafiłam również na pewne pismo norweskiego Ministerstwa Spraw Społecznych do firmy Achenfarma z datą dziesiątego kwietnia 1964. Zawiera ono ponaglenie w sprawie partii szczepionek, ale na samym końcu znajduje się zdanie, które na wszelki wypadek przetłumaczę na norweski: „Ministerstwo Spraw Społecznych potwierdza, że część należności zostanie przelana bezpośrednio na konto poddostawcy”.

Ruth-Dorthe Nordgarden zastygła z taką miną, jakby przestała oddychać. Loffen Larsen miał ogromną ochotę przerwać całe to przedstawienie, ale dobrze wiedział, że w ten sposób jeszcze pogorszyłby sytuację.

- Pragnę przypomnieć zebrany - Liten Lettvik zwracała się teraz w równym stopniu do dziennikarzy jak do pani minister - że cała sprawa zdarzyła się w najzimniejszym roku zimnej wojny. Trzy lata po

wybudowaniu muru berlińskiego. W czasie, gdy NRD pozostawała w izolacji politycznej, a wszystkie kraje NATO wprowadziły restrykcje handlowe. Na sześć lat przed tym, jak Willy Brandt zaczął lansować swoją politykę pojednania!

Liten Lettvik była królową i wszyscy o tym wiedzieli. Dlatego pozwoliła sobie na aktorską pauzę.

- Czy pani minister może odpowiedzieć, dlaczego żadna z tych informacji nie została zawarta w sprawozdaniu, które przed chwilą nam przedstawiła? Podobno fakty miały tam zostać wyłożone na stół.

Ruth-Dorthe Nordgarden cała się spięła. - Ustosunkowywanie się do całkowicie nieudokumentowanych informacji nie jest moim zadaniem.

- Nieudokumentowanych? Proszę poczytać „Kveldsavisen”, pani minister, i jeśli wolno, udzielę rządowi pewnej dobrej rady. Należałoby sprawdzić, do których krajów eksportowano rudę żelaza z Narwiku w roku sześćdziesiątym piątym. Proszę się temu uważniej przyjrzeć. Bo my już to zrobiliśmy. - Usiadła.

Już żaden z dziennikarzy nie opanował się na tyle, by zadać kolejne pytanie, a Loffen Larsen błyskawicznie skorzystał z sytuacji i oświadczył, że konferencja prasowa jest zakończona.

Minister zdrowia wybiegła z sali, ciągnąc za sobą ogon fotografów, którzy potykali się o siebie, przeklinali i krzyczeli. Ale żadnemu z nich nie udało się zarejestrować tego, że Ruth-Dorthe Nordgarden płacze jak bóbr.

Eidsvoll

- Śpisz, kochana? - szepnął, stając w drzwiach.

Zona usiadła na łóżku.

- Nie - pociągnęła nosem. - Nie śpię. Myślę.

Zakłuło go w piersi, kiedy usłyszał jej głos. Brzmiącą w nim rozpacz. Żal. Poświęcili tyle lat, by nauczyć się z nim żyć. Jakoś zdołali uczynić z żałoby coś, co ich związało, coś wielkiego, co należało tylko do nich. Zdjęcie małej Marie wisiało na ścianie nad kanapą. Leżała naga na owczej skórze z wyrazem zdumienia na małej twarzyczce, z otwartą buzią, lekko zaślinioną dolną wargą i wielkimi okrągłymi oczkami. Było to jedyne zdjęcie, jakie zrobili jej u fotografa. Z upływem lat wyblakło tak samo, jak wyblakło ich życie po śmierci Marie. Z jakiegoś powodu małżonkom Kjellowi i Elsie Haugenom nie urodziło się więcej dzieci. Rok po śmierci dziewczynki Kjell przerobił jej pokój na warsztat, a Elsa w milczeniu się z tym pogodziła. On jednak wiedział, że zona w pudełku po butach wciąż przechowuje rzeczy małej. Leżały tam jasnoróżowe śpioszki, płócienna pieluszka, grzechotka i kosmyk włosów obcięty już po jej śmierci. Pudełko stało na dnie szafy z ubraniami, ale Kjell nie uważał tego za wyrzut ze strony żony, chociaż Elsa nigdy z nim o tym nie rozmawiała. To były rzeczy matki, wspomnienia matki. Rozumiał to i akceptował. Z upływem lat przestali obchodzić urodziny Marie i w końcu życie stało się jako tako znośne. Grób odwiedzali w Wigilię, nigdy częściej. Oboje uważali, że tak jest najlepiej.

Popatrzył na swoje dłonie. Obrączka wrosła w skórę palca.

- Chodź, napijemy się kawy - zaproponował. - I tak już nie zaśniemy.

Elsa uśmiechnęła się do niego, dużą pogniecioną chusteczką wytarła łzy i podreptała za mężem do kuchni. Usiedli przy stole, przy którym stały tylko dwa krzesła.

- To dziwne - powiedziała Elsa cicho. - Zawsze myślę o Marie jak o niemowlęciu. A ona przecież byłaby już dorosła. Miałaby trzydzieści dwa lata. Może... - Łzy znów popłynęły po pomarszczonych policzkach. - Może mielibyśmy nawet wnuki? Przejęłyby kiedyś gospodarstwo.

Popatrzyła na męża. Miał pięćdziesiąt cztery lata. Poznali się na zabawie, kiedy mieli po piętnaście lat, i od tamtej pory wiernie trwali przy sobie. Gdyby nie Kjell, życie Elsy skończyłoby się tamtego ranka, kiedy się obudziła i znalazła Marie martwą w łóżeczku. Przez cztery godziny nie wypuszczała dziecka z objęć. Nie chciała jej puścić, nawet gdy pojawił się lekarz okręgowy. Kjell w końcu ją do tego nakłonił. To Kjell leżał później przy niej przez trzy doby i nie pozwolił jej zrezygnować z życia. To Kjell w końcu sprawił, że potrafiła z uśmiechem myśleć o dziecku, którym mimo wszystko dane im było cieszyć się przez kilka miesięcy.

- Tak, tak. - Kjell wyjrzał przez okno.

Ciemność nie była już po zimowemu czarna. Lekko szarawy odcień nocy obiecywał, że wiosna nadejdzie już wkrótce.

- Nie ma sensu tak myśleć, Elso. I tak nic z tego nie przyjdzie.

- Nie powinienes był się zgadzać na wizytę tej dziennikarki, Kjell. Nie powinienes był pozwalając, żeby przyjechała. Wszystko jest... było...

- Już dobrze, dobrze. - Spróbował się uśmiechnąć i mocniej ścisnął jej dłoń.

- Wszystko nagle jakby powróciło - zaszlochała Elsa cicho. - Całe to zło. To, co udało nam się...

- Ciii - szepnął. - Wiem, kochana, wiem. To było głupie. Ale ona przez telefon wydawała się taka porządna. Zdawało mi się, że to takie ważne, żeby... Jak ona to określiła? Skierować światła reflektorów na ten skandal ze szczepionkami. Tak to powiedziała, że w końcu przyznałem jej rację. Sprawiała wrażenie bardzo wszystkim zainteresowanej. Myślałem, że nam współczuje.

- Kiedy przyjechała, nie była zbyt współczująca. - Elsa podniosła nieco głos i puściła ręce męża, żeby wytrzeć nos. - Widziałeś, jak się gapiała na zdjęcie Marie? I bezczelnie zapytała, czy może je pożyczyć. To było okropne!

Wstała i gniewnym ruchem wyjęła dzbanek z kawą z ekspresu. Nalała dla obojga, ale zamiast usiąść, dalej stała obrócona tyłem do blatu.

- A ta fotografka? Strasznie się szarogęsiła na cmentarzu. Widziałeś, jak podeptała kwiaty? Powiedziała tylko „przepraszam” i zaraz weszła na świeżo skoszony grób Herdis Brattom. Jak można się tak zachowywać?

Kjell Haugen się nie odezwał. Popijał kawę, pozwalając Elsie się złościć. Wiedział, że przynajmniej przez chwilę nie będzie jej aż tak ciężko. Żałował swojej decyzji. Dziennikarka z „Kveldsavisen” zabawiła u nich niespełna pół godziny i wcale nie słuchała tego, co mówią. Tego, co naprawdę mówili. Oni ani trochę jej nie interesowali. Chciała tylko znać szczegóły, które zapisywała w notesie z wściekłą prędkością, w ogóle na nich nie patrząc. Nie podziękowała nawet za kawę i ciasto, chociaż Elsa upiekła tort na ich przyjazd.

- Nie dotarło do niej, że doktor Bang wszystko zrozumiał - odezwał

się nagle Kjell. - Nie zdążyliśmy jej o tym powiedzieć. Ani o tym, że później przez wiele lat pisał listy do władz.

Elsa wyjrzała przez okno. Zaczynało się rozwidniać. Poranne promienie słońca zdawały się wyrastać z pola, z bruzd świeżo zaoranej ziemi.

- Czuję się tak, jakby wbito mi w serce nóż - szepnęła. - Mam wrażenie, że ktoś odnowił ranę, która zabiła się przez tyle lat.

Kjell Haugen sztywno wstał i poszedł do salonu. Sięgnął po leżącą na stole „Kveldsavisen”. Nagle zaczął drzeć gazetę, i kawałki wrzucać do pieca. Potem sięgnął po zapalki, ale ręce tak mu drżały, że nie mógł ich zapalić.

- Ja to zrobię - powiedziała spokojnie żona, stając za nim. - Daj, ja rozpalę.

- Głupio postąpiliśmy - szepnął Kjell, kiedy płomienie rozgorzały i rzuciły na jego twarz żółtoczerwoną poświatę. - Ale ona przez telefon wydawała się taka sympatyczna.

04.20

Głęboko w lasach Nordmarka pod Oslo

Oszukał ich. Sprawa była tak prosta, że o mało nie pękł ze śmiechu, chociaż trochę czasu zajęło mu ustalenie, gdzie stoją. Po czterech niepotrzebnych wypadach do sklepiku na rogu miał w lodówce sześć litrów mleka. Na pewno się popsuje, ale to bez znaczenia.

To było niemal zbyt dobre, by mogło być prawdziwe. Policja miała oko na bramę od strony Vidars gate. Najwyraźniej nie zorientowali się, że przez piwnicę można przejść do sąsiedniej kamienicy, skąd łatwo było się wydostać na tylne podwórze. Wystarczyło przeskoczyć przez płot i wyjść przez bramę trzy numery dalej. Nikt go nie widział. Żeby mieć całkowitą pewność, trzy razy przesiadał się do różnych autobusów jadących w rozmaitych kierunkach. Wyskakiwał z nich w ostatniej chwili, aż w końcu poszedł do sklepu sportowego i kupił tani rower.

Dojechał nim do domku w lesie. Dotarł tu dopiero późnym wieczorem, kiedy zrobiło się już naprawdę ciemno. Na ostatnim odcinku nikogo nie spotkał. Zmienna wiosenna pogoda najwyraźniej nie kusila nawet najbardziej zagorzałych miłośników wędrówek. Trochę poczytał, miał trudności z zaśnięciem. Kilka razy wstawał, żeby się uspokoić. Na zewnątrz nikogo nie było. Od czasu do czasu nad jeziorkiem niósł się odgłos jakiegoś zwierzęcia, a przez godzinę lekko szumiał wiosenny deszcz. Poza tym panowała cisza.

Wciąż był zmęczony po zaledwie trzech godzinach drzemania, ale

nie chciał dłużej spać. Dwukrotnie przepłynął jeziorko tam i z powrotem. Ciało się przebudziło, chociaż głowa była ciężka. Ugotował kawę i zrobił cztery kanapki z pastą kawiorową. Włączył radio, ale nie było czego słuchać, sam hałaśliwy pop. Brage Håkonsen nie lubił takiej muzyki. Sięgnął więc po książkę Davida Irvinga i jedząc, czytał.

Z całą pewnością stracił pracę. Nie stawał się już od czterech dni bez uprzedzenia, więc ten skwaszony kierownik magazynu na pewno by go wyrzucił, gdyby wrócił. Ale Brage nie chciał wracać. Nie chciał o tym myśleć teraz. Miał pieniądze w banku, żył przecież oszczędnie.

Na zewnątrz zrobiło się już zupełnie jasno. Wyjrzał przez okno. Rozsądnie byłoby zejść do piwniczki na ziemniaki teraz, gdy było jeszcze wcześniej. W weekendy czasami kręcili się tu ludzie, chociaż ścieżka prowadziła ponad dwieście metrów od domku. Jeziorko jednak przyciągało tych, którym starczało sił na dojście aż tutaj, a on zrezygnował już z odstraszenia ich tabliczkami z napisem „Łowienie ryb i kąpiel zabronione”. Leśnicy i tak je po jakimś czasie zdejmowali.

Najbezpieczniej będzie iść tam teraz.

Wciągnął przez głowę bluzę treningową, a stopy wsunął w adidasy, nie rozwiązując sznurówek. Przydałyby mu się nowe buty, ale powinien teraz oszczędzać. Rower kosztował trzy tysiące koron. Szkoda, że wydał na niego tyle pieniędzy, skoro miał na podwórzu dobry drogi rower. Ale warto było zaryzykować. Trudno byłoby przedostać się z tamtym przez piwnicę i nie wiadomo, czy zdołałby go przerzucić przez płot.

Poranne powietrze pachniało mocno ziemią i lasem. Aż zakręciło mu się od niego w głowie, chociaż wychodził już wcześniej. Biegiem przebył czterdzieści metrów dzielących go od położonego bardziej na wschód pagórka. Drzwi do ziemianki zakrywały świerkowe gałęzie i

nikt nie znalazłby ich tam przypadkiem.

Odgarnął kamufaż i ułożył go na stosie przy wejściu. Z kieszonki adidasa wyjął klucz do wielkiej kłódki. Zamek był dobrze nasmarowany i wielką pokrywę udało się unieść bez kłopotu. Zawiasy lekko zaskrzypiały i Brage na moment zdrewniał, uważnie nasłuchując. W końcu wypuścił powietrze z płuc, położył pokrywę z boku i wszedł do czarnej jamy. Oczy zawsze potrzebowały trochę czasu, by przyzwyczać się do ciemności. Zapalił latarkę.

Teraz na pewno coś usłyszał. Coś innego niż przypadkiem przebiegające małe zwierzę. Coś więcej niż wiatr, który ostrożnie bawił się gnijącymi zeszłorocznymi liśćmi. Trzasnęła gałązka. Kilka innych się złamało. Słyszał kroki.

- Wychodź! - rozległ się donośny i władczy głos.

Brage przez chwilę oceniał możliwości. Miał w kieszeni świeżo kupiony pistolet. W rękę trzymał amunicję. Przed nim leżały cztery karabiny automatyczne AG3 i dwie strzelby. Oraz cztery karabinki. Na półce amunicja do wszystkiego. Zdążyłby załadować. Mógłby się ostrzeliwać.

- Wychodź natychmiast! - wrzasnęła mężczyzna w wejściu.

Brage Håkonsen poczuł lęk ściskający pod żebrami. Spróbował otworzyć opakowanie z nabojami do pistoletu, ale palce wydawały się napuchnięte i nieposłuszne. Nie mam odwagi, pomyślał nagle. Cholera, nie mam odwagi.

Z zaciśniętymi zębami tyłem wyszedł z ziemianki. Miał łzy w oczach, ale przełykając ślinę, zdołał zachować pewną kontrolę nad sobą.

Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, natychmiast się na niego rzucili. Po chwili leżał płasko na brzuchu, czując w ustach smak igliwia.

Zabolało, kiedy kajdanki zatrzęsły się na nadgarstkach.

- Za mocno! - krzyknął i splunął. - Niech to cholera, za ciasno!

Jeden z mężczyzn już zdążył wrócić z ziemianki.

- No, proszę - powiedział, gdy kolega pomagał Bragemu stanąć na nogi. - Co my tu mamy? - W jednej ręce trzymał AG3, w drugiej skrzynkę z dokumentami. Z planami. Z wielkimi ideami. - Chyba nieźle cię wystawiliśmy do wiatru - zaśmiał się głośno. - Uznałeś, że jesteśmy amatorami, bo obserwowaliśmy tylko bramę?

Śmiech echem poniósł się ponad wodą. Na drugim brzegu rozkrzyczał się jakiś ptak.

- Pieprzony peda! - warknął Brage.

Policjant, który go przytrzymał, wysoki pięćdziesięcio-latek, zachichotał.

- Sam jesteś tchórzliwą ciotą - odpowiedział, zdecydowanie ciągnąc Bragego w stronę domku.

Severin Heger pobiegł przodem, żeby wezwać posiłki.

09.40

Kirkeveien 129

Ból głowy ją zabijał. Szydła wbijały się w skronie, oczy wysadzało od napięcia, które nie wiadomo skąd się brało. Nie piła wczoraj, prawdę mówiąc, nie tknęła ani kropli od tamtego fatalnego wieczoru, w którym zginęła Birgitte Volter. Mimo to miała problemy z trzymaniem się prosto, a ból był nowy, obcy i przerażający. Nie pomogły dwa paracetamole. Zaczęła więc grzebać w kosmetyczce w poszukiwaniu skuteczniejszego środka.

Kiedy usiadła przy kuchennym stole, litery w gazecie skakały jej przed oczami. Kawa miała ostry, nieprzyjemny smak, mimo to wypiła pół filiżanki i poczuła pewną ulgę. Nie była jednak pewna, czy pomogła jej kawa, czy tabletki paralginu forte oblepiona paprochami z torebki.

Sprawa przestała już być wyłącznie sprawą „Kveldsavisen”, chociaż ta gazeta cały czas wyprzedzała inne o głowę. Aferą zajęła się cała prasa ogólnokrajowa i duże tytuły lokalne. Pojawiały się nowe podejścia do tematu, nowe teorie, nowe spekulacje. Niekończące się przygnębiające komentarze. Mimo że wciąż nikt nie ośmielał się wskazać mordercy, w redakcjach na Akersgata nie było chyba nikogo, kto by między wierszami nie sugerował, że śmierć Birgitte Volter jest w oczywisty sposób powiązana z aferą szczepionkową. Nazwisko Benjamin Grindego wyzierało z każdego artykułu, chociaż prawie wcale go nie wymieniano. Wszyscy wskazywali na przyjaźń między Volter a Grindem jako przejaw braku kultury politycznej w aparacie władzy, na który Partia Pracy od lat przymykała oko. Zakup

szczepionek z kraju bloku wschodniego w najmroźniejszym roku zimnej wojny uznano za bezsprzecznie największy skandal w powojennej historii Norwegii. Większy niż to, co ujawniła komisja Lunda. O wiele poważniejszy niż wypadek w kopalni należącej do spółki Kings Bay na Svalbardzie, który wywołał kryzys rządowy. Mimo intensywnego bólu głowy Ruth-Dorthe Nordgarden musiała przyznać, że gazety w tym punkcie nawet nie przesadzały, przecież śmierć mogło ponieść kilkaset dzieci. Jeśli wszystko było prawdą. A tego przecież na razie nie wiedział nikt.

Inne dzienniki w zasadzie nie ujawniały żadnych nowych faktów, a „Kveldsavisen” poświęciła mnóstwo miejsca na komentarze mędrców i uczonych, polityków i wytrwałych krytyków władzy. Profesor doktor praw Fred Brynjestad, wierny swoim zwyczajom, zaatakował niezwykle gwałtownie, chociaż uważniejszemu czytelnikowi trudno byłoby stwierdzić kogo. Ponieważ jednak premier Einar Gerhardsen już od dawna nie żył, podobnie jak ostatni minister spraw społecznych w jego rządzie Olav Gjarevoll, zapalczywość Brynjestada wydawała się nieco zbyt przesadna. Zwłaszcza że ów skandal nie został jeszcze wyjaśniony i nikt nie wiedział, kto odniósł z niego korzyści.

Dwóch komentatorów poruszyło również rolę, jaką w całej tej sprawie odgrywała Ruth-Dorthe Nordgarden. Nikt oczywiście nie zarzucił jej zabójstwa, przecież w 1965 roku była dwunastoletnią harcerką, ale i „Kveldsavisen”, i „Dagbladet”, i „Aftenposten” krytykowały sposób jej podejścia do całego problemu. Najgorsze, że gazety, opierając się na „pewnych źródłach”, twierdziły, że minister zdrowia nie zgodziła się na spotkanie z Benjaminem Grindem zaledwie na kilka dni przed jego wizytą u Birgitte Volter. Spekulacje o powodach niechęci do tej rozmowy były równie fantazyjne, co błędne.

- Przecież ja po prostu nie miałam czasu - mruknęła do siebie. - Nie miałam na to siły!

Odezwali się również parlamentarzyści. Niektórzy pełni wahania, inni głośno krzyczeli, myśląc wyłącznie o nadchodzących wyborach, do których zostało już tylko pięć miesięcy. Jak zawsze zastrzegali się na wstępie mniej lub bardziej sensownie, bo zaraz potem wypowiadali się z najgłębszym przekonaniem na każdy temat. O stosunku Partii Pracy do krajów bloku wschodniego w latach sześćdziesiątych, o roli policji podczas śledztwa w sprawie zabójstwa Birgitte Volter, o pracach komisji Grindego i jej składzie. A przede wszystkim opozycja robiła ogromne zamieszanie wokół wpływu morderstwa na norweskie życie społeczne w ogóle, a politykę w szczególności. Okres zawieszenia broni bezwzględnie minął. Nadszedł czas zatroszczenia się o to, by Partia Pracy w wiosennych sondażach nie mogła odcinać kuponów od zbyt silnego efektu Palmego.

- Tak jakby to zabójstwo udowadniało nieudolność Partii Pracy - westchnęła Ruth-Dorthe Nordgarden, dotykając skroni i jednocześnie zaciskając oczy. - Jakby mówiło cokolwiek o partii. Pół roku temu oskarżano nas o prześladowanie komunistów w latach sześćdziesiątych, a teraz zarzucają nam współdziałanie z nimi w tym samym czasie.

Z wściekłością uderzyła gazetą bezczelną i oszołomioną wiosną muchę, która pełzła w stronę miseczki z dżemem.

- Mamo, ja już lecę - odezwała się jasna nastroszona głowa, która nagle pojawiła się w drzwiach.

- Zjadłaś śniadanie?

- No to cześć!

- Śniadanie!

Ruth-Dorthe Nordgarden westchnęła demonstracyjnie i odchyliła się na krześle. Za oknem modrzew naprawdę zaczął się już stroić na lato. Na święto 17 Maja będzie już miał jaskrawozieloną szatę.

- Astrid już poleciała? - Inna i, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej rozczochrana głowa patrzyła na nią gniewnie.

- Nie wyjdiesz, jeśli nie zjesz śniadania!

- Ale ja już muszę lecieć.

Bang.

Trzaśnięcie drzwi pozostawiło pustkę ciszy. Ruth-Dorthe nie bardzo wiedziała, czyjej się to podoba, czy może raczej powinna ją czymś zapełnić. Długo jednak nie musiała się zastanawiać. Komórka podłączona do ładowarki wpatrywała się w nią złym zielonym okiem, jakby wiedziała, ile wysiłku kosztuje jej użycie.

Numer znała na pamięć.

- Mam nadzieję, że dobrze spałaś - powiedziała kwaśno, gdy uzyskała połączenie.

- Dziękuję, mam nadzieję, że ty też - odpowiedział słodki jak miód głos. - Spałam spokojnym snem sprawiedliwych.

- Nie możesz wypisywać takich rzeczy! - wybuchnęła Ruth-Dorthe.

- Jak możesz tak mnie traktować? Ty, która...

- Ja, która co? Której tak pomogłaś? To masz na myśli? To znaczy, że nie działałaś w służbie wolnego słowa, Ruth-Dorthe?

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi!

- Nie, szczerze mówiąc, nie wiem. Przysłałaś mi sprawozdanie komisji całkowicie dobrowolnie. Nic ci za to nie obiecywałam.

- Ale ty przecież... Przecież ty mi wszystko popsulaś! I nie tylko mnie, być może całemu rządowi. Zobacz, co pisze dzisiaj „Aftenposten”! Ze... - Z wściekłością zaszeleściła gazetami. - Posłuchaj

tylko: „Z przykrością stwierdzamy, że z naszej największej partii nie daje się wyplenić kultury «wchodzenia w ciche układy». Od dawnej różni się ona tylko tym, że wtedy wchodzono w ciche układy z Walterem Ulbrichtem. Doprawdy nie wiemy, co gorsze”. - Rzuciła gazetę na stół. - W głównym artykule! Coś ty narobiła, Liten Lettvik? Przecież miałyśmy umowę!

- Pomyłka. Nie miałyśmy żadnej umowy. Pomogłam ci, kiedy uważałam to za celowe. Ty pomogłaś mnie. A to, że niestety nie da się już dłużej uprawiać handlu wymiennego, złożmy na konto wolnej prasy i prawdziwej demokracji. Obie za tym jesteśmy, prawda?

- Ja... - Ruth-Dorthe musiała nad sobą zapanować i urwała. Dudniący ból głowy powrócił. Poczowała mdłości. - Już nigdy w życiu nie będę z tobą rozmawiać - szepnęła w końcu do słuchawki.

Ale tam był już tylko sygnał ani trochę niezainteresowany jej zbyt późno złożonymi obietnicami.

Kiedy zadzwonił telefon, drgnęła przestraszona.

- Halo?

Komórka była głucha, a dzwonek wciąż dzwonił. Zdezorientowana rozejrzała się po salonie z komórką ciągle przyciśniętą do policzka jak pieluszką do ssania, niosącą pociechę w trudnych chwilach. To brzęczał telefon stacjonarny.

- Halo? - powtórzyła, tym razem do właściwej słuchawki. - O, halo, Tryggve. Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Muszę porozmawiać o tym skan... Aha? - Zaczęła ogryzać paznokiec małego palca lewej ręki. - Rozumiem. O czwartej w poniedziałek. U ciebie w gabinecie. Ale ja będę wtedy... Dobrze, przyjdę. O czwartej.

Ogryzła paznokiec za bardzo. Palec przeszył ostry ból. Wypląnęła kropelka krwi. Ruth-Dorthe włożyła ranekę do ust i poszła szukać

plastr.

14.27

Siedziba POT

- No, proszę - powiedział Severin Heger z pogodną i zadowoloną miną.

Próbował uchwycić wzrok siedzącego przed nim zatrzymanego, ale młody człowiek wpatrywał się w swoje ręce, mamrocząc pod nosem coś, co trudno było zrozumieć.

- Co powiedziałeś? - spytał sierżant.

- One chyba są niepotrzebne - powtórzył chłopak, wyciągając ręce.

- Kajdanki w budynku policji?

- Gdybyś po drodze nie próbował uciec mniej więcej dziesięć razy, moglibyśmy o tym podyskutować. Ale teraz już dyskusji nie będzie.

Z szerokim uśmiechem postawił przed Bragem Håkonsenem colę.

- Jak mam się napić, kiedy jestem skuty? - poskarżył się chłopak już bliski płaczu.

- Dasz radę - odparł Severin Heger. - Sam próbowałem. I co my tu mamy?

Kartki, które czytał, były oddzielnie powkładane w plastikowe koszulki. Napisano je na maszynie, dość sztucznym językiem, z zachowaniem starej pisowni, która całkowicie błędnie mogła wskazywać, że ich autor jest w podeszłym wieku. Chyba że były to po prostu literówki.

- Ty to napisałeś, prawda? - Policjant wciąż się uśmiechał, a głos miał życzliwy, na granicy wesołości.

- Gównu cię to obchodzi - mruknął cicho zatrzymany.

- Co to miało znaczyć? - Severin Heger nagle spowaźniał. Nagle

pochylił się nad biurkiem i złapał za flanelową koszulę Bragego. - Jeszcze jedna taka odzywka, a będziesz miał prawdziwe kłopoty - syknął. - A teraz usiądź prosto i odpowiadaj uprzejmie na wszystkie moje pytania. Zrozumiałeś?

- Chcę rozmawiać z adwokatem - oświadczył Brage. - Nic nie powiem, dopóki nie przyjdzie adwokat.

Severin Heger wstał i tak długo wpatrywał się w Bragego Håkonsena, że chłopak zaczął wiercić się na krześle.

- Oczywiście - powiedział w końcu. - Oczywiście, że będziesz mógł porozmawiać z adwokatem. Przysługuje ci takie prawo. Ale trochę na niego poczekaasz, a zapewniam cię, że po upływie kilku godzin stracę nieco ze swojej życzliwości i cierpliwości. A mamy tutaj sporo. Te dokumenty. I broń. Wystarczy, żeby móc cię długo przypiekać. Ale oczywiście to ty decydujesz. Szybka i miła rozmowa ze mną byłaby dla ciebie najlepsza, chociaż... dostaniesz adwokata, jeśli sobie tego życzysz. Co prawda oni zwykle miewają wolne w weekendy, ale postaram się do jutra rana coś dla ciebie załatwić. Tylko nie wiem, czy mi się uda.

Brage Håkonsen wpatrywał się w szklankę z colą. W końcu podjął próbę podniesienia jej do ust obiema rękami.

- No, proszę. Widzisz, jak dobrze ci idzie? A teraz odprowadzę cię do celi, żebyś tam mógł poczekać na adwokata.

- Nie - powiedział chłopak cicho.

- To znaczy?

- Nie. Możemy trochę porozmawiać. Jeśli później mogę liczyć na adwokata.

- Jesteś pewien? Nie będziesz potem marudził, że nie wiedziałeś, jakie prawa ci przysługują?

Chłopak lekko pokręcił głową.

- Rozsądny jesteś - uśmiechnął się Severin Heger, siadając. - Urodziłeś się dziewiętnastego kwietnia 1975 roku, zgadza się?

Brage kiwnął głową.

- Pracownik magazynu, kawaler, zamieszkały na Vidars gate 11c?

Kolejne kiwnięcie głową.

- No to teraz możesz mi opowiedzieć trochę o tych papierach.

Brage Håkonsen chrząknął i poprawił się na krześle.

- Jaka kara za to grozi? - spytał cicho.

- Nie myśl teraz o tym. - Severin Heger machnął ręką. - Postawiono ci zarzut popełnienia czynu z paragrafu sto cztery a Kodeksu karnego: „Kto bla-bla... organizacji o charakterze zbrojnym... bla-bla... której celem jest zakłócenie porządku publicznego poprzez sabotaż, stosowanie przemocy lub innych niedozwolonych środków... bla-bla...”. Powinieneś dobrze znać ten paragraf, jesteś przecież taki odcytany. - Popatrzył na spis książek z regału chłopaka i z uznaniem! pokiwał głową. - Do dwóch lat albo do sześciu, to zależy - wyjaśnił, kiedy zrozumiał, że Brage Håkonsen nie powie nic więcej, dopóki nie otrzyma odpowiedzi na swoje pytanie. - Ale na razie się tym nie martw. Po prostu mi powiedz, czy to napisałeś?

Brage Håkonsen patrzył gdzieś przed siebie. Jego oczy straciły już niebieski kolor. Przestał mrugać.

- Sześć lat - szepnął. - Sześć lat.

- Posłuchaj - zwrócił się do niego policjant. - Czy ty trochę za bardzo nie uprzedzasz teraz wydarzeń?

- To są moje papiery - przerwał mu Brage. - Ja je napisałem. Bez niczyjej pomocy. Napisałem to sam.

- No to głupio zrobiłeś - stwierdził Severin Heger cierpko i zaraz

dodał: - Ale sprytnie postępujesz, że od razu się do tego przyznajesz, bardzo sprytnie. Natomiast zabójstwo przewodniczącej parlamentu nie byłoby aż takie sprytnie. - Przerzucił trzy kartki. - A jeszcze głupsze jest to! - Podsunął kolejną Bragemu. - Gotowy plan zabójstwa premier Volter! Przy kasie w supermarkecie Rimi! - Ona tam robi zakupy. To znaczy robiła.

Brage Håkonsen patrzył przed siebie w sposób, kojarzący się Severinowi z marnym filmem, który oglądał w hotelu w Anglii, gdy nie mógł zasnąć. Plaga żywych trupów. Oczywiście było, że chłopak nie chce się rozplakać i stara się udawać rozluźnionego, przez co wyglądał prawie jak lunatyk. Gdyby nie był skuty, ręce prawdopodobnie zwieszałyby się bezwładnie jak wahadła rejestrujące wyłącznie upływ czasu.

- Ale to się nie stało w Rimi - zauważył Severin Heger. - Zginęła we własnym gabinecie.

- Więc ja tego nie zrobiłem - powiedział Brage Håkonsen spokojnie. - To robota kogoś innego.

Severin Heger dosłownie usłyszał krew napływającą mu do mózgu. Jakby całe ciało zrozumiało, że oto teraz nadchodzi ważna chwila. Szum w uszach był tak silny, że mimowolnie przechylił głowę, by lepiej słyszeć, zanim spytał:

- I ty wiesz, kto to zrobił?

- Wiem.

Odgłosy z korytarza świadczyły o tym, że ktoś nadchodzi. Severin przez sekundę gorzko pożałował, że nie wywiesił na drzwiach tabliczki z napisem „Przesłuchanie. Nie przeszkadzać”. Odetchnął z ulgą, gdy kroki minęły drzwi i ucichły w głębi korytarza.

- No więc, kto to był?

Starał się, by jego głos zabrzmiał obojętnie. Sięgnął nawet po własną szklankę z colą, jakby chcąc podkreślić zwyczajność tego pytania. Jakby stale siedział tu, słuchając, co mają; do powiedzenia prawicowi ekstremiści, którzy wiedzą, kto zabił najważniejsze osoby w państwie. Dolał sobie coli. Zapieniła się i przelała górą.

Na twarzy Bragego Håkonsena po raz pierwszy pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

- Wiem, kto to zrobił. Wiem też, kto odesłał broń. W dużej brązowej kopercie, prawda? Z adresem wypisanym czarnym flamastrem, bez znaczka. Kopertę wrzucono do skrzynki na Poczcie Głównej. Zgadza się? Na razie mogę wam powiedzieć tylko tyle, że zrobiły to dwie różne osoby.

Informacji o przesyłce nie podano do wiadomości publicznej. Nawet w komendzie mało kto o tym wiedział. Owszem, wiedziano, że broń się odnalazła, rozpisywały się o tym gazety, ale nie poinformowano, że paczkę nadano na Poczcie Głównej, a już na pewno nie ujawniono, że była w brązowej kopercie, nieofrankowana.

- Zamierzasz mi podać jakieś nazwiska?

- Nie.

Teraz Brage uśmiechał się już naprawdę, a Severin Heger musiał się złapać krawędzi biurka, żeby go nie uderzyć.

- Nie. Wiem, kto zabił premier Volter. I kto wysłał broń. Mogę wam podać dwa nazwiska. Ale nic ode mnie nie wyciągniecie, dopóki nie zawrzemy układu.

- Naoglądałeś się za dużo filmów - syknął Severin.

- W Norwegii takich układów się nie zawiera.

- No cóż. - Brage Håkonsen wzruszył ramionami. - Zawsze kiedyś musi być pierwszy raz. A teraz chciałbym porozmawiać z adwokatem.

19.00

Stolmakergata 15

Czterej synowie Billy'ego T., Alexander, Nicolay, Peter i Truls, wyglądali czarująco w piżamach. Kiedy spali. I tylko wtedy. Poza tym byli ciekawi i zabawni, twardzi i pomysłowi, ale też bardzo, bardzo hałaśliwi. Hanne Wilhelmsen dotknęła ręką czoła. Wydawało jej się, że zrobiła to dyskretnie i szybko.

- Zmęczona? - spytał Billy T., nakładając chochlą owsiankę do miseczek ustawionych przed swoimi czterema potomkami, którzy najwyraźniej również dostrzegli gest Hanne i siedzieli w miarę spokojnie, nie licząc tego, że Peter łąpał Trulsa za udo szczypcami do grilla wyciągniętymi z dolnej szuflady.

- Nie - uśmiechnęła się. - A właściwie trochę.

Dzieci wsypały się do mieszkania wczoraj wieczorem, roze-mocjonowane i głośne. Truls przyszedł w przebraniu Indianina prosto z balu maskowego, trzej starsi w dresach, pod którymi mieli mokre kąpielówki.

- Trochę rozsądku, BillyT! - oburzyła się Hanne. - Przecież jest dopiero kwiecień!

Zawstydzony, mamrocząc coś pod nosem, przebrał chłopców w suche rzeczy, a pióropusz Trulsa powiesił na ścianie. Dalej był jeden ciąg zdarzeń. Hanne nie wiedziała, co było najgorsze. Chyba zawody, które zorganizował Billy T., instalując na suficie karabińczyki z linami, żeby zobaczyć, jak daleko chłopcy zdołają dotrzeć na rękach. Alexander przedostał się z łazienki do kuchni i z powrotem ku wielkiemu aplauzowi młodszych braci i przy wtórce burzliwych

oklasków ojca. Truls spadł po trzecim ruchu. Przed południem byli na pogotowiu, gdzie wsadzono mu rękę w gips.

Bez względu na wszystko ta niebywała aktywność prowadziła przynajmniej do tego, że wieczorem chłopcy zasypiali na stojąco. Truls nie reagował nawet na zaczepki szczypcami. Oczy mu się zamykały. W milczeniu przeżuwał owsiankę, aż w końcu wydawało się, że zasnął.

- Halo! - zawołał wtedy Billy T. - Musisz jeszcze umyć zęby.

Pół godziny później wszyscy spali kamiennym snem.

- Trzy imiona rosyjskich carów, a na deser Truls - powiedziała szeptem Hanne, kiedy sprawdzali, czy wszystko w porządku. - Zawsze się zastanawiałam dlaczego.

- Jego matka uznała, że chłopiec musi mieć porządne i bez wątpienia norweskie imię.

- Właściwie jest duńskie.

- Co?

- Truls. To nie jest imię norweskie, tylko duńskie.

- No cóż, on nie jest taki jak wszyscy. Musiał mieć więc jakieś socjaldemokratyczne skandynawskie imię, żeby nie wypaść poza nawias. Jego matka tak zdecydowała. W ogóle nie wiedziałem o jego istnieniu, dopóki nie skończył trzech miesięcy. Przeszedłem przez niezłe piekło, zanim uzyskałem prawo do widywania się z nim. Ale teraz jest już okej.

Truls rzeczywiście różnił się od braci. Był czarny. Dwaj najstarsi synowie bardzo przypominali ojca. Mieli jasne włosy, gładką cerę i duże niebieskie oczy. Peter, przedostatni, był rudy i piegowaty. Truls natomiast był czarny, tak czarny, że trudno byłoby uwierzyć, iż ma białego ojca, gdyby nie uśmiech. Kiedy rozciągał kąciki ust, był jak skóra zdjęta z Billy'ego T.

- Cudowne dzieciaki, Billy T.! To ci trzeba przyznać. Potrafisz robić dzieci. - Hanne lekko poprawiła kołdrę Nicolaya i spróbowała wyciągnąć Billy'ego T. z pokoju.

On jednak się zatrzymał, przysiadł na dolnym łóżku, na którym Truls spał z otwartymi ustami, osłaniając oczy zagipsowaną ręką jak tarczą.

- Myślisz, że go boli? - spytał. - Dokucza mu to? Może powinienem dać mu coś przeciwbólowego?

- Słyszałeś, co powiedział lekarz. To ładne gładkie złamanie, zrośnie się w ciągu trzech tygodni i nie trzeba mu dawać żadnych tabletek, chyba żeby wyraźnie go coś bolało. A śpi teraz tak smacznie. Niemożliwe, żeby bardzo cierpiał.

- Ale nigdy nie trzyma tak ręki.

Billy T. próbował ułożyć rączkę Trulsa wzdłuż boku, ale natychmiast się poderwała i chłopczyk cichutko jęknął.

- Powinienem mu jednak dać coś przeciwbólowego - stwierdził Billy T. zrozpaczony.

- Nie powinieneś był urządzać tych wyścigów pod sufitem, tyle ci powiem. A przynajmniej położyć coś na podłodze. Materace czy coś takiego. Nie widzisz, że Truls jest delikatniejszy od pozostałych? Na pewno nie będzie taki wielki jak ty.

- Po prostu jest najmłodszy - odparł Billy T. z uporem. - Jest mały, bo ma dopiero sześć lat. Urośnie, przekonasz się.

- On jest mniejszy od innych dzieci, Billy T. Ale to i tak twój syn, mimo że nie jest atletycznym gigantem. Daj spokój!

- Jego matka mnie zabije za tę rękę - mruknął, pocierając twarz. - Uważa, że jestem dla niego za twardy.

- Bo może jesteś - szepnęła Hanne. - Chodź już.

Billy T. nie chciał wyjść. Dalej siedział na brzegu materaca skulony, bo nie mieścił się w przestrzeni między dolnym a górnym łóżkiem. Lekko dotknął dłonią główki chłopca i zaczął gładzić sztywne kręcone włosy.

- Gdyby mu się stało coś poważnego - powiedział cicho. - Gdyby cokolwiek się stało któremuś z moich dzieci, to sam nie wiem...

Hanne ostrożnie przysiadła na łóżku Petera. Delikatnie przesunęła chłopca na bok. Spod kołdry wyłoniła się bielutka jak mleko ręka pokryta milionem rudych plamek. Chłopczyk zakasłał przez sen i zmarszczył czoło.

- Wyobraź sobie, co musiała czuć Birgitte Volter - powiedziała Hanne, nakrywając rękę chłopca kołdrą, bo w sypialni było chłodno.

- Birgitte Volter?

- Tak, kiedy umarło jej pierwsze dziecko, a potem kiedy wszystko rozgrzebano po trzydziestu latach. Wydaje mi się...

Na górnym łóżku poruszył się Alexander.

- Tata!

Billy T. wstał i spytał, o co chodzi. Alexander zamrugał i zmrużył oczy od światła wpadającego przez otwarte drzwi z przedpokoju.

- Pić - wymamrotał. - Coli.

Billy T. się roześmiał i dał znak Hanne, żeby wyszła do pokoju. Sam przyniósł chłopcu szklankę wody i chwilę później usiadł przy Hanne na niebieskiej kanapie.

- O czym ty myślisz? - spytał, sięgając po puszkę z piwem, którą mu podała.

- Powiedziałeś coś, kiedy opowiadałeś mi o Birgitte Volter. O tym dziecku, które umarło. Nie mogę się uwolnić od tej myśli. Spróbuj sobie wyobrazić, co musiała czuć. Z jakiegoś powodu prześladowuje mnie

myśl, że śmierć tego dziecka ma jakiś związek ze sprawą, ale...

Billy T. sięgnął po pilota, żeby nastawić muzykę. Hanne zareagowała w porę. Odebrała mu pilota i położyła go poza zasięgiem jego ręki.

- Przestań, Billy T.! - powiedziała ze złością. - Chyba da się z tobą porozmawiać bez tego ryku dwustu decybeli!

Nie odpowiedział, tylko wypił wielki łyk piwa.

- Może powinniśmy poświęcić trochę czasu na ustalenie, co czuła Birgitte - wróciła do wątku Hanne. - Jakie były jej ostatnie dni. Należałoby zająć się właśnie tym, zamiast wkładać tyle wysiłku w dociekanie, jak czuli się wszyscy inni w chwili zabójstwa! Powinniśmy poświęcić czas na rozszyfrowanie tych słów na liście z nazwiskami. Nowa osoba ze znakami zapytania. Prawda? A jaka była ta druga notatka?

Billy T. nie słuchał jej uważnie.

- No ale ten strażnik - powiedział. - Z tego, co mi wczoraj mówił Severin, jasno wynika, że strażnik jest jakoś w to zamieszany. A w takim razie to w ogóle bez znaczenia, co czuła ta cała Birgitte.

- Jesteś okropny! Przed chwilą mało się nie załamałeś na samą myśl, że coś mogłoby się stać twoim dzieciom, a nagle lodowato podchodzisz do uczuć Birgitte Volter, która naprawdę przeżyła to, o czym ty miewasz koszmary. To się nazywa brak empatii. Powinieneś iść do psychologa.

- Posłuchaj. - Uszczypnął ją w udo. - Nie wygłupiaj się. Mam mnóstwo empatii, tyle że nie posuniemy się w śledztwie o krok, jeżeli będziemy się koncentrować na takich rzeczach.

- A ja uważam odwrotnie. - Hanne odsunęła jego rękę. - Sądzę, że to jedyny sposób na rozgryzienie tej sprawy. Musimy się dowiedzieć,

co ona naprawdę czuła. Jak wyglądał ten jej ostatni dzień, czwartego kwietnia dziewięćdziesiątego siódmego. Dopiero potem będziemy mogli ustalić, jaką rolę odegrał w tym wszystkim strażnik.

- A w jaki sposób Jej Królewska Mość doszła do tego, że tak należy zrobić? - spytał, wstając. - Chcesz kanapkę z makrelą?

Hanne nie odpowiedziała, tylko ciągnęła myśl:

- Nie mogę się pozbyć wrażenia, że śmierć tego dziecka ma większy związek z tą sprawą niż ten skandal ze szczepionkami. Wydaje mi się, że zaślepiają nas te inne zmarłe niemowlęta. Poza tym nie zaprzeczam, że ten strażnik jest ważny. Coś się z nim wiąże. Czy on się urodził w sześćdziesiątym piątym?

- Nie, był o wiele młodszy.

- Tamten staruszek miał rację.

- Kto? - wymamrotał Billy T. z ustami pełnymi makreli w sosie pomidorowym z puszki.

- Taki dziadek, którego spotkałam w parku. Nie myśl o tym. Chyba rzeczywiście zjem kanapkę. Ale muszę się do niej napić mleka.

- Jak sobie chcesz - mruknął Billy T. i otworzył kolejną puszkę piwa.

23.15

Ole Brumms vei 212

- Nie możesz na chwilę usiąść, Per?

Głos miał ochrypliwy od whisky i zbyt wielu wypalonych papierosów. Musiał się oprzeć o podłokietnik, żeby wstać. Nie powinien był tyle pić, ale szukał jakiejś drogi wyjścia z całego tego bólu, a nic innego nie pomagało. Lekarz, który odwiedził go dwa dni temu, wypisał mu receptę na valium, lecz on nie chciał tabletek, uznał, że to przesada. Mocny drink nie jest aż tak groźny. Tyle że tych drinków było już sześć.

Per patrzył na niego z pogardą. Był w dresie, chociaż niemożliwe, żeby biegał. Nie o tak późnej porze i nie tak długo. Minęło już sześć godzin od chwili, gdy Roy Hansen usłyszał, jak drzwi zatrzasują się za synem.

- Pijesz? - splunął Per. - Tylko tego jeszcze brakowało. Niech cię diabli, tato!

Roy Hansen miał już tego dość. Uderzył pięścią w ścianę, przewracając przy tym lampę stojącą przy kanapie. Miała szklany abażur, który rozbił się na tysiąc kawałeczków.

- Siadaj! - krzyknął, ocierając pierś, jakby próbował się spać w wymiętym ubraniu, którego nie zmieniał od dwóch dni. - Siadaj i porozmawiaj ze mną!

Per Volter zdumiony spojrział na ojca. W końcu wzruszył ramionami i usiadł w fotelu naprzeciwko. Roy zajął miejsce na kanapie. Nagle wytrzeźwiał. Przeczesał palcami włosy i przycupnął na brzжку, jakby szykował się do skoku.

- Kiedy wreszcie przestaniesz mnie karać? - spytał. - Nie uważasz, że wycierpiałem już dość?

Syn nie odpowiedział. Bawił się dużą stołową zapalniczką z cyny. Gaz w niej już się skończył i kamień rytmicznie krzesił nieprzydatne iskry.

- Jest mi bardzo źle, Per. Tak jak tobie. Widzę, że cierpisz, i oddałbym wszystko, co mam, żeby ci ulżyć. Ale ty tylko mnie karzesz i odpychasz. Obaj wiemy, że to nie może trwać. Musimy znaleźć... jakiś sposób na rozmowę.

- A co byś mi wtedy powiedział? - spytał chłopak nieoczekiwanie, rzucając zapalniczkę na stół.

Roy odchylił się na kanapie, ręce złożył na brzuchu, jakby się modlił do wyższych mocy z brodą opuszczoną na pierś.

- Powiedziałabym ci, jak bardzo jest mi przykro. Poprosiłbym o wybaczenie. Tego, co było jesienią. Tego z...

- Ruth-Dorthe Nordgarden! - dokończył jadowicie Per. - Nie mnie powinieneś za to przeproszać, tylko mamę. To jej należały się przeprosiny! Ale ona pewnie o niczym nie wiedziała.

- Mylisz się.

Roy Hansen zapalił kolejnego papierosa. Skrzywił się przy tym, jakby dopiero teraz się zorientował, jak bardzo mu nie smakują. A jednak go nie zgasił.

- Twoja matka wiedziała o wszystkim. Jedyne raz w naszym pożyciu zrobiłem coś takiego. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Po prostu... - Wydmuchał dym nosem i spojrzał na syna. - Nie będę ci się z tego tłumaczył. Ale chcę, żebyś wiedział, że o wszystkim powiedziałem Birgitte. Tego dnia, kiedy wróciła do domu ze spotkania w Bergen. Siedziałem tu, na kanapie. Czekałem na jej powrót przez

cały wieczór, aż do drugiej w nocy, bo pojechała najpierw do biura. Kiedy wróciła do domu, wyznałem jej wszystko.

Per patrzył na ojca z miną wskazującą na to, że wątpi w prawdę słów, które przed chwilą usłyszał.

- No i... co ona powiedziała?

- To sprawa między mną a twoją matką. Ale mi wybaczyła. Po jakimś czasie. Na długo przed śmiercią. Ty też powinieneś mi wybaczyć. Chciałbym, żebyś umiał to zrobić, Per.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Za oknem pluskał deszcz. Któraś rynna najwyraźniej ciekła, bo przy północno-zachodnim węgle woda lała się kaskadami. Z daleka dobiegało poszczekiwanie psa. Był to głęboki niepokojący dźwięk przedzierający się przez zwykłe odgłosy wiosennej pogody. Jednocześnie przypominał, że istnieje coś jeszcze. Świat poza tym pokojem, do którego najwyższy czas wracać.

- Kiedy jesienią wrócę do domu, chciałbym mieć psa - oświadczył nagle Per.

Roy poczuł, że ogarnia go niewypowiedziane zmęczenie. Ledwie był w stanie utrzymać oczy otwarte.

- Oczywiście, że możesz mieć psa - powiedział, próbując się uśmiechnąć, lecz nawet to było ogromnym wysiłkiem. - Łowczego?

- Tak. Myślałem o seterze. To prawda?

- Oczywiście, że możesz mieć psa. Jesteś dorosły i sam zdecydujesz.

- Nie o to mi chodziło. Naprawdę powiedziałeś o wszystkim mamie?

Roy zgasił papierosa i lekko odkaslnął.

- Tak. Twoja matka i ja... nie mieliśmy przed sobą tak wielu tajemnic. Oczywiście jakieś tam były, ale niewiele. I dotyczyły raczej

drobiazgów.

Per wstał i wyszedł do kuchni. Roy nie ruszał się z miejsca. Oczywiście miał zamknięte. Jego syn wrócił. Zamierzał mimo wszystko jesienią znów sprowadzić się do domu. Tu, do tego domu, w którym jego rodzina żyła, kłóciła się i kochała od jego narodzin... Może zasnął. W każdym razie wydawało mu się, że minął tylko moment, gdy nagle usłyszał szczęknięcie talerza o stół.

- Mogę wziąć kanapkę? - spytał Roy.

Per nie odpowiedział, ale przysunął talerz do niego.

- Jaka ona właściwie była?

- Mama? Birgitte? - spytał Roy zaskoczony.

- Nie, Liv, moja siostra. Jaka była?

Roy Hansen odłożył nietkniętą kanapkę. Podrapał się w brzuch znów nagle najzupełniej przytomny.

- Liv była cudowna. - Roześmiał się cicho. - Pewnie wszyscy tak mówią o swoich dzieciach, ale ona naprawdę taka była. Taka maleńka, drobniutka i delikatna. Zupełnie inna niż ty. Z ciebie od razu był chłopak, duży i silny. Wrzeszczałeś jak wieprzek, kiedy byłeś głodny. Od pierwszego dnia. A Liv miała dołeczki w policzkach i jasne włosy. Tak, chyba tak. Jasne. Prawie białe.

- Mamy gdzieś jakieś jej zdjęcie?

Roy powoli pokręcił głową.

- Było całe mnóstwo zdjęć - powiedział po chwili. - Ojciec Benjamina Grindego, tego, który, no, wiesz... Jego ojciec był fotografem, a mieszkali tuż obok dziadków, u których z kolei my mieszkaliśmy przez pierwsze dwa lata, zanim... Zrobił mnóstwo zdjęć. Przypuszczam, że Birgitte wszystkie spaliła. W każdym razie żadnego od tamtej pory nie widziałem. Ale... - Spojrzał na syna, który też nie

tknął kanapek, tylko siedział i patrzył na niego ze zdziwioną, wręcz zakłopotaną miną. - Coś może być na strychu - ciągnął Roy. - Któregoś dnia wszystko przejrzę, trochę posprzątam. Chyba w końcu wrócę też do pracy. Może we wtorek albo w środę. A ty kiedy wracasz do szkoły?

- Niedługo.

W milczeniu zjedli po cztery kanapki, popili mlekiem i kawą. Od czasu do czasu na siebie spoglądali. Roy za każdym razem się uśmiechał, a Per natychmiast odwracał głowę. Ale to już nie było takie przykre. Nienawiść bijąca mu z oczu zniknęła razem z burzą, splukana przez deszcz, który bębnił teraz w wielkie panoramiczne okno wychodzące na ogród.

- Gdzie Liv jest pochowana, tato? Jest jakiś nagrobek?

- Na Nesodden. Zabiorę cię tam kiedyś.

- Niedługo, dobrze?

- Dobrze, synku. Możemy tam niedługo pojechać.

Kiedy Per szedł spać, nie powiedział ojcu dobranoc, ale chyba już niedługo to również miało się zmienić.

Poniedziałek, 19 kwietnia 1997

09.00

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

Billy T. w zadziwiający sposób polubił te wielkie odprawy. Zwykle nienawidził takich spędów, ale rzeczywiście było coś wyjątkowego w zebraniach szefów różnych grup śledczych odbywających się dwa razy w tygodniu. W ten sposób zbierali wątki i koordynowali działania, ale z czasem odprawy rozwinęły się również w coś w rodzaju forum dyskusyjnego. Uczestniczyli w nich wszyscy, nawet Tone-Marit Steen, chociaż właściwie nikt nie rozumiał dlaczego, bo przecież nie kierowała żadną grupą, przynajmniej formalnie. Sama przyznała sobie jakąś funkcję, która do niej pasowała. Nie bała się wypowiadać, była dokładna i umiała ogarnąć całość. I nikt nigdy nie protestował, kiedy się pojawiała.

Jedyną osobą, która zazwyczaj mało się odzywała i zawsze sprawiała wrażenie, że ukrywa coś przed innymi, był szef służby bezpieczeństwa, lecz właściwie niczego innego nie mogli się spodziewać. Tego dnia ich szeregi powiększyły się o prokurator okręgową, ale Billy T. postanowił, że nie pozwoli, by popsuł mu humor widok zaciętej twarzy osoby, którą uważał za najbardziej zajadłą kobietę na świecie. Była przecież świetna w swojej robocie, nudna i uparta. I uczyniła cnotę z nieulegania wpływom opinii jakiegokolwiek żywej istoty o czymkolwiek. Teraz siedziała, przerzucając jakieś dokumenty. Ze złością popatrzyła na Billy'ego T., kiedy wszedł do sali, i nawet nie skinęła mu głową. W porządku, jak sobie chce. On też się

nie przywitał.

Z termosu nalał gorącej wody do białej filiżanki z nadrukiem „Kantyny państwowe”, włożył do niej torebkę z herbatą na dokładnie półtorej minuty, co sprawdził na zegarku, po czym ją wyjął, wycisnął palcami i wrzucił do kosza na śmieci stojącego w kącie. Woda nie była wrząca, herbata nie miała smaku.

W końcu zjawili się wszyscy z wyjątkiem prokuratora policji Hakona Sanda. Nikt nie wiedział, gdzie mógł się podziać, a od wyznaczonej pory zebrania minęło już dziesięć minut. Komendant nie chciał dłużej czekać.

- Zeszły tydzień przyniósł nam kilka niespodzianek - zagaił. - Billy T., zaczniesz?

Billy T. odstawił filiżankę i przeszedł na koniec stołu. Oparł się o ścianę, trzymając ręce za plecami.

- Wyeliminowaliśmy ze sprawy rodzinę - zaczął. - Per Volter, syn ofiary, ma stuprocentowe alibi. Oczywiście sprawdzaliśmy teorię spisku, w którym mógł uczestniczyć, zakładającą, że nie musiał być obecny w gabinecie, kiedy padł strzał, ale nie ma kompletnie żadnych punktów zaczepienia przemawiających za taką ewentualnością. A jeśli chodzi o broń... Kiedy okazało się, że należy do Pera, jeszcze raz przerobiliśmy teorię spisku. Doszliśmy wyłącznie do wniosku, że w jakimś momencie musiała zostać skradziona rodzinie. - Odepchnął się rękami od ściany i zakołysał na palcach, wbijając wzrok w podłogę. - Per Volter to bardzo nieszczęśliwy młody człowiek, którego życie w jednej chwili stanęło na głowie. Ale żeby miał być mordercą? Ja w to nie wierzę. Roya Hansena również możemy nie brać pod uwagę. Omawiałem to już wcześniej... - Spojrzał na komendanta, który lekko kiwnął głową. - Raczej nie zdołałby przemknąć obok strażników, zabić

żony, a później przesłać nam broni należącej do syna. Poza tym wiemy, że o osiemnastej czterdzieści odebrał telefon od swojej matki. Potwierdzają to billingi. Już samo to powinno go wyeliminować. Jak wiadomo, mieszkają w Groruddalen, a do zabójstwa musiało dojść mniej więcej o tej porze. Chociaż... - Znów spojrzał na komendanta, który jeszcze raz kiwnął głową, teraz już ze złością. - Mało przyjemne jest rozgrzebywanie takich spraw, należałoby jednak wspomnieć, że Roy Hansen zeszłej jesieni miał mały... skok w bok. Z minister zdrowia Ruth-Dorthe Nordgarden.

Podniósł się lekki szum i nawet na twarzy prokurator okręgowej ze staroświeckimi okularami w stalowych oprawkach ukazał się wyraz lekkiego zainteresowania.

- Romans nie trwał jednak długo i bardzo wątpię, by mógł się stać motywem zabójstwa. - Billy T. ruszył na swoje miejsce, ale w połowie drogi się zatrzymał. - Rodzina Volter-Hansen to całkiem zwyczajna norweska rodzina. Miała swoje radości i smutki, swoje mroczne tajemnice, jak my wszyscy. A jeśli chodzi o tę aferę szczepionkową... - Poglądził się po czaszce. Ten gest zawsze oznaczał u niego rezygnację. - To chyba inni powinni ją ocenić. Osobiście muszę tylko powiedzieć, że... - Sobotnia rozmowa z Hanne przewinęła mu się w głowie jak wideo w przyspieszonym tempie. - Jeżeli ta afera szczepionkowa ma związek z zabójstwem, to chyba raczej nie w całości. Birgitte Volter była w tym czasie młodzusięnką mamą. Bez względu na to, jak głośno będą krzyżeć politycy... Podkreślam: jeżeli zgony niemowląt w sześćdziesiątym piątym mają jakikolwiek związek z zabójstwem pani premier, to uważam, że powinniśmy szukać czegoś, co dotyczy jej córeczki. Ale, prawdę mówiąc, osobiście w to nie wierzę. - Usiadł i już pod nosem mruknął, bo te słowa nie były przeznaczone dla niczyich

uszu: - Strażnik. On to zrobił.

Siedząca obok niego Tone-Marit Steen nie zdołała powstrzymać się od uśmiechu.

- Widzę, że się nie poddajesz - szepnęła, wstając na znak komendanta. - Billy T. nie wspomniał o samej broni - ciągnęła, tym razem już głośno. - O naganie, z którego dokonano zabójstwa. Wiemy już z całą pewnością, że należał do Pera Voltera. Sprawdziliśmy szafkę z bronią u nich w domu. Były na niej odciski palców całej rodziny, co uważamy za najzupełniej naturalne. Poza tym w domu prawie w ogóle nie było odcisków palców. Ale w tym nie ma nic dziwnego, skoro Ministerstwo Spraw Zagranicznych napuściło na męża pani premier najlepszą firmę sprząającą w mieście, zanim nam udało się przeszukać mieszkanie. - Tone-Marit zrobiła znaczącą pauzę. - Obsuwa, tak bym to nazwała. I myślę, że na razie musimy poprzestać na stwierdzeniu, że broń w taki czy inny sposób została skradziona z mieszkania, mimo że nie ma żadnych śladów wskazujących na włamanie. Gorzej, że nie możemy nawet w przybliżeniu ustalić daty tej kradzieży, ponieważ Per nie zaglądał do swojej szafki od Bożego Narodzenia. - Przysiadła na brzegu stołu, obróciła się do innych uczestników spotkania. - Billy T. bardzo się uczeplił tego strażnika z budynku rządowego - powiedziała, uśmiechając się do niego. - A ja, prawdę mówiąc, się z nim zgadzam. Coś mi tu brzydtko pachnie, chociaż nie wiem jeszcze co. Nikt z nas nie wie. Ale jestem przekonana, że ten chłopak kłamał. Wielka szkoda, że umarł. Postąpił wobec nas bezlitośnie.

Ktoś się roześmiał, ale prokurator okręgowa skarciła ją ostrym spojrzeniem. Tone-Marit przywdziała więc maskę udawanej powagi i puściła oko do Billy'ego T.

- Wiemy, że strażnik był na miejscu zdarzenia. To nie jest bez znaczenia, ponieważ naszym największym problemem oprócz znalezienia logicznego motywu jest znalezienie sposobności do zabicia premier Volter. Dlatego dalej sprawdzamy, czy nie był powiązany z jakimś konkretnym środowiskiem. Akurat w tej kwestii wyobrażałabym sobie bliższą współpracę... nieco większą pomoc... ze strony... - Prowokująco spojrzała na szefa służby bezpieczeństwa, który siedział nieruchomo jak sfinks.

Billy T. nie krył podziwu. Tone-Marit rzeczywiście nie bała się nikogo ani niczego.

- A jeśli chodzi o Benjamin Grindego - dodała, przenosząc wzrok na komendanta - to mam się zająć nim także czy może naczelnik Biura Kryminalnego?

Komendant popędził ją zniecierpliwionym gestem, ciągnęła więc:

- Najpierw to pudełeczko na leki. Były na nim odciski palców Birgitte Volter, Wenche Andersen i Benjamin Grindego. Na wierzchu. A to oznacza, że pudełeczko najprawdopodobniej musiało trafić w ręce Grindego stosunkowo niedawno. Potwierdzają to również zeznania Wenche Andersen. W środku odcisków palców nie było. Jakie znaczenie ma to puzderko i czy w ogóle jakieś ma, oczywiście trudno stwierdzić. - Potarła czoło palcem i znów spojrzała na komendanta. - Wiele bym dała za list samobójczy Grindego, bo on bez najmniejszych wątpliwości popełnił samobójstwo. Nie ma absolutnie żadnych śladów włamania do mieszkania, nic nie wskazuje na stosowanie przemocy czy jakiegokolwiek formy przymusu. W środku panował porządek, a w kominku leżał popiół świadczący o tym, że sędzia miał na tyle przytomności umysłu, by pozbyć się najbardziej osobistych papierów. Dokumenty, które przynosił z pracy do domu,

leżały starannie ułożone na wierzchu, tak by osoba, która je przejmie, nie miała najmniejszego problemu. Ale listu pożegnalnego nie zostawił. Co właściwie jest bardzo niezwykle.

- Może nikomu nie był winien żadnego wyjaśnienia - zauważył cicho komendant.

Tone-Marit podniosła głowę znad swoich notatek, niedużej kartki z hasłami, które trzymała w lewej ręce.

- Czasami się stykamy z podobnymi przypadkami - ciągnął komendant, kładąc ręce na stole. - Możemy to nazwać uporządkowanymi samobójstwami. Czystymi. Wszystko załatwione, ułożone, brak jakichkolwiek luźnych końców. Po prostu finał życia. Jego przerwanie, odcięcie. Jakby nigdy nie trwało. To smutne przypadki, bardzo smutne.

- No, ale przecież matka... Poza tym miał przyjaciół. Bardzo bliskich przyjaciół.

- Ale czy był im coś winien?

Komendant się ożywił, a Billy T. musiał ukryć zdziwienie. Kiedy komendant przejął władzę kilka miesięcy temu, Billy T. jak większość jego kolegów był do niego nastawiony sceptycznie. Facet miał bardzo niewielkie doświadczenie w pracy operacyjnej, w ogóle krótko pracował w policji, zaledwie dwa lata na początku lat siedemdziesiątych jako marny posterunkowy w Bodo. Przez jedenaście lat zaś był sędzią sądu okręgowego, co niezbyt mogło się przydać do kierowania największą i zajmującą się największą liczbą spraw komendą okręgową policji w kraju. On jednak coraz bardziej odnajdywał się na tym stanowisku. A w ciągu ostatnich dwóch tygodni zaimponował wszystkim. Zjednoczył podwładnych, uświadomił im, że stanowią jedną drużynę. Pracowali, dopóki nie padli, i wciąż nikt się

nie skarżył na nieopłacane nadgodziny. Prawdziwy menedżerski wyczyn.

- Samobójstwo to bardzo interesujący temat - ciągnął komendant, prostując się na krześle ze świadomością, że wszyscy go słuchają. - Ponury, ale bardzo interesujący. Z grubsza można powiedzieć, że różnica między nami wszystkimi, którzy od czasu do czasu w ciężkich chwilach myślimy o targnięciu się na swoje życie...

Uśmiechnął się jakimś nowym chłopięcym uśmiechem. Tone-Marit wydał się nagle wręcz pociągający w odprasowanej koszuli od munduru, której rękawy wbrew regulaminowi podwinął. Miał w sobie jakąś młodzieńczość, a jednocześnie wielką siłę.

- ...różnica między nami a tymi, którzy decydują się na ten krok, polega na tym, że my się zastanawiamy, jak taka śmierć wpłynie na najbliższych. Mamy świadomość strasznej tragedii, jaką byłby ten czyn dla tych, którzy zostaną. Zaciskamy więc zęby, a kilka miesięcy później życie zaczyna wyglądać jaśniej. Natomiast...

Wstał teraz i podszedł do okna. Deszcz zaczynał ustawać, ale ciężkie chmury wisiały nisko nad ogromnym szarozielonym trójkątnym trawnikiem rozpościerającym się między budynkiem policji, więzieniem a ulicą Gronlandsleiret. Komendant zdawał się szukać jakiegoś ukrytego szyfru we wzorze układającym się z kropli na szybie.

- Natomiast osoba, którą możemy nazwać prawdziwym kandydatem na samobójcę, myśli inaczej. Uważa, że życie tych, którzy ją kochają, stanie się lepsze, jeżeli ona wybierze śmierć, uwalniając ich od ciężaru, jakim jest dla nich. Niekoniecznie musi się to wiązać z konkretnymi złymi uczynkami. Po prostu wewnętrzny ból staje się tak nieznośny, że człowiek zaraża nim tych, którzy go kochają. I sprawia,

że życie dla wszystkich staje się nie do wytrzymania. Dlatego wybierają śmierć.

- O rany! - Billy T. prawie krzyknął, chociaż wcale tego nie chciał, ale jeszcze nigdy nie słyszał, żeby któryś ze zwierzchników wypowiedział słowo „kochać”.

- Weźmy więc Grindego - ciągnął komendant, nie zważając na ten krótki przerywnik. - Człowiek, który odniósł sukces, niezwykle zdolny, bardzo szanowany, i to w szerokich kręgach. Ma liczne zainteresowania, dobrych przyjaciół. Nagle coś się dzieje. Coś tak strasznego... Musiał podjąć tę decyzję po głębokim namyśle. Sam załatwił leki, zostawił swoje sprawy uporządkowane. Jego ból musiał być nieznośny. Ale co go wywołało?

Odwrócił się gwałtownie, rozkładając ręce, jakby zachęcając do wspólnego wymyślania przyczyn samobójstwa mężczyzny, o którym w zasadzie niewiele wiedzieli.

- Nie wspomniałeś o honorze, szefie - zauważył Billy T. cicho.

- O czym?

Komendant intensywnie się w niego wpatrywał. Coś zapłonęło mu w oczach. Billy T. natychmiast pożałował, że w ogóle otworzył usta.

- O honorze - mruknął jednak. - Tak jak w „Madame Butterfly”.

Naczelnik Biura Kryminalnego siedział z otwartymi ustami, jakby w ogóle nie miał pojęcia, o czym rozmawiają.

- „Niechaj z honorem umiera ten, komu los nie pozwolił żyć z honorem”. Mniej więcej coś takiego - powiedział Billy T., a gdy zrozumiał, że może mówić dalej, lekko podniósł głos: - Kiedy ludzie ze szczytów władzy zostaną przyłapani z palcami w torcie albo ze spuszczoneymi spodniami, zdarza się, że odbierają sobie życie. Z reguły mamy na ten temat swoje zdanie, prawda? Myślimy, że facetowi było

głupio, upadek byłby zbyt duży i tak dalej, i tak dalej. Najczęściej takie samobójstwa uznajemy za dowód winy. Człowiek zrobił coś bardzo złego i nie ma siły stawić światu czoła. Ale to wcale nie musi... Nie zawsze musi być właśnie tak! Ktoś może po prostu nie wytrzymać życia w dyshonorze. Bez względu na to, czy jest winny, czy nie.

- Albo na przykład - ośmieliła się przerwać mu Tone-Marit Steen - kandydat do samobójstwa mógł zrobić coś, co jest godne potępienia pod względem moralnym, choć niekoniecznie karalne. W tych kategoriach ten sam czyn może być oceniany różnie przez różne osoby. Jeden po prostu wzruszy ramionami, natomiast dla kogoś, kto ma wyjątkowo wysokie standardy moralne, może to...

- Z całym szacunkiem, komendancie! - Szef służby bezpieczeństwa Ole Henrik Hermansen, który do tej pory siedział niemal zupełnie nieruchomo, studiując skórki przy własnych paznokciach, uderzył pięścią w stół. - Nie wydaje mi się celowe siedzenie tu i analizowanie w godzinach pracy, których stale nam brakuje, mniej lub bardziej ulotnych myśli związanych z zagadką samobójstwa. Są pewne granice!

Kącik ust mu zadrgał, a skóra na twarzy przybrała odcień ciemniejszy niż zwykle. Czubek stopy gwałtownie drżał, gdy patrzył wyzywająco na komendanta.

A komendant się uśmiechnął. Był to jednak grymas takiej wyniosłości, że nawet naczelnik Biura Kryminalnego nie miał wątpliwości, że jest to nagana, w dodatku niepozbawiona dużej dawki arogancji. Hermansen miał teraz buraczkowe policzki, ale wstał, żeby powiedzieć coś jeszcze. Obiema rękami przytrzymał się stołu, jakby był jedyną w tym pomieszczeniu osobą o zdrowych zmysłach i musiał mocno trzymać się rzeczywistości.

- Jeśli moglibyśmy teraz odłożyć na bok te wysoce nieprecyzyjne

teorie - oświadczył twardo, ale głos mu się załamał - to mam naprawdę sporo do powiedzenia.

Pozostali popatrzyli po sobie. Jakiś nowy ton. Może właśnie tego było potrzeba: filozoficznych wywodów o głębszych przyczynach samobójstwa? Nagle Ole Henrik Hermansen chciał mówić!

- Bardzo proszę. - Komendantowi uśmiech nie schodził z twarzy.

- Wobec tego zacznę od przeprosin. - Hermansen przyklepał włosy.

- Zdaję sobie sprawę, że niektórzy z was czuli się nieco... niedoinformowani, jeśli można tak powiedzieć. Pozwolę sobie prosić o wyrozumiałość, ale było to konieczne. Wiem, że w komendzie zdarzają się przecieki do prasy. Mimo wszystkich zakazów. Dlatego wiele informacji musieliśmy zachować dla siebie. - Odsunął krzesło i przeszedł na drugi koniec stołu. - Uznaję teraz konieczność rozległego briefingu, ponieważ mam wrażenie, że wasze śledztwo... porusza się we wszystkich kierunkach, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Natomiast my chyba osiągnęliśmy coś, co uważamy za przełom.

- O, cholera! - wyrwało się Billy'emu T.

- Wycieczka w bardziej duchowe rejony istnienia spowodowana przez komendanta była bardzo interesująca, ale nic nie może się równać z namacalnymi dowodami. To jednocześnie oznacza - ciągnął Hermansen - że informacje, które teraz otrzymacie, należy potraktować z największą ostrożnością. Istnieje ryzyko, że jeśli coś wycieknie, całe nasze śledztwo rozpadnie się jak domek z kart i znów zostaniemy na lodzie.

- Mniej więcej tak jest przez cały czas - mruknął Billy T., ale zamknął się, kiedy Tone-Marit kopnęła go w łydkę.

- Nas bardzo zainteresował fakt, że ostatnia rozmowa, jaką Birgitte Volter przeprowadziła przed śmiercią, dotyczyła tego, co teraz

ochrzczone aferą szczepionkową. Z niemalą ciekawością czytaliśmy gazety w ostatnich dniach.

A więc tym się zajmujecie, pomyślał Billy T. Do cholery, nie robicie nic innego oprócz czytania gazet, wycinania, wklejania i zbierania! Mądrze jednak to przemilczał. Zresztą piorunującego spojrzenia Tone-Marit nie dało się błędnie odczytać.

- Ale nie o to chodzi. Większość spraw, o których piszą gazety, była nam znana już wcześniej. Poza tym wiemy więcej.

Teatralnie zawiesił głos, wyraźnie rozkoszując się chwilą. Wszyscy wpatrywali się w niego z uwagą. Nareszcie ktoś coś miał. Coś konkretnego.

- W latach 1964-1965 część krajów sojuszu utrzymywała ograniczone relacje handlowe z NRD - zaczął Hermansen głośno i zaczął przechadzać się w jedną i drugą stronę przed słuchaczami jak wytrawny profesor. - Było to ogniwo większej operacji reżyserowanej przez Amerykanów, a wiążącej się z wymianą więźniów ze Wschodu i Zachodu. Niemcy z NRD postawili warunek umożliwienia im importu partii brakujących u nich towarów i eksportu niektórych wytwarzanych przez nich na Zachód. Dzięki temu mogli uzyskać i towary, i walutę.

Billy T. nie bardzo rozumiał, do czego to wszystko zmierza, i niecierpliwie zaczął bębnić palcami o blat, aż poczuł na sobie karcący wzrok komendanta. Natychmiast znieruchomiał.

- Norwegia zadeklarowała możliwość eksportu rudy żelaza i przyjęcia między innymi produktów farmaceutycznych. Faktycznie granicę między Wschodem a Zachodem przekraczało wtedy całkiem sporo towarów. Ale w szczególności nie musimy się wdawać. Ważne jest, by pamiętać, że uczyniono to we współpracy z naszym bliskim

sojuszniakiem, Stanami Zjednoczonymi, a przyświecał temu szczytny cel: umożliwienie powrotu do ojczyzny zachodnim agentom i aresztowanym dyplomatom. Stany uprawiały taki handel na znacznie większą skalę niż my, chociaż był on niezgodny z doktryną Trumana, i oczywiście głośno się o tym nie mówiło. Ale najistotniejsze, że - przysiadł, wyjątkowo się rozluźniając, na oparciu krzesła z nogami na siedzeniu - NRD w tym czasie jeszcze nie uznawano za osobne państwo. Nastąpiło to dopiero w roku 1971. NRD stanowiła niesłychanie zamknięty system, a najgorsze według nas było to, że nie miała czym płacić.

Teraz komendant w zdziwieniu uniósł brwi.

- Ale przecież - zaprotestował ostrożnie - mieli jakiś system monetarny.

- Oczywiście. Ale ile warta była marka wschodnioniemiecka? Zero przecinek nic. Dla nas rozwiązaniem stała się wymiana towarowa. Amerykanie mieli gorzej, bo Niemcy ze wschodu żądali gotówki. Pod wieloma względami można powiedzieć, że Stany Zjednoczone zwyczajnie kupiły wolność dla swoich ludzi. I to za duże pieniądze. A poza tym kosztem swoich najważniejszych zasad polityki zagranicznej, w której myśl wymianę handlową można prowadzić jedynie z systemami funkcjonującymi w miarę przyzwoicie pod względem praw politycznych i ogólnie praw człowieka.

- Jakby kiedykolwiek sami ich przestrzegali - mruknął Billy T., ale znów nikt nie zwrócił na niego uwagi. - Jaki to, do cholery, ma związek z Birgitte Volter?

- Oczywiście służba bezpieczeństwa nie angażowała się w transakcje handlowe - ciągnął Hermansen, nie zważając na jego słowa. - Ale informowano nas o nich na bieżąco. Było to niezbędne,

ponieważ musieliśmy obserwować pewną liczbę obywateli NRD. Nie muszę chyba mówić, że mamy sporo teczek z tamtego okresu. - Zeskoczył z krzesła i znów zaczął chodzić w jedną i w drugą stronę. - Dziś musimy się przyjrzeć jednemu z tych obywateli NRD, którym nie założyliśmy teczek. A raczej: byłemu obywatelowi NRD Kurtowi Samuelsenowi, urodzonemu w styczniu 1942 w Grimstad. Jego matka była Norweżką, nazywała się Borghild Samuelsen, ojcem - nieznanym z nazwiska żołnierz Wehrmachtu. Chłopiec zaraz po urodzeniu trafił do domu dziecka i rok później w ramach programu Lebensbornu został wysłany do Trzeciej Rzeszy. Potem... - Nagle Hermansen przerwał dreptanie po podłodze. Stał na lekko rozsuniętych nogach, trochę jak w pozycji spoczynkowej, i jeszcze założył ręce za plecy. - Po wojnie Kurt Samuelsen znalazł się w sektorze wschodnim. Nikt o nim nie słyszał, nikt o niego nie pytał. Co prawda około roku pięćdziesiątego matka podjęła nieśmiało próby odnalezienia syna, ale nie było chętnych do pomocy kobiecie, którą w czterdziestym piątym ogolono na łyso i skazano na trzy miesiące więzienia za konszachty z Niemcem. Ale w roku 1963 Kurt Samuelsen podczas wyjazdu do Paryża zostaje za granicą. Ma dwadzieścia jeden lat, jest bardzo obiecującym studentem chemii. Przychodzi do ambasady norweskiej i oświadcza, że jest Norwegiem.

- Norwegiem?

Nikt nie spojrział na naczelnika Biura Kryminalnego. Wszyscy chcieli dalej słuchać opowieści Hermansena.

- Tak. Ma dokumenty i inne dowody świadczące o tym, że naprawdę jest Kurtem Samuelsenem. Otrzymuje zezwolenie na wjazd do Norwegii i przy wtórze wielkiego szumu medialnego łączy się z matką. W sześćdziesiątym trzecim nawet zatwardziali uczestnicy

ruchu oporu potrafili się cieszyć z tak wzruszającego spotkania matki i syna. No cóż. Kurt Samuelsen dostał się na Uniwersytet w Oslo, do Instytutu Farmacji. Był świetnym studentem i dyplom zrobił w wieku zaledwie dwudziestu czterech lat. Dyplom z farmakochemii, należy zauważyć, nie z farmacji. Po zaledwie półrocznym pobycie w kraju mówił świetnie po norwesku, co w niezwykle sposób w jego matce umocniło przekonanie, że to naprawdę jej zaginiony syn.

Hermansen nagle urwał i nie pytając nikogo o zgodę, zapalił papierosa. Z kieszeni wyjął popielniczkę z pokrywką, którą położył na stole. Zaciągnął się głęboko, uśmiechnął się zadowolony i podjął:

- Wszystko układało się świetnie. Tyle że już w sześćdziesiątym ósmym Kurt Samuelsen wrócił do wschodnich Niemiec, nie informując o tym matki. I od tamtej pory wszelki śluch po nim zaginął.

Teraz nawet Billy T. milczał, poprzestając na lekkim cmoknięciu.

- Prawdę mówiąc, przeszkadza mi dym - odezwała się nagle Tone-Marit. - Mógłbyś zgasić tego papierosa?

Szef służby bezpieczeństwa popatrzył na nią z kwaśną miną, ale usłuchał.

- Kiedy matka zmarła w siedemdziesiątym drugim, rodzina nie mogła go odnaleźć. Oczywiście sprawę starano się zbadać i w końcu zachodnie służby wywiadowcze w osiemdziesiątym siódmym przypadkiem natrafiły na niego w Bułgarii. Wyjaśniło się wówczas, że nie był to żaden Kurt Samuelsen, tylko niejaki Hans Himmelheimer. Prawdziwy Kurt Samuelsen stale mieszkał w Karl-Marx-Stadt, obecnie Chemnitz, i jego noga nigdy nie postąpiła poza granicami NRD, nawet po zjednoczeniu. I teraz dochodzimy do najbardziej interesującego momentu. - Odruchowo sięgnął po kolejnego

papierosa, ale w porę się zorientował i go nie zapalił. - Na Hansa Himmelheimera zwróciła nam uwagę nasza niemiecka odpowiedniczka. Znaleźli jego nazwisko po otwarciu archiwów STASI. Nasz miły Himmelheimer jest obecnie głównym farmaceutą w gigantycznym niemieckim koncernie. Możecie zgadywać w którym.

- Pharmamed - odpowiedzieli Tone-Marit, Billy T. i komendant chórem.

- Oczywiście. Dawniej Pharmamed, tak jak cały przemysł, był własnością reżimu, ale w przeciwieństwie do wielu innych wschodniemieckich przedsiębiorstw Znakomicie poradził sobie z procesem prywatyzacji. Firma między innymi jako jedyna na świecie produkuje jednorazowe igły, które łamią się po pierwszym użyciu. To patent wart złota w dzisiejszych czasach AIDS. A Hans Himmelheimer odwiedził Norwegię jeszcze w marcu bieżącego roku.

- Co?! - Komendant rozłożył ręce, ale Hermansen szybko go uciszył.

- Zaczekaj! Był tutaj na kongresie w Oslo Plaza. Spędził w tym hotelu cztery doby. Pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Śmiało posunięcie, moim zdaniem. Istniało wielkie ryzyko, że ktoś go rozpozna. Przecież mieszkał w Norwegii pięć lat!

Do tej pory Ole Henrik Hermansen wyraźnie napawał się triumfem, wszyscy to widzieli. Ale zasłużył na to. Jego relacja była naprawdę ekscytująca. Poza tym opowiadał w dobrym stylu. Nagle jednak pojawiła się w nim jakaś niepewność. Nikomu nie patrzył już w oczy, nerwowo bawił się papierosem.

- Nasi analitycy twierdzą, że sprawa szczepionek jest wyjątkowo szkodliwa dla Pharmamedu i to wcale nie dlatego, że firmę można pociągnąć do odpowiedzialności. Prawdopodobnie po prywatyzacji

spółka jest już zupełnie innym podmiotem pod względem prawnym. Ale chodzi o samą nazwę...

Nikt nie spytał, co ma na myśli, chociaż nikt tego nie rozumiał.

- O nazwę Pharmamed. Po upadku muru firma znakomicie się rozwijała. Dziś jest warta wiele miliardów i nadal nazywa się Pharmamed. Muszę szczerze przyznać, że sam nie bardzo rozumiem, dlaczego po prostu w najgorszym razie nie mogą zmienić tej nazwy, ale podobno wiąże się to z ogromnymi kosztami. A poza tym jest dość trudne. Ugruntowane na rynku marki są warte krocie, tak mi tłumaczono, a ta afera może oznaczać katastrofę dla firmy z branży, w której tak istotne jest zaufanie. Wróćmy więc do naszej pierwotnej teorii - Hermansen mocno potarł twarz; policzki mu się zaróżowiły, ale po raz pierwszy tego dnia wyglądał na zmęczonego - dotyczącej szala. - Dał znak naczelnikowi Biura Kryminalnego, żeby przygasił światło, i położył arkusz folii na rzutniku.

Rysunek przedstawiający mężczyznę bez twarzy stojącego za Birgitte Volter z oczami zasłoniętymi szalem i rewolwerem przyłożonym do skroni, ten, który wszyscy widzieli już pierwszej soboty po zabójstwie, nagle nabrał nowego znaczenia.

- Załóżmy, że mieliśmy rację. Ze wcale nie chodziło o zabicie Birgitte Volter, tylko o zaszantażowanie jej. A co mogło zadziałać skuteczniej niż...

- ...niż pokazanie jej, że zdołali się dostać do jej domu i niepostrzeżenie ukraść nagana! - Billy T. prawie krzyknął.

- Ale przecież... - zaczął się jąkać naczelnik. - Przecież ona miała zasłoniętą twarz. Nie mogła widzieć nagana.

Szef służby bezpieczeństwa spojrział na niego z rezygnacją.

- Zabójca mógł go jej najpierw pokazać. Tak jak mówiłem

poprzednim razem, kiedy oglądaliśmy ten rysunek, szala użyto, żeby jeszcze bardziej ją wystraszyć. Z tej teorii wynikałoby, że została zabita przez przypadek. Głównym celem było zmuszenie jej do wstrzymania lub choćby ograniczenia prac komisji Grindego.

- Możesz mieć rację - mruknął Billy T. - Cholera, możesz mieć rację.

Poziom hałasu wzrósł, gdy uczestnicy zebrania jeden przez drugiego zaczęli dyskutować o nowym i, łagodnie mówiąc, zaskakującym obrocie, jaki przybrała sprawa. Szef służby bezpieczeństwa popatrzył na nich z powątpiewaniem i najwyraźniej nie czuł radości, że musi im przerwać.

- Niestety, muszę dodać, że nie jest to jedyny ślad, nad którym pracujemy. Wczoraj w sprawie nastąpił jeszcze jeden zwrot.

Zapadła cisza.

- Co?! - zawołała Tone-Marit Steen. - Czy to ma jakiś związek z tym, o czym rozmawialiśmy?

- Z zabójstwem premier Volter tak. Z Pharmamedem nie.

Krótko streścił udział Bragego Håkonsena w całej sprawie. Zajęło mu to siedem minut, włącznie z przekazaniem informacji o katastrofie samolotowej, której przyczyn wciąż nie wyjaśniono - służby nadal nie wiedziały, czy była sabotażem skierowanym przeciwko Goranowi Perssonowi - o przyjeździe Tagego Sjögrena do Norwegii w krytycznym momencie, o dość imponującym magazynie broni Bragego Håkonsena i jego w zasadzie gotowych planach zamachów na szesnaście wymienionych z nazwiska osób z elit politycznych, których nie łączyło nic oprócz tego, że albo stali na szczytach władzy, albo też wyrażali się serdecznie o nowych Norwegach. W końcu westchnął głośno i dodał:

- Chętnie uznałbym tego Håkonsena za szalonego marzyciela. Moi chłopcy twierdzą, że jest zbyt wielkim tchórzem, by kiedykolwiek dokonał zabójstwa. Mógł się przecież zacząć ostrzeliwać w chwili zatrzymania, bo znajdował się w pomieszczeniu, w którym było dość broni do wyposażenia oddziału komandosów, ale on się nie odważył. Twierdzi jednak... - Szef służby bezpieczeństwa znów wstał. Wydawało się, że zeszywniał. Wszyscy zaczęli być zmęczeni. Spotkanie trwało już blisko trzy godziny i niejeden chętnie napiłby się kawy i zapalił papierosa. - Twierdzi jednak, że wie, kto to zrobił. I chyba mówi prawdę.

Dodał, że Brage Håkonsen ze szczegółami opowiedział o sposobie dostarczenia rewolweru.

- To znaczy, że on wie więcej niż my! - zawołała Tone-Marit. - Godzinami oglądaliśmy nagrania z monitoringu na Poczcie Głównej. Nie widać na nich niczego interesującego. Skoro już mają te kamery, to powinni chociaż zatroszczyć się o jakość nagrań, żeby to się do czegoś mogło przydać.

- Brage twierdzi więc, że wie, kto to zrobił. Ale chce z nami zahandlować.

Prokurator okręgowa nie otworzyła ust podczas całego długiego zebrania. Dopiero teraz błysnęły grube szkła okularów.

- Mielibyśmy go puścić w zamian za podanie tego nazwiska? Nie ma mowy!

- W zasadzie wyjaśniliśmy mu, że nasz system tak nie działa - powiedział cierpko Hermansen. - Więc chłopak wie, że to nie należy do naszych zwyczajów.

- Ale też i nie ma u nas zwyczaju zabijania premierów - mruknął Billy T.

Nie chciało mu się jednak kłócić z panią prokurator. Z gorzkiego doświadczenia widział, że i tak nic z tego nie przyjdzie.

- No dobrze, zrobmy teraz przerwę - zaproponował komendant. - Pół godziny. Potem znów usiądziemy i omówimy dalsze działania. Wydaje mi się rozsądne połączenie grup Billy ego T. i Tone-Marit.

- Super! - uradował się Billy T. i głośno pocałował koleżankę w policzek.

- Pół godziny - powtórzył komendant. - Ani minuty dłużej.

- Czasami jesteś cholernie dziecinny, Billy T. - burknęła ze złością Tone-Marit i demonstracyjnie wytarła twarz.

12.30

Kancelaria Premiera

Nie mogła się uspokoić. Pod wieloma względami wydawało jej się to roznoszeniem plotek, a przecież nigdy się tym nie zajmowała. Od jedenastu lat pracowała jako sekretarka premiera i wiodła życie odpowiadające zobowiązaniom. Spokojne i trzeźwe, bez wybryków, w gronie znajomych mniejszym niż ma większość ludzi. Sporo było takich, którzy w ciągu minionych lat usiłowali ją wypytywać. Próby pociągnięcia jej za język podejmowali przyjaciele, znajomi i od czasu do czasu jakiś dziennikarz, ale zawsze wiedziała, jak powinna się zachować. Ze stanowiskiem wiązało się przestrzeganie kodeksu honorowego. Nawet jeśli wszyscy inni zrezygnowali z zachowywania staroświeckich norm, ona nie zamierzała zdradzać swoich ideałów.

Wątpliwości jednak były trudne do zniesienia. Od kilku dni się zastanawiała, ale nawet nie zbliżyła się do odpowiedzi na pytanie, jak powinna postąpić. Nie była już pewna, co zadecydowało. Może szczerą rozpacz i bezradność przyjaciółki. Ale chyba przede wszystkim świadomość, że zdrada, którą ujawniła, była po wielekroć bardziej godna potępienia niż niedyskrecja, jakiej się dopuszczała, mówiąc o wszystkim premierowi.

Tryggve Storstein umiał słuchać i potraktował ją ciepło. Podziękował jej z życzliwością w głosie, ostro kontrastującą ze zrezygnowaną, wręcz zasmuconą miną, która pojawiła się na jego twarzy, kiedy wychodziła z gabinetu tyłem, wciąż nie-przekonana, że postąpiła właściwie. Polubiła nowego szefa. Oczywiście było jeszcze za wcześnie, by twierdzić tak z całą pewnością, no i raczej tłumiała swoje

odczucia wobec przełożonych. Ale przy nim nikt nie mógł się czuć źle, chociaż potrafił sprawiać wrażenie roztargnionego, wręcz nie na swoim miejscu za tym wielkim wygiętym biurkiem, przy którym przesiadywał z nieodłączną zmarszczką na czole i lekkim zawstydzeniem malującym się wokół ust, kiedy chrząkał i o coś ją prosił. Zwykle po wszystko chodził sam, jakby czuł się nieswojo, że inni go obsługują. Raz nawet powiedział to wprost, kiedy prawie się zderzyli przy ekspresie do kawy w kuchni: „Głupio się czuję, kiedy ktoś robi za mnie takie rzeczy. Kawę ludzie powinni przynosić sobie sami”.

Przyjaciółka płakała. Szeptala, cicho szlochając. Pomalowane na czerwono paznokcie tańczyły nerwowo na jej twarzy jak duże, pozbawione kropek biedronki, kiedy w końcu wydusiła z siebie, z czym przyszła. Zwierzyła się Wenche Andersen, ponieważ zupełnie nie wiedziała, co robić. A Wenche była nie tylko jej starą przyjaciółką, lecz również swego rodzaju zwierzchniczką, jeśli nie formalnie, to przynajmniej z uwagi na doświadczenie. Pracowała w sekretariacie ministra zdrowia dopiero od czterech lat, a przyjęto ją tam dzięki referencjom Wenche Andersen, co nałożyło na nią jeszcze większą odpowiedzialność.

- Bardzo się ucieszył, że go poinformowałyśmy. - Wenche Andersen pocieszyła ją ściszym głosem, ale zaraz odłożyła słuchawkę, bo wszedł jeden z sekretarzy stanu.

Premier Storstein wyraźnie prosił, by o tym incydencie nikomu innemu nie wspominać. Rozmawiali o tym w piątek i od tamtej pory nic się nie wydarzyło. A przynajmniej Wenche Andersen o niczym nie wiedziała. Wszystko więc chyba było jak należy.

Gdy tylko odłożyła słuchawkę, telefon zadzwonił jeszcze raz.

- Sekretariat premiera.

Telefonowali z działu administracyjnego. Wenche Andersen przez kilka sekund słuchała w skupieniu.

- Proszę ją włożyć do plastikowej torebki i, podkreślam, proszę jej już więcej nie dotykać. Natychmiast jedźcie na komendę. Spytajcie o Tone-Marit Steen. Steen, tak. Przez dwa „e”. Zaraz tam zadzwonię i poinformuję, że już jedziecie.

Karta wstępu. Znaleźli kartę wstępu należącą do Birgitte Volter. Leżała między siedzeniem a oparciem w jednym z samochodów rządowych i objawiła się dopiero przy dzisiejszym starannym odkurzaniu.

Wenche Andersen znów uniosła słuchawkę, żeby skontaktować się z tą miłą młodą policjantką, która przesłuchiwała ją - jak jej się wydawało - wieki temu. Kiedy wybierała numer, spojrzała na swoje dłonie. Wyglądały tak, jakby skurczyło się w nich wszystko oprócz skóry, która układała się w fałdki wokół pozbawionych wigoru ścięgien i żył. Wenche Andersen pogładziła się powoli po grzbiecie dłoni i po raz pierwszy zauważyła, że się starzeje.

13.00

Siedziba POT

- Jeśli pójdziemy do sądu z wnioskiem o aresztowanie, zrobi się piekło. Nie rozumiesz?

Severin Heger nigdy nie podniósł głosu na szefa, ale teraz z rozpaczy nie mógł się powstrzymać.

- Jeśli ta informacja się wydostanie, wszystkie mosty będą spalone! Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby udało się tak zorganizować posiedzenie sądu w sprawie ważnego tymczasowego aresztowania, żeby prasa się o tym nie dowiedziała. Na miłość boską, Hermansen, u nas są przecieki, ale to nic w porównaniu z sytuacją w sądzie!

Szef służby bezpieczeństwa wysuwał i chował żuchwę. Każdemu temu ruchowi towarzyszył nieprzyjemny trzask. Był to brzydki nawyk, który w przekonaniu jego żony udało jej się wyplenić już wiele lat temu. Ale teraz zęby poruszały mu się bez przerwy, dosłownie myślał tak, że aż trzeszczało.

- Rozumiem, o co ci chodzi - mruknął, szarpiąc za brzeg podkładki do pisania. - Ale bez nakazu aresztowania nie możemy go zatrzymać. Siedzi już od soboty rano, więc dzisiaj jest ostatni termin.

Severin Heger złożył dłonie, starając się siedzieć spokojnie.

- Nie mogliśmy się umówić z którymś ze stałych sędziów? - spytał cicho. - Jednym z tych, z którymi zwykle współpracujemy? Aresztowanie mogłoby się odbyć wieczorem, kiedy w budynku sądu już będzie pusto.

Ole Henrik Hermansen zapatrzył się w długonogiego pajaka, który wznosił swoją fantastyczną konstrukcję na suficie przy drzwiach.

Pracowity owad chodził tam i z powrotem. W pewnej chwili zawisł w powietrzu na nitce tak cieniutkiej, że nie dawało się jej dostrzec. Na środku pajęczyny walczyła o życie muszka, ale na próżno, bo pająk już ją zauważył i groźnie zaczął się wspinać po linie własnej produkcji.

- Wiosna idzie - zaśmiał się szef służby bezpieczeństwa. - Zobaczę, co mi się uda zrobić. Nie możemy wybierać sędziów, Severin. Ale możemy bardzo starannie przestudiować dokumenty. Zadzwoń do prezesa sądu, może załatwię przesunięcie posiedzenia na wieczór. Nawet późne popołudnie będzie lepsze niż zwykłe godziny urzędowania.

- Musi ci się to udać - oświadczył Severin i wyszedł z gabinetu szefa, żeby przygotować dokumenty.

16.03.

Kancelaria Premiera

Tryggve Storstein ledwie zdążył się urządzać w swoim nowym gabinecie. W całym wielkim prostokątnym pomieszczeniu na dachu Oslo nie było ani jednej rzeczy o charakterze prywatnym. Nawet zdjęcia żony i dzieci. Nawet kubka do kawy z napisem „Kochany tatuś” czy „Grzeczny chłopiec”, chociaż zasługiwał na jedno i drugie. W każdym razie tak uważały jego dzieci. Ale kubek z zielonym napisem „Najlepszy tatuś na świecie” na pomarańczowym tle leżał w głębi szuflady oznakowanej jako prywatna. Nie czuł się tu komfortowo. To wszystko jakby do niego nie pasowało. Ten gabinet, ta praca, wszyscy ci biegający ludzie, którzy mieli być jego „aparatem”. Biuro było za duże, widok na pstre, hałaśliwe miasto zbyt rozległy. Kręciło mu się od niego w głowie. Ale zgodził się objąć to stanowisko i uważał, że postąpił słusznie. Był właściwą osobą, chociaż źle się czuł w garniturze, a poza tym w każdy niedzielny wieczór musiał prosić żonę, żeby zawiązała mu trzy gotowe krawaty. Wszystko jakoś się ułoży, byle tylko dali mu trochę czasu. Kto wie, może nawet się przyzwyczai do tego, że już nikt nie zwraca się do niego po imieniu?

- Proszę ją wpuścić - mruknął do interkomu, kiedy Wenche Andersen ściszym głosem oznajmiła przybycie minister zdrowia.

- Tryggve! - Zdecydowanie ruszyła w jego stronę z ramionami otwartymi do uścisku.

Uniknął go, siadając i zaglądając w dokumenty, które nic mu nie mówiły. Głowę podniósł dopiero, kiedy zajęła miejsce.

- Chyba wiesz, dlaczego chciałem z tobą rozmawiać - odezwał się

nagle, podnosząc głowę.

Ruth-Dorthe Nordgarden nigdy do tej pory nie zwróciła uwagi na oczy Tryggvego Storsteina. Teraz niespodziewanie zakłuły ją jak strzały. Były nieprzyjemne, szeroko otwarte. Z jakiegoś powodu Tryggve nie miał tej zasmuconej zmarszczki zażenowania na czole, przez którą nie zwracało się uwagi na jego spojrzenie. Zmienił się. I to te jego szarozielone oczy decydowały o całym wyrazie twarzy. Wyrażały coś, co niechętnie, ale natychmiast rozpoznała: otwartą, nieskrywaną pogardę.

Poczuła, że oblewa ją rumieniec wstydu. Zaszwedziały dłonie. I mimowolnie zareagowała najbardziej nerwowym ze swoich nawyków: zaczęła się drapać w szyję.

- Co masz na myśli?

Zmusiła się do uśmiechu, ale mięśnie twarzy nie chciały jej słuchać. Usta wykrzywiły się w grymasie przyznania się do winy, a Tryggve to zrozumiał.

- Nie róbmy niepotrzebnych scen, Ruth-Dorthe - oświadczył, wstając.

Podszedł do okna i zaczął mówić do własnego odbicia w szybie, do zielonkawego szkła, które miało go ochronić przed zamachem z zewnątrz. Uśmiechnął się przelotnie. Birgitte te szyby nie pomogły.

- Wiesz, o co chodzi w byciu politykiem? - spytał. - Czy kiedykolwiek zadałaś sobie pytanie, jaki jest tego sens?

Ruth-Dorthe się nie poruszyła. Widział w szybie jej zastygłą postać. Tylko ręka wędrowała po szyi w górę i w dół.

- A powinnaś się o to spytać. Obserwuję cię od dawna, Ruth-Dorthe. Dłużej, niż ty obserwujesz mnie. Nigdy nie podobało mi się to, co widziałem. I nigdy nie robiłem z tego tajemnicy.

Nagle się odwrócił. Wpatrywał się w nią, usiłował pochwycić jej wzrok, lecz również oczy ją zawiodły. Wbiła spojrzenie w jakiś punkt obok jego ramienia.

- Ty nie masz żadnych ideałów, Ruth-Dorthe. Ciekawe, czy kiedykolwiek je miałaś. To niebezpieczne, bo bez ideałów tracimy z oczu cały sens, samą podstawę uprawiania polityki. Do diabła, jesteś członkiem Partii Pracy! - podniósł teraz głos. Policzki mu się zaczerwieniły, a oczy wydawały się jeszcze większe. - Co my właściwie reprezentujemy? Możesz mi na to odpowiedzieć?

Nachylił się, ręce położył na podłokietnikach jej krzesła. Ich twarze dzieliło teraz nie więcej niż trzydzieści centymetrów. Czowała słaby zapach jego wody po goleniu, ale nie chciała na niego spojrzeć. Nie mogła. Nie miała na to siły.

- Opinia publiczna... wyborcy, większość ludzi, możesz ich nazwać, jak chcesz. Dlaczego mają głosować akurat na nas? Dlatego że pragniemy rozdzielać dobra, Ruth-Dorthe. Nie jesteśmy już rewolucjonistami. Nie jesteśmy nawet szczególnie radykalni. Administrujemy społeczeństwem, którym rządzą reguły rynku. Jesteśmy usytuowani w przestrzeni międzynarodowej, którą najogólniej rządzi kapitał. To nam wystarcza. Wiele rzeczy się zmieniło. Może nawet powinniśmy pomyśleć o zmianie nazwy, ale...

Ruth-Dorthe czuła ciepło bijące z jego twarzy. Mikroskopijne drobinki śliny padały na jej rozognione policzki. Raz po raz mrugała, ale nie miała odwagi się odwrócić.

- Chodzi o sprawiedliwość - szepnęła. - O przyzwoitość i w miarę sprawiedliwy podział całego tego mleka i miodu, którymi płynie nasz kraj.

Nagle się wyprostował, jakby rozboleł go kręgosłup. Pod oknem

znów się odwrócił. Nad miasto nadciągnął zmierzch razem z deszczem, który czał się za wzgórzami na wschodzie. Na Akersgata zderzyły się dwa samochody. Widać było, jak rozzłoszczeni kierowcy gniewnie wymachują rękami, a autobus próbuje ich ominąć i przejechać chodnikiem.

- Pełnej sprawiedliwości nigdy nie osiągniemy - oświadczył nagle Tryggve - ale trzeba próbować, wyrównywać... Byłaś kiedyś we wschodnich dzielnicach?

Znów patrzył na jej odbicie w szybie. Jej skóra miała w nim zielonkawy odcień.

- Czy kiedykolwiek tam w życiu byłaś? Odwiedziłaś rodzinę imigrantów na Toyen, w której jest pięcioro dzieci, ubikacja na korytarzu, a po piwnicy biegają szczury wielkie jak koty? A potem pojechałaś tam, do siebie - gestem wskazał wzgórze na zachodzie - i porównałaś swoje życie?

Ruth-Dorthe musiała przygryźć policzek, żeby nie wybuchnąć płaczem. Mrugała i mrugała. Nagle poczuła, że zaraz dostanie skurczu prawej dłoni. Knykcie miała białe, spróbowała oderwać dłoń od podłokietnika.

- Nieczęsto jest na to czas - stwierdził Tryggve. Głos mu się zmienił, złagodniał, jakby przemawiał do upartego dziecka, które potrzebuje upomnienia rodzica. - Za rzadko mamy możliwość, żeby się zastanowić dlaczego. Dlaczego ciągle jesteśmy politykami. Ale od czasu do czasu trzeba sobie zadać to pytanie.

Tryggve ciężko usiadł na własnym krześle, a jego słowa wypowiedane ponad stołem siekły teraz jak batem.

- Ty uprawiasz politykę dla samej siebie, Ruth-Dorthe. Dla własnej korzyści. Jesteś śmiertelnie niebezpieczna. Nie myślisz o innych. Nie

myślisz o partii ani o większości ludzi. Tylko o sobie.

Nie życzyła sobie takich słów. Czuła, że grunt usuwa jej się spod stóp, jakby nadeszło trzęsienie ziemi i zaraz miała się przed nią otworzyć otchłań, lecz na takie słowa nie zamierzała się godzić. Nachyliła się nad biurkiem, wściekła, złapała przycisk do papieru i groźnie go uniosła.

- Przebrałeś miarękę! - syknęła. - Nie zapominaj, że jestem wiceprzewodniczącą...

Tryggve zaczął się śmiać. Odchylił głowę i głośno rżał.

- Sposób, w jaki nią zostałeś, wciąż jest dla mnie zagadką.

- Ale...

- Zamknij się!

Z powrotem opadła na krzesło. Przycisk wciąż trzymała w ręku. Ścisnęła go jeszcze mocniej. Uczepiła się niezgrabnej figury z niebieskiego szkła, jakby była jej ostatnią szansą, chociaż sama nie bardzo wiedziała na co.

- Jesteś zwyczajną idiotką. - Głos Tryggvego dosłownie ociekał pogardą. - Czy ty nic nie wiesz o tych wszystkich nowoczesnych urządzeniach? Nie masz pojęcia, że w faksie zostają potwierdzenia wszystkich wysłanych dokumentów z zapisanymi numerami odbiorców?

Zakręciło jej się w głowie. Co mogła zrobić? Na pewno ma na niego jakiegoś haka. A może nie? Jakies stare historie z kobietami, coś z jakimś spadkiem. Na pewno o czymś słyszała. Mogłaby się tego doszukać, rzucić mu to prosto w twarz. Przecież on nie może tego zrobić, po prostu nie może!

- Jesteś taką egoistką, że nie dostrzegasz innych ludzi, Ruth-Dorthe. Nie rozumiesz ich. Nieoczekiwanie plują ci prosto w twarz,

kiedy najmniej się tego spodziewasz, bo nigdy nie poświęcasz czasu na obserwację innych, ich podejścia do życia. Nie interesuje cię, co czują ludzie wokół ciebie i jak postrzegają świat. Dlatego nigdy nie byłaś prawdziwym politykiem. Chcesz mieć władzę dla samej władzy. To twój afrodyzjak. Problem polega na tym, że kochasz się sama z sobą. Inaczej nie potrafisz, bo nikogo innego nie lubisz. Nie rozumiesz, co zrobiłaś, przekazując raport komisji do „Kveldsavisen”?

- Ale... - próbowała się bronić. Głos miała płaski, metaliczny. - Ja... Przecież w nim była sama prawda! - Nagle jakby niespodziewanie znalazła broń i uchwyciła się jej obiema rękami. - A ty się boisz prawdy, Tryggve! I nienawidzisz takich osób jak ja, które uważają, że potrzeba nam wolnej prasy... Takich, które uważają, że wolność słowa i społeczeństwo otwarte to coś więcej niż pieczątki z napisem „dokumenty wyłączone z jawności”!

Wybuchnął śmiechem i zaczął się kręcić na obrotowym krześle, nie przestając się śmiać.

- Prawda! A kim ty jesteś, skoro niczym jedynowładca wyniesiony ponad wszystkich domagasz się dysponowania prawdą jak swoim służącym? Uważasz, że... - Odchylił głowę i roześmiał się jeszcze głośniejsze. - Uważasz, że prawda to coś, co możesz porcjami rozdawać swoim znajomym z prasy, żeby i oni od czasu do czasu cię polechali albo przynajmniej nie rzucali się na ciebie z pazurami? Widzisz, zastanawiałem się... - Teraz już się nie śmiał. Głos mu drżał i z trudem nad sobą panował, żeby nie krzyknąć. - Zastanawiałem się nad tym, dlaczego taka osoba jak ty, nielojalna, niezdolna, niepopularna, a na dodatek uwielbiająca intrygi, jest tak łagodnie traktowana przez prasę. Zagadką dla mnie pozostawało - i nie tylko dla mnie - dlaczego już dawno cię nie obsmarowali. Ale teraz już to wiem. Ty opłacasz

dziennikarzy. Płacisz im informacjami. Ha! - Nagle wyciągnął przed siebie rękę. - Oddaj mi ten przycisk.

Ruth-Dorthe spuściła wzrok. Przez chwilę się zawahała, ale w końcu odłożyła szklaną figurkę na sam brzeg stołu. W każdej chwili mogła spaść na podłogę. Tryggve musiał się podnieść, żeby ją przesunąć i ocalić.

- Nigdy, przenigdy nie sądziłem, że przyjdzie mi pouczać osobę na stanowisku ministra w moim własnym rządzie o podstawowych zasadach demokracji. Czy ty nie rozumiesz, Ruth-Dorthe, że zostałam wyznaczona do kierowania służbą zdrowia w imieniu narodu norweskiego? Zamiast tego wykorzystywałam swoje pełnomocnictwa do osobistej zemsty na mnie. Od ciebie wypływały przecieki do prasy, żebyś mogła pierwsza wygłosić komentarz, a mnie przyłapywano w łóżku, kompletnie nieświadomego. To tak poważne nadużycie zaufania, że... nie mam słów. Nadużycie zaufania mojego i wszystkich tych, w których imieniu zostałam oddelegowana do rządu. Dzięki tym ułamkom prawdy, jakie rozpowszechniłam, doprowadziłam nie tylko do naruszenia zaufania i wiarygodności rządu, ale przyczyniłam się też do narastania lęków i spekulacji. Właśnie! Lęki i spekulacje. Tak wygląda twoja prawda!

Zamknął oczy. Jego zwykła twarz powoli powracała. Kiedy znów je otworzył, mina wyrażająca zatroskanie i zawstydzenie była znów na swoim miejscu. To jej dodało odwagi. Postanowiła jeszcze raz zaatakować.

- Przecież prawda nigdy nie może zaszkodzić. Jedynie...

- Powiem ci coś o prawdzie - odparł cicho zmęczonym głosem. - Oczywiście, że prawda musi wyjść na jaw. Pełna prawda. Przedstawię sprawozdanie, ale parlamentowi, nie dziennikarzom z Akersgata.

Oczywiście oni też się o wszystkim dowiedzą, ale w swoim czasie. To Storting jest adresatem wyników kontroli prowadzonej w tej bardzo poważnej sprawie. Jedyne w ten sposób da się to zrobić z... z należytą godnością, jakiej wymaga sprawa o takim charakterze. A w tym czasie... - Nachylił się i wcisnął cztery cyfry w telefonie. - Byłabyś tak miła i przyniosła dwie filiżanki herbaty, Wenche?

Rozłączył się i czekał.

Nie odzywali się do siebie, dopóki nie weszła Wenche Andersen. Sekretarka miała na policzkach fioletowe plamy, ale ruchy pewne, gdy rozstawiała spodeczki i filiżanki, a potem obojgu nalewała herbaty. Zaproponowała Ruth-Dorthe Nordgarden cukier i mleko. Pani minister nie odpowiedziała, więc Wenche postanowiła nie nalegać. Podreptała z powrotem do siebie, ale kiedy zamykała drzwi, zdążyła jeszcze zauważyć dodający otuchy uśmiech szefa.

- Będiesz teraz pracować pod nadzorem - oświadczył Tryggve cicho, wsypując do herbaty łyżeczkę cukru. - Od tej chwili nie możesz podjąć ani jednej istotnej decyzji bez konsultacji ze mną. Rozumiesz?

- Ale...

Z Ruth-Dorthe Nordgarden coś się zaczęło dziać. Jej twarz się zmieniła. Rysy nagle jakby pogrubiały, usta urosły, nos wydawał się spuchnięty. Oczy wyglądały na wycięte zbyt topornie, na za duże do wąskiej twarzy. Ciężki rzucany przez biurkową lampę jeszcze podkreślał niewłaściwe proporcje.

- Nie możesz tego zrobić! Nie masz do tego prawa! Możesz głosować przeciwko mnie na posiedzeniach rządu, bardzo proszę, ale nie masz prawa odebrać mi władzy!

Tryggve Storstein wciąż mieszał herbatę, niepotrzebnie zataczając kółka łyżeczką, ale dzięki temu miał na czym utrzymać wzrok. Nagle

przystał, wyjął łyżeczkę i dmuchnął na gorący płyn.

- Albo to, albo twoja natychmiastowa dymisja - powiedział cicho. - Masz wybór między większym i mniejszym złem. Albo zrobisz tak, jak mówię, a ja cię wymienię jakiś czas po wyborach, grzecznie i spokojnie, i nikt się nie dowie dlaczego, albo odejdziesz teraz, a ja ogłoszę powód twojej dymisji z wszystkimi konsekwencjami, jakie się z tym wiążą.

- Ale przecież nie możesz... Partia... Tryggve!

- Partia! - Znów się śmiał, teraz serdeczniej, jakby cała ta sytuacja go bawiła. - Ty nigdy nie myślałaś o partii. Teraz musisz wybierać. Dżuma czy cholera.

Przez pięć minut siedzieli, nie odzywając się do siebie. Tryggve wyprostował nogi, popijał herbatę i sprawiał wrażenie, że myśli o czymś zupełnie innym. Ruth-Dorthe jakby skamieniała. Po czerwonym policzku stoczyła się jedna łza. On to zauważył i poczuł coś, co mogło przypominać współczucie, ale szybko się z niego otrząsnął.

- Dżuma albo cholera, Ruth-Dorthe. Wybór należy do ciebie.

Nagle zadzwonił telefon. Oboje drgnęli przestraszeni. Tryggve Storstein zawahał się, zanim podniósł słuchawkę.

- To do ciebie - stwierdził po chwili zdumiony, podając jej telefon przez stół.

Minister zdrowia sięgnęła po słuchawkę sztywno jak manekin.

- Aha - powiedziała po chwili i oddała mu aparat. - Chcą, żebym przyszła na komendę. Natychmiast.

Minister zdrowia Ruth-Dorthe Nordgarden opuściła szefa rządu, nie mówiąc mu, co wybrała. Lecz to nie miało znaczenia. On i tak wiedział, że Ruth-Dorthe nigdy nie pogodzi się z publiczną klęską.

Zmiażdżył ją. Dziwiło go tylko, że nie czuje ani złości, ani smutku.
Po zastanowieniu stwierdził, że po prostu jest mu jej żal. To wszystko.
Ktoś powinien był ją zniszczyć już dawno temu.

23.10

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

- Za cholerę nie wiem! - Billy T. mocno potarł twarz i wydał z siebie taki odgłos, jakby wynurzał się z lodowatej wody. - Ale jej zeznanie jest właściwie wiarygodne. Tylko że coś w całej tej kobiecie... - Wzdrygnął się, próbując dosięgnąć jakiegoś punktu na plecach. Wił się przy tym rozpaczliwie. - Podrap mnie, Hanne! Tutaj. Nie, trochę wyżej i bardziej z boku!

Hanne przewróciła oczami i przez pięć sekund mocno i brutalnie drapała go w tym samym miejscu.

- Już, dobrze. Siadaj.

Uśmiechnęła się do Hakona Sanda, który wciąż sprawiał wrażenie niemogącego się skoncentrować na niczym innym niż na dziecku. Martwił się, że ciągle nie okazywało chęci wydostania się z brzucha mamy. Wybrał jakiś skrócony numer i dał znak innym, żeby byli cicho.

- Ojej, przepraszam - powiedział, krzywiąc się. - Spałaś?

Przez krótką chwilę słuchał, potem cmoknął w słuchawkę i się rozłączył.

- Chyba trochę przeszkadza jej moja troskliwość, skoro cały czas ją budzę - zaśmiał się głupkowato. - Ale ja się tak tym denerwuję! Dzisiaj ominęło mnie zebranie tylko dlatego, że kiedy wstaliśmy, wydało mi się, że widzę jakieś skurcze przebiegające przez brzuch Karen. Boże, jakie to męczące!

- Spokojnie! - powiedzieli Hanne i Billy T. chórem. - On się urodzi, kiedy przyjdzie na niego pora.

- To dziewczynka - mruknął Hakon Sand, wpatrując się w kartę wstępu Birgitte Volter leżącą w plastikowej torebce i już zbadaną pod kątem odcisków palców.

Odciski Ruth-Dorthe Nordgarden były bardzo wyraźne. Dwa. Kciuka i środkowego palca prawej dłoni. Wyraz jej twarzy, gdy skonfrontowano ją z tym faktem, świadczył o absolutnym i totalnym zdumieniu. Po dłuższym czasie i kilku przerwach do namysłu wydusiła z siebie wreszcie, że mniej więcej miesiąc temu Birgitte upuściła kartę na ziemię w sali rządowej Stortingu, a ona podniosła ją i przebiegła z nią kilka kroków, żeby ją oddać. Było to jedyne wytłumaczenie, jakie w ogóle była w stanie podać.

- Gdyby naprawdę jej użyła, postarałaby się o wytarcie śladów przed umieszczeniem jej w samochodzie, żeby ktoś ją tam znalazł - powiedziała Hanne zmęczonym tonem. - Z tego, co rozumiem, ministrowie nie mają stałych samochodów, a Tone-Marit mówiła, że Birgitte Volter i Ruth-Dorthe Nordgarden korzystały z tego samego auta wielokrotnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni przed zabójstwem.

- Ja jej wierzę - zgodził się z Hanne Billy T. - Tak jak mówiłem, jest w niej coś paskudnego, ale okazuje się, że sąsiadka widziała ją, jak wynosiła śmieci o wpół do siódmej w dniu zabójstwa. Szczerze mówiąc, muszę przyznać, że ciekawość się we mnie obudziła, kiedy okazało się, że nikt nie mógł się z nią wtedy skontaktować telefonicznie przez kilka godzin, ale ona twierdzi, że po prostu chciała mieć spokojny wieczór w domu i wszystko wyłączyła.

- Ruth-Dorthe jest po prostu jak wąż w rajcu - stwierdziła Hanne. - To taka osoba, która płacze każde śledztwo, ponieważ ma tyle tajemnic, że zmusza nas do tego, byśmy jej nie lubili. Co, na miłość boską, Roy Hansen mógł zobaczyć w takiej jędzy?

- Ukryte walory - zachichotał Billy T.

- No tak, ty wiesz o tym wszystko - usadziła go Hanne. - Ale bez żartów. Co to mogło być?

- Rzykuję, że nazwiesz mnie męskim szowinistą, Hanne, ale uważam, że to była intryga ze strony Ruth-Dorthe. Ta kobieta zbiera tajemnice i haki na ludzi, tak jak inni zbierają znaczki. Jest dostatecznie bystra i ma wygląd, który jej na to pozwala. W każdym razie nikomu z nas nic do tego, z kim ona sypia, jeśli to nie ma znaczenia dla sprawy, a w tym wypadku nie ma, jestem o tym przekonany.

Hakon ziewnął i spojrział na zegarek.

- Muszę wracać do domu. Jeśli ten dzieciak nie wyjdzie sam w ciągu dwudziestu czterech godzin, zacznę nalegać na cesarskie cięcie.

W drzwiach jego pokoju pojawił się mężczyzna. Nadszedł tak cicho, że nikt go wcześniej nie zauważył.

- Severin - entuzjastycznie powitał go Billy T. - Ty też jeszcze nie śpisz?

- Pracuję na okrągło przez całą dobę - odparł Severin i kiwnął głową Hanne. - Ale jesteś opalona! Przyjechałaś do domu na urlop?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedziała. - Co tam u ciebie?

- W porządku. Billy T., chciałbym zamienić z tobą dwa słowa.

Billy T. z trudem wydostał się z ciasnego pokoju, dał duży krok nad nogami Hanne i przy okazji przewrócił kubek z długopisami.

- Widzimy się w holu za dziesięć minut - rzucił Hanne i poklepał Severina Hegera po plecach. Potem jeszcze się odwrócił, wsunął do połowy do pokoju i szepnął tak głośno, żeby wszyscy mogli go usłyszeć: - Ona śpi w moim łóżku, Hakon. Razem ze mną!

- Kiss and tell - mruknęła Hanne Wilhelmsen, postanawiając

przenocować u przyjaciółki. Ale po głębszym zastanowieniu stwierdziła, że już za późno, żeby dzwonić.

07.35

Jens Bjelkes gate 13

Adres Jens Bjelkes gate 13 znajdował się jakby nigdzie. Za daleko na wschód, żeby dzielnicę tę można było nazwać Grünerlokka, i za daleko na zachód, by dało się mówić o Toyen. Była to kamienica zapomniana przez Boga i Towarzystwo Renowacji Miasta. Nowoczesna technologia nigdy nie dotarła do tego szarego domu pokrytego łuszczącą się farbą. Nie było domofonu, więc Hanne Wilhelmsen i Billy T. od razu przeszli przez ciemną bramę.

- To jakieś szaleństwo - stwierdziła Hanne. - Nie pojmuję, jak zamierzasz do tego podejść. I dlaczego chłopaki z POT same nie mogły się tym zająć?

- Tam u nich panuje teraz paranoja. - BillyT. się zatrzymał. - Po tych ostatnich awanturach i kontrolach to cud, że w ogóle jakoś żyją.

- O rany! - zdziwiła się Hanne. - Od kiedy trzymasz stronę POT?

- E, tam, przecież wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że służba bezpieczeństwa musi istnieć.

- Naprawdę wszyscy? - mruknęła Hanne i poszła dalej.

- Zaczekaj - powiedział Billy T. - Severin ma coś, z czym nie może wystąpić oficjalnie. Nie mam pojęcia dlaczego. Może to ma jakiś związek z nielegalnym pozyskiwaniem informacji, nie wiem. W każdym razie - zniżył głos, objął Hanne i przysunął twarz do jej twarzy - aresztowali tego Bragego, o którym ci opowiadałem. Wczoraj po południu. W tej chwili ma zarzuty tylko z paragrafu sto cztery a, ale

liczą na przełom w sprawie Volter. Problem polega na tym, że chłopak ma alibi na wieczór zabójstwa. Był w tej knajpie Scotchman razem ze szwedzkim zwariowanym neonazistą. Dwadzieścia osób daje głowę, że ich tam widziały.

- Co nie wyklucza spisku - powiedziała Hanne zamyślona.

- No właśnie. A tym, czego Severin nie może wiedzieć oficjalnie, jest powiązanie tego Bragego ze strażnikiem.

- Co?

- Nie pytaj mnie, skąd o tym wie. Podejrzewam, że na górnych piętrach jest sporo nielegalnych teczek. W każdym razie przez cały czas powtarzałem, że z tym strażnikiem coś jest nie tak. Przez cały czas!

W bramie nagle pojawiła się nastolatka, chuda i koścista. Przyglądała im się ze źle skrywaną ciekawością. Mijając ich, wydmuchała olbrzymi balon z różowej gumy do żucia. Pękł i oblepił jej twarz jak mokry podarty ręcznik.

- Cześć - uśmiechnęła się do niej Hanne.

- Cześć. - Dziewczyna zaczęła zdejmować z twarzy resztki gumy.

- Zaczekaj chwilę! - rzucił Billy T. jak najuprzejmiej, ale to nie pomogło.

Dziewczyna spojrzała na niego przerażona i ruszyła w stronę ulicy.

- Chwileczkę! - Hanne złapała ją za ramię. - Chcielibyśmy cię o coś spytać. Mieszkasz tutaj?

- Kim wy, do cholery, jesteście? - odezwała się nastolatka z gniewem. - Puście mnie!

Hanne natychmiast ją puściła. Wciąż widziała w jej oczach błysk ciekawości i była pewna, że dziewczyna nie ucieknie.

- Znałaś tego chłopaka z drugiego piętra? Takiego chudego, z

brązowymi włosami?

Popatrzyła na nich, a oni oboje pomyśleli, że jeszcze nigdy nie widzieli, by komuś kolor twarzy zmieniał się tak szybko.

- Nie - odparła ze złością i chciała odejść.

Billy T. zastąpił jej drogę.

- Często go ktoś odwiedzał? - spytał.

- Nie wiem.

Dziewczyna stanowiła dziwne pomieszanie dziecka i kobiety. Była chuda, ale biust zaczął już nabierać krągłości, nie był wyłącznie zapowiedzią czegoś, co dopiero miało się pojawić. Biodra wąskie jak u chłopaka, ale już nauczyła się nimi poruszać w wyzywający sposób. We włosach miała nierówne pasemka w tonacji od brudnoczerwonej do brązowej, a w lewym nozdrzu srebrny groszek. Ale oczy pod kolorowymi brwiami były oczami dziecka. Duże, niebieskie i zalęknione.

- Ile masz lat? - spytała Hanne, starając się, by jej głos zabrzmiał życzliwie. Rozłożyła ręce i otworzyła dłonie, żeby pokazać, że nie jest niebezpieczna.

- Piętnaście - szepnęła dziewczyna.

- Jak ci na imię?

Nagle dorosłość zwyciężyła.

- Kim wy, do jasnej cholery, jesteście? - spytała, próbując jeszcze raz wyminąć Billy'ego T.

- Jesteśmy z policji - odparł i zrobił krok w bok.

Dolna warga dziewczyny nagle zaczęła drżeć. Zakryła twarz dłońmi.

- Puśćcie mnie! - wyszłochała. - Dajcie mi przejść!

Hanne lekko ją objęła, próbując zmusić do odsłonięcia twarzy.

Paznokcie widoczne pod włosami na czole były obgryzione do granic możliwości.

- On nie zrobił nic złego - szepnęła dziewczyna. - Naprawdę!

11.00

Komenda Okręgowa Policji w Oslo

Billy T. nie potrzebował dużo czasu, by zrozumieć, że nie zbliży się nawet o słowo do prawdy, dopóki w pokoju będzie siedział ojciec Kai.

Dozorca musiał mieć około pięćdziesięciu lat, ale alkohol, papierosy i marna dieta sprawiły, że w skórze widoczne były duże pory i mógł uchodzić nawet za sześćdziesięciolatka. Kiedy kasłał, wydawało się, że jedną nogą już stoi w grobie, a Billy T. odruchowo zasłonił ręką usta w próżnej próbie niedopuszczenia do siebie groźnych bakterii.

- Niech was wszyscy diabli! - dyszał ciężko dozorca. - Przysługuje mi adwokat, żebyście wiedzieli!

- Proszę posłuchać - powiedział Billy T., patrząc na Kaję siedzącą jak przedwcześnie zwiędły kwiat i niemogącą się zdecydować, którego z mężczyzn obecnych w pokoju boi się bardziej. - Albo będzie pan siedział tutaj, podczas gdy ja będę rozmawiał z Kają, albo sprowadzę kogoś z Urzędu Ochrony Praw Dziecka, żeby załatwili jej tymczasowego opiekuna prawnego. Może pan wybierać.

- Urząd Ochrony Praw Dziecka? Im nic do nas! Zostaję.

Mężczyzna złożył ręce na brzuchu. Coś czerwonego zostawiło wielką plamę na podkoszulku. Wyglądało to tak, jakby składał dłonie na mapie Norwegii. Głośno zacharczał. Billy T. przez moment pomyślał, że zaraz splunie na podłogę, ale dozorca tylko ciężko przełknął.

- Mam prawo do adwokata.

- Nie, nie ma pan. Chcę tylko porozmawiać z Kają. O nic jej nie oskarżam.

- Bo niby o co? Kaja nic złego nie zrobiła. W każdym razie nic takiego, do czego mogłaby się przyczepić policja.

Billy T. przeniósł wzrok z ojca na dziewczynę.

- Czy Kaja nie ma matki? - spytał z nadzieją. - Może ona mogłaby pana tu zastąpić, jeśli nie ma pan czasu?

- Jej matka nie żyje. Nie mogę zostawić córki, jak gliny ją złapały w swoje szpony. - Mężczyzna nagle jakby lepiej się poczuł. Na szarobladej spoconej twarzy pojawił się wyraz zadowolenia. Zaczął obmacywać spodnie w poszukiwaniu tytoniu do papierosów.

- Niestety, palenie wzbronione - mruknął Billy T. - Ale coś panu powiem. - Sięgnął po bloczek na biurku i wypełniając go, mówił: - Wypiszę panu zlecenie do kantyny, żeby dali panu coś przegryźć. Kantyna jest na siódmym piętrze. Jest tam dział dla palących. A ja w tym czasie porozmawiam sobie z Kają i oczywiście nic nie zapiszę, dopóki pan nie wróci. Zgoda? - Uśmiechnął się najmilej, jak potrafił.

Dozorca się zawahał, przenosząc wzrok od wypisanego zlecenia na Kają i z powrotem na papier.

- A co tam można zjeść? - spytał półgłosem.

- Co pan chce. Proszę brać to, na co będzie pan miał ochotę.

Mężczyzna podjął decyzję. Ciężko dysząc, podniósł się z krzesła.

- Tylko ani jednego cholernego słowa na papierze, dopóki nie wrócę. Słyszysz pan? Ani słóweczka!

- Oczywiście. I niech się pan nie spieszy. Proszę... - Billy T. podał mu magazyn dla mężczyzn „Vi Menn” razem ze zleceniem i powtórzył:

- Niech pan się nie spieszy.

Pustka po wyjściu ojca Kai wydawała się wprost namacalna. Spartańsko urządzonej pokój jakby się powiększył i wreszcie znalazło się w nim miejsce dla szczupłej dziewczynki, która w końcu przestała

obgryzać paznokcie i teraz zmrużonymi oczami wyglądała przez okno, jakby zapomniała, gdzie jest.

- Przykre to, co się stało z twoją matką - odezwał się Billy T. cicho.

- Bardzo przykre.

- Mhm - mruknęła Kaja z pozoru całkiem obojętnie.

- Bałaś się go?

Gwałtownie odwróciła się w jego stronę.

- Ojca?

- Nie, jego.

Lekko pokręciła głową.

- No to może go kochałaś?

Billy T. mimowolnie przyłapał się na myśli, że do strażnika, który dokładnie dwa tygodnie temu siedział na tym samym krześle co teraz Kaja, zły, słaby i zbuntowany, bardzo trudno było poczuć coś innego niż obrzydzenie. Ale było coś w oczach tej dziewczynki, coś w jej ruchach, kiedy splatała palce i dotykała cienkiego pierścionka z jakiegoś zwyczajnego metalu, co kazało sądzić inaczej. Wciąż nic nie mówiła.

- Rozumiem, że jest ci przykro - powiedział Billy T. cicho. - Ale czego ty się tak boisz?

Raptem stało się coś, czego Billy T. później nie potrafił opisać, bo odbyło się to tak szybko i niespodziewanie. Kaja przeszła totalną metamorfozę. Nagle rozłożyła ręce, popatrzyła mu prosto w oczy, uniosła się na krześle i prawie krzyknęła:

- Wy myślicie, że to on! Ale to nieprawda! Bo wy zawsze macie ludzi za nic i dlatego on się bał z wami rozmawiać. Wy uważacie, że to on, a to... to nie Richard! Richard tego nie zrobił! A teraz nie żyje, a wy myślicie, że... - Dosłownie padła na biurko, zakryła głowę rękami i

zaczęła szlochać. - To wcale nie Richard, on tylko... To leży u mnie, w mojej szafie! Ale to wcale nie dlatego! On tylko... To leży w szafie, a ja nie wiem... Richard...

Billy T. zamknął oczy. Poczul, jak strasznie jest zmęczony, jak ma wszystkiego dosyć. Nie wiadomo dlaczego pomyślał o Trulsie. Obraz chłopczyka, który dzielnie starał się nie płakać, gdy lekarz nastawiał mu rękę przed założeniem gipsu, zapisał się w nim na trwałe. Potarł twarz, żeby go odsunąć. Otworzył oczy i spojrzał na dziewczynę, nic nie mówiąc. Ilu jeszcze młodych ludzi będzie wypłakiwać się w tym brzydkim ponurym pokoju policji, zanim ta sprawa zostanie wreszcie rozwiązana? Billy T. myślał o swoim najmłodszym synku i o tym, że życie już nigdy nie będzie takie samo. Norwegia nie będzie taka sama.

Siedział tu z tą dziewczyną, z zaniedbanym dzieckiem, które najprawdopodobniej miało klucz do wszystkiego. To ona mogła mu powiedzieć, co się wydarzyło wieczorem czwartego kwietnia 1997 roku na szesnastym piętrze budynku rządowego. To ona знаła odpowiedź. A jeśli uda mu się pociągnąć ją za język, to może zechce podzielić się z nim tą wiedzą. Ale Billy T. nie był pewien, czy ma na to siłę.

Pomyślał, że Hanne niedługo wyjeżdża. Wspomniała o tym rano mimochodem, z ustami pełnymi płatków. Powiedziała, że już się stęskniła za Cecilie i że będzie do niej wracać. W przeblysku, który na próżno starał się wyprzeć z pamięci, ujrzał przed sobą wściekłą matkę Trulsa, kobietę z czarnymi, pełnymi wyrzutu oczami, gdy zobaczyła biały gips z wypisanymi na nim imionami trzech starszych braci. Krzywe litery, które z taką dumą pokazywał jej synek.

- Co leży w szafie, Kaju? - spytał.

- Szal - mruknęła, podnosząc się. - Ten szal, który premier miała na sobie, kiedy została zabita.

Billy T. poderwał się gwałtownie. Krzesło odjechało pod ścianę i na chwilę zapomniał o tym, że jest zbyt zmęczony, że ma dość tego wszystkiego.

- Szal? Ty masz ten szal? To strażnik zabił premier Volter? Słuchaj mnie, Kaju! Czy to Richard zabił panią premier?

- Pan nie słucha, co ja mówię - załkała. - To nie Richard! On miał tylko... Jakiś alarm się uruchomił i poszedł tam sam, bo kolega chyba spał... - Grzbietem dłoni wytarła oczy, ale łzy nie przestawały płynąć. - Zabrał rewolwer. On miał fioła na punkcie broni. Ale kiedy przyszedł, ona już nie żyła. On dużo strzelał, miał mnóstwo czasopism i książek... Kompletnie ześwirował na tym punkcie. On... Ten rewolwer tam leżał, a ona nie żyła, broń leżała na tym szalu i on to wszystko zabrał. Potem tak się bał... Wyczułam, że jest jakiś dziwny. Któregoś wieczoru, kiedy byłam u nie... - Zaczerwieniła się, przez co wydawała się jeszcze młodsza. - Niech pan nie mówi tacie - poprosiła cienkim głosem. - On mi nie pozwalał chodzić do Richarda. Niech mi pan obieca, że nic mu pan nie powie!

- Nie przejmuj się ojcem! - warknął Billy T. - Chcesz mi powiedzieć, że Richard po prostu zabrał broń, która leżała obok zastrzelonej premier państwa? Czy to był wariat?

- To ja wymyśliłam, żeby ją odesłać pocztą. Pomyślałam, że jak dostaniecie ten rewolwer, to wykryjecie, kto to zrobił. Wyczyściliśmy go i ja go zaniiosłam na pocztę. Tylko że zapomniałam o znaczkach. Ale byłam w rękawiczkach.

- No a szal? - Billy T. prawie krzyknął. - Dlaczego nie odesłaliście szala?

Kaja niespokojnie poruszyła się na krześle i tęsknie spojrzała na papierosy, które wyjęła z plecaka w kształcie misia pandy,

czepiającego się jej pleców.

- Możesz palić. - Billy T. postawił przed nią wielką popielniczkę z glazurowanej na pomarańczowo lawy. - No więc dlaczego nie odesłaliście szala?

- Richard powiedział, że... że szal trudniej wyczyścić. Bał się, że zostawił na nim jakieś ślady, których nie umieliśmy usunąć. Mówił, że odciski palców da się zdjąć nawet z ludzkiej skóry, i nie wiedzieliśmy, czy z materiału też. A nie mogliśmy wyrzucić go do śmieci. Na filmach gliny zawsze zaglądną do śmietników i bezpieczniej było na razie go zatrzymać. Richard miał jechać do Niemiec, a potem wrócić po mnie, kiedy... Tata nienawidził Richarda!

Na myśl o ojcu znów zaczęła płakać, wykrzywiając twarz w bolesnym grymasie.

- Nie bój się - powiedział Billy T. już spokojnie. - Załatwię to z twoim ojcem. Obiecuję ci, że nie będziesz miała kłopotów.

Nie wiedział, czy uspokajający uśmiech, który próbował jej posłać, odniósł jakiś skutek. Zaczynało mu się spieszyć. Teraz już musiał dostać ten nakaz przeszukania, o który tyle marudził. Wiedział, że go dostanie. Sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do prokuratora Hakona Sanda.

- Niestety - odparła pogodnie sekretarka. - Pojechał do szpitala Aker. Poród się zaczął.

Billy T. paskudnie zaklął, posyłając dziewczynce przeproszające spojrzenie. W ogóle nie zwróciła na to uwagi, widocznie przyzwyczajona do gorszego słownictwa.

- Tone-Marit! - warknął w słuchawkę. - Zgarnij po drodze dyżurnego prokuratora i biegnij do mnie. Natychmiast! Już.

Kaja zapaliła drugiego papierosa.

- Mam iść z panem? - spytała cicho, wydmuchując dym kącikiem
ust. - Mam z panem iść i pokazać panu ten szal?

18.05

Cela aresztu w budynku policji

Adwokat wcale nie był taki głupi. Wszystko rozumiał. A posunięcie z dwudniowym aresztowaniem było sprytne. Brage wyraził zgodę na pozostanie w areszcie do środy, żeby dać glinom czas na zastanowienie. Udało im się też nie dopuścić do niego prasy. Adwokat groził procesem o odszkodowanie, jeśli nie zdołają utrzymać tej sprawy w tajemnicy. Dwa dni. Tyle mieli czasu do namysłu nad tym, czy chcą zawrzeć umowę. Na pewno zechcą. Przecież miał coś, na czym im bardzo zależało. Miał dwa nazwiska. Richarda i tej jego dziewczyny. Richard to głupek. Jak mógł zaangażować dziewczynę w coś takiego? Brage ją widział, szedł za nią całą drogę aż na pocztę. Nie mógł pojąć, dlaczego Richard nie chce zatrzymać broni. Może to ta dziewczyna wpadła w panikę? Gówniara. Nie mogła mieć więcej niż czternaście, piętnaście lat.

A gliny aż się śliniły do tych nazwisk. Ten cały Heger prawie oniemiał, kiedy Brage podał mu szczegóły, które się zgadzały. Nazwiska były dla nich bezcenne.

Brage Håkonsen wyszedł na środek nagrzanej dusznej celi i położył się na betonowej podłodze. Zaczął robić pompki w równym tempie. Osiemdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt dziewięć. Sto.

Usiadł i objął kolana rękami. Nawet za bardzo się nie spocił.

Miał te nazwiska i gliny wejdą z nim w układ. Będzie wolny.

22.30

Motzfeldts gate 14

Liten Lettvik siedziała w starym fotelu z mocnym jac-kiem danielsem i czuła brak smaku sukcesu. Zawsze tak było. Krótki intensywny triumf w momencie, kiedy coś się działo, a później pustka. Nic nie było równie martwe i niepotrzebne jak wczorajsza gazeta. Za kilka miesięcy już prawie nikt nie będzie pamiętał, że to ona wszystko odkryła. Przeżyła kilka wspaniałych godzin. Szczególnie podczas tej konferencji prasowej. Przyciśnięcie Ruth-Dorthe Nordgarden do muru przy tak licznej publiczności udało jej się wyśmienicie. I te pełne uznania i jednocześnie zazdrosne spojrzenia kolegów... Najmłodszy, którzy jeszcze nie mieli za wiele na swoim kąciku, nawet nie próbowali tego ukrywać. Podchodzili, żeby poklepać ją po plecach, i pytali, w jaki sposób tak błyskawicznie doszła do tego, że stała za tym Pharmamed. Ciekawe, co by powiedzieli, gdyby wiedzieli.

Kiedy o tym pomyślała, poczuła jakieś ukłucie za mostkiem. Nieprzyjemne wrażenie. Z wyrzutem spojrzała na szklankę i przycisnęła prawą pięść do żołądka.

Być może nie powinna była tego robić. Wykorzystała coś starego i w pewnym sensie... cennego. Zachłysnęła się tym słowem i odstawiła szklankę.

Oczywiście, że powinna była to wykorzystać. Nikt się nie dowie, bo nikt nigdy o niczym nie wiedział. Nikt, przez tyle lat. Przez trzydzieści dwa lata.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Szydło pod splotem słonecznym wbiło się jeszcze głębiej. Liten aż zgięła się z bólu.

Dzwonek jeszcze raz odezwał się ze złością. Próbowwała się wyprostować, ale ostatecznie musiała dojść do drzwi zgięta w pół. Na czoło wystąpił jej pot.

- Liten Lettvik?

Nie musiała pytać, kim są ci mężczyźni. Jednego знаła. Pracował w POT.

- Tak - jęknęła.

- Chcemy, żeby poszła pani z nami na rozmowę.

- Teraz? Wpół do jedenastej wieczorem?

Wyższy z mężczyzn się uśmiechnął. Dostrzegła pogardę w jego oczach i prędko spojrzała na drugiego. Ten był młodszy, niższy, ale nie spuścił wzroku.

- Owszem. Na pewno pani wie, dlaczego nam się tak spieszy.

Czuła, że jest bliska omdlenia. Na oślep złapała się futryny i zamknęła oczy, żeby pokój przestał wirować.

Wiedzieli, cholera jasna! Wiedzieli!

Kiedy już spakowała swoją wielką torbę i włożyła płaszcz, do głowy przyszła jej pewna myśl, którą czym prędzej od siebie odsunęła. Pomyślała o tym, jak musiał się czuć Benjamin Grinde.

17.30

Szpital Aker, oddział położniczy

Hanne Wilhelmsen patrzyła na malusieńką pomarszczoną twarzyczkę. Nowo narodzona dziewczynka ściągnęła buzię, oczy zmieniły się w dwie zapuchnięte kreski. Przypominała noworodka myszy, ale miauczała jak kociak. Wargi drżały z niezadowolenia, odsłaniając bezzębne dziąsła. Skórę miała zaczerwienioną, twarz asymetryczną. Przy uszach kosmyki rudawych włosów. Na ciemiączku, które wydawało się bardzo duże, widać było rytmiczne pulsowanie. Wyglądało to przerażająco, jakby czaszce brakowało pokrywy.

- Prawda, że jest śliczna? - szepnęła Karen Borg. - Prawda, że to najładniejsze dziecko, jakie w życiu widziałas?

- Jasne - skłamała Hanne. - Prześliczna. Wszystkie dzieci są śliczne.

- Wcale nie - zaprotestowała Karen wciąż szeptem. - Nie widziałas tamtego chłopczyka? On wygląda jak... jak małpka! - Karen zachichotała, ale musiała przy tym wytrzeć łzy płynące z lewego oka.

- Przepraszam, że tylko ja przyszedłam - powiedziała Hanne. - Ale Hakon jest w sądzie, a to aresztowanie jest dla nas cholernie ważne. Przyjdzie, jak tylko będzie mógł. Obiecał...

- Masz - przerwała jej Karen, podając Hanne bawełniane zawiniątko z dwudziestoczworgodzinnym noworodkiem. - Zobacz, jak ona jest cudowna!

- Nie, nie. - Hanne się wzbraniała, ale musiała wziąć dziecko, bo Karen nie wyglądała na dostatecznie silną, by długo je tak trzymać w wyciągniętych rękach.

Hanne delikatnie i właściwie bez zastanowienia przytuliła policzek do główki dziecka. Dziewczynka naprawdę nie była ładna, za to cudownie pachniała. Miłym, słodkawym zapachem, od którego Hanne przeszły ciarki. Dziecko nagle otworzyło oczy, głębokie studnie bez wyraźnej źrenicy.

- Wygląda na taką mądrą - szepnęła Hanne. - Ma takie oczy, jakie miała moja babcia. Jak dacie jej na imię?

- Jeszcze nie wiemy. Nie możemy się pogodzić. Hakon chciałby podwójne imię, skoro Hans Wilhelm je ma. Ale ja nie lubię podwójnych imion u dziewczynek. Zobaczymy.

- Dyveke. - Hanne leciutko musnęła wargami czoło dziecka. Skóra noworodka załaskotała ją w usta. - Wygląda mi na taką, która powinna mieć na imię Dyveke.

- Zobaczymy - roześmiała się Karen. - Usiądź tutaj!

Hanne lekko przycupnęła na brzegu łóżka i oddała dziecko matce.

- Bardzo się namęczyłaś?

- Mogłabyś ją położyć do łóżeczka? - Przez twarz Karen przebiegł grymas. - Skończyło się na cesarskim cięciu. Strasznie mnie boli, kiedy muszę się zgiąć.

Hanne ostrożnie odłożyła zawiniątko do plastikowej balii na wysokich nogach zakończonych kółkami i na wszelki wypadek lekko nią zakołysała.

- Nie wygląda zbyt stabilnie - stwierdziła. - Cesarskie?

- Tak. Przestali słyszeć tętno płodu.

Rozplakała się. Karen Borg płakała rzewnymi łzami. Momentami

śmiała się przeproszająco, próbując ocierać łzy, ale nie przestawały płynąć i nie znalazła sposobu, by je powstrzymać.

- Nie pojmuję dlaczego, ale płaczę tak cały dzień. Na szczęście jakoś się opanowałam, kiedy przeszedł Hans Wilhelm z mamą. Taki był kochany...

Hanne wstała i przesunęła parawan na kółkach tak, by zasłaniał łóżko. Potem znów usiadła i ujęła Karen za rękę.

- No to płacz.

- Tak się cieszę, że przyszłaś - załkała Karen. - Ale to Hakon powinien być teraz tutaj. To my razem prawie ją straciliśmy. Jest ładna i zdrowa, więc nie powinnam płakać, ale...

Przekłeta komenda, pomyślała Hanne. Nie mogli wysłać innego prawnika na to posiedzenie w sprawie aresztowania? Wstała, podeszła do niedużej umywalki przy drzwiach, pod którą była półka ze ściereczkami. Zmoczyła jedną w zimnej wodzie i położyła Karen na czole.

- Przecież ona mogła umrzeć - szeptała Karen. - Teraz już wszystko w porządku, ale mogła... A gdyby umarła, to by była moja wina. Hakon od dawna powtarzał, że trzeba wywołać poród, ale ja... To by była moja wina. Nie zniosłabym... - Dalsze słowa zagłuszył gwałtowny szloch i Karen podniosła rękę, by zakryć ściereczką całą twarz.

Nagła myśl uderzyła Hanne tak, że musiała odwrócić głowę. Zatrzymała wzrok na różowym kocyku. Dziewczynka spała. A przy jej główce pełnił wartę nieduży żółty królik, chociaż jego obecność nie uspokoiła matki.

Podobnie musiała się czuć Birgitte Volter w wieczór świętojański w sześćdziesiątym piątym roku. Właśnie tak. Tylko ona nie mogła pocieszyć się faktem, że dziecko przeżyło. Jej córeczka umarła. Miała

zaledwie trzy miesiące.

- Liv Volter Hansen - mruknęła Hanne do żółtego królika. Miał nieprawdopodobnie wielkie zęby frotté, wyginające się na dole w sposób sprzeczny z naturą.

- Co powiedziałaś? - wydusiła Karen, trochę już spokojniejsza. Hanne uśmiechnęła się, kręcąc głową.

- Pomyślałam o dziecku Birgitte Volter. Tym, które umarło. Birgitte musiała się czuć...

- ...strasznie - dokończyła Karen i zaczęła się wiercić, żeby wygodniej usiąść. - Nie potrafię sobie wyobrazić nic gorszego. - Uśmiechnęła się blado, przynajmniej pozornie panując nad nerwami. - Rozumiem, że rozpętało się piekło. Oglądałam niedawno wiadomości.

- Tak, przed przyjściem tutaj zajrzałam do sądu. Zjawilo się tylu dziennikarzy, że jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałam. To pierwsze aresztowanie w tej sprawie. Media kompletnie oszalały. Powinnaś uznać za komplement, że to Hakon poszedł na posiedzenie do sądu. Miejmy nadzieję, że kiedy będziesz rodzić następne dziecko, nie będziemy akurat rozwiązywać sprawy zabójstwa premiera.

- Nie będzie żadnego następnego razu - jęknęła Karen, ale teraz uśmiechała się już naprawdę. - Nie ma mowy! Ale czy to oznacza, że sprawa jest już... zakończona?

- To chyba za dużo powiedziane. Chociaż z pewnością jest przełom. Co do tego się zgodzę.

Hanne szybko się obejrzała. Sąsiadkę Karen odwiedził ojciec dziecka. Przysunęli twarze do siebie i rozmawiali ściszymi głosami nad jasnoniebieskim zawiniątkiem. Kobieta leżąca dalej miała ciemną skórę, a odwiedziło ją pięcioro dorosłych i dwoje dzieci, które pełzały

po kołdrze, hałasując. Hanne wstała, przeszła na drugą stronę łóżka i odwrócona tyłem do sali szeptem zaczęła opowiadać o wczorajszych wydarzeniach.

- Billy T. był strasznie rozczarowany przeszukaniem. Znaleźli stos literatury fachowej dotyczącej broni, sporo podejrzanych pisemek i cztery zarejestrowane sztuki broni. Nic więcej. Oprócz maleńkiego szczegółu, który Billy T. uznał za mało istotny, ale z którego Hakon bardzo się ucieszył. Notesu z adresami. Czerwoną książeczkę strażnika. A w niej pod H wpisany był Brage z adresem, ale bez numeru telefonu. Mamy więc... - Nachyliła się jeszcze bliżej do przyjaciółki, widząc, że Karen mimo zmęczenia bijącego z jej oczu jest bardzo zainteresowana. Hanne zaczęła liczyć na palcach. - Po pierwsze, mamy plany zamachów Bragego i jego imponującą kolekcję broni. Po drugie, nawet jeśli będzie się wypierał znajomości ze strażnikiem, to w obecności funkcjonariusza twierdził, że zna szczegóły, o których nie mógłby wiedzieć, gdyby nie miał jakiegoś związku z tym chłopakiem. Wydawało mu się, że jest sprytny, ale tym swoim gadaniem jeszcze bardziej się pogryzył. Ha! - roześmiała się, odgarnęła włosy za ucho i trzecim palcem puknęła w kołdrę. - Po trzecie, ten notes z adresami jest dowodem jakiegoś powiązania między nimi. A strażnik jest... - Urwała, prostując się. - Strażnik w zasadzie przez cały czas był najlepszym śladem. Jeśli to on zabił Birgitte Volter, możemy zapomnieć o problemie, który tak bardzo nie daje policji spokoju: w jaki sposób ktoś mógł dostać się do gabinetu, który w zasadzie był jak zapieczętowany. A on tam był. I miał broń.

- Ale skąd miałby wziąć rewolwer należący do syna Birgitte Volter?

- O rany, zaimponowałaś mi! - przyznała Hanne. - Punkt dla ciebie. Nie mam pojęcia, ale w każdym razie... strażnik to najlepszy

ślad. A teraz... - Z uśmiechem spojrzała na zegarek. - Teraz Brage Håkonsen trzęsie się w sądzie jak galareta, natomiast twój inteligentny mąż Hakon przekonuje sędziego o istnieniu istotnych powodów, by podejrzewać go o popełnienie czynu zabronionego.

- To, o czym mi powiedziałaś, na pewno wystarczy. - Karen zdjęła ściereczkę z czoła.

- Zmoczyć ci ją jeszcze raz?

- Nie, dziękuję. Ale może ta sprawa rzeczywiście zaczyna zbliżać się do rozstrzygnięcia. W każdym razie jeśli teraz sąd go aresztuje, dokończycie śledztwo w spokoju.

- Do rozstrzygnięcia jeszcze daleko - powiedziała Hanne. - Sama powinnaś to wiedzieć, bo...

- ...bo Kaja mogła po prostu mieć rację - dokończyła cicho Karen. - Możliwe, że mówiła prawdę.

Hanne nachyliła się nad łóżeczkiem i sięgnęła po królika. Gładząc go powoli po uszach, wciągnęła powietrze pachnące dzieckiem i silnymi środkami czystości.

- Otóż to - powiedziała. - Kaja mogła mówić prawdę.

06.50

Stolmakergata 15

- Hanne, obudź się!

Billy T. lekko szarpał Hanne za ramię. Leżała w poprzek łóżka i wyraźnie cieszyła się z tego, że nareszcie jest sama. Na jej biodrach kłębiły się dwie kołdry, a ona wyciągała się na plecach z rękami nad głową.

- Gdzie ty byłeś? - mruknęła i obróciła się na brzuch. - Zgaś światło.

- Mamy cholernie dużo do uporządkowania. Gówniana papierkowa robota.

Brutalnie ściągnął z niej kołdry i błyskawicznie zrobił z nich dwie olbrzymie poduszki, które ułożył w głowach łóżka. Podciągnął Hanne do pozycji siedzącej przy wtórze jej ściszonych protestów.

- Kawa i śniadanie - oznajmił z udawaną wesołością, głową wskazując na nocny stolik. - No i gazety. Jasny piorun, wszyscy piszą wyłącznie o aresztowaniu Bragego!

Hanne przeciągle ziewnęła i otrząsnęła się jak pies. Wolno podniosła filiżankę do ust i zaraz się skrzywiła, gdy sparzyła się w górną wargę.

Na samym wierzchu leżała „Dagbladet”. Całą pierwszą stronę zajmowało zdjęcie Bragego Håkonsena w drodze z sądu do radiowozu. Jak zawsze w takich sytuacjach głowę miał owiniętą kurtką.

- Spójrz tutaj! - Billy T. przysunął się bliżej. - To ja! - Klepnął ręką

w zdjęcie.

- O rany, ten Brage musi być wielkim facetem - stwierdziła Hanne.
- Jest prawie tego samego wzrostu co ty i Severin!

Przeszła na stronę czwartą.

Premier Volter zginęła z rąk neonazistów

Prawicowy ekstremista aresztowany na sześć tygodni

Wczoraj późnym popołudniem sąd przychylił się do wniosku policji o aresztowanie dwudziestodwuletniego mężczyzny podejrzanego o współudział w zabójstwie premier Volter. Komendant Okręgowy Policji w Oslo Hans Christian Mykland potwierdził przedstawicielowi „Dagbladet”, iż policja uważa aresztowanie dwudziestodwulatka od dawna związanego z ugrupowaniami neonazistowskimi za przełom w śledztwie dotyczącym zabójstwa premier Birgitte Volter.

Głównym podejrzanym jednak pozostaje mężczyzna, który w sobotę 12 kwietnia zginął w lawinie w Tromsdalen koło Tromso.

TEKST: STEINAR GRUNDE, VEBJORG KLAAS I SIGRID SLETTE

- Są jednak powody, by podkreślić, że śledztwo w tej sprawie wciąż pozostaje dalekie od ukończenia, a policja rozpracowuje również inne ślady - mówi komendant Mykland.

Śmierć w lawinie

Podczas konferencji prasowej wczoraj późnym wieczorem ujawniono, że policja od chwili, gdy doszło do zabójstwa, podejrzewała dwudziestoośmioletniego mężczyznę zatrudnionego na stanowisku strażnika w budynku rządowym. Przesłuchiwano go wielokrotnie. Nie było jednak dostatecznych dowodów jego winy, by wnioskować o tymczasowe aresztowanie. Mężczyzna ten dziesięć dni temu poniósł śmierć w lawinie, która zabiła dwie osoby w okolicach Tromso. Policja jest przekonana, że ów człowiek miał powiązania z aresztowanym obecnie dwudziestodwulatkiem.

Tego ostatniego podejrzewa się o kierowanie neonazistowskim ugrupowaniem o charakterze zbrojnym.

Plany zamachu

Podczas przeszukania domku letniskowego, którym dysponował aresztowany w lasach Nordmarka, policja znalazła magazyn broni oraz szczegółowe plany zamachu na grupę osób biorących czynny udział w życiu społecznym. Policja nie chce potwierdzić, czy na liście, zawierającej łącznie szesnaście nazwisk, znajdowała się również premier Volter, ale „Dagbladet” ma pewność, że umieszczono ją na czołowym miejscu tej listy.

Zorganizowane działanie

Aresztowanemu dwudziestodwulatкови postawiono szereg zarzutów, między innymi nielegalnego posiadania broni oraz planowania przestępstwa przeciwko porządkowi publicznemu. Policja zaprzecza, aby takie zarzuty miały przyczyny taktyczne, a ponadto sąd również uznał, że istnieją uzasadnione powody, by podejrzewać go o udział w zabójstwie premier Volter. Wprawdzie aresztowany dwu-dziesięciolatek ma solidne alibi na sam wieczór, w którym premier zginęła, ale policja twierdzi, iż w sprawę mogło być zamieszanych więcej osób.

- Mamy powody, by podejrzewać zorganizowane działanie grupy osób - twierdzi Hans Christian Mykland, który nie wyklucza dalszych aresztowań.

- Biedny chłopak - westchnęła Hanne, drapiąc się po nosie.

- Przez jakiś czas posiedzi. Tak czy owak.

- Co masz na myśli mówiąc „tak czy owak”? Facet jest winny jak jasna cholera - oburzył się Billy T.

Hanne nie odpowiedziała, tylko czytała dalej.

Storting wstrząśnięty

Wdrożono nadzwyczajne środki bezpieczeństwa

Parlamentarzyści z większości partii wyrażają ból, smutek i szok wobec ostatnich wydarzeń związanych z zabójstwem premier Volter. - To się musiało stać. Od dawna ostrzegaliśmy przed pravicową ekstremą, ale - jak wiadomo - służba bezpieczeństwa jest bardziej zajęta obserwacją legalnej politycznej działalności - mówi Kaare Sverdrup z Lewicy Socjalistycznej, przewodniczący parlamentarnej Komisji Sprawiedliwości, rzecznik prawopolityczny, którego w pełni popiera przedstawiciel Czerwonego Sojuszu Wyborczego w Stortingu.

Szefowie klubów parlamentarnych Partii Pracy, Partii Konserwatywnej, Partii Centrum, Lewicy Socjalistycznej oraz Chrześcijańskiej Partii Ludowej wyrażają zadowolenie z faktu, że policji w tak krótkim czasie udało się zbliżyć do rozwiązania zagadki szokującego zabójstwa premier Birgitte Volter.

Tekst: KJELLAUG STEENSNES

Procedury dotyczące bezpieczeństwa wybranych przez naród przedstawicieli zostały bardzo zaostrzone. Kierownictwo administracji Stortingu nie chce szczegółowo omawiać podjętych kroków; nie potwierdza też ani nie zaprzecza, czy zostały one podjęte już wówczas, gdy zginęła premier Volter. „Dagbladet” jednak ma powody, by przypuszczać, że przewodniczącej parlamentu oraz najaktywniejszym parlamentarzystom zapewniono obecnie całodobową ochronę zarówno policyjną, jak i wynajętych firm ochroniarskich.

Odmowa

Frederik Ivanov (Partia Konserwatywna) powiedział „Dagbladet”, że osobiście odmawia poddania się tym nadzwyczajnym środkom bezpieczeństwa.

- Jeśli zaczniemy się dostosowywać do elementów antydemokratycznych w społeczeństwie, będzie to oznaczać, że przegraliśmy walkę z wszelkimi formami ekstremizmu - mówi i dodaje, że uznał jednak za słuszne wyprawienie żony i dzieci w nieznane miejsce na wsi. Ivanov znany jest przede wszystkim jako sprzyjający imigrantom przedstawiciel prawicy. - Dla

mnie tragiczne wydarzenia ostatnich tygodni stanowią jedynie podkreślenie nieustającej potrzeby większego skupienia się na humanitaryzmie, otwartości i tolerancji - mówi Ivanov.

Współpraca

Annema Brotum (Partia Pracy) nie czuje się bezpiecznie.

- Odebrano nam coś bardzo cennego - mówi ze smutkiem w komentarzu dla naszej gazety. - Norwegia nie może dłużej powoływać się na coś w rodzaju niewinności z racji swego peryferyjnego położenia. Nie jesteśmy już chronionym obszarem na krańcu zachodniego świata. Dowodzi to, jak ważna jest współpraca ponad granicami państw, bo jedynie dzięki bliskim zobowiązaniom i wzajemnej otwartości krajów można zwalczać tego rodzaju formy politycznej przemocy.

Szatan

Cora Veldin (Chrześcijańska Partia Ludowa) wskazuje, że prawicowy ekstremizm to skutek moralnego upadku społeczeństwa.

- Dopóki politycy nie będą skłonni odwoływać się do zasad moralnych, społeczeństwo będzie wietrzeć, tak jak wietrzeją skały - mówi Veldin. - Zagubiła się gdzieś ewangelia miłości, zostały jedynie wartości materialne stanowiące pożywkę dla tego rodzaju satanistycznych działań - kończy Veldin.

Niewinny

- Jeśli się nie mylę, sprawy jeszcze nie rozstrzygnął sąd. Człowiek ten, dopóki nie udowodni mu się winy, dopóty pozostaje niewinny.

Dalszych komentarzy Vidar Fangen Storli (Partia Postępu) odmówił.

- Wyjątkowo trzymam stronę Partii Postępu - mruknęła Hanne, wpychając sobie do ust resztę kanapki. - Dlaczego zawsze tak grubo kroisz chleb?

- Nie mówi się z jedzeniem w ustach - odparował Billy T., walcząc z

plachtą „Aftenposten”, która umazała się w dżemie. -Zauważyłeś coś dziwnego? - spytała Hanne, sięgając po „Kveldsavisen”, tak samo pełną materiałów na temat Bragego Håkonsena jak wszystkie inne gazety.

- Owszem. - Billy T. przejechał ręką po prześcieradle. - Cholernie nakruszyłaś. Niedługo będę musiał wyczyścić łóżko odkurzaczem.

Hanne uderzyła go pięścią w ramię.

- Au! Przestań! O co pytałaś?

- Kilka dni temu prasa była przekonana, że istnieje związek między zabójstwem premier Volter a tą aferą szczepionkową. Gazety strasznie się nakręcały, zdobywały komentarze na Wschodzie i na Zachodzie, pisały wstępniaki o powiązaniach w elitach władzy. I nagle kompletna zmiana stanowiska. - Próbowała pstryknąć, ale ponieważ miała trochę masła na palcu, nic jej z tego nie wyszło. - Jedno małe aresztowanie i wszystko się odwraca. Teraz mają... Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... - szybko przerzucała gazetę - dziewięć stron, na których wyrażają pewność, że to strażnik i Brage Håkonsen zabili premier Volter. Dziewięć stron! A przecież zanim wyrok sądu zapadnie, upłyną wieki. Czy ci ludzie w ogóle nie mają żadnej pamięci?

- Kto?

- Dziennikarze. Nie pamiętają, co pisali tydzień temu?

- Pewnie pamiętają, ale... - Billy T. podrapał się w kroku z obrażoną miną.

- Trzymasz teraz stronę dziennikarzy? - spytała Hanne ze śmiechem. - Tak samo zmieniasz zdanie jak oni. I przestań się tak drapać. Idź do łazienki jak masz wszy. - Znów mocno klepnęła go w rękę.

- Przestań! Teraz naprawdę bolało. - Roztarł dłoń i przesunął się

na lewo. - Zaczynam się cieszyć, że już niedługo wyjeżdżasz.

- Wcale tak nie myślisz. - Przysunęła się do niego i sama objęła się jego ramionami. - Właściwie nie mam ochoty jechać, moje miejsce jest tutaj. Ale tak bardzo już tęsknię za Cecilie. A ona... jadę w sobotę.

Billy T. mocno ją uściśnął.

- Wiem. Ale jeśli to prawda, że ta sprawa rzeczywiście zmierza ku końcowi, niedługo przyjadę was odwiedzić.

- Super! Wezmiesz dzieci?

Billy T. odchylił głowę tak gwałtownie, że aż uderzył nią o ścianę. Wybuchnął głośnym śmiechem.

- Świetny pomysł! Już widzę, jaka Cecilie będzie szczęśliwa, kiedy wasz dom zapełni się moimi bachorami!

Hanne podniecona usiadła na łóżku i popatrzyła na niego.

- Przecież ona jest cały dzień w pracy. Ale by było fajnie! Lato, słońce, kąpiele. Pojechalibyśmy do Disneylandu.

Billy T. pokręcił głową.

- Nie stać mnie.

- No to weź tylko Trulsa.

Machnął ręką.

- Zobaczymy. A zresztą...

Wstał i wyszedł. Z kuchni zaraz dobiegł odgłos, jakby coś upadło na podłogę, po czym nastąpiło przeciągłe szumiące wycie.

- Hakon organizuje jutro imprezę pożegnalną dla ciebie - Billy T. przekrzyczał odgłos ręcznego odkurzacza.

- Przestań! - Hanne w porę wyskoczyła z łóżka. - Kto przyjdzie?

- Ty, ja i Hakon. Myślałem jeszcze o Tone-Marit. A jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu, to zaproszę też Severina.

- Co?

Sięgnęła do odkurzacza. Billy T. wyciągnął rękę nad głowę i odsunął się na drugi koniec.

- Wyłącz to!

- Okej, okej - naburmuszył się, ale wyłączył. - Zgadzasz się, żeby przyszli Severin i Tone-Marit?

Hanne stanęła wyprostowana i lekko pokręciła głową. Potem zaczęła drapać jedną stopę drugą.

- Przecież wiesz, że ja nie utrzymuję kontaktów z policjantami w czasie wolnym - powiedziała. - Więc dlaczego pytasz?

Billy T. rzucił odkurzacza na materac i z rezygnacją rozłożył ręce.

- Ale przecież Cecilie nie ma, a poza tym... - Podpełzł do Hanne i spróbował złapać ją za rękę. Cofnęła się błyskawicznie, nawet na niego nie patrząc. - Jak długo masz zamiar dalej tak robić? Ile jeszcze się będziesz bawić w chowanego?

- Ja się wcale nie chowam - syknęła. - Ale mam pełne prawo wybierać sobie przyjaciół.

Mocno trzasnęła za sobą drzwiami do sypialni i Billy T. już wkrótce usłyszał szum prysznica. Nawet lejąca się woda wydawała się wściekła. Podeszedł na palcach i uchylił drzwi do łazienki.

- No to mogą przyjść?! - zawołał, przykładając usta do szpary. - Czy Severin i Tone-Marit mogą przyjść na twoją imprezę pożegnalną? - Udawał małe dziecko, aż przykucnął. - Tak cię proszę!

Usłyszał ściszony niechętny śmiech. Potem zamknął drzwi i poszedł zadzwonić do Hakona.

23.45

Motzfeldts gate 15

Liten Lettvik czuła się źle. Było to nowe, niezwykle doznanie. Męczył ją jakiś niepokój, niewytłumaczalny lęk. Coś jakby wbiło się w plecy, gdzieś pod łopatkami, wypuszczając strzały przepelniające ją bólem, na który nic nie pomagało. Próbowwała już większości środków, ale niewiele miała ich do dyspozycji, skoro nie chciała iść do lekarza. Alkohol nie pomagał, nawet się nie upiła. Wypływanie też nie pomogło.

Od co najmniej dwudziestu lat nie była na basenach na Toyen, ale nie bardzo się tam zmieniło. Udało jej się przepłynąć dwieście metrów, zanim ciężkie, niewyćwiczone ciało zaprotestowało. A kiedy siedziała w saunie skulona, z zamkniętymi oczami i przepasana ręcznikiem, ból powrócił.

Upokorzenie. To właśnie było to. Ból upokorzenia. Widzieli to po niej, potrafili ją przejrzeć na wskroś i kawałeczek po kawałeczku ujawniali to, co wiedzą. Czy używali kamer? Niektóre ich słowa mogły wskazywać, że wiedzieli dokładnie o wszystkim, co robili i jak robili. Już na samą myśl o tym ból wzrósł, a twarz stanęła w płomieniach. Najgorsze jednak było to, że wiedzieli o tym od dawna. Może od lat.

Okazała się taka naiwna. Bezgranicznie naiwna. Ona, Liten Lettvik, czujna dziennikarka, nagradzana i honorowana, specjalizująca się w kontrolowaniu władzy.

Może przymykała oczy, ponieważ to właściwie było już tak dawno temu. Tak naprawdę w ostatnich latach zaledwie kilka razy. No i w marcu...

Ból był teraz nieznośny. Do oczu napłynęły łzy. Liten Lettvik pochyliła się i podniosła krótki list, który przyszedł tego samego dnia. Charakter pisma staranny, kaligraficzny, znaczek - ze wszystkimi ząbkami - porządnie naklejony w prawym górnym rogu. W pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć, kim może być ta Elsa Haugen. Dopiero gdy kilkakrotnie przebiegła treść wzrokiem, przypomniła sobie. Matka małej Marie. Ta z Elverum. A może z Eidsvoll. List mówił o żałobie i cierpieniu, o rozdartej ranie. O bezsennych nocach i uwłaczającym zachowaniu. Liten Lettvik westchnęła ciężko i podarła go na strzępy.

Miała dość własnego bólu.

21.35

Holmenveien 12

Øyvind Olve siedział u szczytu dużego stołu z jasnej sosny i kołysał na rękach niemowlę. Dziecko wykonywało niezrozumiałe ruchy rączkami. Øyvind zafascynowany wpatrywał się w maleńkie paluszki. Karen Borg nachyliła się nad nim i wzięła od niego zawiniątko, którego wlas'ciwie nie miał ochoty wypuszczać z rąk.

- Śliczna dziewczynka - uśmiechnął się zażenowany. - Jak będzie miała na imię?

- Jeszcze nie wiemy - odpowiedziała Karen.

Przyłożyła dziecko do ramienia. Wyglądała na zmęczoną, twarz miała ściągniętą. Hanne Wilhelmsen poczuła ukłucie wstydu. W ogóle nie pomyślała o tym, że Karen może niezbyt odpowiadać tłum ludzi w domu akurat w dniu, w którym wróciła ze szpitala z nowym dzieckiem i świeżą raną pooperacyjną.

- Wobec tego idę się położyć. Na górze nic nie słyhać. Możecie się bawić. Tylko postarajcie się wychodzić po cichu, dobrze?

Hakon natychmiast się poderwał.

- Pomogę ci.

- Nie, nie, nie trzeba. Siedź. Tylko pamiętaj, że musisz jutro rano zająć się Hansem Wilhelmem.

- Ja się mogę nim zająć! - krzyknął Billy T. - Spokojnie możesz mi powierzyć chłopca, Karen!

Karen nie odpowiedziała, tylko lekko uniosła dziecko na

pożegnanie i poszła na piętro dużej przytulnej drewnianej willi. Billy T. sięgnął po szóstą już butelkę czerwonego wina i otworzył ją z miną światowca.

- Mam nadzieję, że masz dość w zapasie, Hakon - zaśmiał się i ruszył wokół stołu, żeby nalać do kieliszków.

- Nie, dziękuję, ja mam już dość. - Øyvind Olve nakrył swój kieliszek ręką.

- Co za mięczaka przyprowadziłaś ze sobą, Hanne? Dlaczego on nie pije?

Øyvind Olve wciąż czuł się poza nawiasem. Nie bardzo rozumiał, dlaczego Hanne uparła się, żeby z nią przyszedł. Co prawda Billy'ego T. spotkał już dwukrotnie na przyjęciach u Hanne i Cecilie, ale ten hałaśliwy olbrzym najwyraźniej w ogóle go nie pamiętał. Pozostałych osób nigdy nie poznał.

- Będę jutro prowadził - mruknął, nie puszczając kieliszka.

- Jutro? Jutro to będzie dopiero jutro.

- Daj spokój, Billy T.! - Hanne poklepała przyjaciela po plecach, zachęcając go, żeby usiadł. - Nie wszyscy są w stanie wytrzymać twoje tempo.

- No to mów dalej, Tone-Marit! - Billy T. usiadł. - I co on wtedy powiedział?

Tone-Marit wciąż miała w oczach łzy ze śmiechu. Udawanym dialektem z Kristiansand powtórzyła:

- „Ale czy on był im coś winien”, a potem Billy T. zaczął mówić o „Madame Butterfly” i honorze. Żałujcie, że nie widzieliście wtedy miny naczelnika. Wyglądał tak, jakby znalazł się w domu wariatów.

Ryknęli śmiechem, uśmiechnął się nawet Øyvind Olve, chociaż właściwie nie rozumiał, co jest śmiesznego w opowieści Billy'ego T. i

Tone-Marit o poniedziałkowym zebraniu.

Billy T. zaczął wymachiwać kieliszkiem, o mało nie wywracając przy tym całej butelki, gdy gwałtownie się podniósł i oparł rękami o stół.

- Dla szefa służby bezpieczeństwa też już za dużo było tej wzniosłości - chrząknął i udając Olego Henrika Hermansena, powiedział: - Z całym szacunkiem, panie komendancie, ale nie mam zamiaru poświęcać moich śliskich godzin pracy na wysłuchiwanie tych bzdur!

Teraz Hanne musiała ich uciszać, bo śmiali się tak głośno, że na pewno przeszkadzali Karen. Tone-Marit zakrztusiła się ziemniakiem z sałatki i posiniała na twarzy. Billy T. zaczął walić ją w plecy.

- Ale to ciekawe, że komendanta zajmują takie rzeczy - stwierdziła Hanne.

- Jego syn odebrał sobie życie dwa lata temu. - Tone-Marit odzyskała głos i teraz ocierała łzy. - Więc w zasadzie nie powinniśmy się z tego śmiać.

- Nie wiedziałam. - Hanne przyłożyła kieliszek do policzka. - Skąd o tym wiesz?

- Bo ja wiem wszystko, Hanne. Absolutnie wszystko.

Tone-Marit powiedziała to dramatycznym szeptem, tak długo patrząc Hanne w oczy, że ta musiała sięgnąć po kawałek grillowanego mięsa.

- Ale dlaczego rozmawialiście o honorze w tym kontekście?

Pytanie zadał Øyvind Olve. Chyba dopiero trzeci raz w ciągu całego wieczoru w ogóle się odezwał.

Billy T. przez chwilę mu się przyglądał, w końcu położył ręce na karku.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, skąd mi się to wzięło. Kiedy się mówi o godności, wszyscy wiemy, o co chodzi. Cały czas się to powtarza. Natomiast honor... stał się takim słowem, którego brzmienie każe nam z zawstydzeniem patrzeć w stół. A przecież właściwie to dwie strony medalu. Ale zastanówcie się... - Przesunął talerzyk z resztkami sosu grillowego i położył łokcie na blacie. - Wyobraźcie sobie Benjamin Grindego. Całe życie zdolny grzeczny chłopiec. Naprawdę zdolny. Wszystko mu świetnie idzie. Sędzia, lekarz, Bóg jeden wie co jeszcze. I nagle gazety go obsmarowują, wpychają w błoto. Tydzień później odbiera sobie życie. W takiej sytuacji chyba wolno pomyśleć o honorze.

Hanne wpatrywała się w kieliszek. Gdy wolno nim kręciła, czerwone wino zdawało się żarzyć. Odbijało światło, rażąc ją w oczy.

- Może jeśli chodzi o Benjamin Grindego, to rzeczywiście jest takie proste - powiedziała, wypijając łyk. - Przyjrzyjmy się kolejności wydarzeń. Gdyby Benjamin Grinde odebrał sobie życie w innym kontekście, nie zareagowałyby na to nikt oprócz jego najbliższych. Policja zajrzała by przez drzwi, stwierdziła samobójstwo i koniec. Ale nagła śmierć Grindego nastąpiła... - Rozłożyła na stole dużą papierową serwetkę, nachyliła się do Øyvinda i wyjęła mu długopis z kieszonki na piersi. - Birgitte Volter została zabita czwartego kwietnia. - Hanne narysowała kropkę i napisała nad nią czwórkę. - Wiemy, że strzelono jej w głowę z broni, co do której zabójca nie mógł mieć całkowitej pewności, że odbierze komuś życie, nawet jeżeli strzał padnie z bliska. Nie ma żadnego śladu sprawcy. Tylko trzy osoby znajdowały się albo na miejscu zdarzenia, albo w jego bezpośredniej bliskości w czasie, w którym doszło do zabójstwa. Sekretarka, strażnik i Grinde. W ciągu tygodnia dwie z tych trzech osób umierają, chociaż

są to ludzie w sile wieku. Dziwne, prawda? - Swoje słowa podkreśliła, rysując dwa krzyżyki na serwetce. - A poza tym...

- Ale, Hanne... - przerwała jej Tone-Marit.

Hakon poczuł, że cały się spina. Zakłócenie toku myślenia Hanne Wilhelmsen skutkowało zazwyczaj karą w postaci lodowatego spojrzenia, które na ogół zamykało usta większości osób na długi, długi czas. Nachylił się nad półmiskiem z nadzieją, że nie będzie świadkiem upokorzenia Tone-Marit, ale ku swemu zdziwieniu zauważył, że Hanne się prostuje i życzliwie patrzy na Tone-Marit, czekając na ciąg dalszy.

-...Czasami dorabiamy teorię do faktów - powiedziała Tone-Marit przejęta. - Nie zgodzisz się ze mną? Przecież strażnik zginął w katastrofie naturalnej, której nie zarządził nikt inny niż Pan Bóg... - Zaczerwieniła się lekko z powodu religijnego wyznania, ale szybko podjęła: - Szczerze mówiąc, jeszcze dziwniejsze mi się wydaje, że Benjamin Grinde miałby odebrać sobie życie, ponieważ żałował, że zabił premier Volter, która w dodatku była jego starą przyjaciółką. Może samobójstwo w ogóle nie ma żadnego związku z tą sprawą? Może on od dawna był w depresji? Poza tym nie ma żadnych wątpliwości, że broń znajdowała się w domu u strażnika, a to wyklucza Grindego ze sprawy. Nie mam racji?

- Tak, w pewnym sensie masz. A w każdym razie możemy wykluczyć go jako zabójcę. Ale jego samobójstwo może mieć związek ze sprawą. Tyłko zupełnie inny! - upierała się Hanne.

Wszyscy milczeli, ale przestali jeść.

- Chodzi mi o to - Hanne zrobiła sobie więcej miejsca - że kolejność zdarzeń potrafi czasami nas zwieść. Szukamy jakiegoś wzoru, logiki tam, gdzie nic takiego nie ma.

Zabębniła długopisem o stół, przekrzywiając głowę. Włosy opadły jej na twarz. Billy T. nachylił się i odgarnął je za ucho.

- Ślicznie wyglądasz, kiedy tak się przejmujesz - szepnął i pocałował ją w policzek.

- Idiota! Posłuchaj mnie teraz, jeśli ciągle jesteś dostatecznie trzeźwy. Oprócz dwojga nieżyjących ludzi i kilku przedmiotów, które gdzieś się zagubiły, ale się odnalazły, to mieliśmy prawie kryzys rządowy, prawda Øyvind?

Øyvind Olve zamrugał za okularami. Z zainteresowaniem przysłuchiwał się tej rozmowie, ale zaskoczyło go, że sam ma się teraz wypowiedzieć.

- No tak - zaczął z wahaniem, bawiąc się widelcem. - Właściwie nawet dwa. Pierwszy wiązał się z utworzeniem nowego rządu. Choć to przeszło w miarę spokojnie. Politycznie zyskaliśmy nawet trochę amunicji do walki przed wyborami, bo koledzy z Partii Centrum nie mieli zbyt wielkiej ochoty na przejęcie władzy.

Zawahał się, ale nic już nie dodał. Severin jednak uważnie go słuchał, chociaż wypił nieco za dużo, z czego zdawał sobie sprawę. Sięgnął więc teraz po wodę mineralną i przypomniał:

- Ale mówiłeś o dwóch kryzysach. Jaki był ten drugi?

- Oczywiście związany z aferą szczepionkową. Może kryzys rządowy to za dużo powiedziane, ale naprawdę było ciężko. Teraz sprawa już przycichła, Tryggve w miarę dobrze sobie poradził przy wstępnym sprawozdaniu dla Stortingu. Poza tym na opozycję jak valium działa świadomość, że w latach sześćdziesiąt cztery i sześćdziesiąt pięć u władzy byli i socjaldemokraci, i konserwatyści. Daliśmy Niemcom z NRD dobrą rudę, a oni nam odpłacili złymi szczepionkami. Moim zdaniem cała ta sprawa to przykład cynizmu

obowiązującego podczas zimnej wojny. Nikt się przed tym nie uchronił. Również kilkaset niemowląt.

Wokół stołu zapadła cisza. Na schodach rozległo się dreptanie.

- W pewnym sensie te dzieci są ofiarami wojny - stwierdził Øyvind i nagle poczuł, że ma ochotę jeszcze się napić. - Takimi samymi ofiarami jak inni.

W drzwiach przy wspaniałym wielkim kominku ze steatytu pojawił się nagle dwulatek. Był w niebieskiej piżamce w piłki i przecierał oczy.

- Tata! Has-illem nie może spać!

- Has-illem zaraz usłyszy ładną bajkę na dobranoc - poderwał się Billy T.

- Billit - uśmiechnęło się dziecko, wyciągając do niego rączki.

- To nie potrwa dłużej niż pięć minut - zapewnił Billy T., zanim wyszedł. - Tylko nie mówcie nic ważnego!

- Hanne - powiedział Hakon szybko, trochę zazdrosny, że synek tak łatwo się zgodził, by Billy T. go zastąpił. - Z dwóch teorii... Gdybyś musiała wybierać między śladem Bragego i strażnika a śladem Pharmamedu, to co byś wybrała? Bo jedno chyba wyklucza drugie, prawda? Szczerze mówiąc, to mam... - Zaczął sprzątać talerze. - *Anyone for dessert?*

- O Boże! - jęknęła Tone-Marit. - Czy to jest zaraźliwe? Muszę zacząć mówić po angielsku, żebym została zaakceptowana w tej grupie?

- Yes. - Hanne zaczęła pomagać w sprzątaniu. - A co masz?

- Lody i hiszpańskie truskawki.

- Owszem, bardzo chętnie - zgłosił się Severin. - Jedno i drugie. Ale coś zaczęłaś mówić.

- Hanne powiedziała, że jej zdaniem pierwotna teoria szefa służby

bezpieczeństwa jest za bardzo naciągana. I w tej kwestii się z nią zgodziliśmy. - Hakon stanął na środku, niosąc po trzy talerzyki w każdej ręce. - Za bardzo to wygląda na powieść sensacyjną. Wielka firma z demokratycznego kraju miałaby nasłać zabójców na premier zaprzyjaźnionego sojuszniczego państwa?

- Ale coś w tym oczywiście może być - stwierdziła Hanne, kiedy już postawiła na stole truskawki i lody i rozdała wszystkim deserowe talerzyki. - Nigdy nie należy ograniczać wyobraźni. Na przykład przy tej sprawie koncernu Mannesmann wyobraźnia mnie zawiodła. - Uprzedziła pytanie Tone-Marit, tłumacząc: - Statoil przez cały czas kupuje usługi i towary za miliardy koron. Kontrakty są warte złota i kierownictwo spółki poświęca mnóstwo czasu i sił, by nie dopuścić do korupcji we własnych szeregach. Mimo to znalazł się ktoś, kto pozwolił się opłacać ogromnemu niemieckiemu koncernowi. Pracownik Statoilu dostawał miłe upominki, a Mannesmann otrzymał kontrakt na dostawę rur na szelf. Myślałam, że takie rzeczy nie są możliwe ani w Norwegii, ani w Niemczech, jeśli chodzi o ścisłość. A morał z tego taki, że nie ma moralności. Liczy się wyłącznie zarobek. Weźmy na przykład sprawę talidomidu...

W tym momencie gotowa była odgryźć sobie język. Gdy wypowiedziała tę nazwę, przypomniała sobie, co Billy T. mówił jej wiele lat temu - siostra Severina nie miała ani rąk, ani nóg. I tylko jedno ucho.

- W porządku - powiedział Severin i jeszcze się napił. - Naprawdę w porządku.

Hanne zawstydzona zaczęła grzebać w lodach, które powoli się roztapiały.

- Nie słyszysz, Hanne? Powiedziałem, że nic się nie stało.

- No, dobrze. Talidomid, który w Norwegii sprzedawano pod nazwą Neurodyn, był środkiem przeciwko mdłościom w czasie ciąży. Między innymi. Chyba miał też jakieś działanie uspokajające, nie bardzo to pamiętam. Produkowano go w zachodnich Niemczech w latach pięćdziesiątych i dopiero kiedy urodziło się ponad dziesięć tysięcy dzieci z ciężkimi wadami, pewnemu niemieckiemu genetykowi udało się przebić z twierdzeniem, że istnieje związek między tym lekiem a tak poważnymi deformacjami płodów.

- Skąd ty, na miłość boską, to wszystko wiesz? - mruknęła Tone-Marit.

- Bo ja wiem wszystko - szepnęła Hanne, patrząc jej w oczy. - Absolutnie wszystko.

Øyvind roześmiał się głośno, ale Hanne nie pozwoliła zbić się z tropu.

- To oznaczało katastrofę dla producenta, sprawy o ogromne odszkodowania i w efekcie bankructwo. Chociaż firma oprócz tego produkowała wiele innych, bardzo dobrych leków. Nikt nie chciał mieć z nimi później do czynienia. Więc nie wydaje się wam, moi drodzy przyjaciele - jej gest objął wszystkich, również wielkiego żółtego aligatora usadzonego na krześle przy oknie - że w Pharmamedzie robią teraz w portki ze strachu? Mimo że to sprawa sprzed wielu lat, a właścicielem jest ktoś inny? Nazwa została zbrukana. Słowo „Pharmamed” jeszcze długo będzie się kojarzyć z tragiczną śmiercią niemowląt.

Przez chwilę słyhać było jedynie skrobanie łyżeczek o eleganckie szklane talerzyki.

- Ale - odezwał się nagle Severin, lekko już bełkocząc - chociaż w zasadzie zgadzam się, że nigdy nie należy niczego wykluczać i że

pieniądze na ogół są główną siłą napędową, to...

Do pokoju wpadł Billy T.

- Coś mnie ominęło?

- Śpi? - spytał Hakon.

- Jak kamień. Opowiedziałem mu dwie historie o duchach. Zesztywniał ze strachu i zasnął. O czym mówicie?

- Muszę, niestety, was poinformować, że ten trop Pharmamedu jest już nieaktualny - oznajmił Severin. - W każdym razie w przyjeździe Himmelheimera do Oslo wiosną tego roku nie było nic podejrzanego. Zajmował się zupełnie innymi sprawami, jeśli można tak to określić...

- Posłuchaj, Severin - powiedział spokojnie Billy T., posyłając mu ostrzegawcze spojrzenie. - Nie jesteśmy w gronie samych policjantów.

- Myślę, że on - Severin wskazał Øyvinda - jest raczej przyzwyczajony do jeszcze większych tajemnic. Przecież pracował w Kancelarii Premiera. Ale posłuchajcie mnie! - Wypił ogromny łyk wina. - Kiedy chcieliśmy sprawdzić tego Hansa Himmelheimera, najpierw wzięliśmy w obroty hotel Plaža. Obsługę, room service, billingi telefoniczne. Wszystko. Facet nie odbywał żadnych podejrzanych rozmów. Dwa razy zadzwonił do żony do Niemiec, cztery razy do biura Pharmamedu. Ale żona raczej nie wiedziała, że w pokoju, z którego do niej dzwonił, mieszkają dwie osoby. Oprócz Herr Himmelheimera zameldowała się również *Frau!*

- Kochanka - mruknął Billy T.

- No właśnie. Dalej możecie zgadywać. Powiem wam tylko, że to Norweżka. Ale prawdopodobnie wymienicie cztery miliony trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy Norwegów obojga płci, zanim traficie na właściwą osobę.

Nikt nie poczuł się powołany do rozwiązania tej zagadki, a Billy T. niecierpliwie zmarszczył brwi.

- Tą *Frau* była Liten Lettvik!

- Nie wierzę - skwitował Billy T.

- Ta z „Kveldsavisen”? - zdziwił się Øyvind.

- To po prostu niemożliwe - mruknęła Hanne.

- Liten Lettvik - powtórzył Hakon.

Tone-Marit śmiała się długo i głośno. Oczy zmieniły jej się w dwie wąskie kreski.

- Ciii! - Severin uniósł ręce i wolno opuścił je na stół. - Proszę o ciszę! Znają się od lat. Poznali się na uniwersytecie w sześćdziesiątym czwartym. Wtedy imię lepiej pasowało do Liten niż teraz. Później spotykali się od czasu do czasu, kiedy Hans wyjeżdżał na zagraniczne kongresy. W domu w Lipsku ma żonę i trójkę nastoletnich dzieci. Ale kiedy miał ochotę na skok w bok za granicą, trzymał się Liten. To właściwie bardzo przyzwoite. - Opróżnił kieliszek i podsunął go Billy'emu T., który natychmiast go napełnił. - Zabraliśmy ją na przesłuchanie. Wyrzucała z siebie mnóstwo słów o ochronie źródeł i inne bzdury, więc za wiele z niej nie wyciągnęliśmy. Ale nie ma wątpliwości, że w jakiś sposób musiała uzyskać od niego te informacje. Pewnie trochę go oszukała, może obiecała mu jakiś ekstranumerek.

- A więc to dlatego „Kveldsavisen” tak cholernie szybko rozgryzła tę sprawę - zamyśliła się Hanne. - Zastanawiałam się nad tym. Szczerze mówiąc, zaimponowała mi.

- W każdym razie - Severin ciężko westchnął - Hans Himmelheimer w Oslo poszedł na dwie konferencje, a poza tym baraszkował w łóżku z Liten. Nic więcej nie robił. Tyle udało nam

się ustalić. I nie uzyskaliśmy kompletnie niczego na poparcie teorii o związku Pharmamedu z zabójstwem Birgitte Volter.

Zaczął padać deszcz, Hakon wstał i dołożył polano do kominka. Po błyskawicy, która zabarwiła okno na niebiesko, oświetlając ciemny mokry ogród, natychmiast nastąpił grzmot, od którego wszyscy zadrżeli. Przysunęli się bliżej do siebie i nachylili nad stołem, jakby chcieli poczuć, że są bliższymi przyjaciółmi, niż byli naprawdę. Nawet Tone-Marit się uśmiechnęła, kiedy Billy T. po przyjacielsku pogładził ją po plecach, gdy zadrżała od ogłuszającego huk.

- Nienawidzę grzmotów - zaczęła się tłumaczyć.

- Ale dlaczego w hotelu? Przecież Liten Lettvik mieszka sama. - Hakon podrapał się w głowę.

- Powiedziała nam, że z zasady nie wpuszcza mężczyzn za próg - wyjaśnił Severin. - A kiedy się na nią patrzy, takie twierdzenie wydaje się całkiem przekonujące.

- Ale jeżeli ślad Pharmamedu nie jest już aktualny... - zaczęła Hanne.

- W każdym razie nie warto na nim nic budować - przerwał jej Severin. - Co oczywiście nie oznacza, że nie będziemy rozpracowywać go dalej. Ale nie wierzę, żebyśmy coś tam znaleźli. Zwłaszcza że broń leżała u strażnika, to wiemy już na pewno. A w jaki sposób ten chłopak miałby nawiązać kontakt z Pharmamedem? Gdyby za tym zabójstwem naprawdę stał wielki biznes, załatwiono by to znacznie bardziej profesjonalnie. Inna broń, a przede wszystkim inny rodzaj zabójcy niż ten nieborak. Nie, o Pharmamedzie zapomnijmy.

- O strażniku też - odezwał się nagle Billy T. - Przez trzy tygodnie nawiedzał mnie jak mara, ale spróbujcie to sobie wyobrazić. To słabeusz. Pozwala, żeby dziewczyna, w dodatku piętnastoletnia,

przekonała go, by odesłał nam broń. Jedzie na urlop do Tromso. Do Tromso! Gdyby naprawdę zabił Birgitte Volter, pojechałby do Boliwii albo jeszcze dalej. Wydaje mi się, że on powiedział Kai prawdę. Dlaczego miałby ją okłamywać? Najwyraźniej do tego stopnia jej ufał, że powierzył jej i szal, i broń. Gdyby zabił premier Volter, nigdy nie odesłałby rewolweru. Co prawda w głowie się nie mieści, że mógł zabrać broń leżącą przy martwej szefowej rządu, ale... To jeden z najokropniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. Jeśli ktokolwiek mógł zrobić coś takiego, to właśnie on. Tyle, że był okropnie tchórzliwy. Tak samo jak ten adonis Brage Håkonsen. No tak, o strażniku też możemy zapomnieć. Z trudem mi to przychodzi, ale jestem pewien, że to nie on.

- No to posłuchajcie! - Hanne przeszła na wodę mineralną. Uniosła szklankę na wysokość twarzy. Czuła, jak bąbelki gazu łaskoczą jej skórę. - Jeżeli mamy zostawić Benjamin Grindego i tę jędzę Ruth-Dorthe Nordgarden, która tylko narobiła smrodu, ale nic poza tym, i Pharmamed, i strażnika, a tym samym tego biednego durnia neonazistę, który wyplakuje sobie teraz oczy w naszym areszcie, to... to przecież nikt nie zostaje!

- Może jest jakiś osobisty wróg, o którym nic nie wiemy - podsunął Billy T. - To oznacza tygodnie i miesiące ciężkiej pracy, z której prawdopodobnie nic nam nie przyjdzie. Po prostu jesteśmy za słabi. Zwyczajnie. A teraz chciałbym posłuchać muzyki. - Wstał i klepnął Hakona w plecy. - Masz jakąś operę? Pucciniego?

- Wydaje mi się, że powinna być gdzieś Tosca. Poszukaj!

- Tosca jest świetna. Zabiła z miłości. Większość ludzi zabija z tego powodu. Tyle wam powiem, moi państwo.

- To dlatego tak lubisz operę? - spytała Tone-Marit. - Dlatego że

wszyscy się nawzajem zabijają? Mało masz tego w pracy?

Billy T. przesuwiał palce po statywie z płytami na drugim końcu pokoju. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Kiedy włożył płytę do odtwarzacza, przez chwilę miał ochotę poinformować Hakona, co myśli o jego kiepskim sprzęcie, ale zdecydował, że nie będzie poruszał tego tematu. Westchnął tylko głęboko z zadowoleniem, gdy z głośników popłynęła uwertura do Toski.

- Coś ci powiem, Tone-Marit. - Z zamkniętymi oczami zaczął dyrygować niewidzialną orkiestrą. - Opera to właściwie same bzdury! Ale kobiety Pucciniego są takie, jakie kobiety powinny być naprawdę. Tosca, Lulu, Madame Butterfly i inne... Odbierają sobie życie, kiedy stają w obliczu ostatecznej tragedii. Stawiają życiu i sobie tak wysokie wymagania, że nie chcą dalej żyć, kiedy zaczyna się dziać naprawdę źle.

Coraz gwałtowniej poruszał rękami. Wszyscy pozostali jak przykuci obserwowali to przedstawienie.

- Są bezkompromisowe! - zawołał Billy T. - Całkowicie bezkompromisowe.

Nagle znieruchomiał w połowie gwałtownego łuku od podłogi do sufitu. Wolno opuścił ręce, otworzył oczy i podszedł do wieży stereo, żeby przyciszyć muzykę.

- Dokładnie tak jak ty, Hanne - powiedział, siadając przy niej. Znów pocałował ją w policzek. - Całkowicie bezkompromisowa, ale...

Nie zareagowała, więc spojrzał na nią zdziwiony, a pozostali również najwyraźniej zwrócili na to uwagę. Komisarz Hanne Wilhelmsen wyglądała, jakby wpadła w trans. Lekko rozchyliła usta i prawie przestała oddychać. Oczy miała przytomne, duże, ale zdawała się patrzeć nimi na coś, co znajdowało się zupełnie gdzie indziej, w

innym miejscu, a może w innym czasie. Na szyi wystąpiła jej żyła, która rytmicznie pulsowała.

- Co się z tobą dzieje? - spytał Billy T. - Hanne, źle się czujesz?

- Myślę o tym zabójstwie premier Volter - szepnęła. - Wyeliminowaliśmy wszystkich możliwych zabójców, a w takim razie...

Płyta się zacięła. Wieża wypluwała się z siebie trzy dźwięki, które stale się powtarzały, ale nawet Billy T. nie wstał, żeby coś z tym zrobić.

- Do zabójstwa premier Birgitte Volter po prostu nie mogło dojść - oświadczyła Hanne. - Nikt inny tego nie zrobił.

Odtwarzacz CD w niewyjaśniony sposób sam się naprawił. Z głośników znów popłynęła muzyka. Czysta i równa, wypełniając dom, w którym na piętrze spała przy matce nowo narodzona dziewczynka.

Tone-Marit popatrzyła na swoją gołą rękę i zobaczyła, że ma gęsią skórkę. Zapadła niezwykła cisza.

16.00

Ole Brumms vei 212

Światło wpadające przez okno w dachu na brudną drewnianą podłogę skojarzyło mu się z foką. Ciemność wokół jasnej smugi była prawie czarna. Powietrze przesyciły kurz i stare wspomnienia. Roy Hansen, kierując się ku temu światłu, potknął się o pierwsze narty Pera, te malowane na niebiesko. Przypomnił sobie wakacje dawno temu, zanim urodził się Per. We dwoje z Birgitte wybrali się do Bergen. W akwarium na Nordnes obserwował foki przez szybę basenu. Obracały się w wodzie, pływały w koło, w końcu strzelały w górę ku światłu, które jak wachlarz rozkładało się w wodzie.

Roy Hansen stanął na środku strychu. Nie był tu od trzech lat, a myślał o focie. Pora zaczerpnąć powietrza.

Przez kilka dni rozważał, czy się nie przeprowadzić. Nie chciał tu mieszkać. Nie chciał mieszkać z rzeczami Birgitte, widząc wszędzie jej ślady. Gipsowy magnes na lodówce, który zrobiła kiedyś przed Bożym Narodzeniem, kanapę, której on nie chciał kupić, a na którą ona się uparła. Twierdziła, że tak ładnie pasuje do ścian, więc w końcu ustąpił. Ubrania Birgitte Per spakował jednego wieczoru, kiedy Roy był u matki, która tak strasznie się zestarzała. Kiedy wrócił do domu, Per nic nie powiedział, tylko się uśmiechał. Roy próbował mu dziękować, ale niezbyt dobrze mu to wyszło. Pościel, w której żona przespala ostatnią noc, wyrzucił.

Po pogrzebie wszystko się odsunęło, a droga naprzód mimo

wszystko wydawała się nie do przebycia. Ale w ostatnich dniach rzeczy nabrały nowego znaczenia. Przestały już być palącym zabójczym przypomnieniem czegoś, czego już nigdy nie odzyska. Birgitte tkwiła w ścianach, w przedmiotach, w obrazach, które wybierała, w książkach, które czytała. I tak było dobrze. Chciał, żeby tak było. Ale chciał również wiedzieć, co jest tutaj.

Właśnie dlatego stał teraz na strychu.

Birgitte też nie przychodziła tu często, ale częściej niż on. Kiedy wracała, miała w sobie jakiś smutek i nieobecność. Nie trwało to długo, mniej więcej dobieg. Przez to jej dalekie spojrzenie nawet nie próbował się przedrzeć. Za długo ją kochał, by próbować. Tu, na górze, musiało coś być, a do tej pory nie miał siły tu przyjść.

Z wysiłkiem przestawiał rupiecie. Stary warsztat tkacki z popsutymi pedałami. Zaśmiał się cicho do siebie. Taki okres też mieli. Birgitte w ciąży z Perem ubierała się w szaty projektu Sigrun Berg i miała niezłomną wolę, że nauczy się tkać. Ale nie starczyło jej czasu na nic poza wstępnym kursem organizowanym przez stowarzyszenie zajmujące się oświatą dorosłych. Dotknął włóczki. Była tak zakurzona, że w słabym świetle nie dało się stwierdzić, jaki to kolor. Wzór ledwie rozpoczętego gobelinu był prawie niewidoczny. Powiódł palcem w kurzu, narysował serce z B w środku. Warsztat tu zostanie. Nigdy się go nie pozbędzie.

Na samym obrzeżu świetlnego stożka stał wielki kufer z rodzaju tych, z jakimi kiedyś wyjeżdżano do Ameryki. Aż jęknął, kiedy go przesunął, żeby lepiej widzieć. Klucza nie było. Roy wyprostował się i rozejrzał. Skrytka od razu rzuciła się w oczy. Natychmiast to zrozumiał. Może Birgitte tego chciała, pomyślał, błędząc palcami po belce biegnącej od ściany do ściany mniej więcej w połowie strychu.

Klucz, czarny, duży i ciężki, leżał tam, gdzie powinien leżeć.

Wieko było ciężkie, ale nie zazgrzytało, kiedy je podnosił. Wnętrze okazało się puste, z wyjątkiem jednego mniejszego pudła. Pewnie na kapelusze, pomyślał. Jego matka takich używała. To miało wyblakły różowy kolor i było przewiązane szeroką wstążką. To Birgitte zawiązała tę kokardę, pomyślał, przesuając w palcach ciężki jedwab.

Zawahał się przed otwarciem. W ustach poczuł dziwny smak, żelaza albo krwi. Stał w niewygodnej pozycji. Ostrożnie wyjął pudło, zamknął wieko kufra i usiadł na nim. Rozwiązał wstążkę.

Na samej górze leżały niemowlęce skarpetki. Kiedyś musiały być białe jak śnieg. Maleńkie, dla noworodka, z cieniutkimi koronkami wokół kostek. Położył je sobie na kolanie i pogładził kciukiem. Potem wyjął zdjęcie. Pierwsze zdjęcie Liv, nagiej, z podciągniętymi kolanami i zaciśniętymi piąstkami. Płakała. Pod zdjęciem leżała jasnoczerwona książeczka. Otworzył ją i zaczął delikatnie przerzucać strony. Bał się, że kartki skruszą mu się w palcach. Birgitte tyle zapisywała. Waga przy urodzeniu i długość. Mała lniana bransoletka ze szpitala z nazwiskiem Birgitte i datą urodzenia Liv była wklejona na pierwszej stronie. Klej prawie zupełnie wysechł. Kiedy dotknął opaski, wypadła. Włożył ją między dwie kartki na końcu notatnika. Ostatni wpis był pod datą 22 czerwca 1965: „Liv dostała dzisiaj szczepionkę Di-Per-Te. Bardzo płakała. Cierpiałymy obie, ale ból szybko minął”. Nic więcej nie było.

Roy nie mógł oddychać. Odłożył pudło, a dziecięce skarpetki spadły z kolana na brudną podłogę, kiedy wstawał. Okno w dachu się zacięło, trudno je było ruszyć, ale w końcu zdołał je otworzyć. Chwilę postął, czując, jak owiewa go świeże powietrze, a światło oślepia.

Birgitte nie chciała mieć na wierzchu nawet zdjęć. Z wściekłością

kazała mu je usunąć, kiedy rok po śmierci Liv ustawił jedno na nocnym stoliku w srebrnej ramce, którą specjalnie kupił. Nie chciała nigdy rozmawiać o Liv. Nie chciała nic zatrzymywać. Kiedy urodził się Per, kilka razy próbował z nią o tym porozmawiać. Per powinien wiedzieć. Istniało przecież niebezpieczeństwo, że dowie się o siostrze od innych, a to by było o wiele gorsze. Ale Birgitte znów wpadła w złość.

Z czasem rozmowa o niej przestała być możliwa. Liv stała się nieistniejącym tematem, a Roy stwierdził, że jeszcze trudniej opowiedzieć o tym Perowi, kiedy chłopczyk podrośł. Dziecko zaczęło znikać. Stopniowo i powoli. Od czasu do czasu myślał o Liv. Na ogół około świętego Jana, kiedy słońce stało wysoko na niebie i wszystko pachniało tak świeżo nowym letnim życiem. Serce mu się wtedy ścisnęło. Birgitte nie chciała o niej słuchać, nie chciała o niej mówić, nie chciała o niej wiedzieć. Tak zawsze sądził.

W życiu Birgitte istniało tylko jedno dziecko. Per. Takie sprawiała wrażenie. Wszyscy tak uważali. Pera przyjęła z powagą i odpowiedzialnością. Tamten rozbawiony młodzieńczy żar, który tańczył między nimi, gdy urodziła się Liv, gdzieś przepadł. Pojawiła się troska, wieczne zmartwienia, które nie chciały odpuścić, dopóki Birgitte nie zrozumiała, że Per naprawdę jest silnym i zdrowym dziesięcioletkiem.

Znów ostrożnie przysiadł na kufrze z pudłem na kapelusze na kolanach. Leżała tam też srebrna łyżeczka, którą kupili jej na chrzest. I smoczek. Uśmiechnął się, widząc, jaki jest staroświecki, zwyczajny, różowy, guma ze starości zeszywniała. Pod wszystkim, na samym spodzie tego prostego pudełka z pamiątkami leżał list. Na wypchanej kopercie widniało jego imię wypisane starannym pismem Birgitte.

Kiedy otwierał list, ręce drżały mu tak, że koperta spadła na podłogę. Wyprostował się, jeszcze raz uniósł twarz do światła i głęboko zaczerpnął powietrza. Rozłożył kartkę i kilka razy przeciągnął po niej brzegiem dłoni.

Te słowa zapisano trzydzieści dwa lata temu.

Nesodden, 2 sierpnia 1965

Najdroższy Royu!

Długo nosiłam się z zamiarem napisania tego listu, ale dopiero teraz sądzę, że może mi się to uda. Jeśli nie, obawiam się, że nigdy nie będę w stanie tego zrobić. Ten list trafi w Twoje ręce jedynie wtedy, gdy będę musiała Cię opuścić, a tego chyba nie zrobię. Straciłeś już dość, a ja Cię kocham, ale Bóg jeden wie, że nie wiedziałam, jak zdołam przeżyć te tygodnie, które mamy już za sobą. Wydawało mi się to niemożliwe. Z trudem przeżywam każdy dzień, chciałabym tylko spać. Na to, co zrobiłam, nie ma wybaczenia. Twojego, a przede wszystkim mego własnego.

Widzę, że nosisz w sobie taki sam ból jak ja. Ale przynajmniej omija Cię poczucie winy. Ty w niczym nie zawiniłeś, natomiast ja zawiódłam. Wstyd nie daje mi żyć. Za każdym razem, kiedy próbujesz skłonić mnie do rozmowy o Liv i o wszystkim, co się stało, poczucie winy i wstyd dosłownie mnie dławią. Ból, który widzę w Twoich oczach, kiedy wydaje Ci się, że jestem wściekła, też jest nie do wytrzymania. I staram się, naprawdę się staram, ale to niemożliwe. Może najlepiej by było powiedzieć Ci prawdę. Wtedy mógłbyś mnie zniecierliwić i odejść ode mnie, a ja otrzymałabym karę, na którą zasługuję. Nie mam jednak na to siły. Nie mam odwagi. Jestem zbyt tchórzliwa, by umrzeć i zbyt tchórzliwa, by żyć dalej uczciwie.

Dlatego dzisiaj to piszę.

Przez te tygodnie nieustannie myślałam o tym, jak to się mogło stać. Tak bardzo ją kochałam. Mimo że pojawiła się w

niezbyt dogodnym momencie. Świetnie pamiętam, jak się zachowałeś, kiedy Ci powiedziałam, że jestem w ciąży. Przez dwa tygodnie szalałam z niepokoju. Ty się właśnie dostałeś do seminarium nauczycielskiego, więc w tym momencie nie mogło być chyba nic gorszego niż dziecko. Ale się roześmiałeś! Wziąłeś mnie na ręce i obróciłeś w kółko, powiedziałeś, że wszystko będzie dobrze. A dzień później zmieniłeś wszystkie plany i zacząłeś wszem i wobec ogłaszać, że będziesz ojcem. Nigdy tego nie zapomnę.

Tak się bałam, że coś jej się stanie. Mama się ze mnie śmiała. Cały czas powtarzała, że dzieci rodziły się już wcześniej i jakoś przeżywały. Teraz, tej nocy widzę, że moja miłość do Liv nie była nic warta. Sądziłam, że jestem dobrą matką, która kocha swoje dziecko i dobrze się nim opiekuje, ale byłam nieodpowiedzialna. A poczucie odpowiedzialności jest ważniejsze od całej miłości świata. Gdybym je miała, Liv wciąż byłaby z nami.

Wieczór świętojański mieliśmy mieć wolny. Tak się cieszyłam, że nareszcie znów będziemy Birgitte i Royem tak jak przed narodzinami Liv. Jak w zeszłym roku, w tamto cudowne lato. Rozumiem, że nie powinniśmy byli zostawiać tak maleńkiego dziecka pod czyjąś opieką, ale przecież zamierzaliśmy iść tylko na przystań, a Benjamin świetnie sobie z nią radził. Nie powinnam była jej zostawiać, ale tak bardzo chciałam mieć wolną chwilę. Moi rodzice byli w Oslo i myślę, że gdyby nie wyjechali, nic złego by się nie stało. Mama nie pozwoliłaby mi iść albo sama zajęłaby się Liv.

Tak pięknie wyglądałeś, kiedy o jedenastej szłam do domu nakarmić Liv. Śmiałeś się do mnie, gdy do Ciebie machałam, dając Ci znak, że niedługo wrócę. Byłeś trochę wstawiony, ale taki przy tym zabawny, że czułam się szczęśliwa. Kiedy wracałam do domu, potykałam się, bo sama trochę za dużo wypiłam. Sam wiesz, jak rzadko piję, i trochę szumiało mi w głowie. To moje jedyne wyjaśnienie tego, co się stało. Trochę

szumiało mi w głowie.

I Tobie i wszystkim innym powiedziałam, że po powrocie do domu zrobiłam się śpiąca i zasnęłam. Dlatego nie wróciłam na przystań.

To było kłamstwo.

Roy przetarł oczy i poczuł wilgoć na koniuszkach palców. Kolejne linijki na kartce były skreślone, mocno, czarnym atramentem. W dwóch miejscach stalówka przebiła papier. Przerzucił na następną stronę.

Wszystko jest jednym wielkim czarnym kłamstwem. Czuję, jak bardzo trudno jest mi nawet napisać prawdę. Jakby nie chciała się przelać na papier.

Benjamin czekał na mnie w drzwiach. Był zdenerwowany i już miał po mnie iść. Mówił, że Liv jest niespokojna i płaczliwa. Miała prawie czterdzieści stopni gorączki. Nie pojęłam, że to może być groźne, Roy. Często miewała gorączkę, pojawiała się i równie szybko znikwała. W tamtej chwili miałam dość tego dziecka. Przecież planowaliśmy spędzić miły wieczór. Miałam mieć wolne! Powiedziałam więc, że to na pewno nic groźnego. Nakarmię ją i zaraz zaśnie.

Uspokoila się, kiedy przyłożyłam ją do piersi. Naprawdę. Jestem pewna, że nic sobie nie wmawiam! Wprawdzie nie zjadła dużo, ale nie była już tak niespokojna, kiedy kładłam ją do łóżeczka. Wciąż miała lekką gorączkę, widziałam to po jej oczach, wyczuwałam po skórze. Ale przecież dzieci od czasu do czasu miewają gorączkę, prawda?

Benjamin wydał mi się nagle taki słodki. Przeraza mnie, kiedy o tym pomyślę. Przecież właśnie zostawiłam Cię na przystani, przekonana, że jesteś najcudowniejszym chłopakiem ze wszystkich, którzy tam byli. Przysięgam! Nigdy tak nie

patrzyłam na Benjaminą. On przecież dopiero skończył liceum i zawsze jest taki poważny. Ale coś się wtedy stało. Może głupio postąpiłam, karmiąc Liv piersią przy nim.

Wybacz mi, to się po prostu stało. On był zupełnie zielony, niepewny. Piliśmy wino, chociaż wiedziałam, że zauważysz zniknięcie tej butelki. To była chyba jedyna butelka, na jaką było nas stać w ciągu ostatniego półrocza. Dlaczego nigdy o nią nie spytałeś?

Wino wypite po piwie to było już za dużo. I kiedy obudziłam się na kanapie o piątej rano, Benjamin już poszedł. A Ty jeszcze nie wróciłeś do domu. Okropnie bolała mnie głowa i tak strasznie się wstydziałam. Zaczęłam szukać tabletek przeciwbólowych, ale nic nie znalazłam. Poszłam zajrzeć do Liv. Była zimna. Oczy miała zamknięte i zimną skórę. Wzięłam ją na ręce. Uplynęła co najmniej minuta, zanim zrozumiałam, że nie żyje.

Potem niewiele już pamiętam. Wiem tylko, że umyłam kieliszki i odstawiłam je na miejsce, a Ty wkrótce wróciłeś do domu, pijany i wesoły.

Z Benjaminem zamieniłam ledwie dwa słowa, odkąd się to stało, ale poznaję po nim, kiedy idzie drogą, że bardzo go to gnębi. Pod koniec miesiąca przenosi się do miasta. Pani Grinde powiedziała mi, że dostał się na medycynę. Mówiła, że jej zdaniem coś go dręczy. Schudł i odzywa się jeszcze mniej niż zwykle. Mam nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczę. Zawsze będzie mi przypominał o mojej zdradzie, o mojej wielkiej zdradzie wobec Ciebie i niewybaczalnej zdradzie wobec naszej córki.

Myślę o niej przez cały czas. W każdej sekundzie dnia. W nocy śni mi się jej skóra, włoski w kolorze miodu i paznokieć małego palca nie większy niż kropka. Czasami na moment zapominam, że ona już nie żyje.

Ale właśnie tak jest.

Byłam nieodpowiedzialna, zawiodłam i zdradziłam.

Postanowiłam, że będę żyć dalej, ale muszę usunąć Liv z mojego życia. Z naszego życia. Przez resztę czasu, jaka będzie mi dana, nigdy, przenigdy nie zapomnę, że najważniejsza jest odpowiedzialność. Będę się podejmować odpowiedzialności i nie będę się nigdy od niej wymigiwać.

Nie mam już siły więcej pisać. Jeśli kiedykolwiek to przeczytasz, Roy, mnie już nie będzie. Zrozumiesz wtedy, że nie ma za kim płakać.

Twoja Birgitte

W snopie światła tańczył kurz. Powietrze wpadające przez otwór w dachu podrywało maleńkie cząsteczki i poruszało nimi w nieprzewidywalny sposób. Połyskiwały niczym miniaturowe reflektory, wirując bez sensu i celu. Roy złożył list sztywnymi rękami. Kiedy spojrzał na swoje dłonie, wydały mu się obce, jakby należały do człowieka, którego nigdy wcześniej nie spotkał. Schował list do pudła na kapelusze, które stało u jego stóp z przekrzywioną pokrywką. Wolno wyciągnął rękę do światła.

Jakby ktoś posypał je złotym pyłem. Miał wrażenie, że czuje dotyk drobinek na skórze. Musiał coś poczuć, jakiś ból, i nagle sam siebie uderzył w twarz.

Ostatnie godziny życia Birgitte były już dla niego jasne. Ostatnia noc. Źle spał. Za każdym razem, gdy się budził, widział, że żona wpatruje się w ciemność szeroko otwartymi oczami. Nawet nie mrugała. Nie wiedział, co ją dręczy, ale znał ją dostatecznie dobrze, by nie próbować przebić się przez ten mur, który stał się zbyt duży. Nic nie mówił ani wtedy, ani później. Policji też nic nie powiedział. Ich pytania o Birgitte, o ten pojemniczek na leki, o Liv były takie nieprzyjemne. Teraz już wiedział dlaczego. Coś w nim samym leżało ukryte i zapomniane tak długo, że nie chciało wydostać się na

powierzchnię. Nie chciał tego wypuścić. Miało w nim pozostać poza wszelką świadomością. Przecież o wszystkim zapomniał.

Ale wcale tak nie było.

Prawda przysłała do niego tak, jakby dostąpił objawienia. Słońce znalazło się akurat na wprost dachu. Fala światła rozjaśniła cały strych. Roy znów pomyślał o focie. Miał ten obraz w pamięci jak żywy. Jak dobrze zachowaną fotografię czy raczej fragment filmu, który się nigdy nie zestarzał. Gładka, nawykła do wody foka, która obraca się w turkusowym basenie w Bergen w roku 1970. Patrzy na niego udreńczonym wzrokiem i wzbija się ku światłu, ku życiu, jakie toczy się na powierzchni, ku powietrzu.

Nikt nie zabił Birgitte. Sama odebrała sobie życie.

Fuga

Piątek, 4 kwietnia 1997

18.30

Kancelaria Premiera

Kiedy Benjamin zamknął za sobą drzwi, odczuła to tak, jakby zamykał całe życie.

Był równie przystojny jak dawniej. Tak samo poważny. Ale nie był już młodszy od niej. Tamten wielki jak morze rok różnicy, który dzielił ich w młodości, zniknął. Byli teraz tacy sami. Rozmawiali cicho. Miała wrażenie, że w ciągu tych trzydziestu dwóch lat w pewnym sensie nic się nie zmieniło. Kiedy patrzyła na jego twarz, czuła zapach bzów i kobiecego mleka. Widziała siebie w kremplinowej princesce wciętej w pasie, z zaszewkami na biuście i szeroką spódniczką śmiało obciętą na wysokości kolan. Sama ją sobie uszyła, uradowana tym, że ciało tak szybko odzyskało dawną wagę i formę po porodzie. Te jego oczy, piwne, z dziewczęcymi rzęsami, były takie jak w tamten wieczór świętojański. Młode. W tych oczach była Liv. A Birgitte Volter zrozumiała, że decyzja, którą podjęła, jest nieodwołalna.

- Muszę się z tego wycofać - oznajmił Benjamin, bawiąc się maleńkim pudełeczkiem na leki, które Birgitte i Roy dostali od jego rodziców w prezencie ślubnym. Tym, którego nikomu nie wolno było ruszać. Ale jemu nie mogła go zabrać. Nie potrafiłaby mu przeszkodzić, gdyby nagle zechciał je otworzyć i sprawdzić, co jest w środku. - Tyle lat poświęciłem na zapomnienie i zapomniałem. To

niepojęte, że zdołałem zapomnieć. Może dlatego, że byłem taki młody. Pocieszam się tym, Birgitte. Byłem za młody. Ale drugi raz nie będę umiał milczeć. Jeśli ktoś mnie spyta, powiem prawdę. Mimo że dotknie to nas oboje.

Nawet nie próbowała go przekonywać. Odruchowo naskrobała kilka słów na liście nazwisk, którą jej przyniósł. Na liście, na której znajdowało się nazwisko Liv i wprost biło w oczy, oznaczając, że śmierć Liv nie może już być zapomniana i skrywana w odległej przeszłości.

Benjamin był taki łagodny. Głos miał śpiewny i wytrzymał jej spojrzenie za każdym razem, gdy tylko chciała popatrzeć mu w oczy. Rozmawiali przez chwilę, jeszcze dłużej milczeli. W końcu wstał. Nie starał się ukryć, że zabiera pudełeczko. Wziął je do ręki, popatrzył na nie i bez słowa schował je do kieszeni.

- To było już tak dawno temu, Birgitte. Musimy wreszcie nauczyć się z tym żyć. Nie możemy udawać, że to się nigdy nie stało. Zawiedliśmy oboje. Ale od tego czasu minęło już tyle lat...

Zostawił ją, a kiedy drzwi się za nim zamknęły, zamknęło się też życie Birgitte Volter.

Nie bała się upokorzenia. Nie myślała o honorze. Upadek, który mógł nastąpić, potrafiłaby przyjąć. Nie bała się cudzego osądu. Może nawet nikt by jej nie obwiniał? Miała Roya. I Pera. Zasługiwała na stratę wszystkiego, tylko nie ich. Ale przecież oni i tak by zostali.

Tej nocy nabrała jednak pewności. Decyzję w zasadzie podjęła już wiele lat temu. Trzydzieści dwa lata nie wystarczyły, by uleczyć ranę. Dojrzała jedynie po to, by w pełni dostrzec wielkość swojej zdrady. Jej córeczka umierała sama. Chociaż mama mogła być przy niej. Wstyd mieszał się z tęsknotą za przejściem do świata Liv.

Życie się skończyło, ponieważ Liv wróciła. Była w tym pokoju. Birgitte poczuła zapach szyi małej dziewczynki, kiedy nachylała się nad cieniutkimi delikatnymi włoskami. Poczwała, że piersi nabrzmiewają na widok małych ust gotowych do ssania. Poczwała ogromną obcą przerażającą odpowiedzialność, która ją przytłoczyła, gdy jako niespełna dziesiętnastolatka wzięła w ramiona pierworodną. Mała płakała przez wiele godzin, a ona słyszała teraz ten płacz. Otaczał ją ze wszystkich stron, wypełniał ten pokój wysoko pod niebem, niemal w najwyższym punkcie w Oslo, w tym mieście, w którym ukryła się przed Liv i ciężką pracą usiłowała wydobyć się z katastrofy młodzińskich lat.

Później podjęła się kolejnej wielkiej odpowiedzialności i wciąż czuła jej brzemię. Ale z otchłani zdrady nigdy nie zdołała tak naprawdę uciec. Teraz ta zdrada znów ją dogoniła. Stała naprzeciwko niej w postaci roześmianego lwa. To było miejsce, w którym wszystko miało się zakończyć. To tutaj zaprowadziła ją śmierć Liv. Aż tutaj. Na samą górę. I tu musiało zakończyć się jej życie.

Spokojnie owinęła broń szalem. Nie miała siły się jej przyglądać. Ten rewolwer sam w sobie był oskarżeniem. Wybrała nagana matki dlatego, że to właśnie matka powstrzymałaby ją wtedy. Nie pozwoliłaby Liv umrzeć.

Kiedy kierowała owinięty w szal rewolwer w skroń, usłyszała, że ktoś kręci się po pokoju wypoczynkowym.

To jej nie przeszkodziło nacisnąć spustu.

Przypisy

[1] POT - Politiets Overvakingstjeneste, Policyjna Służba Bezpieczeństwa - (przyp. tłum.).

[2] Partia Postępu (Fremskrittspartiet) - wbrew nazwie to ugrupowanie narodowo-konserwatywne, skrajnie prawicowe - (przyp. tłum.).

[3] „Skończyć z polowaniem na wieloryby! Zabójcy! Zabójcy!” - (przyp. tłum.).